

KINGA

WÓJ

CIK

Prószyński i S-ka



PORYW

SERIA O KOMISARZ
LENIE RUDNICKIEJ

KINGA
WÓJ
CIK



PORYW

SERIA O KOMISARZ
LENIE RUDNICKIEJ

Prószyński i S-ka

Copyright © Kinga Wójcik, 2020

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce
© Reilika Landen/[Arcangel Images](#)

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Joanna Habiera

Korekta
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8169-215-1

Warszawa 2020

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Rozdział I

1

Oksykodon.

Dwadzieścia miligramów.

Przez chwilę przyglądała się dwóm okrągłym kuleczkom w zagłębieniu swojej dłoni. Poruszyła barkiem i poczuła, jak przez ramię przetacza się tabun ostrych igiełek. Syknęła z bólu i popiła tabletki wodą z kranu.

Wczorajszą nieostrożność okupi bólem głowy i kacem, ale świadomość, że mogła skończyć znacznie gorzej, dołowała ją jeszcze bardziej. Leki opioidowe i alkohol stanowią fatalne połączenie, a ona wtoczyła wczoraj do swojego krwiobiegu iście wybuchową mieszankę, której ceną mogło być życie.

Wypłukała usta, by usunąć poalkoholową woń, oparła dłonie o umywalkę i spojrzała w zakurzone lustro. Przetarła taflę ręką, by ocenić swój stan. Rzadko piła alkohol, bo następnego dnia zawsze wyglądała koszmarnie. Ten poranek nie był wyjątkiem.

Proste włosy w kolorze orzecha włoskiego opadały bezładnie na ramiona, a niektóre pasma zbiły się w jedno, tworząc sztywne strąki. Grzywka na czole rozchyliła się na boki, odsłaniając piegi tuż przy górnej linii włosów. Intensywnie zielone źrenice otaczały cienkie, czerwone żyłki, a resztki tuszu do rzęs oprószyły zapuchnięte oczy. Według zapewnień producenta wodoodporna mascara powinna trzymać dwadzieścia cztery godziny, jednak makijaż nie poradził sobie z intensywną nocą. Kolejny dowód na oszustwo wobec naiwnych konsumentów, pomyślała i przejechała dłonią po suchej skórze. Czuła, jak pot zmieszany z alkoholem wydostaje się przez pory. Wyglądała, jakby przebiegło po niej stado rozjuszonych byków.

I tak się czuła. Każdy, nawet najmniejszy mięsień dawał o sobie znać. Rozprostowała kark i rozluźniła ramiona. Mięśnie pleców zapiekły, jakby odbyła wczoraj intensywny trening. Dwa lata temu zakochała się w kick-boxingu, ale dzisiaj dawne hobby wydawało się odległym wspomnieniem. Choć ciało nie było już tak sprawne i jędrne, udało się jej utrzymać sportową sylwetkę – na brzuchu nie było grama zbędnego tłuszczu, ale codzienne pochłanianie batoników sprawiło, że piersi się zaokrągliły. Nawet nie zauważyła, kiedy przestała prosić ekspedientki o najmniejszy rozmiar stanika w sklepie. Nigdy nie zostanie drugą

Pamelą Anderson, ale przynajmniej w wieku trzydziestu pięciu lat nie musi zaopatrywać się w dziale dla nastolatek.

Otworzyła drzwi i wyszła na ciasny korytarz. Kawalerka stanowiła jedno pomieszczenie, łączące sypialnię z aneksem kuchennym, i miała nie więcej niż dwadzieścia pięć metrów. Szafki z okleiną pamiętały dobre, gierkowskie czasy, a poźółkła mikrofalówka i turystyczna kuchenka na prąd były jedynymi sprzętami w niedużej wnęce.

Tekturowe pudła ustawione w rzędzie sprawiały wrażenie, jakby właściciel wprowadził się dopiero wczoraj. Pod ścianą leżał wysoki materac i kilka kartonów, obok których stał stół z Ikei i podręczna wkrętarka. Nowy lokator nie zdążył złożyć wszystkich krzeseł, a i dwa ukończone wyglądały niezbyt solidnie.

Wnętrze mieszkanie prezentowało się surowo i nieco odpychająco. Białe ściany, proszące się o odmalowanie; duże okna, typowe dla lokali w starych kamienicach, i wysokie na ponad trzy metry sufity.

Ściągnęła z krzesła czarną marynarkę i sprawdziła kieszenie, czy podczas nocnej zabawy przypadkiem czegoś nie zgubiła. Nie miała w zwyczaju nosić torebki, więc wszystkie potrzebne rzeczy upychała w kieszeni razem z telefonem, a kartę płatniczą wsuwała do etui policyjnej legitymacji.

Na szczęście wszystko było na swoim miejscu, zarzuciła więc marynarkę na ramiona, wsunęła stopy w buty i ostrożnie ominęła wyrwaną klepkę w podłodze, kierując się w stronę wyjścia. Mimowolnie się zatrzymała, by omieść pokój wzrokiem.

Mężczyzna spał na materacu, a jego szerokie, nieprzesadnie umięśnione plecy unosiły się w górę i w dół. Oddychał spokojnie, zapominając, że gości w swoim domu nieznaną kobietę. Z łatwością mogłaby go okraść. Albo zabić. Gdyby starannie zatarła ślady, nikt nie powiązałby jej z morderstwem. Na klatce starej kamienicy nie wisiała żadna kamera, więc namierzenie ewentualnego sprawcy wiązałoby się ze sporymi trudnościami.

Poznali się wczoraj w irlandzkim pubie, w klimacie amerykańskiego baru o zapachu beczkowego piwa. Przy akompaniamencie granej na żywo muzyki i przy talerzu ze średnio wysmażonym stekiem można było zasmakować tradycyjnego guinnessa, co stanowiło miłą odskocznię od wielkomiejskiego nadęcia i wysoko zadartych głów, patrzących znad muli we francuskim winie.

Kiedy popijała ulubiony gin z tonikiem, podszedł do niej pewien mężczyzna. Oceniała go na nieco ponad dwadzieścia pięć lat, ale biorąc pod uwagę, że sama zbliżała się do magicznej liczby z czwórką z przodu, chłopak jawił się bardziej jako niedojrzały młodzieniec aniżeli pełnokrwisty mężczyzna, w jakich

zazwyczaj gustowała. Jego zagubiony wzrok kazał sądzić, że szukał towarzystwa, niekoniecznie na jedną noc. Oboje jednak włąli w siebie wystarczająco dużo, by stracić kontrolę nad dalszym przebiegiem wydarzeń. Nie przypominała sobie, kiedy podjęli decyzję o zmianie lokalizacji na kawalerkę, ale wszystkie wcześniejsze obiekcje, łącznie z dzielącą ich różnicą wieku, ulotniły się w momencie, gdy zamknęli za sobą drzwi irlandzkiego pubu.

Seks był zaskakująco dobry. Wielokrotnie przekonała się, że technika u młodych zazwyczaj kuleje, ale widocznie wczorajszy egzemplarz posiadał wyjątkowy talent albo wybrał się na ekranizację *Sztuki kochania* Michaliny Wisłockiej i miał w tym względzie sporo do zaoferowania.

Przebłysk trzeźwości zakwitł nagle, kiedy przekroczyli próg mieszkania, jednak wyparował równie szybko, jak się pojawił. Liczące prawie siedemset tysięcy mieszkańców miasto nie było dziewięciomilionowym Londynem, ale i tak ryzyko kolejnego spotkania oscylowało wokół jednego procentu. Jeśli przyjdzie im się kiedyś spotkać, wybrnie z tej sytuacji tak jak zazwyczaj – uda, że nic nie pamięta.

Poza tym to ona była górą. Znała adres i personalia nocnej zdobyczy. Głupi dzieciak okazał się na tyle nierozsądny, że podał nie tylko prawdziwe imię i nazwisko, ale także opowiedział historię swojego niedługiego życia.

Po kilku latach mieszkania w Warszawie wrócił do rodzinnego miasta. Koledzy ze szkolnej ławy założyli rodziny lub rozjechali się do innych miejscowości, więc zwyczajnie szukał towarzystwa.

No cóż, pomyślała, niech szuka dalej. Żaden z niej materiał na przyjaciółkę. Funkcjonowanie w grupie zawsze przychodziło jej z trudem i nawet w podstawówce nie ufała nikomu na tyle, by nazywać go swoim przyjacielem. W tym aspekcie była zdecydowaną samotniczką, a jej introwertyczna natura kazała odcinać się od nierentownych relacji. Kontakty z drugą osobą opierały się na obopólnych korzyściach, a ona należała do osób, które zdecydowanie nie lubiły dzielić się swoimi przemyśleniami i uczuciami. Zresztą, kierowała się w życiu żelazną zasadą, której nigdy nie łamała – przelotne znajomości kończyły się rankiem, gdy zamykała za sobą drzwi cudzego mieszkania.

Kultura i zasady *savoir-vivre*'u nakazywały podziękować za miłą noc i możliwość noclegu, ale dobre wychowanie znajdowało się na ostatnim miejscu listy zasad obowiązujących po przelotnym seksie. Nie oglądając się za siebie, wyszła na zewnątrz.

Chłodne, marcowe powietrze rozwiało przetłuszczone włosy. Ściągnęła gumkę z nadgarstka i zebrała je w kok na czubku głowy, a następnie rozejrzała się wokół.

Ulica Piotrkowska właśnie budziła się do życia. Niegdyś główna arteria komunikacyjna miasta Łodzi, dzisiaj była swoistym centrum kultury i rozrywki. Ponadczterokilometrową promenadę zaliczano do najdłuższych alei handlowych w Europie. Dawniejszy łódzki bigiel, dziś pieśczośliwie nazywany Pietryną, stał się wizytówką miasta, wokół której wyrosły kolorowe puby, eleganckie restauracje i biznesowe kompleksy.

Przyklejone do siebie niczym syjamskie bliźniaki dziewiętnastowieczne kamienice otaczały deptak z obu stron, hipnotyzując przechodniów niekwestionowanym wdziękiem. Zdawały się żywe, jakby tłoczyły tlen, którym oddychali mieszkańcy. Wielkie, miejskie płuca z finezyjnymi ślimakami na murach przyciągały uwagę, jak gdyby próbowały za wszelką cenę udowodnić swoją wartość. Było w nich coś magicznego, co sprawiało, że albo ktoś zakocha się w tym mieście od pierwszego wejrzenia, albo je znienawidzi i nigdy więcej nie postawi stopy na łódzkich nizinach.

Ruszyła wzdłuż Piotrkowskiej i skierowała się w stronę pasażu Rubinsteina. Przeszła aleją Gwiazd, ominęła mosiężne figury wmurowane w chodnikowe płyty i poszukała wzrokiem taksówki. Zacisnęła usta, bo jak na złość nie wypatrzyła żadnego wolnego kierowcy. Zakłęła pod nosem i przystanęła w półkroku, zastanawiając się nad porannym spacerem do domu.

Właściciele kawiarni przygotowywali się do otworzenia lokali dla gości, a do sklepu obok podjechała dostawa świeżego pieczywa. Korpulentny kierowca wysunął tacę z podpieczonymi bochnami chleba i wniósł ją dostojnie, jakby wypieki stanowiły strawę dla samej królowej angielskiej. Kilkoro ludzi, ziewając, spacerowało z psami wzdłuż chodnika. Biały, kudłaty piesek, przypominający wyrosniętą świnkę morską, spojrzał w jej stronę i popędził przed siebie. Zatrzymał się dopiero, kiedy automatyczna smycz szarpnęła wąły korpus do tyłu. Kudłacz rzucił zaspanemu właścicielowi pełne wyrzutu spojrzenie i z nosem przy ziemi podreptał w stronę ulicznego kosza.

Przeszła przez jezdnię i dostrzegła w oddali starego mercedesa z napisem „Taxi”. Kierowca dusił silnik, dociskając pedał gazu, uchylił okno i spojrzał pytająco.

– Wolny pan? – zapytała.

Mężczyzna gestem zaprosił do środka.

– Dokąd jedziemy?

Odwrócił się, a jego długi kucyk srebrnych włosów przeciął powietrze, rozsiewając, i tak już mocno wyczuwalny, zapach samochodowego odświeżacza. Zielona beczułka huśtała się przy lusterku, uwalniając cukierkową woń.

– Na Tymienieckiego, do Scheiblera – powiedziała, przełykając ślinę. Przesadnie słodki bukiet poruszył w nozdrzach strunę, która sprawiła, że momentalnie ją zemdlilo. – Byle szybko – dodała.

– Proszę pani, gwarantuję, że szybko można robić wiele rzeczy, ale na pewno nie przebijać się przez poranne korki – odparł kierowca, pocierając drugi podbródek.

Wycofał samochód. Autem zabujało, a jej do gardła podeszła żółć, zostawiając w przełyku kwaśny posmak.

– Do pracy na pierwszą zmianę? – spytał.

– A która godzina?

– Po szóstej trzydzieści.

– To jeszcze nie skończyłam poprzedniej zmiany.

Kierowca cmoknął przeciągle, spoglądając w lusterko.

– A szef wie, że pani się urwała? – zapytał. – Pracuje pani w hotelu? Moja żona też jest pokojówką. Jak koleżanka przyjdzie wcześniej, to czasem uda się jej wyjść przed czasem.

Dlaczego akurat pokojówką? pomyślała, a taksówkarz jakby odczytał jej myśli.

– O tej porze często rozwozę pracownice hoteli, bo kończą nocne zmiany po szóstej. Chociaż pani na pokojówkę nie wygląda, bardziej na menedżerkę, ale jak to mówią – nie wolno oceniać książki po okładce, nieprawdaż?

Zerknęła na swoje luźne dżinsy i zaplamiony ginem biały podkoszulek. Ciekawe, odkąd menedżerki z samego rana śmierzdzą procentami?

– Dzisiaj w pogodzie zapowiadali deszcz – ciągnął kierowca. – A pani zobaczy, jakie słońce od rana!

Westchnęła z irytacją. Taksówkarzy łączyła jedna, specyficzna cecha – męczące gawędziarstwo. Jakby zabawianie pasażera rozmową wpisywano im jako główny punkt umowy o pracę, o który dbali ze szczególną pasją. Nie spotkała jeszcze kierowcy, który nie zagadywałby jej choćby na tematy aury. W momencie trzaśnięcia drzwiami każdy z nich rozpoczynał niezobowiązujący small talk, który przy poalkoholowym bólu głowy okazywał się nie do zniesienia.

Wjechali w aleję Piłsudskiego. W wysokich biurowcach dzień już dawno się zaczął. Ważniacy w garniturach wysiadali z czarnych audi i pospiesznym krokiem pokonywali ostatnie metry dzielące ich od korporacyjnego świata.

Duży SUV wyprzedził mercedesa, ale nie zdążył umknąć przed zmianą świateł. Taksówkarz zatrzymał się tuż za nim. Nieopodal, na mieniącym się kolorami tęczy centralnym przystanku przesiadkowym, tłoczyło się kilka osób. Starsza pani przebierała nogami, ściskając w rękach torbę na zakupy. Zapewne jechała na

rynek. Starsi ludzie z upodobaniem załatwiali sprawunki w porze największego ruchu, jak gdyby wszyscy naraz postanowili zapełniać i tak już zatłoczone tramwaje. Nastąpiła sprawna wymiana pasażerska. Z niskopodłogowego pojazdu wyskoczyła grupka podróżnych, a ich miejsce zajęli kolejni.

Taksówka ruszyła i po niespełna dziesięciu minutach skręciła w osiedle Księży Młyn. Samochód jechał powoli wybrukowaną kocimi łbami uliczką. Stare przedsiębiorstwa Karola Scheiblera zamajaczyły w oddali. Czas w tym miejscu się zatrzymał. Ceglaste mury nie zdawały sobie sprawy, że ciężkie maszyny do produkcji bawełny zastąpiono eleganckimi loftami.

Dawne robotnicze osiedle, założone w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, skrywało w sobie wiele tajemnic. Rodowici mieszkańcy Księżego Młyna mówili o nim: miasto w mieście. I rzeczywiście dawne budynki przemysłowe tworzyły wielki kompleks założony przez przedsiębiorcę niemieckiego pochodzenia – Karola Scheiblera. Na przełomie wieków słynny fabrykant, wiodący prym na bawełnianym rynku Królestwa Polskiego, otworzył pierwszą w pełni zmechanizowaną przedsiębiorstwo. Teren wokół fabryki się rozrastał, a dziś w miejsce dawnego imperium wyrosły drogie apartamenty.

Gdy człowiek przechadzał się pośród starych budynków, zdawało mu się, że zaraz usłyszy stukot końskich kopyt, że zza rogu wyjedzie wóz po brzegi wypełniony słomą, zza drzew wyłonią się kończący zmianę robotnicy i uchylą kaszkietu, kłaniając się każdej mijanej damie. Klimat ponadstuletnich budynków pozostał żywy nie tylko w pamięci mieszkańców. Wydawało się, że unosi się nad głowami łodzian i przypomina o świetnej przeszłości.

Przechodząc przez żelazną bramę, ukłoniła się roslemu ochroniarzowi. Odpowiedział skinieniem głowy, któremu towarzyszył szeroki uśmiech. Od incydentu z bronią emerytowany policjant traktował ją ze szczególnym szacunkiem. Kilka miesięcy temu zobaczył zwisającą przy spodniach kaburę ze służbowym glockiem i podjął brutalną próbę aresztowania potencjalnej przestępczyni. Legitymacja policyjna skutecznie pohamowała zapędy ochroniarza, który najpierw zmierzył się z umiejętnościami policjantki, nabytymi podczas treningów kick-boxingu.

Przystanąła i spojrzała w kierunku schodów, ale zniechęciła ją wizja wspinaczki. Skapitulowała, przywołała windę i jednocześnie definitywnie rozstała się z noworocznym postanowieniem o zwiększeniu aktywności fizycznej.

Pchnęła dwuskrzydłowe drzwi i weszła do mieszkania. Uśmiechnęła się w duchu. W porównaniu z lichą kawalerką wielki apartament uderzał

przepychem, ale pomimo tej okazałości nie czuła się tutaj jak w domu. Wręcz przeciwnie, czasem miała wrażenie, że jest tu jedynie gościem, który wpada na chwilę, w przelocie pomiędzy kolejnymi punktami w życiu.

Wzięła długi, gorący prysznic; nabalsamowała suchą skórę i spryskała się eleganckimi i drogimi perfumami. Gdyby była koneserką kosztownych przyjemności, pewnie zachwyciłaby się mocną, orientalną nutą. Nie przywiązywała jednak do tego wagi, ponieważ cel zabiegu był inny – musiała pozbyć się zapachu innego mężczyzny. Wysuszyła włosy, doprowadziła się do stanu względnej używalności, bo jak mawiała jej babcia – nieważne, jak kobieta się czuje, ważne, jak wygląda. Szybko stwierdziła, że podkład nie sprostął zadaniu. Cienie pod oczami przebijały przez beżowy fluid, a pomoc lekkiego pudru też okazała się daremna. Przyjrzała się sobie w lustrze i wzruszyła ramionami. Trudno. Ludzie, którzy zawsze wyglądają perfekcyjnie, nie istnieją. Oczywiście, oprócz modelek na rozkładówkach czasopism. One zawsze prezentują najwyższą formę.

Wyszła na korytarz i przeszła bosą po zimnej, marmurowej posadzce, starając się nie patrzeć na obrazy wiszące na ścianach. Dla niej były zwykłymi bohomazami, które ludzie szumnie nazywają sztuką. Trzy czarne plamy porzecinane czerwonymi kreskami, za które nie dałaby nawet złotówki.

Królewski styl, w jakim zostało urządzone mieszkanie, nagle wydał się jej odpychający. Nie przepadała za łączeniem klasyki z nowoczesnością, tyle tylko że jej zdanie straciło znaczenie, kiedy próg apartamentu przestąpił architekt wewnątrz. Ona urządziłaby pomieszczenia bardziej przytulnie. Dla niej liczył się nastrój tworzony przez odpowiednie oświetlenie i miłe drobiazgi, ale w tym wypadku główną rolę odgrywała cena i wystawność. Zgodziła się na przedstawione propozycje i nie marudziła, gdy firma meblarska wносиła tapicerowane fotele rodem z brytyjskich seriali o majątnych lordach. Przecież i tak była w domu tylko gościem.

– Dzień dobry, kochanie.

Spojrzała na męża. Siedział przy stole i sączył espresso z mikroskopijnej filiżanki. Przez te wszystkie wspólne lata wciąż zastanawiała się, jak można pić kawę z tak małego naczynia. Ona preferowała duże kubki, najlepiej wielkości porządnego wiadra, a to idiotyczne espresso wypiłaby jednym łykiem.

– Cześć.

– Znowu zostałeś w pracy na noc – powiedział, rysując palcem po tablecie. – Rozmawialiśmy na ten temat, a ty ciągle się przepracowujesz. – Zmarszczył czoło i zawiesił palec w powietrzu, przebiegając wzrokiem po tekście. Po kilku

sekundach poprawił splot jedwabnego krawata i zerknął na żonę. – Lena, mówię poważnie. Powinnaś się oszczędzać.

– Byłeś u fryzjera?

– Wczoraj, ale chyba coś źle przyciął – stwierdził, dotykając wygolonych boków. Na jego skroniach pojawiła się już pierwsza siwizna, ale nadal miał urokliwy błysk w oku. Kiedyś podsłuchiwała, jak pewna kobieta nazwała go szpakowatym mężczyzną, i uznała, że to określenie idealnie pasuje do jej męża.

– Mnie się podoba.

– Nie zmieniaj tematu, Lena. – Westchnął. – Odpuść, bo nie każda sprawa potrzebuje twojej osobistej interwencji.

– Krzysztof, proszę cię.

Uśmiechnął się. Żona była pracoholiczką i choć miał nadzieję, że sytuacja sprzed sześciu miesięcy zmieni jej nastawienie, ona wciąż harowała za troje. Musiał się z tym pogodzić.

– Czas na wiadomości? – spytał.

– Dawaj.

– Więc tak: premier przyznał nagrody swoim ministrom. Wzbudziło to wiele kontrowersji. – Zastanowił się. – Wiesz w ogóle, że mamy nowy rząd?

– Obiło mi się o uszy.

– No więc przyznał te nagrody. Dość wysokie, po kilkadziesiąt tysięcy.

– Nuda. Dalej.

– Zaważyła się kamienica w Poznaniu. Kilka ofiar śmiertelnych, prawdopodobnie wybuch gazu. Rozdali też Oscary, ale polski film niestety przepadł.

– Nie wiedziałam, że dostał nominację. Dalej.

– Polscy lekkoatleci zdobyli kilka medali na mistrzostwach.

– To dobra nowina – skwitowała, nalewając do kubka solidną porcję czarnej kawy. Spojrzała tęsknie w stronę lodówki, ale wciąż czuła posmak trawionego ginu, więc wołała nie ryzykować.

– Na dzisiaj to tyle – powiedział Krzysztof. – Nic więcej się nie wydarzyło.

– Co tak słabo?

Zamknął tablet w skórzanym etui, odłożył na blat i pociągnął łyk espresso.

– Wiem, że wołałabyś strzelaninę w Stanach albo krwawe jatki, ale na szczęście nie codziennie dochodzi do bestialskich morderstw.

Uśmiechnął się na wspomnienie poranka, kiedy czytał żonie relację ze strzelaniny w amerykańskiej szkole. Interesowały ją wyłącznie sprawy kryminalne. Do sportowych ani politycznych newsów nie przywiązywała wagi.

Przegląd informacji z kraju i ze świata stanowił ich mały rytuał. Krzysztof każdego ranka pełnił rolę prywatnego prezentera wiadomości. Oglądanie telewizji Lena uważała za stratę czasu, radia nie słuchała, nigdy nie widział jej z powieścią czy gazetą w ręku. Czasem zdawało mu się, że czytała wyłącznie akta prowadzonej aktualnie sprawy, ewentualnie wielotomowe pozycje naukowe.

– Podobno co pięć sekund na świecie umiera dziewięcioro ludzi – rzuciła. – Wyobrażasz to sobie?

– Skarbie, nie przy śniadaniu.

– Przecież nie jesz śniadania.

– Piję kawę.

– Sączysz – odparła, przewracając oczami.

Wsunął palec wskazujący w małe uszko ceramicznej filiżanki i upił łyk.

– Zbieram się do pracy – powiedział po chwili, odkładając filiżankę do zmywarki. Opłukał dłonie, wytarł w czystą ściereczkę, którą ponownie złożył w kostkę i umieścił na szczycie wieży ze śnieżnobiałych szmatek.

– Podrzuć mi? – zapytała.

– Nie wzięłaś samochodu?

Wzruszyła ramionami, przeszła na korytarz, wsunęła stopy w czarne trapery i owinęła szyję kraciatym szalikiem.

– Chyba nie piłaś? – spytał, a jego niebieskie tęczęwki zwęziły się nieufnie.

– Nie jestem idiotką.

– Dlaczego więc nie wróciłaś samochodem?

– Przyjechałam taksówką.

Nie była to odpowiedź na pytanie, ale na szczęście Krzysztofa zadowolilo zdawkowe wytłumaczenie.

– Wszystko w porządku?

– Tak, nie przejmuj się – odparła, patrząc mężowi prosto w oczy.

Objął ją ramieniem i delikatnie pocałował w czoło.

– Martwię się o ciebie, bo cię kocham.

Nie odpowiedziała.

2

Władysława Chmielna stała w kuchni. Dłonie wsparła o blat, a wzrok zawiesiła w przestrzeni za oknem. Powinnam coś zrobić. W końcu Klemens jest moim jedynym dzieckiem, pomyślała. Instykt matki podpowiadał, że wydarzyło się coś złego. Nie mogła tego tak zostawić.

Usłyszała kroki w korytarzu i szybko się wyprostowała. Mąż szurał kapciami po panelach, jakby unoszenie nóg sprawiało mu ból. Zdumiewające, że jeszcze niedawno jawił się jako krzepki mężczyzna w kwiecie wieku. Pamiętała jego dziarskie i sprężyste ruchy. Żadne wyzwanie nie stanowiło dla niego problemu, tymczasem dzisiaj był zwykłym starcem. Wprawdzie nie podpierał się groteskową laską, ale Władysława wiedziała, że to tylko kwestia czasu. Mąż z każdym dniem podupadał na zdrowiu.

Już dawno przestała zwracać uwagę na jego narzekanie. Po niemal czterdziestu latach małżeństwa człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego. Zresztą, jej ciało też powoli odmawiało posłuszeństwa. Kocia zwinność odeszła bezpowrotnie w przeszłość, wszystkie kości bolały dwa razy mocniej, a zwykłe wstanie z łóżka okazywało się sporym wyzwaniem.

Znowu spojrzała w okno. Przydałoby się przyciąć jabłonie, pomyślała. Gałęzie rozrastały się zbyt szybko i utworzyły splątaną sieć. Mąż nie przepadał za pracami ogrodowymi i najchętniej wyciąłby wszystkie rośliny, ale Władysława nie mogła na to pozwolić. Przydomowy ogródek to jedyne zajęcie, jakie jej pozostało. Nie chciała zmienić się w zrzędliwą staruszkę, dbała więc o utrzymanie dobrej formy fizycznej. Codzienne pielęgnowanie grządek postrzegała jako przyjemność i miłą odskocznię od łzawych telenowel. Postanowiła, że po południu sama wejdzie na drabinę i przytnie niesforne odrosty.

Szuranie przybrało na sile. Władysława wbiła na patelnię sześć jajek, doprawiła solą i szczyptą pieprzu, a następnie zamieszała drewnianą łopatką, by połączyć żółtko z białkiem. Dopiero po chwili zorientowała się, że pod naczyniem nie pali się płomień. Uruchomiła gaz, rozpałała ogień i ponownie przemieszała papkę.

– Jajecznicę dzisiaj? – spytał mąż, sadowiąc się przy stole.

Pomimo wczesnej pory stawił się w pełni przygotowany na nadchodzący dzień. Pachniał płynem po goleniu i perfumami, które Władysława kupiła mu na

urodziny. Siwy włos przyliżał na prawą stronę, zwilżywszy go lekko wodą.

– Jak zawsze – odpowiedziała beznamiętnie.

Od zawsze przygotowywała mu poranną jajecznicę. Mąż tylko taką formę śniadania uznawał za słuszną. Parę miesięcy temu lekarz zalecił ograniczenie smażonych potraw, ale przyzwyczajenie okazało się silniejsze. Próbowwała zmienić nawyki żywieniowe męża, ale trudno zrewolucjonizować wieloletnią tradycję.

– Wcześniej dzisiaj wstałaś – podjął, smarując kromkę wieloziarnistego chleba. Władysława uśmiechnęła się w duchu. Kwestię przerwania się na zdrowszą wersję pieczywa okupiła tygodniami walki – zamiłowanie do świeżych kajerek było równie silnie jak do jajecznicy, ale małżonek w końcu skapitulował.

– Nie mogłam spać.

– Dlaczego?

– Przecież wiesz – odparła, mieszając jajka. – Patelnia się popsuła. Strasznie przywiera.

– A podlałaś masłem?

Zamieszała jeszcze raz, zeskrobując z dna przyklejoną jajecznicę.

– Tak – skłamała.

– Trzeba kupić nową.

– Trzeba iść na policję – wypaliła, odwracając się do męża. – Wiem, co o tym myślisz, ale ja uważam, że tak trzeba.

– Władka, dajże spokój.

– Nasz syn zaginął, a ty mówisz, żebym dała sobie spokój?

– Nie zaginął – odparł twardo. – Prędzej czy później Klemens się znajdzie, a ty narobisz niepotrzebnej paniki. Nie wiesz, jak jest? Policja zaraz zacznie węszyć w naszym życiu, a po co to nam?

– Nie obchodzi mnie to. – Zdjęła patelnię z gazu, wyłożyła kopiec na talerz i podała mężowi.

– Ale mnie tak. Poczekajmy jeszcze kilka dni.

– Nie. Już podjęłam decyzję.

3

Komenda Miejska przy ulicy Sienkiewicza prezentowała się znacznie lepiej niż dwanaście lat temu, kiedy Lena rozpoczynała policyjną karierę. Nowoczesny budynek nie odstraszał już swoim wyglądem i wreszcie zasługiwał na swoją nazwę.

Przemknęła na piętro do gabinetu i zamknęła drzwi, by odciąć się od porannego zgiełku. Prawdziwa praca w policji znacznie odbiegała od stereotypów panujących w detektywistycznych serialach. W rzeczywistości większość policjantów zaczynała dzień od kubka kawy, snucia się po korytarzach, wypełniania stosu dokumentów lub pogawędkach z kolegami po fachu.

Usiadła przy biurku i potarła skronie. Ból głowy na kacu nadchodził powoli, ale kiedy już uderzał, robił to szybko i zniechęca. Łyknęła dwie pigułki paracetamolu. Każda po pięćset miligramów. Opadła na oparcie skórzanego fotela, przyglądając się swemu małemu królestwu.

Jej koledzy pracowali w łączonych pokojach, a ona – mimo sprzeciwów naczelnika wydziału – miała własny gabinet, który zawdzięczała wyjątkowym względom komendanta jednostki. Wnętrze urządziła wedle własnego uznania. Przynajmniej w pracy nie musiała przebywać wśród groteskowych mebli.

Niewygodne krzesło zastąpiła dużym, obrotowym fotelem; wymieniła biurko, które może nie było himalajami designu, ale biały blat prezentował się znacznie lepiej niż ciężkie biurko z przydziału. W rogu stanął stół, służący podczas odpraw, oraz regały z aktami i książkami, których nigdy nie przeczytała. Wyposażyła się również w tablicę prosto ze szwedzkiej sieciówki, która wraz z kompletem mazaków zawisała na ścianie nad stołem. Jedynym ożywiającym pomieszczenie elementem był kaktus, towarzyszący jej od początku pracy w policji. Kiedy go kupiła, wystawał ledwie pięć centymetrów ponad ziemię. Natomiast teraz prezentował dumnie długie igły, przepasane czerwoną wstążeczką. Choć przyznawała się do tego niechętnie, była przesądna.

Usłyszała ciche pukanie i zerknęła w kierunku drzwi.

– Lena? Można?

– Co cię do mnie sprowadza o tak wczesnej porze? – spytała urzędowym tonem.

Aspirant sztabowy Tymon Milewski nieśmiało wszedł do pokoju. Odchrząknął, splatając dłonie na lekko zaokrąglonym brzuchu. Odkąd siedem lat temu ożenił się ze swoją licealną miłością, jego wcześniejsza nienaganna sylwetka znacznie się zaokrągliła, a uśmiech zastąpiła poważna twarz zmęczonego ojca. Z dawnego Tymona zostało jedynie upodobanie do luźnych swetrów i gładko ogolone policzki. Blond czupryna też się przerzedziła.

– Mam prośbę – zaczął.

– Mów.

– Dzwonili interesanci. Nie bardzo zrozumiałem przez telefon, więc poprosiłem, by przyszli na komendę. Myślałem, że Paulina weźmie wolne w pracy, ale dostała jakiś ważny projekt i nie da rady się urwać. A Karolinka nam się rozchorowała i obiecałem, że podjadę z nią do pediatry. Potrzebuję godziny, góra półtorej.

– Jaki ważny projekt można mieć w urzędzie miasta? Zabrakło im stempelków czy co?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie muszę jechać z Karolinką do lekarza, a potem podrzucę ją do teściowej. Zajmie mi to dosłownie chwilę.

– No to jedź.

– Ale mam prośbę.

– Myślałam, że godzina poza miejscem pracy to jest wystarczająca prośba.

– Przyjmiesz tych ludzi? – zapytał.

Zmierzyła Tymona wzrokiem.

– Czego chcą?

– Mówili o zaginięciu syna – odparł. – Nie wiem dokładnie, bo coś trzeszczało w słuchawce. Wygodniej będzie porozmawiać u nas.

– Nie interesują mnie zaginięcia.

– Wiem, ale zrób wyjątek dla swojego ulubionego podwładnego. – Uśmiechnął się szelmowsko.

– Niepokoi mnie fakt, że twoje życie rodzinne zbyt głęboko wchodzi w sferę zawodową. Powiedziałabym wręcz, że wdziera się wszelkimi możliwymi otworami, co niespecjalnie mi się podoba.

– W przeciwieństwie do twojego moje małżeństwo istnieje nie tylko na papierze – odparł z udawaną powagą.

Kąciki jej ust drgnęły.

– Szczegół. – Machnęła ręką. – Dobra, niech przyjdą.

– Dzięki. Jesteś kochana.

– Jasna sprawa – mruknęła, przenosząc wzrok na kolejnego gościa.

– Dzień dobry, można?

– Oczywiście, panie komendancie – powiedział Tymon, wycofując się z gabinetu. – Ja już wychodzę.

– Czy ja o czymś nie wiem? – Lena prychnęła, unosząc dłonie w geście bezradności. – Odbywa się jakieś poranne tournée, a u mnie jest punkt przystankowy? Może powinnam zainwestować w drzwi obrotowe albo przyjmować na zapisy jak lekarze w NFZ? – Spojrzała na wychodzącego Tymona, potem przeniosła wzrok na komendanta. – Kawy? – zaproponowała z uśmiechem.

– Chętnie.

Pomieszczenie wypełnił zapach mielonych ziaren i cichy chrobot młynka. Ciśnieniowy ekspres był prezentem od Krzysztofa, który nie mógł znieść codziennego narzekania na rozpuszczalną neskę, jaką Lena serwowała mu każdego ranka. Ostatnia rocznica była jedyną, na którą dostała trafiony prezent.

– O co chodzi? – spytała, stawiając kubki na biurku. Obeszła je i usiadła naprzeciwko.

– Już wieszysz podstęp?

– Przeważnie to ja jestem zmuszona stawiać się u pana na poranne audiencje – odparła. – Więc tak. Wyczuwam podstęp.

– Masz rację – przyznał. – Słusznie okrzyknięto cię najlepszym śledczym w komendzie.

– Przeczuwam, że wieści, jakie pan przynosi, mogą mi się nie spodobać.

Wąskie usta komendanta wykrzywiły się w uśmiechu, naznaczając twarz kilkoma dodatkowymi zmarszczkami. Zdjął drucziane okulary, złożył je i schował w dłoń.

– Mam prośbę – powiedział.

– Już to dzisiaj słyszałam.

– Jak to?

– Nieważne – ucięła. – Proszę mówić, co to za prośba?

– Chciałbym, żebyś zajęła się moim synem.

Parsknęła.

– Skończył kurs dochodzeniowo-śledczy w Szczytnie – ciągnął komendant. – I przydzieliłem go do twojej grupy.

– Gratuluję zdolnego potomstwa, ale są dwa aspekty tej sprawy. Po pierwsze: powinien pan zawczasu poradzić juniorowi, żeby nie wciskał się w policyjny

mundur, bo odznaka czasem uwiera. A po drugie: nie wiedziałam, że ma pan syna.

– Nigdy nie pytałaś.

To prawda, nie obchodziły jej prywatne sprawy komendanta. Lena uświadomiła sobie, że jej wiedza dotycząca osobistego życia ograniczała się do kilku policjantów, z którymi współpracowała.

– No i co z tym synem? – spytała po chwili.

– Będzie z tobą pracował.

– Wykluczone – zaoponowała. – Może trafić do mojej grupy, ale nie zamierzam go niańczyć.

– Chcę, żebyś go czegoś nauczyła.

– To kiepski pomysł.

– Chciałbym, żeby został dobrym gliną. A tylko przy tobie ma taką szansę.

– Odpada.

– Lena.

– Szefie, ja nie jestem wzorem do naśladowania dla młodych adeptów policji. Powinien pan to wiedzieć.

Komendant nie odpowiedział. Uniósł powoli kubek z kawą i upił kilka łyków. Wystające jabłko Adama poruszało się rytmicznie, jakby gorący napar wcale nie parzył go w przełyk.

– Nie mam nic do gadania, prawda? – podjęła Lena.

– Nie chciałem używać niewygodnych argumentów.

– Ale?

– Pamiętaj, dzięki komu masz to biuro...

– Gabinet – sprostowała. – W biurze pracują panie w urzędzie miejskim. To jest gabinet.

– Gabinet – powtórzył, pocierając łysy placek na środku głowy. – I dzięki komu sprawa sprzed sześciu miesięcy skończyła się dla ciebie bez przykrych konsekwencji.

Komendant pomógł jej, gdy tego potrzebowała, ale nie spodziewała się, że wykorzysta to przeciwko niej. Skrzywiła się, napiła kawy i opadła na oparcie krzesła.

– A skoro już o tym rozmawiamy, nie powinnaś przerywać wizyt u Beaty – dodał.

– Nie potrzebuję psychologa.

– Idź do niej. Wiesz, że chcę dla ciebie dobrze. – Wziął głęboki oddech i nałożył okulary. – W każdym razie mój syn nie jest takim młodzikiem. Ma za

sobą parę lat służby w stolicy...

– Nie porównywałam wypisywania mandatów za złe parkowanie do pracy w Wydziale Kryminalnym.

– Nauczysz go wszystkiego. Żadnej taryfy ulgowej, Lena. Zapomnij, że jest moim synem. Po prostu pracuj z nim tak, jakbyś pracowała ze swoim partnerem.

– Partnerem? – Uniosła brwi. Wizja pracy z dzieciakiem przełożonego nie brzmiała zachęcająco.

– Będziecie pracować we dwoje – rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Świetnie. – Zabębniła palcami o blat. – Świetnie. Zapowiada się ciekawy okres w mojej karierze.

– Trzymam kciuki. – Komendant wstał i skierował się do wyjścia. Zatrzymał się, zawieszając dłoń nad klamką. – Pójdiesz do Beaty?

– Jak znajdę trochę wolnego czasu, co w moim przypadku będzie dość trudne. Ale gdybym chciała sobie gdzieś poleżeć, wyskoczę na Barbados. Leżaki nad Atlantykiem są wygodniejsze niż twarda kozetka. Wiem, co mówię, bo testowałam parę razy. Obie opcje.

Komendant zaczerpnął powietrza. Chciał dodać coś jeszcze, ale rozległo się pukanie. Uchylił drzwi.

– Dzień dobry. – Do pokoju zajrzała starsza kobieta. Zaciskała dłonie na niewielkiej torebce w azteckie wzory. – Byliśmy umówieni. Jakaś pani nas tu skierowała.

– Proszę – powiedziała Lena, wrzucając snickersa z powrotem do szuflady. Organizm dopominał się śniadania i zaczynało burczeć jej w brzuchu. – Państwo siądą. – Wskazała na krzesła naprzeciwko i skinęła głową wychodzącemu komendantowi.

Starsi państwo stali w bezruchu. Po chwili mężczyzna zrobił krok do przodu, krótko i energicznie, jakby wystąpił przed szereg na rozkaz przełożonego.

– Rozmawialiśmy z policjantem Milewskim – powiedział.

– Aspirant Milewski musiał wyjść w ważnej sprawie – wyjaśniła Lena, przyglądając się parze. Mężczyzna zmrużył oczy, nawet nie próbując ukryć niezadowolenia z zaistniałej sytuacji. Lena знаła to pogardliwe spojrzenie. Wielokrotnie zderzała się z opiniami, że mundur przeznaczony jest wyłącznie dla mężczyzn, a kobieta w policji to utrapienie dla prawdziwych policjantów. Czasami była skłonna się z tym zgodzić, ale dzisiejszy dzień nie należał do tych wyjątków. – Ale gwarantuję, że zdałam ciężki egzamin policyjny, oglądam *Kryminalnych* albo *W11*, a wieczorami zaczytuję się w Kodeksie karnym, więc

mam jakieś mgliste pojęcie w kwestii łapania przestępców, a zajmowanego stanowiska nie wygrałam w zdrańce.

– Wolelibyśmy rozmawiać z mężczyzną – odparł twardo.

– Dobrze, usiądźmy... – zaczęła kobieta, ale mąż szybko uciszył ją ruchem dłoni.

Wciąż patrzyli na Lenę z góry, odmawiając zajęcia miejsc, jakby za wszelką cenę chcieli zmanifestować swoją wyższość. Nie spodobało się jej to.

– Słyszał pan o równouprawnieniu? – zapytała. – Zadziwiające, że Polska jako jedno z pierwszych państw wprowadziła prawo wyborcze dla kobiet, a wciąż znajdują się ludzie dyskryminujący płęć przeciwną. Daleko mi do walczących feministek, ale jestem idealnym przykładem na to, że kobieta może być znacznie lepszym gliną niż dżentelmeni znajdujący się w tym budynku.

Stary człowiek spojrział na nią zaskoczony i potarł jedną dłoń o drugą.

– Wolałbym rozmawiać z mężczyzną – powtórzył głośno, akcentując każde słowo.

Lena z westchnieniem przymknęła oczy.

– Proszę pana – zaczęła. – Komenda to jest nie amfiteatr, a nasza rozmowa to nie koncert życzeń. Nie ma mojego kolegi. Jestem ja, ale jeżeli nie odpowiada państwu taki stan rzeczy, to dziękuję za miłą pogawędkę. Do widzenia.

– Słucham? Jesteśmy obywatelami tego kraju, płacimy podatki i mamy prawo żądać...

– Jasne – przerwała mu. – Słyszę to codziennie, więc darujmy sobie pogaduszki o podatkach. Daję państwu ostatnią szansę na wyjaśnienie, z czym przyszłicie. Macie przed sobą najlepszego śledczego w tej komendzie, jeżeli nie w województwie. Cytuję komendanta. Przed chwilą wyszedł, więc może dogonicie go na korytarzu.

– Słucham?

– Będziemy rozmawiać na stojąco?

Kobieta mocniej ścisnęła torebkę. Spodziewała się wyrozumiałego stróża prawa. Ta butna policjantka nie wzbudzała zaufania, ale nie powinni odpuszczać tak łatwo. W końcu chodziło o ich dziecko. Usiadła na krześle, mimo potępiającego spojrzenia męża. Zagarnęła kosmyk siwych włosów za ucho i uśmiechnęła się przepaszająco. Mężczyzna z zaciśniętymi ustami gniewnie przestąpił z nogi na nogę, ale po namyśle zajął miejsce obok żony.

– Chcielibyśmy zgłosić zaginięcie – podjęła starsza pani.

– Zacznijmy od początku. Jak się państwo nazywacie?

– Władysława Chmielna, a to mój mąż Klemens.

Klemens Chmielny kiwnął głową, poprawiając się na krześle. Nienaturalnie wyprostowane plecy, wypięta pierś i wysoko uniesiony podbródek – prawdopodobnie emerytowany żołnierz, pomyślała. To tłumaczyłoby niechętny stosunek do kobiet piastujących męskie zawody.

– Komisarz Lena Rudnicka – poinformowała. – Czyje zaginięcie chcą państwo zgłosić?

– Nasz syn Klemens nie wrócił do domu...

– Syn ma na imię Klemens?

– Tak.

– Chyba należy pan do nielicznych osób, które lubią własne imię, prawda? – spytała Klemensa seniora, ale ten nie odpowiedział.

– Więc nasz syn zaginął – ciągnęła Władysława. – Wyszedł z domu i nie wrócił...

– Jak większość zaginionych.

– Coś mogło mu się stać. Nigdy nie znikał bez powodu.

– Nie znikał bez powodu? – podjęła Rudnicka. – Czyli zdarzało mu się znikać?

– Nie! – zaoponowała kobieta. – Nigdy!

– To dość obszerne pojęcie – stwierdziła Lena. – Ja nigdy nie byłam na Sri Lance, co nie oznacza, że nie mogę tam polecieć choćby jutro.

– Ale...

– Czy zdarzały się wcześniej sytuacje, kiedy syn wyjeżdżał gdzieś na kilka dni, nie informując wcześniej o podróży?

– Nie.

– Ale powiedziała pani, że nie znikał bez powodu.

– Przejęzyczenie – odparła kobieta, przesuwając torebkę bliżej ciała. Na zewnętrznej stronie dłoni pojawiły się wystające żyły.

– Kiedy ostatni raz widzieliście syna?

– W poniedziałek rano Klemens zawiózł mnie do lekarza.

– O której?

– Około dziewiątej.

– Ostatni raz widziała pani syna w poniedziałek o dziewiątej?

– Tak.

– Czy potem kontaktowaliście się? Rozmawialiście przez telefon?

– Nie. Od tamtej pory nie rozmawiałam z synem.

– Czy Klemens mieszka z państwem?

– Nie, ze swoją żoną.

– Dlaczego jej tu nie ma? – spytała komisarz. – Czemu ona nie zgłasza zaginięcia?

– Dorota chciała przyjść, ale powiedziałam, że my to załatwimy. Nie chciałam, żeby się denerwowała.

– Samotne oczekiwanie w czterech ścianach raczej nie ukozi nerwów zaniepokojonej żony.

Klemens senior odchrząknął głośno. Lena spostrzegła, że na jego palcu brakuje obrączki.

– Gdzie ostatni raz był widziany syn?

– W domu – odparła Władysława. – To znaczy w hotelu. Syn prowadzi z żoną hotel. Mieszkają w apartamencie małżeńskim na ostatnim piętrze. Wie pani, bliżej do pracy i tak dalej. Klemens jest księgowym, zajmuje się finansami hotelu. W poniedziałek wyszedł z domu do sklepu i już nie wrócił.

– O której wybrał się do sklepu?

– O osiemnastej.

– Czyli minęły dwie doby, odkąd widział go ktoś po raz ostatni?

– Tak.

– Gdzie może przebywać syn?

– Nie wiem. Syn to odpowiedzialny człowiek i gdyby postanowił wyjechać, z pewnością skontaktowałby się z nami albo z żoną. Takie zachowanie nie pasuje do niego.

– Po co poszedł do sklepu?

– Czy to ważne? – warknął senior.

Zmarszczył czoło, pokrywając je kilkoma poziomymi bruzdami. Przypominał indora gotowego w każdej chwili nastroszyć pióra i rzucić się do ataku.

Rudnicka przeniosła wzrok na mężczyznę i uśmiechnęła się uspokajająco.

– To się okaże – powiedziała.

– Dorotka mówiła, że Klemens poszedł po wodę – szybko wyjaśniła Władysława.

– Dobrze. – Lena powoli pokiwała głową, po czym splótła dłonie na blacie. – Proszę mi coś opowiedzieć o małżeństwie syna.

Chmielna podrapała się w skroń i wzięła głęboki oddech.

– To zgodne małżeństwo – oznajmiła sztywno. – Mieszkają i pracują razem. Bardzo się kochają. Klemens przychyliłby nieba Dorotce. Naprawdę nie wiem, co się mogło stać...

– Może syn pokłócił się z żoną i postanowił wziąć parę dni urlopu?

– To niemożliwe! Oni nigdy się nie kłócili, a poza tym Dorotka powiedziała by nam o takiej sytuacji. Przecież wie, że odchodzimy od zmysłów.

Rudnicka zerknęła na Klemensa seniora. Nie wyglądał na specjalnie zestresowanego.

– Perfekcyjne małżeństwa nie istnieją – stwierdziła.

– Mój Klemens to spokojny i wyrozumiały człowiek. Zawsze powtarzał, że wszystko można rozwiązać rozmową, więc jeśli pojawiały się jakieś sporne kwestie, rozstrzygali je właśnie w ten sposób.

– A co sądzi pani o synowej?

– To dobra kobieta – odparła Władysława, wpatrując się w torebkę na kolanach.

– Lubi ją pani?

– Słucham? – Uniosła brwi. – A jakie to ma znaczenie?

– Po prostu pytam – odparła Rudnicka. – Czy żony nie zaniepokoił fakt, że jej mąż nie pojawia się w domu drugi dzień?

– Była zdenerwowana! – zawołała Władysława. – Zadzwoiła do nas, a potem skontaktowała się ze znajomymi, ale żaden nie widział Klemensa i nie wiedział, gdzie mógłby być. To niemożliwe, przecież człowiek nie rozplywa się w powietrzu. – Otarła łzę, która samotnie płynęła po policzku.

Gdyby żona Klemensa faktycznie szalała z niepokoju, nie czekałaby ze zgłoszeniem zaginięcia dwie doby i przyszłaby na komendę razem z Chmielnymi. Rudnicka pracowała przy kilku zaginięciach i przy każdej z tych spraw jako pierwszy na komisariacie zjawiał się spanikowany małżonek. Swoje przemyślenia zachowała jednak dla siebie.

– Skoro żona to ostatnia osoba, która miała kontakt z Klemensem, chciałabym z nią porozmawiać – oznajmiła. – Potrzebuję również aktualnego zdjęcia syna.

Władysława otworzyła torebkę i wyciągnęła dwie fotografie. Przesunęła je na biurku w stronę komisarza. Rudnicka przyjrzała się mężczyźnie. Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Przedwcześnie łysiejące czoło, ogolone na gładko policzki, pospolita twarz.

– Odnajdzie go pani? – z nadzieją spytała Chmielna.

Zaginięcia nie były specjalnością Leny. Poza tym sprawa pierwotnie trafiła do aspiranta sztabowego Milewskiego. Rudnicka jednak w zniknięciu Klemensa Chmielnego wyczuwała drugie dno. Coś tu nie pasowało, a ze zbieraniem i dopasowywaniem brakujących elementów Lena radziła sobie nadzwyczaj dobrze.

– Nie zajmuję się zaginięciami – odparła bez przekonania.

Władysława siedziała skoncentrowana, a napięcie na pomarszczonej twarzy rosło z każdą sekundą.

– Więc dlaczego pani z nami rozmawia? – syknął Klemens senior. – Mamy powtarzać wszystko od początku innemu policjantowi? To jakieś żarty?

– Mogę zatrzymać to zdjęcie?

– Oczywiście – szybko zapewniła Władysława.

Lena przyjrzała się fotografii. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, by wzięła tę sprawę. Była szefem grupy Wydziału Kryminalnego i to ona podejmowała decyzje. Ewentualnie włączy Milewskiego w poszukiwania, żeby nie czuł się pominięty.

– Dobrze – stwierdziła po chwili. – Postaram się znaleźć waszego syna, ale potrzebuję więcej informacji.

– Powiem wszystko, co tylko pani zechce.

4

Rudnicka kończyła drugą kawę i wpatrywała się w dokumenty leżące na biurku. Powinna skończyć raport dla naczelnika Ostrowskiego, ale dzisiaj wyjątkowo nie mogła się skupić. Litery zlewały się w jedno i nie składały się w żadne słowo. Minęło zaledwie kilkanaście minut, ale miała wrażenie, że siedzi nad dokumentami całą wieczność.

Grzegorz Ostrowski był niebywałym służbistą, uwielbiał wypełnianie tabel w Excelu i przeglądanie policyjnych statystyk. Zazdrość o pozycję, jaką Lena zajmowała w komendzie, przejawiała się w skrupulatnym czytaniu każdego dokumentu, który mu dostarczyła. Z lubością czepiał się szczegółów, a Lena z podobną uciechą wytykała mu fakt, że gdyby przyjęła propozycję objęcia funkcji naczelnika, jemu ten zaszczyt przeszedłby koło nosa. Ich stosunki nie należały do najlepszych, a sześć miesięcy temu pogorszyły się jeszcze bardziej. Gdyby nie interwencja komendanta, Ostrowski zawiesiłby Lenę w obowiązkach służbowych, a najchętniej pozbyłby się jej z komendy raz na zawsze.

Popatrzyła na raport, odsunęła kartki na bok i szybko wstała. Gwałtowny ruch sprawił, że w głowie znów pojawił się dziwny szum. Połknęła trzeci paracetamol. Pięćset miligramów.

Gdy zakręcała butelkę z wodą, rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – rzuciła z nadzieją, że recepcjonistka nie skierowała do niej kolejnego zbłąkanego interesanta, z którym będzie musiała użerać się przez następne pół godziny.

– Dzień dobry, szukam komisarz Magdaleny Rudnickiej. Dobrze trafiłem?

Lena odwróciła się powoli. Od razu rozpoznała ten głos. W irlandzkim pubie był przytłumiony przez rozmowy innych gości, ale w małej kawalerce, mimo alkoholowego zamroczenia, słyszała go dość wyraźnie.

Mężczyzna zamarł, a szeroki uśmiech na jego twarzy szybko zgasł. Zdawało mu się, że to głupi żart. Psikus losu albo dowcip nowych kolegów, ale spojrzenie, które przygwoździło go do podłogi, kazało sądzić, że za chwilę zmierzy się z przykrą rzeczywistością.

– Ty jesteś Magdalena Rudnicka? – spytał i zimny pot spłynął mu po plecach, choć w pomieszczeniu panowała neutralna temperatura.

Lena uniosła brwi i z trudem opanowała nerwowy chichot. Talent do pakowania się w absurdalne sytuacje miała we krwi, ale ten zbieg okoliczności przekraczał wszelkie wyobrażenie. Reżyser kiepskich komedii nie wymyśliłby tego lepiej.

– Sierżant sztabowy Marcel Wolski – powiedział i nieśmiało wyciągnął do niej dłoń.

– Wiem.

Konsekwencje wczorajszych decyzji powoli do niej docierały. Męczący od rana kac najwyraźniej wyłączył zdolność logicznego myślenia. Powinna skojarzyć nazwisko komendanta z przypadkowym mężczyzną, z którym spędziła wczorajszą noc.

– Mówiłaś, że masz na imię Patrycja – stwierdził i opuścił rękę, rozglądając się po pokoju. Powietrze było ciężkie, jakby dawno nie otwierano tu okna. – Zostałem przydzielony do twojego zespołu – dodał ściszym głosem.

– Nie zostałeś przydzielony do mojego zespołu – odparła, mrużąc oczy.

Marcel mimowolnie się wyprostował.

– Słucham?

– Twój tatuś wepchnął mi ciebie na siłę – odparowała, wymierzając w niego palec. – Gdybyś został przydzielony do mojego zespołu, oznaczałoby, że jesteś dobrym gliną i nadajesz się na śledczego. Praca w tej grupie to nie zabawa w piaskownicy, ale w twoim przypadku oznacza to tylko tyle, że masz dobre plecy w postaci ojca komendanta.

– Ale ja...

– Co ty?

Słowa komisarz uderzyły w najczulszy punkt. Marcel od kilku dni głowił się nad reakcją nowych kolegów na wiadomość, że jego ojciec jest komendantem, ale nie spodziewał się bezpośredniego ataku.

Podczas kilkuletniej służby w stolicy traktowano go na równi z innymi policjantami. W Warszawie nikt nie wiedział, kim jest jego ojciec, ale podejrzewał, że w Łodzi mogło się to zmienić. Praca pod okiem własnego rodzica wiązała się z bezlitosnymi komentarzami, ale miał nadzieję, że współpracownicy podejną do sprawy profesjonalnie. Przeszedł takie same testy jak wszyscy, a ojciec nie kiwnął palcem, by mu pomóc. Przez pewien czas nawet odradzał synowi pracę w policji, Marcel jednak nie brał pod uwagę innego scenariusza niż wstąpienie do służby.

Tymczasem teraz ojciec komendant stawał się problemem. Kolejną komplikacją był fakt, że Marcel spędził noc z nową przełożoną, przeczuwał, że słono za to zapłaci.

Ojciec wiele opowiadał o Magdalenie Rudnickiej. Przy okazji rodzinnych spotkań Marcel z zapartym tchem słuchał o słynnej komisarz, która potrafi rozwiązać niemal każdą sprawę. Podziwiał tę kobietę i chciał jej dorównać.

– Gdybym wiedział... – zaczął.

– No, no – ponagliła Rudnicka. – Gdybyś wiedział, to co?

– To...

– To nie postawiłbyś mi drinka, nie zaciągnął do swojego mieszkania i nie przeleciał?

Marcel przełknął ślinę. Każda odpowiedź, jaka przychodziła mu go głowy, zdawała się nietrafiona.

Lena zaśmiała się, krzyżując ramiona na piersi.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparł półgłosem. – To nieco dziwna sytuacja.

– Dziwna?

– Nie codziennie zaczyna się relacje z przełożonym od wspólnej nocy...

– Och, faktycznie! Dość niepospolita współzależność!

– Spędziliśmy miłą noc, a dzisiaj okazuje się, że...

– Miłą noc?

– Było sympatycznie – rzekł nieco zmieszany.

– Prezentuję zgoła odmienny pogląd – oświadczyła, przyglądając się Marcelowi.

Przypominał spłoszone zwierzę – uciekał wzrokiem i nerwowo pocierał zarost na policzkach, przestępował przy tym z nogi na nogę. Wczoraj zdawał się trochę niższy, oceniła. Zmierzwione, ciemne włosy nabrały gładkości, a niewiarygodnie długie rzęsy wyglądały jak pociągnięte czarną mascarą. W jego smukłej sylwetce piłkarza i twarzy chłopaka z sąsiedztwa odnajdywała pewien urok.

– To dzisiejsza refleksja? – spytał. – O ile mnie pamięć nie myli, wczoraj wyglądałaś na zadowoloną.

Atmosfera zgęstniała, a słowa zawisły w powietrzu niczym mgła. Marcel rozchylił usta, chcąc powiedzieć coś, co zmieniłoby wydźwięk niefortunnej wypowiedzi, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Przełknął tylko ślinę.

– Jeżeli seks jest dobry, powinno się pamiętać go długo, tymczasem ja zdążyłam zapomnieć, że w ogóle się wydarzył.

Wolski poczuł, że wilgotna koszulka przykleiła się do pleców.

– Posłuchaj, Magda... – zaczął. – Magda, tak? Nie Patrycja?

– Jeszcze raz nazwij mnie Magdą albo Magdaleną, a obiecuję, że sam minister spraw wewnętrznych ci nie pomoże.

– Przepraszam – wymamrotał i odwrócił głowę. – To jak mam się do ciebie zwracać?

– Lena, macie zgłoszenie – oznajmił umundurowany policjant, zaglądając do gabinetu.

– Jakie zgłoszenie?

– Znaleziono zwłoki w parku przy Śmigłego-Rydza.

– Wreszcie! – zawołała, unosząc dłonie ku górze. Zgarnęła marynarkę z oparcia, minęła Marcela i ruszyła korytarzem. Kiedy zniknęła na schodach, Wolski szybko zbiegł za nią.

Świeżo wypolerowany, czarny lakier kilkuletniego jaguara x-type lśnił w słońcu, jakby dopiero wyjechał z salonu. Rudnicka otworzyła drzwi auta.

– To twoje? – spytał Wolski, dotykając maski.

– Łapy przy sobie – warknęła. – Po coś się tu przywłókł?

– Mam być twoim partnerem – wyjaśnił. – To służbowe auto?

– Nie – odburknęła.

– Jeździsz prywatnym samochodem?

– Tak się wybierasz? – Zlustrowała go wzrokiem.

– Jak?

– W tym stroju?

Marcel spojrzał na czubki białych adidasów. Ściągacze czarnych joggerów ciasno opinały kostki. Rozchylił poły kurtki typu bomber. Gdy rano kompletował strój, biały podkoszulek wydawał się idealny do tego zestawu. Dobre pierwsze wrażenie to podstawa w nowej pracy. Tak myślał godzinę temu, jednak teraz czuł się jak niezbyt lotny modowy blogger.

– Wyglądasz, jakbyś wybierał się na koncert Justina Biebera, a nie na miejsce zbrodni. To jakaś nowa moda wśród licealistów?

– Powinienem się przebrać?

– Gdzie masz broń?

Marcel wyjął zza paska służbowego glocka.

– A kabura?

– Nie wziąłem.

– To weź.

– Teraz?

– Jeśli nie wyrobisz się w ciągu pięciu minut, jadę sama.

Twarz Marcela stężała, ale kiwnął głową i potruchtał z powrotem na komendę. Rudnicka zaklęła, siadając za kierownicą. Że też akurat jej musieli przydzielić żółtodzioba, na dodatek synalka komendanta. Praca z niedoświadczonym gliną to

jedno, ale Lena nie przywykła do partnerowania i żywiła nadzieję, że komendant w porę się zmięgnie i zrezygnuje z podtykania jej rozpieszczonego bachora. Wystarczyło kilkanaście minut, a pożałowała wczorajszych porywów. Może Wolski był całkiem przystojny, ale nie potrafiła zrozumieć, czym się kierowała, idąc do łóżka z młodszym prawie dziesięć lat facetem. Postanowiła, że przemęczy się parę dni i poprosi szefa, by przydzielił synkowi innego partnera.

Jechali w milczeniu. Dwulitrowy diesel mrucał, pokonując kolejne kilometry. Marcel mocował się z pasem na broń, ale kiedy dłonie dygoczą jak na piętnastostopniowym mrozie, zapięcie zwykłego paska okazuje się rzeczą nad wyraz skomplikowaną.

Gdy wreszcie udało się wsunąć pistolet, odetchnął cicho, opierając głowę na zagłówku.

- W stolicy strzelałem z P99 – odezwał się.
- Chyba do tarczy.
- Ale glock zdaje się lepiej leżeć w dłoni.
- Z P99 strzelał sam James Bond, więc szansa, abyś poczuł się wyjątkowo, minęła bezpowrotnie.

Marcel odchrząknął, wyglądając przez okno. Szukał w głowie tematu, który zastąpiłby ciszę w samochodzie. Komisarz nie włączyła radia, a milczenie stawało się coraz bardziej krępujące.

- Dlaczego nie jeździsz służbowym autem? – zapytał.
- Niedawno dostaliśmy nowe ople i bmw – odparła. – Kucharski zabrał czarne, a te srebrne ople... po prostu są srebrne.

Jaguar przemknął na czerwonym świetle, co wywołało głośne oburzenie nadjeżdżających kierowców. Rudnicka ominęła samochody i zjechała na pas zieleni. Dłoń Marcela zacisnęła się na rączce przy suficie.

- Nie wzięłaś służbowego samochodu ze względu na kolor?
- Ze względu na markę. Przecież powiedziałam, że zostały ople.
- Co złego jest w oplach?
- Jeszcze pytasz?
- Są...
- Są pozbawione charakteru – przerwała. – Mam paradować w czymś takim po mieście? Dziękuję, wolę tramwajem. Wciąż dziwię się, że ktoś to produkuje. Widziałeś, jak te samochody wyglądają? Wersja coupé, dobre sobie! Usiądź za kierownicą, a poczujesz się jak w elce podczas egzaminu na prawo jazdy. Insignia trochę nadrabia, ale na widok tego plastikowego środka aż mnie cofa.

Wolski omiół wzrokiem wnętrze jaguara. Musiał przyznać, że drewniane wykończenia robiły wrażenie.

Rudnicka stanęła na poboczu, zaciągnęła hamulec ręczny i wyskoczyła na zewnątrz. W powietrzu niósł się zapach nadchodzącej wiosny. Kwitły pierwsze kwiaty, a ciepły wiatr kołysał zazielenionymi listkami. Marcel szedł przodem. Poruszał się energicznie, jakby wczoraj nie wypił ani kropelki alkoholu. Lena pozazdrościła mu młodzieńczego wigoru, bo ona z każdym krokiem czuła, jak ciąży jej ciało. Pulsujący ból w skroniach nie poprawiał sytuacji.

Miejsce znalezienia zwłok odgrodzono policyjną taśmą. Kilku ciekawskich przechodniów przystanęło, by się pogapić. Nie codziennie w parku znajdowane są zwłoki, więc tłumek gęstniał, wyciągając szyje, aby dojrzeć choć skrawek tego, co znajdowało się za policyjnym parawanem. Młody mundurowy uprzejmie odsunął najśmielszą staruszkę na stosowną odległość. Obrzuciła Lenę zazdrosnym spojrzeniem, gdy ta minęła policyjne taśmy.

– A ty już na miejscu? – spytała Rudnicka.

Technik kryminalistyki Luiza Krajewska spięła rude włosy w gruby kok na czubku głowy.

– Byłam akurat w drodze do pracy, kiedy zadzwonili – wyjaśniła. – Pomyślałam, że od razu podjadę. Mundurowi zabezpieczyli miejsce, zaraz ma przyjechać prokurator i lekarz. – Przeniosła wzrok na Marcela, opierając ręce na zaokrąglonych biodrach.

– Ach, no tak – bąknęła Lena. – Poznajcie się. To jest Liz, nasz technik. A to mój ogon.

– Wolski.

– Luiza Krajewska, dla przyjaciół Liz. – Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie, ściskając sierżantowi dłoń. – Okej, może zaczniemy? Mam dzisiaj kupę roboty...

– Czekał. – Rudnicka wystawiła otwartą dłoń. – Niech nowy się wykaże. No proszę, powiedz, co widzisz.

Wolski rozprostował plecy i zajrzał nieśmiało za parawan. Nikt nie może przyzwyczać się do widoku martwego ciała i chociaż Marcel już widział w swoim życiu kilka trupów, zawsze reagował tak samo. Podmuch wiatru sprawił, że cofnął się o krok. Dłonie oparł na kolanach, zgarniając pogardliwe spojrzenie szefowej. Przymknął oczy.

– Nie mów, że będziesz rzygać.

Odetchnął głęboko. Czuł, jak w gardle narasta coś, co prawdopodobnie za chwilę wyląduje na trawniku. Odchrząknął, zakrywając usta. Wyprostował się i spojrział na zwłoki.

– Mężczyzna, wiek od trzydziestu do czterdziestu lat – powiedział zachrypniętym głosem. – Śmierć w wyniku rany kłutej. Najprawdopodobniej nóż.

– Tylko tyle?

– Więcej powie lekarz. Od tego przecież jest. No i Liz.

Technik skinęła głową.

– Nie jesteś zbyt spostrzegawczy – stwierdziła komisarz.

Luiza Krajewska splotła ręce z tyłu pleców. Przedstawienie zaraz się zacznie.

Lena wzięła oddech, obeszła ciało i przykucnęła, by przyjrzeć się denatowi. Ze ściągniętymi brwi analizowała każdy szczegół. Zielone oczy pociemniały, a na czole pojawiła się pionowa zmarszczka. Wargi pozostawały zaciśnięte, ale oddychała spokojnie, chłonąc obraz, który przekazywały oczy. Przypominała tropiciela, rasowego posokowca, któremu wystarczy jeden zmysł, aby wyszukać zwierzyńcę.

– Mężczyzna lat trzydzieści pięć – rzekła. – Żonaty, najwyżej od pięciu lat. Jeżeli żona nie okaże się długowłosą blondynką, przyniesiemy jej dwie nowiny. Ciekawe, która okaże się tą dobrą, bo jeśli dowie się, że mąż miał blond kochankę, która wsadziła mu kosę pod zębra, to informacja o śmierci małżonka może okazać się pocieszająca. Dobrze sytuowany, wyższe wykształcenie. Księgowy, który nie lubi programów komputerowych. Większość zapisywał ręcznie. Rany zadane ostrym narzędziem, ale nie za dużym. Trzy ciosy. Trzeci śmiertelny. – Wbiła wzrok w przestrzeń kilka metrów od ciała. Marcel podążył za tym spojrzeniem, ale nie dostrzegł nic, co uzasadniałoby dziwny błysk w oku komisarz. – Sprawcą może być mężczyzna, chyba że kobieta ma nieproporcjonalnie duże stopy i chodzi w traperach. Ale sądząc po nacisku buta, obstawiałabym postawnego albo otyłego mężczyznę. – Wskazała głową na odcisk podeszwy w ziemi. – Pewnie zaatakował na ścieżce i przeciągnął tu zwłoki.

– Na chodniku znaleźliśmy ślady krwi – poinformowała technik.

– Nie wykluczamy motywu rabunkowego?

– Brak dokumentów i telefonu.

– Narzędzie zbrodni?

– Sprawca najprawdopodobniej zabrał je ze sobą, ale przeczesujemy okolicę.

– Pamiętajcie o tym. – Wskazała na długi, jasny włos na marynarce zmarłego.

– Skąd wiesz, że jest żonaty od pięciu lat? – spytał Marcel, marszcząc brwi.

– Obrączka nie jest wytarta.

– Księgowy, który pisze ręcznie? – Nie widział żadnego podparcia dla śmiałych tez, wysnuwanych przez Rudnicką.

– Na środkowym palcu ma odcisk od długopisu. Na taki odcisk pracuje się latami, więc wniosek jest prosty.

– Ale księgowy? Jak możesz stwierdzić, że...

– Zobacz, jak on wygląda – wtrąciła Lena, wskazując na bladozieloną, prążkowaną koszulę i zmechacone spodnie od garnituru. – Tak może wyglądać tylko żonaty księgowy. Ułożony, nudny facet. Sąsiedzi go lubili, bo zawsze mówił dzień dobry, kiedy wyrzucał śmieci. Blogerem modowym co prawda nie był, ale dbał o siebie. Czyste paznokcie, ogolony zarost, przystrzyżona fryzura. Chciałabym zobaczyć jego biurko. Jestem pewna, że panuje tam perfekcyjny porządek.

– Sądzisz, że blond włos należy do mordercy?

– Może. Niczego nie można wykluczyć. Istotny jest też odcisk buta. – Wstała i patrzyła chwilę na odbity w ziemi kształt. – To może być rozmiar czterdzieści sześć. Wielka stopa. Potwierdzisz mi to, Liz? – zwróciła się do technik.

– Pewnie.

– Facet wygląda na wcielenie wierności – ciągnęła Lena. – Więc to na pewno włos kochanki.

Wolski spojrzał na Rudnicką.

– Mówiłaś, że wygląda na wiernego męża.

– No właśnie, tacy są najgorsi. Cicha woda, niby nic, a jednak.

– Dzień dobry wszystkim!

Lena odwróciła się i skinęła głową Felicjanowi Bani. Chuderlawy patolog z szerokim uśmiechem taszczył nieodłączną walizeczkę. Jego pozbawiona włosów czaszka połyskiwała, odbijając promienie słońca.

– Mogę? – spytał i założył lateksowe rękawiczki.

– Czyń honory domu – odparła Lena, która usunęła się na bok.

Patolog pochylił się i ostrożnie obejrzał ciało.

– Uwielbiam takie poranki – stwierdził. – Od samego rana dobre wieści.

Wolski uniósł brwi.

– Czyjaś śmierć to są dobre wieści?

– Możesz powiedzieć coś o czasie zgonu? – spytała Rudnicka.

– Zabiorę naszego przyjemniaczka do siebie, a wtedy będę mógł powiedzieć więcej – mruknął patolog, odchylając kawałek koszuli. – Stężenie pośmiertne zaawansowane. Jest sztywny jak drewno, ale jeszcze nie zrobił żaby.

Marcel zmusił się, by zerknąć na zwłoki. Zielonkawe zabarwienie od dolnych partii brzucha dopiero rozpoczynało wędrówkę po ciele. Po ponad dwudziestu godzinach od śmierci osiągnie efekt wzdętego, żabiego brzucha.

– Dwanaście godzin – oznajmił Felicjan Bania. – Myślę, że nie wcześniej, ale to potwierdzi dopiero sekcja. Rany kłute, pozycja raczej nienaturalna. Nie upadł w tym miejscu.

– Prawdopodobnie ktoś go przeciągnął – wtrąciła technik. – Na chodniku są ślady krwi.

– Nasz morderca nie silił się na fantazję – powiedziała Rudnicka. – Słaba kryjówka na ukrycie zwłok.

– Wystarczająca, by sprawca zdążył zbiec i żeby odnaleziono ciało dopiero następnego dnia – zauważył Marcel.

Lena z uznaniem pokiwała głową. Pierwsza celna uwaga, która wyszła z ust sierżanta.

– Charakter rany wskazuje na ostre narzędzie – ciągnął patolog.

– Nóż? – spytał Wolski.

Medyk uniósł głowę.

– A kolega nowy w tym fachu?

Marcel uśmiechnął się niemal przepraszająco.

– Widać, bo jesteś prawie tak zielony jak ten tutaj. – Zaśmiał się. – Tak. Nóż.

Policjanci przez chwilę przyglądali się pracy lekarza. Nagle komisarz szturchnęła Wolskiego w bok.

– Wyklucz samobójstwo – powiedziała.

– Słucham?

– Wyklucz samobójstwo.

– Przecież od razu widać, że to nie jest samobójstwo.

– Skąd wiesz?

– Chyba nikt o zdrowych zmysłach nie zabija się w ten sposób. Wystarczy skoczyć z mostu, żeby...

– Skąd wiesz, że ten tutaj był o zdrowych zmysłach?

Marcel zacisnął usta.

– Co wyklucza go z podejrzenia o samobójstwo? – spytała.

– To jakiś egzamin?

– Może.

– Samobójca rozebrałby się.

– Brawo, Watsonie. Dlaczego?

– Łatwiej byłoby mu zadawać rany.

– Charakter ran. Co o nich powiesz?

– Samobójca wbijałby narzędzie, wydobywał je stopniowo i wbijał ponownie.

– Rany u samobójców są najczęściej w bliskiej odległości i o równoległym położeniu – dodała. – Przyszły sztywniak bada, gdzie się wkłuć, robi obrażenia próbne, a rany różnią się głębokością.

– Daj chłopakowi spokój – powiedział patolog, ramieniem ocierając czoło. – Nie będziesz miał z nią łatwo, młody.

Wolski wcisnął ręce do kieszeni spodni i powiódł wzrokiem po grupce gapiów tłoczących się nieopodal.

– Kto go znalazł? – zapytał.

Liz wskazała głową mężczyznę stojącego za policyjną taśmą.

– Pójdę z nim pogadać – rzuciła Lena.

Na widok zbliżających się funkcjonariuszy siwowłosa mężczyzna podniósł z ziemi rudego pekińczyka i wcisnął go sobie pod pachę. Pies odpowiedział cichym warknięciem.

– Dzień dobry, pan znalazł ciało? – zapytała komisarz. Znacząco spojrzała na Marcela, sugerując, by przejął inicjatywę, i się cofnęła.

– Tak, ja go znalazłem.

– W jakich okolicznościach? – spytał sierżant, występując do przodu.

– Rano wyszedłem z psem na spacer. Zawsze tędy chodzimy z Kapselkiem. – Pogłaskał psa po puchatej sierści. – Odpiąłem go ze smyczy, żeby pobiegał. No, ale poleciał w tamte krzaki i nie chciał przyjść. To do niego niepodobne, bo to nadzwyczaj usłuchany pies. Podszedłem bliżej, żeby go zapiąć, ale wtedy już do mnie przybiegł. Wtedy zobaczyłem... zobaczyłem to ciało i zadzwoniłem do was.

– O której pan go znalazł?

– Około dziewiątej trzydzieści. Wychodzimy z domu kwadrans po dziewiątej. Mieszkamy naprzeciwko. Zanim zrobimy pętelkę, zwykle mija piętnaście minut.

– Widział pan kogoś podejrzanego w pobliżu?

– Nie. Nie widziałem nikogo.

– Dotykał pan czegoś w pobliżu ciała?

– Skądże!

– Zabił go pan? – wypaliła Rudnicka.

– Słucham?! Nie! No co pani?!

Starszy pan poczerwieniał z oburzenia. Postawił psa z powrotem na ziemię i przełknął ślinę, obejmując się ramieniem.

– Więc o której zobaczył pan ciało?

– Mówiłem. O dziewiątej trzydzieści.

– Nie podchodził pan do denata?

– Nie.

- Kłamstwo.
- Słucham?! Mówię prawdę! Ja go nie zabiłem.
- To akurat prawda.
- Słucham? Nie rozumiem. Ja tylko zadzwoniłem na policję, ja nie...
- Przy ciele nie ma śladów psych łap – zauważyła Rudnicka, jakby od niechcenia.

Sprawiła wrażenie w ogóle niezainteresowanej tematem, Marcel jednak szybko się zorientował, że lekceważący ton komisarz oznacza nie pychę, ale sprawnie działający umysł, potrzebujący informacji. Złej lub dobrej, ale prawdziwej.

– Ja... – Mężczyzna westchnął ciężko. – Dobrze. Przepraszam najmocniej, ale nie chcę żadnych problemów.

– Więc? – ponagliła komisarz.

– Znalazłem go około ósmej czterdzieści. Wystraszyłem się jak cholera. Uciekłem do domu, bo nie wiedziałem, co zrobić. Spanikowałem, przepraszam. Nie codziennie widzi się trupa w parku. Kiedy się uspokoilem, od razu do was zadzwoniłem i przyszedłem tutaj. Mieszkam niedaleko, już mówiłem.

Lena przewróciła oczami. Mogła zadać mężczyźnie jeszcze kilka pytań, ale ostatecznie uznała, że nic ciekawego już z niego nie wyciągnie. Zwykły przypadek sprawił, że akurat on odnalazł ciało. Dalsza rozmowa byłaby marnowaniem czasu.

– Ej ty! – zawołała młodego policjanta.

Chłopak wyglądał na góra dwadzieścia trzy lata, a jego twarz szpeciło kilka białych pryszczycy, proszących się o wyciśnięcie. Podbiegł do policjantów i gorliwie skinął głową.

– Tak, pani komisarz?

– Spisz zeznania tego pana. – Wskazała na mężczyznę z psem. – My się zwijamy.

– Rozkaz, pani komisarz.

Wolski posłał młodzikowi współczujący uśmiech. W warszawskiej komendzie niedawno sam zajmował się najgorszymi zadaniami i był zwykłym chłopcem na posyłki. Dziękował losowi, że ten czas minął bezpowrotnie.

– Mogę o coś spytać? – zagadnął, gdy stanęli przy jaguarze.

Lena przelotnie spojrzała na Wolskiego, otworzyła drzwi i wsiadła do samochodu. Marcel błyskawicznie zajął miejsce pasażera w obawie, że komisarz byłaby gotowa odjechać bez niego.

– O co?

- Skąd wniosek, że nasz NN jest księgowym? Strój to trochę za mało.
- NN nazywa się Klemens Chmielny – odparła, uruchamiając silnik. – Jego rodzice dzisiaj zgłosili zaginięcie. Wiem, że jestem genialna, ale nie aż tak, by rozpoznać profesję, patrząc na ciało. – Zastanowiła się. – Chociaż nie. Byłabym w stanie to zrobić.

5

Dorota Bracka przerzucała dokumenty na ladzie. Pieprzona recepcjonistka znowu nie zastosowała się do jej zaleceń. Tyle razy powtarzała tej głupiej blondynie, żeby układała wszystko alfabetycznie. Przeleciała wzrokiem po kolorowych segregatorach, ale nigdzie nie zobaczyła charakterystycznego czarnego grzbietu.

– Gdzie jest ta cholerna księga gości? – mruknęła i zajrzała do szafki.

Uśmiechnęła się na widok książki. Położyła ją przed sobą i powoli przekartkowała. Prawie wszystkie strony były zapisane i niedługo książka, oprawiona w eleganckie etui, zajmie miejsce na specjalnej półce w holu, obok innych pamiątkowych ksiąg.

Hotel Retro funkcjonuje od pięćdziesięciu lat. Założyła go jej babcia, która nauczyła wnuczkę podstaw hotelarstwa. Kiedyś Dorota myślała, że odziedziczenie hotelu to dar. Znalezienie dobrej pracy graniczyło z cudem, a założenie własnego biznesu niosło ze sobą ogromne koszty. Hotel miał być zabezpieczeniem na przyszłość, tymczasem teraz stał się utrapieniem. Położenie na peryferiach miasta, które kiedyś uważano za atut, dziś okazywało się problemem w konkurencji z gwarnymi barami i nocnymi imprezami oferowanymi przez kompleksy w centrum miasta.

Hotel był dla Doroty balastem. Kamieniem, który ciągnął ją w dół. Żałowała, że nie wybrała innej drogi zawodowej. Mogła zostać prawnikiem albo lekarzem, mieć stałą posadę i żyć bez strachu o comiesięczne wpływy na koncie. Hotel generował coraz większe koszty, a Dorocie ledwo wystarczało na opłacenie pracowników. Prowadzenie własnego biznesu to nie lada sztuka. Wydatki piętrzyły się w zastraszającym tempie.

Lata temu hotel był naprawdę piękny. Szykowne meble, drogie obrazy w połączonych ramach i ogród, będący chlubą babci. Wypielegnowane róże, tulipany i orchidee witały gości, zachwycając urodą. Dzisiaj zostały z nich suche patyki, które powinno się wyrwać razem z korzeniami. Ale nie było takiej potrzeby. Jeżeli w Retro pojawiali się goście, wynajmowali pokoje na doby i nikt nie zaglądał do pięknego niegdyś ogrodu. Nieprzycinane gałęzie drzew i wysokie na metr krzewy odstraszały gości. Elegancki zajazd zmienił się w rudere, w której bywali głównie studenci, płacący trzydzieści złotych za noc. Jedyną słuszną

inwestycją, na jaką namówił Dorotę mąż, było wyremontowanie sali konferencyjnej. Przynajmniej ona przynosiła dodatkowe pieniądze, kiedy firmy organizowały tam szkolenia pracownicze.

Dorota uniosła głowę. W recepcji pojawili się niespodziewani goście. Szybko upchnęła księgę na dno szafy, a na twarz przywdziała serdeczny uśmiech właścicielki Retro.

6

Dom Chmielnych stał na przedmieściach. Rudnicka zjechała z dwupasmówki i skierowała jaguara na zwirową drogę. Drobinki kamyków zachrzęściły pod kołami samochodu. Jechała powoli, szukając wzrokiem odpowiedniego numeru.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że wiesz, kim jest nasz NN? – zagadnął Marcel, wyglądając przez okno.

Osiedle domków jednorodzinnych wyglądało na nowe. Gdzieś tam znajdowały się puste działki, kuszące potencjalnych nabywców niską ceną i atrakcyjnymi warunkami kredytowymi. Wolski pomyślał, że atmosfera jest całkiem przyjemna, ale to się zmieni, gdy na wszystkich placach wyrosną domy, które zagarną przestrzeń i zniszczą kameralny klimat.

Rudnicka nie odpowiedziała.

– Myślisz, że odciski butów należą do sprawcy? – zmienił temat.

Pokręciła głową i zwolniła nieco, by ominąć dół pośrodku drogi.

– Może należą do faceta, który znalazł ciało? – zapytał.

– A jakie buty miał na nogach facet, który znalazł ciało?

– Nie zwróciłem uwagi – przyznał nieśmiało.

– Błąd. Pantofle.

– Czyli nie należą do faceta z psem.

– Błąd numer dwa.

– Mógł zmienić buty?

– To tutaj – powiedziała, zatrzymując samochód na podjeździe.

Otoczenie domu prezentowało się schludnie. Niewysokie iglaki zasadzone wśród owocowych drzewek; otulone folią rośliny, ciągnące się wzdłuż wybrukowanej kostką ścieżki i drewniana ławeczka przy głównym wejściu.

Policjanci nie zdążyli wysiąść z samochodu, gdy Władysława Chmielna błyskawicznie zjawiła się na ganku. Zamachała przyjaźnie ręką, zapraszając ich do środka.

Marcel pomyślał, że kobieta należy do starszych pań, które pełnią całodobową wartę przy oknie, rejestrując każdy ruch wokół domu, nie tylko swojego, ale również sąsiadów. Nic nie umknie przed czujnym okiem emerytki.

– Pani komisarz! – zawołała. – Znalazła pani naszego syna?

– Dzień dobry, sierżant sztabowy Wolski. Chcielibyśmy porozmawiać, można na chwilę?

– Oczywiście, proszę – odparła kobieta, przepuszczając gości w drzwiach. Poważny ton policjanta zasiał w niej nutkę niepokoju. Zaprowadziła funkcjonariuszy do kuchni, nalała wody do czajnika i nastawiła gaz.

– Napiją się państwo czegoś? – zapytała. – Kawy, herbaty?

– Dziękujemy, my tylko...

– Chętnie napiję się kawy – wtrąciła Rudnicka, rozglądając się po wnętrzu.

Nie miała żadnych uprzedzeń wobec starszych państwa, ale musiała przyznać, że kuchnia prezentowała się nader nowocześnie. Białe meble na połysk, dwudrzwiowa lodówka z kostkarką i zaawansowane sprzęty w zabudowie. Gdyby weszła do domu, nie wiedząc do kogo należy, uznałaby, że zamieszkują go młodzi ludzie.

Skarciła się w duchu za to stereotypowe myślenie. Przecież nie wszystkie osoby w podeszłym wieku muszą mieszkać w starych domach, w otoczeniu wysłużonych mebli z wonią naftaliny.

Władysława wyjęła z szafki srebrną paterę z ciastkami i położyła na stole. Słodczyce ułożono tak estetycznie, jakby właścicielka domu specjalnie przechowywała ciastka w ten sposób, gotowa na wizytę niezapowiedzianych gości. Czajnik zagwizdał. Kubki z kawą rozpuszczalną zalała gorącą wodą i postawiła przed policjantami.

– Mleka albo śmietanki?

– Dziękuję – odparła Lena, ale wraz z pierwszym łykiem czarnego napoju pożałowała swoich słów. Chemiczna kawa pozostawiała nieprzyjemny posmak na języku. – Czarna lepiej działa na moje połączenia nerwowe – dodała i nasypała do kubka trzecią łyżeczkę cukru. Liczyła, że białe kryształki poprawią paskudny smak. Zawiesiła dłoń i po namyśle dorzuciła czwartą łyżeczkę.

– Czy pani mąż jest w domu? – spytał Wolski, gdy Lena odstawiła cukierniczkę.

– Tak, zaraz przyjdzie. Ostatnio nie najlepiej się czuje i po powrocie z komisariatu poszedł się położyć.

W korytarzu na piętrze rozległo się szuranie kapci. Władysława poruszyła się na krześle, ponagłając męża w myślach. Skoro policjanci pofatygowali się, aby przyjechać do ich domu, z pewnością mają jakieś ważne informacje.

Dla Klemensa seniora spacer po schodach okazał się prawdziwym wyzwaniem. Z głośnym sapaniem stanął w kuchni i oparł się dłonią o framugę. Starł z czoła kroplę potu, kiwnął głową Wolskiemu i usiadł naprzeciwko. Rudnicka odnotowała, że stary Chmielny nawet nie zaszczycił jej spojrzeniem.

– Znaleźliśmy państwa syna – zaczął Wolski.

Władysława podskoczyła. Chwyciła męża za rękę.

– Słyszałeś? Znaleźli Klemensa! – zawołała.

Senior stracił dłoń i pytająco uniósł głowę. Marcel objął obiema rękoma kubek, czując na sobie ciężar powiadomienia rodziny o śmierci bliskiej osoby. To najgorsza rzecz w tym zawodzie, pomyślał.

– Znaleźliśmy Klemensa w parku Trzeciego Maja – powiedział ostrożnie.

– To cudownie! – Władysława klasnęła w dłonie. – Co się z nim działo przez ten czas? Wytłumaczył, dlaczego się nie odzywał? Mógł z wami przyjechać i uspokoić nerwy starej matki... Ale rozumiem. Pewnie najpierw pojechał do żony.

Wolski nabrał ochoty, by szturchnąć Lenę. Starsza koleżanka miała większe doświadczenie w takich sytuacjach, ale Rudnicka najwidoczniej znowu oddała inicjatywę sierżantowi.

– Niestety, państwa syn... – zaczął, ale głos grzął mu w gardle. Twarz Chmielnej stężała, a oczy zwęziły się w napięciu. – Niestety...

– Nie żyje – dokończyła Rudnicka. – Jest martwy przynajmniej od dwunastu godzin. – Spojrzała na zegarek. – No prawie od trzynastu.

– Słucham? – Starsza kobieta zamarła. Zdawało się, że przestała oddychać.

– Nie żyje? – podjął senior.

– Bardzo nam przykro, że przychodzimy do państwa z takimi wiadomościami – powiedział Marcel.

– Ale... Ale jak? Przecież... – Oczy Władysławy wypełniły się łzami, a dolna warga zaczęła niebezpiecznie dygotać.

– Zginął od ciosu nożem – poinformowała komisarz, upijając łyk kawy. Cukier zabił paskudny posmak i sprawił, że napój wreszcie nadawał się do picia.

– Jak pani śmie mówić to tak spokojnie?! – zagrzemiał senior. Uderzył dłonią w stół, ale po chwili wykrzywił usta w grymasie, jakby zawstydzony, że stracił nad sobą panowanie.

– Proszę państwa, naprawdę nam przykro... – Marcel umilkł, gdy nie znalazł żadnych słów pocieszenia.

Rudnicka wylała na Chmielnych wiadro zimnej wody. Oczywiście emocji nie sposób uniknąć, ale Marcel uważał, że można było przekazać tę wiadomość bardziej łagodnie. Komisarz jednak sprawiała wrażenie, jakby siedziała na kawie z przyjaciółką, a uczucia rodziców ofiary były dla niej kompletnie nieistotne.

Lena mruknęła coś pod nosem.

– Przykro? Panu jest przykro? – oburzyła się Władysława. – Mój syn został zamordowany, a panu jest przykro? – Złapała się za serce, oddychając ciężko.

– Spokojnie, Władka – upomniał żonę senior.

– Priorytetem jest znalezienie sprawcy – stwierdziła Rudnicka. – Chcielibyśmy dowiedzieć się o Klemensie jak najwięcej.

Chmielna zachlipała, a Marcel poczuł, że robi mu się słabo. Rozmowa z rodziną była konieczna, ale w tym momencie najchętniej zapadłby się pod ziemię. Zdawało mu się, że przekraczają barierę prywatności. Bliscy powinni mieć czas na uporanie się z nową sytuacją.

– Czy Klemens miał jakichś wrogów? – zapytała komisarz.

– Oczywiście, że nie! – odparła Władysława. – To jest taki dobry chłopak...

– Przełożmy tę rozmowę – wtrącił senior, ale żona pokręciła głową.

– Nie, nie – powiedziała. – Chcę mieć to za sobą.

– Wszystkie informacje mogą okazać się przydatne – oznajmił Wolski. – To bardzo ważne.

Władysława oddychała głośno, nerwowo pocierając ramię.

– Nie miał wrogów – powtórzyła Rudnicka. – A problemy w pracy? Czy zdarzały się jakieś konflikty?

– Pracował z własną żoną, więc jakie mógł mieć problemy? Dogadywali się w domu i w pracy. To takie dobre małżeństwo... Biedna Dorotka, czy ona już wie? – Chmielna otarła rękawem łzę spływającą po policzku.

Reakcja matki denata była istotna. Rudnicka nie raz przychodziła z podobnymi wieściami i wiedziała, że pytania najlepiej zadawać wówczas, gdy nie minął jeszcze pierwszy szok związany ze śmiercią bliskiego. Potem z pogrążonej w żałobie rodziny trudno cokolwiek wyciągnąć.

– Jeszcze nie – odparła. – I proszę, aby nie informować żony Klemensa. Chcielibyśmy zrobić to osobiście.

Reakcja żony denata była bardzo ważna. Gdyby Chmielni poinformowali ją jako pierwsi, istniało ryzyko, że Dorota przygotowuje się na wizytę policji, ułoży w głowie odpowiednie formułki.

– Dobrze – wyszeptała Władysława.

– Czyli uważa pani, że syn nie miał problemów w pracy – ciągnęła komisarz. – A poza pracą? Może ktoś go nachodził?

– Nie, nie. To niemożliwe. Klemens nic takiego nie mówił. Ze wszystkimi żył w zgodzie.

Lena westchnęła.

– Proszę coś o nim opowiedzieć.

– Był dobrym mężem – podjęła Chmielna. – Ożenił się z Dorotką niecałe pięć lat temu. Długo szukał tej jedynej, ale kiedy się spotkali, od razu wiedział, że to miłość na całe życie. Był zamknięty w sobie, ale jestem jego matką. Matka czuje takie rzeczy. Żadna dziewczyna nie zauroczyła go tak jak Dorotka. Klemens od dziecka taki był – nieufny i cichy. Żył w swoim świecie. Nigdy nie latał z chłopakami za piłką, nie sprawiał żadnych problemów. Całe dni przesiadywał w domu, rozwiązywał matematyczne łamigłówki i czytał książki. Powtarzałam mu, żeby wyszedł gdzieś do ludzi, ale on... – Urwała, zakrywając usta.

– Czy przed ślubem mieszkał z wami? – zapytał Wolski.

– Tak, zajmował pokój na piętrze. Dopiero gdy spotkał Dorotę, wyprowadził się do apartamentu w hotelu. Tak było łatwiej. Do pracy miał bliżej... Ale często wpadali do nas w weekendy.

– Miał przyjaciół?

– Przyjaźnił się tylko z Darkiem. Studiowali razem na uniwersytecie.

– Pamięta pani nazwisko tego Darka?

– Brzozowski. Dariusz Brzozowski.

– Dobrze, a gdzie możemy go znaleźć?

Władysława podała adres.

– To niedaleko parku – zauważył Marcel.

– Czy możliwe jest, aby państwa syn spędził te dwa dni u przyjaciela? – spytała Rudnicka.

– Na pewno nie. Dzwoniliśmy do Darka i powiedział, że nie wie, gdzie jest Klemens.

– Gdzie pracował syn, zanim zatrudnił się w Retro?

– Prowadził księgowość w firmie budowlanej.

– Co to za firma?

– Let-Bud, jakoś tak się nazywała, prawda, Klemens? – spytała Władysława, spoglądając na męża. Klemens senior zawiesił wzrok w przestrzeni za oknem.

– Może, nie pamiętam – mruknął.

– Czy... Czy znajdziecie tego, kto to zrobił? – spytała Chmielna, pociągając nosem.

– Oczywiście – zapewnił Marcel. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Lena odstawiła kubek z kawą i klepnęła dłonią w blat.

– To byłoby na tyle – powiedziała, wstając.

– Kiedy się czegoś dowiemy, na pewno skontaktujemy się z państwem – wyjaśnił Wolski, posłał rodzicom denata współczujące spojrzenie i wyszedł za komisarz.

Rudnicka siedziała już w samochodzie. Silnik jaguara zamruczał, oznajmiając gotowość do drogi.

– Mogliśmy ich jeszcze przycisnąć – stwierdził, gdy zapiął pas.

– Nuda – burknęła. Samochodowe radio przebudziło się i usłyszeli głos spikera, zapowiadającego pogodę. – Szczerozłoty syn bez żadnych wrogów prowadził przykładne życie księgowego w hotelu. Spokojny i ułożony mąż. Zwykle bajdurzenie – dodała, wyłączając radio. Wnętrze znowu wypełniła cisza, przerywana odgłosami mielącego się pod oponami żwiru.

– Nie rusza cię to?

– Co? – Spojrzała na Marcela z ukosa.

– Czyjaś śmierć. Zachowujesz się, jakbyś miała to gdzieś.

– Bo mam to gdzieś – ucięła. – Przecież nawet go nie znałam.

– Klemens junior został brutalnie zamordowany...

– Nie wiem, czy tak brutalnie – przerwała. – Widywałam gorsze rzeczy.

– Magda, ale śmierć to zawsze śmierć. Zginął człowiek, który dla rodziny był kimś ważnym. Na kursie uczyli nas, żeby w kontakcie z bliskimi zmarłego zachowywać się bardziej delikatnie i...

– Słucham? – spytała, zatrzymując samochód na poboczu. – Co ty powiedziałaś?

– Że na kursie...

– Nie, nie. Wcześniej.

– Że śmierć...

– Jak mnie nazwałeś?

Zagryzł wargę. Zapomniał o niechęci szefowej do swojego imienia. Ciekawe, z czego wynika? zastanowił się, ale nie zamierzał pytać. Przynajmniej nie teraz.

Zalała go fala gorąca. Chociaż miał za sobą kilka lat służby, w relacji z Rudnicką czuł się jak uczeń, który dopiero opuścił mury szkoły policyjnej. Sięgnął do kieszeni kurtki, wyjmując paczkę lodowych westów.

– Nawet nie myśl, że będziesz tutaj kopcić – warknęła, mrużąc oczy.

Wolski miętosił opakowanie w dłoniach. Postanowił zaryzykować.

– Dlaczego nie lubisz swojego imienia? – spytał i rozerwał folię. Od rana miał tyle na głowie, że zapomniał o swoim paskudnym nałogu, teraz jednak dałby wiele, by zaciągnąć się chociaż kilka razy. – Magdalena... To bardzo ładne, starożytne imię.

– Zamknij się. Jeszcze chwila, a wejdziemy na najwyższy level stopy zawodowej i zaczniesz zwracać się do mnie „pani komisarz”, rozumiano?

– Chyba żartujesz.

– Bynajmniej.

Uniósł brwi. Ojciec wspomniał o trudnym charakterze Rudnickiej, ale Marcel uznał to za czcze gadanie, czego właśnie zaczynał żałować. Gdyby potraktował jego słowa poważnie, przygotowałby się na czekającą go przeprawę. Andrzej Wolski uważał, że komisarz to dobra dziewczyna, ale Marcel miał co do tego wątpliwości.

Przyszło mu teraz do głowy, że decyzję o powrocie do Łodzi podjął zbyt pochopnie. Ojciec namówił go na współpracę z komisarz, ale z tej perspektywy służba w stolicy wydawała się przyjemnością. A przecież mógł wieść spokojne życie na bemowskim blokowisku i zamykać nastolatków za drobne kradzieże, zamiast znosić humory nowej szefowej.

– Poza tym nie przeszliśmy na ty – ciągnęła komisarz. – Dzieli nas parę lat, więc propozycja powinna paść z mojej strony. Słyszałeś, żebym zaproponowała mówienie sobie po imieniu?

Po wspólnie spędzonej nocy zwracanie się do Rudnickiej „proszę pani” zakrawało na absurd, chciał zauważyć, ale uznał, że milczenie będzie najlepszą odpowiedzią.

– No, halo?

– Nie – mruknął.

– Właśnie – ucięła. – Jeśli chcesz palić to świństwo, wyjdź na zewnątrz. Nie mam zamiaru truć się tym gównem.

– Chcesz się mnie pozbyć?

– Bardzo chętnie.

– Wyjdę, a ty odjedziesz i zostawisz mnie na tym zadupiu?

– Wyjdę, a pani komisarz odjedzie – poprawiła. – Świetny pomysł! Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam!

– Okej, jak chcesz.

Wolski odpiął pas, wygramolił się z samochodu i zapalił papierosa. Spodziewał się, że Rudnicka rzeczywiście odjedzie, zostawiwszy za sobą jedynie tuman kurzu, ale tak się nie stało. Siedziała, stukając palcami w kierownicę. Marcel wtłoczył do płuc porządną porcję dymu. Nawet mała dawka nikotyny sprawiła, że od razu poczuł się lepiej.

– Na kursie uczyli nas, że z rodziną zamordowanego należy postępować delikatnie – odezwał się, zaglądając do samochodu.

– Kto ci tak powiedział?

– Kaszubski.

– Kaszubski to stary kretyn, który na widok trupa puszcza pawia.

– Ty naprawdę masz to gdzieś – stwierdził, wypuszczając dym.

Mały obłok szybko rozpuścił się w powietrzu.

– Słuchaj, młody. Myśl, co chcesz, ale prawda jest taka, że trup Klemensa Chmielnego nie będzie ostatnim w twoim życiu. O ile będziesz kontynuował karierę w kryminalnym, bo mam przeczucie, że zakończysz ją szybciej, niż zacząłeś. Zbyt emocjonalny stosunek jest w tej robocie wysoce niewskazany, bo zaburza proces myślowy. – Zacerpnęła powietrza. – Nie znam tych ludzi, podobnie jak ty, więc dla mnie są gnijącymi ciałami i interesuje mnie jedynie to, kto odebrał im życie. Pomożesz tym ludziom i ich rodzinom, kiedy znajdziesz mordercę. To jest klucz do problemu. Pozbądź się emocji, myśl logicznie, łącz fakty i wywal wszystko, co nawkładali ci do głowy wykładowcy na kursie. Wiesz, co mówią o amerykańskich policjantach?

– Nie, co?

– Że na testach do amerykańskiej policji odrzucają tych z najlepszymi wynikami, bo według nich zbyt inteligentny policjant szybko się połapie, że się nie nadaje, odejdzie ze służby, a pieniądze, jakie włożyli w jego szkolenie, przepadną bezpowrotnie. A wiesz, dlaczego się nie nadaje?

– Dlaczego?

– Bo to nie jest praca dla każdego. Nie twierdzę, że mamy przyjmować samych przygłupów, ale tacy też są potrzebni. Sęk w tym, że jeżeli chcesz coś osiągnąć, czasem musisz wyłączyć myślenie. Zwariujesz, jeśli za każdym razem będziesz się zastanawiał, co czuje rodzina albo co czuł denat w chwili śmierci. Co cię to obchodzi? Nie jesteś żadnym pieprzonym spowiednikiem i prawdopodobnie gdy zakończysz sprawę, już nigdy nie spotkasz tych ludzi, więc skup się na faktach bez zagłębiania się w ich uczucia. Sądzisz, że jeśli ktoś idzie do banku zaciągnąć kredyt, ale nie dostaje go przez brak płynności finansowej, to kasjerka, która odmówiła udzielenia pożyczki, idzie do domu i zastanawia się, co czuje człowiek, który potrzebuje gotówki, ale nie może jej dostać?

Marcel zaciągnął się głęboko.

– Nie bez powodu tatulek przysłał cię akurat do mnie – kontynuowała. – Zabrzmi to nieskromnie, ale jestem najlepsza w tym pieprzonym wydziale tylko dlatego, że widzę więcej niż inni. Co najśmieszniejsze, każdy może to zobaczyć, pytanie tylko, czy chce?

– Przyznam, że nie bardzo rozumiem – powiedział Marcel, wsiadając do samochodu. Między palcami wciąż trzymał papierosa. Cienka strużka dymu ulatywała przez uchylone drzwi.

– Okej. – Rudnicka spojrzała na papierosa, ale nie zwróciła Marcelowi uwagi. Otworzyła drzwi po swojej stronie w nadziei, że lekki przewiew wypędzi nikotynową mgłę. – Jak długo mieszkasz w kawalerce na 6 Sierpnia? – spytała.

– Około tygodnia.

– Dobrze, czyli od siedmiu dni przemierzasz klatkę schodową. Po której stronie są skrzynki na listy?

– Chyba po lewej.

– Po prawej. Przypuśćmy więc, że o godzinie dwunastej w mieszkaniu numer trzy doszło do morderstwa. Gdybyś został potencjalnym świadkiem, który mógł widzieć sprawcę, i zeznałbyś, że odbierałeś w tym czasie listy, ale nikogo nie widziałeś, skłamałbyś, bo jeśli stałbyś przy skrzynkach po prawej stronie, zobaczyłbyś, kto wychodzi z mieszkania numer trzy.

– Jaki z tego wniosek?

– Żebyś obserwował i słuchał, co mówią ludzie – odparła. – Co powiesz o Klemensie seniorze?

Marcel zastanowił się chwilę.

– Wydaje się dziwny – stwierdził, strząsając popiół.

– Dziwny, bo?

– Nie wiem. Dziwnie zareagował na śmierć syna, nie uronił ani jednej łzy...

– Nie każdy płacze, to raz, a dwa: senior jest wojskowym. Oni są specyficzni. Często okazanie słabości przy kobiecie urąga ich męskości.

– Skąd wiesz, że jest wojskowym?

Spojrzała w przestrzeń za oknem.

– Obserwuj – powtórzyła.

Marcel przywołał w pamięci obraz Klemensa seniora. Zachowywał się powściągliwie i milcząco, ale to jedyne, co udało mu się zauważyć.

– Wyczyść kartkę ze wszystkiego, co przekazał ci Kaszubski, i zapisuj od nowa, bo skończysz jak amerykańscy policjanci.

– Rozumiem, ale po co ten kurs, skoro...

– Papierologia, której nienawidzę – przerwała. – Co ty robiłeś w tej Warszawie, co? Stodziewiętnastki? Starsza pani ukradła batonika w markecie?

– Powiedzmy.

– Wiem! – zawołała. – Sto pięćdziesiąt osiem kapeku, co? Dwóch klientów pobiło się pod klubem? Ilu widziałeś nieboszczyków, Wolski? No ilu?

– Paru.

– Ilu?

– Z pięciu. Może.

– Przypuszczam, że same samobóje.

– Mhm.

Uśmiechnęła się pod nosem, kręcąc głową.

– Wiesz, jaki był mój pierwszy trup?

Wolski zaciągnął się papierosem i powoli wypuścił dym. Lena nie czekała na zachętę.

– Jadę na zgłoszenie do kamienicy przy Wschodniej. Wchodzę. Cofało od progu. Taki fetor, że nie szło oddychać. Lato, wszystkie okna pozamykane, a w środku rozkładające się ciało. Pacjent wisiał na żyrandolu, więc musiałam go ściągać z takim jednym, i wiesz, co się stało?

– Co?

– Odpadła mu głowa. Normalnie klapnęła na podłogę. Myślałam, że się porzygam, ale nieważne. – Machnęła ręką. – Wszyscy obstawiali samobója, ale się mylili! Ktoś nafaszerował go środkami nasennymi i powiesił na lampie. Do czego zmierzam, sierżancie?

– Że nic nie jest oczywiste?

– Właśnie. Jeżeli widzisz, że masz idealny motyw do popełnienia przestępstwa, grzeb dalej. Pierdol prokuratorów, bo prokurator posadzi każdego, jeśli ma dowody.

Marcel wyrzucił niedopałek na ziemię.

– Biała kartka, mówisz? – spytał.

– Może być w linię, byle niezapisana – powiedziała, odpalając silnik.

7

Dorota Bracka nerwowo stuknęła obcasem o posadzkę piętnastocentymetrową szpilką. Dźwięk odbijał się echem po niemalże pustym pokoju.

– Jak ty sprzątasz?! – warknęła. – Tu brud, tam syf. Za co ja ci, kurwa, płacę?

Kalina Michalska spojrzała na szefową. Naszła ją ochota, by wylać wiadro brudnej wody prosto na tę starannie ułożoną fryzurę. Artystyczny nieład, zaśmiała się w duchu. Na efekt roztrzepanego, niedbałego koka pewnie pracowała godzinami przed lustrem. A kolejne godziny poświęcała na wykonanie perfekcyjnego makijażu. Kalina nigdy nie widziała szefowej w innym wydaniu. Obcisła ołówkowa spódnica i czarny żakiecik. Tak kobieta pewnie nawet sypia w tych wysokich szpilach.

– Co za syf! Kto tu mieszkał? – spytała Bracka i podparła się pod boki, uwydatniając pełną figurę gruszki.

– Para studentów – odparła Kalina.

– Kurwa, trzy dni byli i tyle w siebie włąli? – Wskazała na pięć butelek po czystej wódce. – Niezły przemiał. Ja pierdołę, co za czasy.

– Może mieli gości?

– Gości? Jakich gości, kurwa? Oni byli gośćmi. Pieprzonymi brudasami.

Kalina starła popiół z parapetu. Dwójka dwudziestolatków pomimo wyraźnego zakazu paliła papierosy w pokoju.

– Ciekawe, co ich starzy by na to powiedzieli – ciągnęła Bracka. – Na chwilę spod skrzydła mamusi się wyrwali i patrz, jaki burdel.

Kalina westchnęła. Sama była jeszcze dość młoda, by pamiętać wypadki ze znajomymi. Nie stronili wtedy od alkoholu. Młodość ma swoje prawa i musi się wyszumieć.

– Weź to usuń. O, tutaj.

Pokojówka przetarła szmatką szafkę nocną, ale zaschnięta, lepka ciecz nie chciała współpracować.

– Kurwa, płynem.

Kalina potarła plamę mleczkiem, które natychmiast usunęło zabrudzenie. Zadowolona Bracka przedfilowała przez ciasny pokój. Stare drewniane łóżka pamiętały lata dziewięćdziesiąte. Odrapane ściany szpecił nudny wyblakły kolor.

Fikuśne lampy z czerwonym kloszem zakupiła jeszcze jej babcia. Tydzień wcześniej trzech turystów stłukło witrynę w wynajętym pokoju. Żeby zmienić klientelę, Bracka musiałaby przeprowadzić generalny remont ośrodka, a na to nie było jej stać. Kredyt nie wchodził w grę. Bank i tak patrzy na nią podejrzliwie, odkąd zaczęła spóźniać się ze spłatą rat poprzedniej pożyczki. Dorota rozważała sprzedaż Retro. Miałaby wreszcie święty spokój, spłaciłaby długi i znalazła pracę na etat. Ale kto kupiłby tę ruderę?

– Kalina, wywietrz tu, bo zaraz się uduszę. Straszny smród.

– Dzień dobry, szukamy Doroty Chmielnej.

Bracka odwróciła się z gracją i poprawiła niesforny kosmyk włosów.

– O co chodzi? – spytała.

– Jesteśmy z policji. Sierżant sztabowy Marcel Wolski, a to komisarz Rudnicka. Chcemy porozmawiać.

Dorota przyjrzała się policjantowi. Uśmiechnęła się nieśmiało i wygładziła materiał plisowanej bluzki. Lubiała młodych mężczyzn, a ten sierżant był w jej typie.

– To ja. Dorota Bracka. – Ścisnęła dłoń Marcela znacznie dłużej, niż powinna. – Coś się stało?

– Musimy pogadać – burknęła komisarz.

– O czym?

– Chce pani rozmawiać tutaj?

– Ale o czym?

– Pani mąż nie żyje – wypaliła Rudnicka.

– Słucham?

Kalina Michalska upuściła płyn do szyb. Plastikowe pudełko potoczyło się z hałasem po posadzce.

– Przepraszam – wyszeptała.

– Został zamordowany – dodała komisarz. – Więc jak? Porozmawiamy?

– Oczywiście, proszę za mną.

Bracka sprowadziła policjantów na parter. Długi korytarz zdawał się ciągnąć bez końca. Bezbarwne ściany udekorowane obrazami w szerokich ramach sprawiały odpychające wrażenie. Na końcu korytarza wisiało największe płótno, przedstawiające Retro na tle czarno-białej polany. Minęli zbroję rycerską i weszli do restauracji. Krzesła ustawione na stołach wskazywały, że od dawna nikt tu nie jadał.

– Proszę, tutaj możemy swobodnie rozmawiać – powiedziała Bracka, zdejmując metalowe krzeselka z drewnianymi oparciami, przypominające szkolne siedziska.

Rudnicka zauważyła zakurzone siedzenie i brudną ceratę. Usiadła na samym brzegu. Marcel okazał się mniej zapobiegliwy i położył dłonie na stole. Szybko je zabrał, a lepka cerata odkleiła się wraz z rękawem modnej kurtki.

– Ludzie płacą, żeby tu spać? – z niedowierzaniem spytała Rudnicka.

– Wiem, jak to wygląda – przyznała Bracka. – Kiedyś to był najlepszy hotel w mieście, ale teraz...

– Mogliby tu nagrać kolejną część *Strasznego domu*.

– Hotel należał do mojej babci – wyjaśniła Dorota, siadając naprzeciwko. – Budynek ma przeszło sto lat. Kiedyś był tu dworek. Zresztą, sami widzicie, że lokalizacja jest mało zachęcająca. W okolicy tylko pola i las. Tramwaje tu nie dojeżdżają, a na najbliższy przystanek trzeba iść piętnaście minut piechotą. Babcia dostała dworek w spadku i założyła hotel. Kiedyś był naprawdę elegancki. Jak na tamte czasy, oczywiście. Przyjeżdżały sławne osoby i organizowano u nas wyjazdy ze związków zawodowych. Ludzie lubili to miejsce, bo mieli ciszę i spokój. Za budynkiem jest boisko do gry w siatkówkę i kort tenisowy. Teraz nieużywany, bo jak wszystko tutaj potrzebuje remontu i zmiany nawierzchni, a na to mnie nie stać. Wynajmuję pokoje głównie studentom, ale tych też coraz mniej przyjeżdża. Wszyscy wolą hostele w centrum.

Lena uniosła brwi. Bracka nie wyglądała na żonę, która przed kilkoma minutami dowiedziała się o śmierci małżonka. Sprawiała wrażenie kompletnie obojętnej.

– Hotel przynosi zyski? – spytał Wolski.

Bracka odpowiedziała uśmiechem, który wprawił sierżanta w zakłopotanie. Właścicielka hotelu była dość ładną, choć nie przesadnie piękną, zadbaną kobietą o nieco ostrych rysach i haczykowatym nosie. Spięty kok dodawał jej powagi, a stylowy strój podkreślał kierowniczą funkcję. Miała w sobie jednak coś odpychającego.

– Różnie – odparła. – Zależy od miesiąca. Ostatnio wyremontowaliśmy salkę konferencyjną. Wzięłam kredyt w banku, ale na szczęście inwestycja się zwraca. Firmy organizują u nas jednodniowe szkolenia.

– Czyli goście to głównie studenci?

– W większości. Wiezorami mamy więcej klientów na jedną noc. Rozumiecie, państwo? – Bracka wymownie spojrzała na Wolskiego. – To idealna lokalizacja na nocne schadzki.

– Coś nie wygląda pani na zmartwioną śmiercią męża – wtrąciła Rudnicka.

Znudziła ją historia hotelu i postanowiła ograniczyć do minimum wizytę w tym obskurnym miejscu.

Bracka westchnęła.

– Oczywiście, że martwi mnie śmierć męża. – To nie tak, że go nie kochałam – powiedziała Dorota. – Po prostu od jakiegoś czasu... Nie było między nami dobrze. – Przełknęła ślinę i wzięła głęboki wdech. – Właściwie nasze małżeństwo istniało tylko na papierze.

– Państwo Chmielni twierdzą zupełnie coś innego – zauważył Wolski.

– Domyślam się. Nie mieliśmy zwyczaju opowiadać ludziom o swoich problemach, tym bardziej jego rodzicom. Klemens nie chciał ich martwić, więc kiedy zaglądaliśmy do nich w weekendy, udawaliśmy, że wszystko między nami w porządku.

– Co się działo między panią a mężem?

– Klemens zawsze był skryty. Żył w swoim własnym świecie. Początkowo imponowała mi jego tajemniczość, ale szybko zrozumiałam, że niesie za sobą więcej problemów niż korzyści. Rzadko ze mną rozmawiał, a jeśli już, to zajmowały nas głównie sprawy Retro. Pozornie błahe kwestie urastały do rangi wielkiego problemu. – Westchnęła, a w jej oku zakręciła się łza. Otarła ją tak, by nie rozmazać makijażu. – Klemens chciał inwestować w hotel, natomiast ja uważałam, że to głupi pomysł. Remont przynosi ogromne koszty. Nie wypłacilibyśmy się do końca życia. Żaden bank nie dałby nam kredytu na ponad milion złotych, a nie wiadomo, czy inwestycja by się zwróciła. Ale Klemens się uparł. Mówił, że to świetne miejsce na firmowe zjazdy i tak dalej. Chciał się bardziej skupić na zorganizowanych imprezach niż na pojedynczych gościach.

– Uważała pani, że to zły pomysł?

– Nie wiem, czy zły. Ryzykowny, owszem. Bałam się, że utoniemy w długach.

– Kłóciliście się tylko o sprawy Retro?

– Klemens prowadził księgowość, więc miał większe rozeznanie w sprawach finansowych. Ja nigdy tego nie lubiłam. Liczby, wydatki, przychody. Gubiłam się w tym. On uważał, że powinniśmy inwestować, ja miałam inne zdanie. Ale wiecie, jak to jest, kiedy pracuje się wspólnie? Sprawy zawodowe przenoszą się do domu.

Lena kiwnęła głową.

– Oddaliliśmy się od siebie – ciągnęła Dorota. – Klemens siedział do późna w swoim biurze, ja zajmowałam się sprawami organizacyjnymi. Oficjalnie jestem właścicielką Retro, ale zajmuję się praktycznie wszystkim. Jak trzeba, jestem i menedżerem, i recepcjonistką.

– Macie państwo dzieci?

– Nie – odparła Bracka, pocierając nerwowo czoło.

Zbyt nerwowo, pomyślała Lena.

– Dlaczego? – zapytała.

– Nie mogę mieć dzieci. Rozważałam adopcję, ale Klemens nie chciał o tym słyszeć.

– Kwestia dziecka też was poróżniła? – spytał Wolski.

– Tak. Chyba bardziej niż sprawa hotelu. Uważałam, że dziecko nas połączy. Staraliśmy się dość długo, ale nie mogłam zajść w ciążę. Obwinałam o to Klemensa, lecz kiedy poszłam do lekarza, okazało się, że to ze mną jest coś nie tak.

– Jak mąż to przyjął?

– Nie był zachwycony – odparła Bracka. – Optowałam za adopcją. Rozmawiałam nawet z jedną kobietą w ośrodku, ale nic z tego nie wyszło, bo Klemens nie przychodził na spotkania.

– Czy pani mąż miał wrogów? – zapytał Wolski.

– Nic nie wiem na ten temat. Wydaje mi się, że nie.

– Może pokłócił się z którymś ze współpracowników?

– Nie mam pojęcia.

– Ktoś go nachodził?

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie wiem. Rzadko rozmawialiśmy...

– Czy mąż ostatnio się zmienił? Był podenerwowany, nieobecny duchem? Miał jakieś problemy?

– Problemy. – Zaśmiała się gorzko. – Finansowe, owszem. Ciągłe mówił o pożyczce z banku. A czy był podenerwowany? Raczej nie.

– Jego zaginięcie zgłosili rodzice, dlaczego pani tego nie zrobiła?

– Nie widziałam potrzeby. Skąd mogłam wiedzieć, że stanie się coś takiego... – Przymknęła oczy. – Pokłóciliśmy się, zanim zniknął. Wyszedł z domu i... i już nie wrócił.

– Czego dotyczyła kłótnia?

– Poprosiłam, aby przemyślał sprawę adopcji. Klemens się wściekł, trzasnął drzwiami i wyszedł. Krzyczał, że nie zamierza wychowywać obcego dziecka.

– Czyli jednak nie był wcieleniem spokoju, co? – wtrąciła Rudnicka.

– To była zwykła sprzeczka – zaproponowała Bracka. – Wyszedł do sklepu, ale sądziłam, że szybko wróci do domu.

– Niepokoiła panią nieobecność męża? – zapytał Wolski.

Bracka wzruszyła ramionami.

– Po co poszedł do sklepu? – spytała Lena.

– Słucham?

– Po co poszedł do sklepu? – powtórzyła komisarz.

– Nie wiem.

– A jak wasze sprawy łózkowe? – znienacka zapytała Rudnicka.

Wolski zerknął na partnerkę.

– Nie było za dobrze, co? – ciągnęła komisarz.

– Słucham?

– Miał kochankę?

– Jakim prawem...

– Na marynarce pani męża znaleźliśmy długi blond włos. Pani brunetką, więc raczej nie należał do pani.

– Blond?

– No chyba powiedziałam. – Lena wstała i obeszyła stolik dookoła. – Wiedziała pani?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Gówno prawda.

– Słucham?

– Nie mówi nam pani wszystkiego.

– Przecież...

– Dowiedziała się pani o kochance i zamordowała mężulka, co?

Bracka wzrokiem szukała ratunku u policjanta, ale Marcel uniósł dłonie w geście bezradności.

– No jak? Gdzie ten nóż? – spytała Rudnicka.

– Jaki nóż? Ja nie zabiłam męża!

– Gdzie był, jak go nie było?

– Nie mam pojęcia!

– Nie wie pani, gdzie mógł pójść pani mąż? Ciekawe, że nie wracał do domu przez dwa dni, a pani sprawia wrażenie, jakby nie zauważyła jego nieobecności!

– To nie tak.

– A jak?

– No dobrze. – Bracka odchyliła lekko głowę, próbując się uspokoić. – Wcale się o niego nie martwiłam.

– Wiedziała pani, gdzie jest?

– Nie interesowało mnie to.

– Dlaczego?

– Chciałam się z nim rozwieść – odparła. – Mógł iść dokądkolwiek. Nawet do kochanki, o ile ją miał.

– Uważa pani, że nie miał?

- Skąd mam wiedzieć?
- Żona chyba wyczuwa zdradę.
- Nie kochaliśmy się od dawna, więc jeśli faktycznie znalazł sobie kochankę, nie zdziwiłoby mnie to.

Lena włożyła dłonie do kieszeni spodni. Pomyślała, że gdyby Bracka nie była żoną ofiary, mogłyby się zaprzyjaźnić. Miałyby wspólny temat.

- Dlaczego nie nosi pani nazwiska męża? – odezwała się po chwili.
- Jakoś się nie złożyło.
- Nie złożyło się?
- Hotel jest zapisany na mnie. Za dużo papierkowej roboty. Oboje uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli zostaną przy swoim nazwisku.
- O której widziała pani męża po raz ostatni? – spytał Wolski.
- W poniedziałek, o osiemnastej. Wyszedł do sklepu.
- Po co? – wtrąciła Lena.
- Nie wiem. Chyba po papierosy.
- Czyżby? Nagłe olśnienie? Przed chwilą nie miała pani pojęcia.

Bracka spuściła wzrok.

- Teraz mi się przypomniało – mruknęła.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu. Lena wyjęła komórkę.

- Rudnicka, słucham? Gdzie? Dobra... Zaraz będę...

Wsunęła iPhone'a do tylnej kieszeni.

- Ilu macie pracowników? – spytała.
- Dwie pokojówki, recepcjonistka i dozorca.
- Z nimi także chcemy pogadać – oznajmiła, spoglądając w kierunku wyjścia, po czym powoli przeniosła wzrok na Dorotę. – Co pani robiła wczoraj między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią?

- Byłam tutaj, w hotelu.

Pokiwała głową.

- Sprawdźmy – zapewniła. – Zbieraj się, młody. Wrócimy później.
- A czy... – zaczęła Dorota. – Jak to się stało? Mój mąż został zamordowany, ale...

– Proszę nam wierzyć, zrobimy wszystko, aby znaleźć sprawcę – zapewnił Wolski. Bracka potarła obojczyk, unosząc wzrok.

- To była kobieta? Sądzą państwo, że zabiła go kobieta?
- Tego próbujemy się dowiedzieć – odparła Rudnicka i wyszła z restauracji.

Wolski posłusznie podążył za nią, zgarniając zawiedzione spojrzenie właścicielki Retro. Kiedy zamykał drzwi, zdawało mu się, że posłała mu zalotny

uśmiech.

– Co się dzieje? – zapytał, gdy szli przez parking.

– Mundurowi znaleźli walizkę, która prawdopodobnie należała do Chmielnego – odparła.

– Gdzie?

– W kontenerze przy jednej z kamienic. – Zerknęła na Marcela. – Masz branie u żony denata.

Wolski odwrócił głowę, bo poczuł, że na jego policzkach wykwitły wstydlive rumieńce.

– To dobrze – ciągnęła. – Następnym razem pogadasz z nią sam. Może dasz radę coś ugrać.

– Czyli co?

– Podobasz się jej, więc jeśli umiejętnie pociągniesz ją za język, może powie coś ciekawego.

– Słaby pomysł.

Rudnicka mruknęła coś pod nosem, dając do zrozumienia, że uważa temat za zakończony.

– Mam powodzenie u starszych kobiet – stwierdził po krótkiej chwili.

Lena zatrzymała się pośrodku parkingu. Stało tu zaledwie kilka samochodów, a pustka bijąca z tego miejsca sprawiała przygnębiające wrażenie. Przyglądała się Marcelowi, kiedy odpalał papierosa. Zaciągnął się i wypuścił dym, tworząc zgrabne kółka.

– Starszych kobiet? – zapytała z nieodgadnioną miną.

Wolski ominął komisarz i ruszył w kierunku jaguara.

– Stój, jak do ciebie mówię! – Złapała go za ramię. – Jeżeli jeszcze raz nawiązesz do tego, co się wydarzyło wczoraj, obiecuję, że...

– Przecież nic się nie wydarzyło – przerwał jej. – Podobno nie pamiętasz, więc nie ma o czym mówić.

Zmierzyła go wzrokiem. Spodziewał się odpowiedzi, ale obesła samochód i bez słowa wsiadła do środka.

8

Skuliła się na łóżku. Chłopiec płakał już drugą godzinę. Nie potrafiła go uspokoić.

Spojrzała w zapłakaną twarzyczkę syna. Przymknął wargi, zasłaniając bezzębne dziąsła, a kąciki ust wygięły się w podkówkę. Po chwili przeraźliwy krzyk znowu wypełnił ściany mizernej, drewnianej chatki.

Szybkim ruchem podniosła się z kanapy i wyszła z domu, zatrząskując za sobą drzwi. Przysiadła na schodku i ukryła twarz w dłoniach. Nie miała siły opiekować się dzieckiem. Potarła obolałe, nabrzmiałe od mleka piersi. Poczowała na skórze lekki podmuch wiatru i zasunęła pod szyję suwak grubej bluzy. Znosi się na deszcz, pomyślała. Rwały ją nogi. Na pewno będzie padać.

Wyprane pieluchy kołysały się na sznurku. Powinna je sprzątnąć, zanim lunie. Powiodła wzrokiem po otaczającym dom lesie. Ledwie zazielenione drzewa poruszały się na wietrze. Gdzieś z oddali słyszała rytmiczne uderzanie. Dzieciółko żłobił w korze nową dziuplę. Znała ten dźwięk. Słyszała go wiele razy, ale jeszcze nigdy nie widziała ptaka. Ukrywał się w lesie, tak jak ona.

Bury kocur zaplótł się wokół jej nóg, zostawił kępki sierści na spodniach. Jego gęsta, puszysta sierść zniknęła. Zmieniał futro na lżejsze. Lato bywa gorące, a kocur uwielbiał wygrzewać się w słońcu. Poglaskała go po głowie. Prychnął niezadowolony i wskoczył na drewniany, rozpadający się płotek. Kroczył dumnie, nie patrząc pod nogi. Dobrze wiedział, w którym miejscu stanąć.

Dziecko znowu zawyło. Zmusiła się, aby wstać. Nabrała powietrza do płuc i weszła do domu. Chłopczyk machał nóżkami, krzycząc na całe gardło.

– No już, kochanie. No już – powiedziała i wzięła go na ręce. Małe ciało podrygiwało nienaturalnie. – Co się dzieje, kochanie? Jesteś głodny? – spytała, wiedząc, że odpowie jej jedynie dziki krzyk. Przysiadła na sofie i wyjęła pierś. Chłopczyk przyssał się do sutka. Stęknęła, powoli przyzwyczajając się do bólu. Przynajmniej synek przestał płakać, pomyślała.

Czekało ją kilka minut błogiej ciszy.

9

Zielony matiz stanął przy dystrybutorze. Samochód gwałtownie szarpnął do tyłu, jakby kierowca za mocno docisnął pedał hamulca. Młoda kobieta trzasnęła drzwiami, okrążyła auto i rozejrzała się dookoła. Najwidoczniej matiz nie jeździł na gaz, bo przeszła do dystrybutora po drugiej stronie i starała się przeciągnąć wąż wokół samochodu. Zabrakło kilku centymetrów i lufa nie dotarła do wlewu paliwa.

Marcel uśmiechnął się, obserwując jej poczynania. Zdenerwowana wsiadła do samochodu, przeparkowała i podjęła kolejną próbę. Tym razem się udało i benzyna spływała do baku w nierównym tempie. Kobieta nie miała wprawy i co rusz puszczała spust pistoletu. Przyszło mu do głowy, że powinien jej pomóc, ale niewiasta obciągnęła krótką spódnicę i ze złością odwiesiła pistolet.

Drzwi stacji się rozsunęły, dziewczyna przepuściła wychodzącą Rudnicką i zniknęła w sklepie. Czarny sedan czekający w kolejce podjechał bliżej, a Lena przyspieszyła kroku. Podała Marcelowi dwie kawy w papierowych kubkach, cofnęła parę metrów, po czym zatrzymała samochód. Wsunęła swój kubek między uda, wyciągnęła saszetki z cukrem, wsypała zawartość jednej z nich i plastikowym patyczkiem zamieszała napój.

– Na hot doga kazali czekać dziesięć minut, wyobrażasz sobie? – mruknęła, rozrywając drugą saszetkę. Wsypała i znowu zamieszała. Powtórzyła tę czynność jeszcze dwa razy, upiła łyk i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Umieściła kubek we wnęce przy dźwigni zmiany biegów i wyjechała ze stacji.

– Myślałem, że czekasz na hot doga – odezwał się Wolski.

– Nie mamy tyle czasu – bąknęła, wymijając autobus.

Marcel bawił się kubkiem, obracając go w dłoniach. Zerknął na Rudnicką, która w ostatnim momencie przed zmianą świateł śmignęła przez skrzyżowanie.

– Zastanawiam się nad Bracką – zaczął. – Jej reakcja jest nienaturalna.

– Bo na wieść o śmierci męża nie zalała się rzewnymi łzami?

– Nawet nie w tym rzecz – odparł zamyślony. – Jestem w stanie zrozumieć, że im się nie układało. Ale to w końcu jej mąż, do cholery. Wzięła z nim ślub, dzieliła życie, więc musiała coś do niego czuć.

– Nie kochała go.

– Okej, nie kochała – powtórzył. – Po co więc brała z nim ślub? To jakiś absurd. Mogła się z nim rozwieść...

– Mówiła, że chciała.

– Ale tego nie zrobiła. Nie rozumiem, jak można być tak nieczułym na krzywdę drugiego człowieka. Kiedy powiedzieliśmy, że jej mąż został zamordowany, zachowywała się, jakby słuchała prognozy pogody. Do tego chciała mieć z nim dziecko, więc jednak nie pozostawał jej tak obojętny, jak próbowała pokazać.

– Może zależało jej na dziecku, a nie na nim?

– Może. Nie znam się na kobietach, ale dochodzę do wniosku, że nikt nie jest w stanie was zrozumieć.

– Ja sądzę, że Bracka nie tylko nie powiedziała nam wszystkiego, ale również nie pokazała – stwierdziła, zjeżdżając na prawy pas. Wrzuciła kierunkowskaz i ustawiła się w kolejce do zmiany świateł.

– Nie pokazała?

– Wiesz, niektórzy ludzie ukrywają swoją prawdziwą twarz, przywdziewają maskę, w której występują przed publicznością. Budują swój wizerunek jak aktorzy na scenie, a prawdziwe emocje skrywają pod spodem. Bracka tylko udaje chłodną panią menedżer.

– Uważasz, że po naszym wyjściu wybuchła płaczem? – spytał nieprzekonany.
– Wątpię.

– Owszem, nie wygląda na taką – odparła Lena. – Sęk w tym, czy dasz się omamić złudzeniu, czy zobaczysz prawdziwą twarz człowieka. Ja widzę, że Bracka wcale nie jest taka twarda, jak próbuje pokazać.

– Uważasz, że byłaby zdolna zabić własnego męża?

– Nie wiem – przyznała Rudnicka. – Za mało informacji, żeby wyciągać takie wnioski.

– Jeżeli ją zdradzał, Bracka miałaby motyw.

– Jeśli nie kochała Klemensa i chciała się z nim rozwieść, motyw lekko się rozmywa.

– Okej. Ale istnieje możliwość, że problemy małżeńskie to zasłona dymna.

– Rozwiń tę koncepcję.

– A jeżeli to próba zamydlenia oczu? Bracka przyznaje, że mieli problemy, bo chce odsunąć od siebie podejrzenie o morderstwo. Nie kochała męża, nie interesowała ją jego problemy, więc nie ma motywu do zabójstwa.

– Nie możemy niczego wykluczyć – stwierdziła po namyśle.

Gdy przemierzali dziedziniec kamienicy, Lena zastanawiała się nad słowami Wolskiego. Może miał trochę racji?

Uderzył ich w nozdrza zapach stęchlizny i wilgoci. Szare mury otaczały podwórko z obu stron. Rudnicka ominęła dziury w chodniku i zerknęła na odrapane, kamienne ściany. Kolorowe pseudograffiti wyrażało niepochlebne opinie o policji, ale znalazło się też kilka komentarzy odnoszących się do obecnej sytuacji politycznej.

– Gdzie ta walizka? – zapytała, gdy podeszła do umundurowanego policjanta. Chłopak dumnie wypiął pierś i wskazał na metalowy kontener.

– Dostaliśmy zgłoszenie, że ktoś ją znalazł – odparł. – W środku były dokumenty, więc może dlatego znalazca postanowił wezwać policję.

– Kto zadzwonił?

– Anonimowe zgłoszenie.

Jakżeby inaczej, pomyślała.

– Otwieraliście ją? – spytała, przenosząc wzrok na drugiego mundurowego. Ten pogładził dłonią zarost i kiwnął głową.

– Tak – powiedział. – Dlatego zadzwoniliśmy do ciebie. To dokumenty twojego trupa z parku.

– Wezwaliśmy technika i czekaliśmy na panią, pani komisarz – dodał młodszy.

– Prawidłowo, chłopcze – powiedziała Lena, po czym założyła lateksowe rękawiczki. Przykucnęła i otworzyła walizkę. – Ciuchy, ciuchy, ciuchy – mruknęła. – Co to, kurwa, jest? – Wyjęła prążkowany sweterek i przyjrzała mu się z dezaprobatą.

– Joanna Horodyńska i Tomasz Jacyków byliby niepokieszeni – stwierdził Wolski, krzyżując ramiona na piersi.

– Kto? – Uniosła wzrok.

– Horodyńska i Jacyków – odparł. – Prowadzą program w telewizji, gdzie oceniają stroje gwiazd i innych...

– Stop! – Wystawiła dłoń. – Nie chcę tego słuchać.

Wyjęła z walizki portfel i przejrzała dokumenty.

– Faktycznie należy do Chmielnego – powiedziała, chowając dowód osobisty. – Forsy nie ma. Pewnie znalazca się zainteresował, ale co z telefonem?

– Nie było – odparł mundurowy.

– Cholera. No dobra, przynajmniej wiemy, że Chmielny planował wycieczkę.

– Ciekawe dokąd? – zapytał Marcel.

Lena wstała. Przy kamiennym murku pod oknami kamienicy kręciło się trzech chłopaków w zdecydowanie za dużych bluzach, którzy rzucali policjantom wyzywające spojrzenia. Całą postawą eksponowali swoje niezadowolenie z wtargnięcia policji na ich terytorium. Z kapturami na łysych czaszkach bujali

się w rytm muzyki płynącej z przenośnego głośnika. Najniższy splunął i ostentacyjnie przechylił butelkę piwa.

– Poczekajcie na technika – poleciała mundurowemu. – Pogadam z tymi przyjemniaczkami.

– Oczywiście, pani komisarz. – Młodszy po żołniersku energicznie skinął głową.

Włożyła ręce do kieszeni i przeszła przez podwórko. Marcel stał, patrząc na oddalające się plecy komisarz, ale zaraz się zreflektował, podbiegł i zrównał się z nią w połowie drogi.

Jeden z chłopaków naciągnął ciasniej kaptur i rozstawił szeroko nogi, manifestując gotowość do odparcia ataku intruzów.

– Jebać policję, co? – zagadnęła, wskazując na czerwony napis nad ich głowami. Autorowi zadrżała ręka, bo „ę” było rozmazane.

– Czego? – warknął młodzik, wychodząc naprzeciw.

– „Chuj” pisze się przez „ch”.

Litery zdobiące murek lekko wyblakły, ale przekaz wciąż dało się odczytać.

– Nie gadam z psami.

Chłopak podciągnął rękawy patriotycznej bluzy i odsłonił tatuaż z logo zespołu hiphopowego.

– Nie macie nic innego do roboty? – zapytała. – Cały dzień tak sterczycie?

– A co, nie można? – odezwał się najszerszy. – To wolny kraj.

– Kraj wolny, ale ty zaraz wolny nie będziesz.

– No co? Co, kurwa?

– Grzeczniej – wtrącił Marcel, przesuwając się bliżej Leny.

Policjantka najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia, ale Wolski wiele razy spotykał podobnych typów. Ci tutaj nie wyglądali na miłych chłopaków z sąsiedztwa.

– Znaleźliśmy walizkę – powiedziała Rudnicka. – Widzieliście, żeby ktoś kręcił się po podwórku?

– Nic nie widziałem i nie słyszałem.

– Wiesz czy nie?

– Mówiłem, że nie gadam z psiarnią. Głucha jesteś, paniusiu?

– Skończ pierdolić, bo zaraz inaczej pogadamy – warknęła i skrzyżowała ramiona.

– Co nam zrobisz? – zaatakował koleś z tatuażem. – Zwiniesz nas? Ciekawe za co. Tylko sobie stoimy.

– Ta? A ciekawe, co tam miętosisz, co?

Marcel zawiesił wzrok na wielkiej kieszeni pośrodku bluzy. Chłopak przestąpił z nogi na nogę, ale nie dał się zbić z tropu. Jego twarz wciąż wyrażała młodzieńczą butę.

– Trawka czy coś lepszego? – ciągnęła Rudnicka. – Chcesz uniknąć problemów? Gadaj, co widziałeś.

– Gównno – warknął. – Nie masz podstaw, żeby mnie przeszukać.

Westchnęła, teatralnie załamując ręce.

– Zaraz zepsujesz mi humor – ostrzegła. – A i tak jest nadpsuty przez tego obok. – Wskazała Wolskiego. – Zapewniam, że kiedy jestem zła, robię się wyjątkowo wredna. To chyba dziedziczne, bo moja babcia była taka sama. Więc dla dobra twojej kartoteki radzę, zacznij współpracować, bo inaczej mój nowy kolega zamknie cię na czterdzieści osiem. Posiedzisz i przemyślisz sprawę, a obiecuję, że w tym czasie z pewnością coś na ciebie znajdę. Sam zdecyduj, czy wolisz noc w areszcie, czy...

– Nic nie znajdziesz – przerwał jej, ściskając zawiniątko w kieszeni. – Jestem czysty.

– Ciekawe, bo mam trzech świadków, i to nie byle jakich, bo są to policjanci, którzy potwierdzą, że cała wasza trójka na mnie napadła. Artykuł dwieście dwadzieścia trzy, mówi ci to coś? Z chęcią przyklepię ci dychę w sanatorium. Może wyjdiesz po ośmiu za dobre sprawowanie.

– Na nikogo nie napadłem!

– Marcel, napadli czy nie? – zwróciła się do Wolskiego.

– Byli wyjątkowo agresywni.

– No widzisz. – Uśmiechnęła się. – Jak myślisz, komu uwierzy wymiar sprawiedliwości? Trzem dilerom czy czterem policjantom?

– Dobra już – przemówił największy. – Nie chcę żadnych problemów. To jakaś psychopatka – stwierdził, zerkając na sierżanta.

Marcel wzruszył ramionami.

– Gadaj, bo mi się spieszy – ponagliła.

– Widziałem jakiegoś typa. Chuj wie, kto to był. Obcy, znam wszystkich w kamienicy. No, ale brama jest zawsze otwarta i każdy może wejść. Przyszedł z walizą i wyrzucił do kontenera.

– Kiedy?

– Niedawno. Z dwie godziny temu.

– Jak wyglądał?

– Nie wiem – odparł, rozglądając się po podwórku, jakby w obawie, że ktoś nakryje go na rozmowie z policją. – Jak człowiek – dodał.

– No, kurwa, wiem, że nie jak mieszkaniec Saturna – odparowała Rudnicka. – Mam na myśli ubranie.

– Na łbie miał czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne.

– Tylko tyle zapamiętałeś?

Chłopak podrapał się w głowę, jakby wyłuskanie stamtąd szczegółów sprawiało mu trudność.

– Dżinsy i kurtka – powiedział po namyśle.

– Kolor? – spytał Marcel.

– Zielona chyba. Z kapturem. I brodę miał.

– Brodę?

– No.

– Jasną, ciemną?

– Kurwa, nie wiem. Normalną. Raczej jasną.

– Dotykałeś tej walizki? – spytała Rudnicka.

– A bo co?

– Bo mogą tam być twoje odciski palców.

– Dotykałem – przyznał. – Ale to nie mój kufer! Nie wrzuciłem go tam!

– Wzięłeś coś?

– Tylko kasę. Trzy stówy.

– A telefon?

– Nie było.

– Okej. Teraz powtórzysz to im. – Wskazała na mundurowych.

10

Gabinet Rudnickiej w kilka minut przeobraził się w centrum dowodzenia. Działo się tak zawsze, kiedy prowadziła ważną sprawę. Lubiła mieć wszystko w jednym miejscu i chociaż jej podwładni pracowali we własnych pokojach, najważniejsze rzeczy omawiano wspólnie, przy stole w jej gabinecie.

Rozparła się za biurkiem i wyprostowała nogi. Dzień niemiłosiernie się dłużył i gdyby wiedziała, że dzisiaj wpadnie sprawa o morderstwo, nie wypiłaby wczoraj ani kropli alkoholu. Wyciągnęła z szuflady opakowanie paracetamolu i zakłęła pod nosem. Puste. Postanowiła, że przetrwa szybką naradę, a potem wyskoczy do apteki i uzupełni zapasy.

Oparła łokcie na blacie, schowała twarz w dłoniach i potarła skronie.

– Gdzie moje biuro?

Uniosła powoli wzrok. Wolski ze splecionymi z tyłu dłońmi przechadzał się po gabinecie, oglądając każdy mebel, jakby stanowił zasób miejskiego muzeum.

– Jakie biuro?

– Biuro, biurko. Gdzie mam pracować?

– Nie wiem. Znajdź sobie coś. Nie jestem twoją niańką.

– Ale jesteś moją szefową. No, może nie formalną, ale jednak, więc powinnaś zapewnić mi godne warunki do pracy.

– Zagadaj z tatusiem. Na pewno coś ci załatwi.

– Dlaczego jako jedyna masz swój gabinet? – spytał, wyglądając przez okno.

– Najwidoczniej twój stary lubi mnie bardziej niż ciebie.

Odwrócił się na pięcie i przeszedł do regału z książkami. Wyjął jedną i przekartkował.

– Biografia Trumpa? – Zmarszczył czoło i odstawił na miejsce. – Przeczytałaś je wszystkie?

– Nie.

– To po co tu stoją?

– Dla ozdoby, kurwa. Możesz się przymknąć i przestać głądzić mi nad uchem? Idź się czymś zajmij, a nie kręcisz się bez celu jak bąk w tulipanie.

– Strasznie tu ciemno – zauważył. – Mogę odsłonić żaluzje?

– Nie.

– Jestem, kierowniczo. – Tymon Milewski wszedł do gabinetu, po czym wyciągnął dłoń do Marcela. – Jesteś tym słynnym synem komendanta? – Zaśmiał się, siadając przy stole. – Jak minął dzień z naszą panią komisarz?

Marcel uśmiechnął się w odpowiedzi i zerknął na Lenę. Komisarz ściągnęła marynarkę i zawiesiła ją na oparciu krzesła. Delikatnie zarysowane ramiona skrywały się pod materiałem białej koszulki. Marcel pomyślał, że drobna postura Leny nie pasuje do wizerunku surowej policjantki. Odwrócił się do okna, odpychając od siebie wspomnienie minionej nocy.

– Gdzie Jabłoński? – zapytała.

– Zaraz przyjdzie – odparł Tymon i założył nogę na nogę.

– Do cholery, czy on nigdy nie nauczy się przychodzić punktualnie?

– Powinnaś się przyzwyczać. Spóźniałstwo to jego drugie imię. – Milewski splótł dłonie na brzuchu. – Marcel, jak tam? Chyba miałeś słaby dzień, co? Wiem, co przeżywasz, bo sam partnerowałem kiedyś naszej szefowej. Na szczęście tylko raz!

– Jemu jest ciężko? To mnie należą się wyrazy współczucia, że muszę targać ze sobą ten worek ziemniaków.

– Wybacz jej. Zazwyczaj bywa trochę przyjemniejsza, ale na kacu jest nie do zniesienia. Gdzie wczoraj pobalowałaś, Lenka?

– Dzień dobry szanownym kolegom. Widzę, że wszyscy w komplecie, bardzo mnie to cieszy! – Ernest Jabłoński uklonił się i położył dłoń na klatce piersiowej, po czym pogładził podkoszulkę z kołnierzykiem. Przylegała do ciała niczym druga skóra, opinając nieprzesadne mięśnie ramion i płaski, wyrzeźbiony brzuch. – Wybaczcie mały poślizg, ale w przerwie na lunch zrobiłem sobie dyszkę. Za miesiąc startuję w maratonie i muszę się przygotować.

– Skończ to pieprzenie – warknęła Rudnicka, mierząc aspiranta wściekłym wzrokiem. – Przerwa na lunch? To jest komenda policji, a nie półkolonia nad morzem, do chuja.

– Oj, daj spokój. Dowiedziałem się, że prowadzimy razem sprawę, więc założyłem, że nie wrócę do domu wcześniej niż przed dwudziestą. – Z uśmiechem poprawił nażelowane ciemne włosy. – Och, my się jeszcze nie znamy. – Jabłoński wyciągnął rękę do Marcela. – No, i jak ci się u nas podoba?

– Siadaj – rozkazała, wskazując palcem krzesło przy stole.

Pracowała z Ernestem dopiero od roku i choć czasem porządnie grał jej na nerwach, nie za długo potrafiła się na niego złościć. Nie dawała się nabrać na gierki samozwańczego Don Juana, ale Jabłoński posiadał pewien urok, który sprawiał, że przez łóżko aspiranta przewijały się tabuny kobiet. Głównie młodych

studentek, które na widok policyjnej blachy same pchały się w ramiona czarującego stróża prawa.

– Nie usłyszę standardowej wiązanki o spóźnieniu? – zagadnął. – Odnotowuję podejrzenie dobrych nastrojów. Przyznaj się staremu przyjacielowi, miałaś wczoraj niezłe pukanie, prawda?

– Jeszcze słowo...

– Już, już – przerwał jej z uśmiechem na ustach. Odgarnął zaczesaną na bok grzywkę i przybrał poważny ton głosu. – Przepraszam. Chyba nie było takie dobre.

– Przeciętne – skwitowała.

Marcel przełknął ślinę. W obecności Ernesta i Tymona poczuł się nieswojo. Trójka policjantów przypominała paczkę kumpli, a do tego Jabłoński wyglądał jak model. Emanował pewnością siebie i zadowoleniem z życia. Jeśli biegowe endorfiny sprawiały, że człowiek ma taką energię, Marcel nabrał ochoty, by spróbować swoich sił w tej dyscyplinie.

– Zaczynamy? – zapytała Rudnicka. – Czy będziecie dalej mielić tymi ozorami? Młody, a ty długo zamierzasz sterczeć w tym oknie?

Wolski przeszedł przez pokój i oparł się o kant stołu. Pomimo przyjaznej atmosfery ciemność panująca w pomieszczeniu wprawiała go w posepny nastrój.

– Okej – podjęła Lena. – Sprawa wygląda tak: zamordowany Klemens Chmielny, znaleziony w parku przy Śmigłego-Rydza, lat trzydzieści pięć, księgowy z hotelu Retro, którego właścicielką jest jego żona, Dorota Bracka. Otrzymał trzy ciosy nożem. Na miejscu znaleziony blond włos i odcisk buta.

– Kto znalazł ciało? – spytał Tymon.

– Jakiś dziadek z psem – odparła. – Nie wykluczamy, że kręcił się przy zwłokach i odcisk buta należy do niego. Co prawda, nie miał na sobie traperów, gdy z nim rozmawialiśmy, ale mógł zmienić obuwie.

– Co dalej?

– Ci twoi interesanci, którzy przyszli rano, to jego rodzice. Zgłosili zaginięcie, twierdzili, że syn nie kontaktował się z nimi od poniedziałku. Żona mówiła, że wyszedł około osiemnastej do sklepu; i tu mamy dwie sprzeczne wersje, ponieważ rodzice uważają, że denat wyszedł po wodę. Tak powiedziała im żona, a przy nas stwierdziła, że poszedł po papierosy.

– Co za różnica?

Komisarz spojrzała na Tymona z powątpiewaniem.

– Znaleziono coś przy ciele? – spytał Ernest.

– Nic, jeśli chodzi ci o dokumenty i telefon, ale do tego zaraz przejdziemy. Natomiast blond włos na marynarce nie należy do żony. Bracka jest brunetką.

– Odciski?

– Mam nadzieję, że Liz wyrobi się do jutra – odparła, krążąc po pokoju. – Ktoś zgłosił anonimowo, że w kontenerze na podwórku jednej z kamienic znajduje się walizka. Pojechaliliśmy tam z Wolskim i okazało się, że w środku oprócz ubrań były dokumenty Chmielnego. Los nam nie sprzyja i telefonu ani śladu, ale już przekazałam technicznym informacje, więc może uda im się go namierzyć.

– Kto znalazł walizkę?

– Przycisnęłam jednego dilera, który przyznał, że widział na dziedzińcu brodatego faceta z walizką.

– Więcej szczegółów? – dopytał Tymon.

– Broda, okulary przeciwsłoneczne, czapka z daszkiem, zielona kurtka i dżinsy. Ćpunek nie jest zbyt spostrzegawczy.

– Wiemy coś więcej o zamordowanym?

– Same nudy – odparła. – Porządny księgowy. W opinii rodziców kochający mąż, spokojny i bezkonfliktowy. Żona zeznała natomiast, że ich małżeństwo było fikcją i chcieli się rozwieść.

– Kłótnie?

– Głównie na tle finansowym, ponieważ Retro to ruina, denat chciał inwestować w remont, a żona obawiała się długów i była przeciwna. Poróżnił ich też brak dziecka. Bracka ponoć była bezpłodna, ale próbowała namówić męża na adopcję. Zgłosiła się do ośrodka adopcyjnego, ale Chmielny nie stawiał się na spotkania. W dzień zaginięcia posprzeczali się o kwestię dziecka, Klemens wyszedł z hotelu i już nie wrócił.

– Rozmawialiście z pracownikami?

– Nie zdążyliśmy, bo dostałam informacje o walizce.

– Wiemy, czy denat miał wrogów?

– Podobno nie, ale mamy za mało informacji. Wybieramy się znów do hotelu, żeby pogadać z pracownikami i przeszukać apartament, w którym mieszkał Chmielny z żoną.

– Powinniśmy się dowiedzieć, co denat robił przez te dwa dni, kiedy zniknął z domu – zauważył Tymon.

– Tak – przyznała. – Dlatego sprawdzicie z Ernestem okoliczne hotele, pensjonaty i tak dalej.

– Mówiłaś, że w walizce znaleźliście dokumenty i ubrania – zauważył Ernest. – Czyli wszystko wskazuje na to, że Chmielny chciał wyjechać?

– Być może – odparła. – Albo postanowił wyprowadzić się z domu.

– Żona nie widziała go od kłótni?

– Twierdzi, że nie, ale trzeba podpytać ją, czy wyszedł z walizką. Jeżeli bez walizki, są dwie możliwości: albo przygotował ją wcześniej, czyli planował ucieczkę, albo wrócił do hotelu i spakował rzeczy.

Marcel nerwowo potarł kark. Czuł, że powinien coś powiedzieć, bo od początku narady nie wydusił z siebie ani słowa.

– W parku są kamery? – spytał Tymon.

– Pojedźcie do Centrum Monitoringu Miejskiego – odparła Lena. – W pobliżu miejsca znalezienia zwłok nie ma kamer, ale może denat załapał się gdzieś w alejkach. Trzeba sprawdzić też poprzednie miejsce pracy, firmę Let-Bud. Jedźcie tam i popytajcie, może dowiemy się o Chmielnym czegoś więcej. – Westchnęła. – Ja zabieram mój ogon i pojedziemy do hotelu. Pokojówką jest blondyna, więc jeśli szczęście się do nas uśmiechnie, szybko uwiniemy się z tą sprawą. Aha, i jutro rano przyjedzie prokurator.

– Okej, czyli dzwonię do Pauliny, żeby nie czekała z kolacją – stwierdził Tymon, wyciągając telefon.

– Jak córa? – spytał Ernest, wstając z krzesła. Rozprostował plecy i odetchnął głęboko.

– Przeziębienie. Posiedzi parę dni w domu. Nie wiem, czy Paulina dostanie wolne. Jeśli nie, poprosimy teściową. Och, bym zapomniał! – zawołał. – Wpadniecie do nas jutro? Paula ma urodziny.

Lena zgarnęła z biurka kluczyki do samochodu.

– Ty zapomnij, że dostaniesz wolne – powiedziała do Tymona. – Młody, idziesz czy zostajesz?

– Nawet nie śmiałybym o to prosić – odparł Milewski z uśmiechem. – To jak? Wpadniesz? Nie udawaj, że nie słyszałaś, co mówiłem.

– Nie mam czasu – bąknęła, zakładając marynarkę.

Ruszyła do drzwi, ale Tymon zaszedł jej drogę.

– Daj spokój, Lena – zaoponował. – Napijemy się, posiedzimy. Będzie miło.

Spodziewał się takiej reakcji. Rudnicka nie lubiła przyjęć i powtarzała to za każdym razem, kiedy dostawała zaproszenie.

– Moja osobowość nie jest stworzona do...

– Paula się ucieszy – przerwał. – Marcel, liczę, że również się pojawisz.

Wolski nieśmiało skinął głową.

– Zastanowię się – rzuciła Lena.

Kiedy wyszli na zewnątrz, słońce skryło się za chmurami, a policyjny parking zatonął w odpychającej szarości. W powietrzu było czuć nadchodzącą ulewę.

– Coś nagle przycichłeś – zauważyła Rudnicka.

– Przepraszam. Po prostu...

Oparł się o maskę samochodu i wyciągnął paczkę westów. Rudnicka stanęła naprzeciwko, lustrując Wolskiego od góry do dołu. Jego twarz pobladła, przybrała anemiczny ocień, a piwne oczy zmętniały. Przypominał jej zagubionego chłopca. Uciekał wzrokiem, ruchy miał niezgrabne i chaotyczne. Paczka papierosów wypadła mu z rąk. Schylił się więc, by ją podnieść, ale Rudnicka go uprzedziła.

– Muszę zapalić – powiedział z wahaniem i spojrzął w zachmurzone niebo. Kilka gołębi przeleciało nad ich głowami i usiadło na pobliskim drzewie.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała, miętosząc paczkę w ręce.

Marcel odetchnął głęboko. Sam chciałby znać odpowiedź na to pytanie. Na chwilę zapadło milczenie, zakłócanie gruchaniem gołębi.

– Powinniśmy wyjaśnić sobie parę kwestii – stwierdził.

– Mhm, mianowicie jakich?

W gabinecie zauważył w Rudnickiej coś, co sprawiło, że poprzedniego dnia odważył się podejść do obcej kobiety. Zawsze podziwiał mężczyzn, którzy posiadali śmiałość ułatwiającą im kontakty z płcią przeciwną. On nigdy taki nie był. Każdy związek, jaki udało mu się stworzyć, zaczynał po długiej znajomości. Teraz uświadomił sobie, że komisarz zafascynowała go nie tylko w zawodowy sposób. Wiedział, że musi to przerwać, aby móc z nią pracować. Trzeba wyjaśnić sprawę raz na zawsze.

Odchrząknął.

– Jesteś moją przełożoną – zaczął, ale głos miał niewyraźny. Odchrząknął raz jeszcze i kontynuował: – Wiem, że nasza znajomość zaczęła się nie tak, jak powinna, więc uważam, że przegadanie tej sprawy przyniesie obopólne korzyści.

– Jakiej sprawy?

– Tej.

Parsknęła.

– Masz z tym problem? – zapytała, ale w jej głosie nie usłyszał przygany.

Westchnął i poczuł nieodpartą chęć, by zapalić papierosa.

– Mogę? – spytał niczym uczeń, proszący nauczycielkę o zgodę na wyjście do toalety.

Na widok jego pełnej napięcia miny omal nie wybuchła śmiechem. Powstrzymała się. Uniosła dłoń i podała mu paczkę westów.

Zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym z namaszczaniem. Nikotyna działała na niego uspokajająco.

– Posłuchaj – zaczęła Lena, umieszczając ręce w tylnych kieszeniach spodni. Przeszła się kawałek, zakręciła na pięcie i obróciła w jego stronę. – Nie zaciągnąłeś mnie do łóżka siłą. Posiadam taki magiczny organ jak mózg i nie jestem ubezwłasnowolniona. Ponadto, dowód osobisty odebrałam lata temu, mam prawa wyborcze i ponoszę odpowiedzialność za popełnione występki, więc naprawdę nie ma o czym gadać.

– Strasznie niefortunny start – wymamrotał nieprzekonany.

– Bywa.

– Jeżeli wczorajsza noc ma zaważyć na wspólnej pracy, poproszę ojca o przeniesienie.

Rudnicka zmarszczyła brwi. Mimo początkowej niechęci do sierżanta Wolskiego musiała przyznać, że ten pomysł w ogóle się jej nie spodobał.

– Nie – odparła. – To niczego nie zmieni, więc przestań już mendzić, bo nie znoszę ludzi małostkowych.

Wyrzuty sumienia dopadły nie tę osobę, co trzeba. Zważając na stan cywilny Rudnickiej, skrucha Marcela była ujmująca.

– Błahych spraw?

Wyrzucił niedopałek i wyjął kolejnego papierosa.

– Musisz kopcić jak parowóz? – burknęła. – Nie dość, że się kisisz w smogowym powietrzu, to jeszcze zanieczyszczasz atmosferę i na własne życzenie psujesz sobie zdrowie.

– Nie uwierzę, że nagle zaczęłaś się martwić moim zdrowiem.

Niespodziewanie się rozluźnił, jakby nerwy uleciały razem z papierosowym dymem. Nie wiedział, czy osiągnął ten stan dzięki uzupełnieniu poziomu nikotyny we krwi, czy lekkie podejście Rudnickiej podziałało na niego kojąco, ale dalsze zgłębianie tego tematu wydawało się zbędne.

– Wiesz, że dziennie w Polsce umiera ponad tysiąc osób? A ty sam hodujesz sobie raka. Od razu powiedz, jaki lubisz kolor, to zacznę wybierać znicze na twój grób. A właśnie! – Uniosła wskazujący palec. – Lastryko czy granit? Na twoim miejscu wybrałabym lastryko, podobno lepiej się czyści, ale z drugiej strony granit znacznie ładniejszy. Sama nie wiem, co lepsze.

– Khaki.

– Pomnik khaki? To byłaby dopiero awangarda na cmentarzu.

– Pytałaś, jaki lubię kolor – odparł, strącając popiół.

– No wybacz, ale zniczy w kolorze khaki nie widziałam, ale jak będą cię stroić do trumny, podpowiem, żeby założyli ci tę zgrabną kurteczkę, którą masz na sobie. Akurat wpisuje się w twoje upodobania.

– Co ci się w niej nie podoba? Widziałem ją w Zarze...

– Ja też ją widziałam – przerwała mu. – Wiesz gdzie? Na korytarzu liceum przy Pomorskiej. A! No i w teledysku twojego idola. Nie oglądam telewizji, ale pech chciał, że trafiłam na to... coś. Opalone laski kręcące tyłkami przy drogich furach to twoje klimaty, co?

– Nie wiem, skąd ten wniosek... Nie słucham żadnego Justina...

– Uważaj, bo uwierzę – weszła mu w słowo. – Pal szybciej. Musimy podjechać do apteki. Nie zamierzam sterczeć tutaj przez cały dzień.

– Próbuję rzucić – oznajmił, wyciągając plastikowe opakowanie gum antynikotynowych.

– Na twoim miejscu zmieniałabym producenta tego specyfiku, bo najwyraźniej nie działa. Palacz próbujący rzucić, który w jednej ręce trzyma papierosa, a w drugiej pigułki antynikotynowe, to raczej słaba reklama.

– Jesteś jednym z nielicznych gliniarzy, którzy nie palą. Wszyscy, których znam...

– Albo rzucili, albo kopcą jak lokomotywy? Zaliczam się do tej pierwszej grupy. W przeciwieństwie do ciebie posiadam coś takiego jak silna wola. Przerabiałam milion tabletek, ale bez powodzenia. Nie pytaj, ile kasy wydałam na to gównno.

Rozstanie z nałogiem to jedno z postanowień noworocznych, jakie Marcel stawiał sobie od pięciu lat. Bez powodzenia.

– Tobie też radzę rzucić to świństwo – dodała, próbując odczytać cokolwiek z twarzy Wolskiego. Na szczęście prezentował ciut lepszą formę niż parę minut temu. Odetchnęła z ulgą, bo naprawdę wolała uniknąć rozmowy o wczorajszej nocy.

11

Klemens Chmielny przycinał gałęzie jabłoni. Pojedyncze pędy rozrosły się i zasłoniły podjazd splątaną siecią usianą zazielenionymi listkami. Wiosna nie zdążyła jeszcze na dobre się rozgościć, ale młode papierówki poczuły pierwsze promienie słońca. Dopiero za miesiąc drzewa pokryją się różowobiałymi pączkami. Klemens uwielbiał ten czas. Przechadzał się wśród drzew i wdychał świeży zapach kwiatów. Wkrótce pojawiają się pierwsze owoce, a jabłonki przyciągną chmury much i os, które nawiedzą podwórko Chmielnych w poszukiwaniu podgniętych owoców. Na widok tego obrzydliwego robactwa najchętniej powycinałby wszystkie drzewa i pozbył się niechcianych gości.

Żona kochała rośliny. Całe podwórko ozdabiała kolorowymi kwiatami, ale Klemens nie znał nazwy żadnego z nich. Czasem, kiedy Władysława doglądała swoich podopiecznych, jemu robiło się ciepło na sercu. Czasem. Najczęściej patrzył na rośliny z irytacją, bo właśnie jemu przypadał najgorszy z ogrodowych obowiązków.

Klemens grabił liście, kosił trawę i przycinał niesforne gałęzie z jednego powodu: uważał, że praca fizyczna to męska specjalność. Najbardziej denerwowały go te cholerne jabłonki. Tu przyciąć, tam spryskać. Gdyby nie chemiczne specyfiki, na tej marnej papierówce nic by nie urosło. Prychnął zdenerwowany. Jeśli żona chciała mieć owoce z przydomowego ogródka, powinna sama się nimi zajmować.

Zachwiał się na niestabilnej drabinie. Był pewien, że za te wygibasy przypłaci wieczornym bólem biodra. Sekator ciążył mu w dłoni. Została ostatnia gałąź i wreszcie położy się na kanapie.

Już dawno nie czuł się tak źle. Biodro dokuczało mu od kilku miesięcy, ale teraz największy ból znajdował się gdzie indziej – w sercu. Jego syn został zamordowany. „Zamordowany”, słowo, które bez przerwy kołatało się w jego głowie. Klemens nie uronił przy policjantach ani jednej łzy, ale kiedy wyszli, zamknął się w piwnicy i płakał jak dziecko. Mężczyzna nie powinien okazywać słabości. Prawdziwy mężczyzna powinien być twardy jak gład. Tego nauczył się w wojsku i to samo wpajał synowi, ale junior już od małego był inny. Klemens próbował zachęcić go do bardziej męskich zabaw – kupował wyścigówki, małe

traktorki i plastikowe żołnierzyki, ale jedynek wciąż siedział z nosem w książkach. Co za pech, że jego syn okazał się taką porażką!

Klemens już planował jego przyszłość w służbie dla kraju. Kupił mu nawet dziecięcą wersję munduru, ale dwunastoletni junior rzucił strój w kąt. Serce mu pękło, kiedy zobaczył, jak chłopak depta brudnymi butami coś, co dla Klemensa seniora było najwyższą wartością. Stracił nad sobą panowanie i sprzął syna tak, że dzieciak nie siadał na tyłku przez cały tydzień. Zabrał mu książki. To wszystko przez Władysławę, pomyślał. Żona niańczyła syna, jakby był niepełnosprawny, a potem wyrósł na głupiego księgowego. Co za wstyd! Koledzy z armii chwalili się, że pociechy studiują prawo albo medycynę, a niektórzy, kultywując rodzinne tradycje, poszli do wojska. A jego syn został zwykłym księgowym!

Klemens senior zaklął pod nosem. Niepewnym ruchem zszedł z drabiny. Czuł się jak niedołączony cyrkowiec. Odrzucił sekator w kąt garażu. Nawet nie zauważył, kiedy łzy znowu napłynęły mu do oczu.

Czy to jego wina, że dziecko musiało umrzeć?

12

Szare niebo wisiało nad głowami mieszkańców Łodzi, a podmuchy zimnego wiatru wdzierały się zuchwale, przenikając przez materiały cienkich kurtek. Po porannym słońcu nie było śladu. Żółta kula schowała się za ciemnymi chmurami, a miasto posmutniało jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Z twarzy przechodniów zniknął uśmiech, zastąpiony posępną miną. Ludzie przemykali po chodnikach, klnąc pod nosem na podrywane do góry parasolki i deszcz głośnie dudniący o dachy budynków. Nadciągała prawdziwa nawałnica. Powietrze gęstniało z minuty na minutę, jakby natura zbierała siły do ostatecznego natarcia.

Tymon Milewski zaczerpnął powietrza i zasunął suwak kurtki. Rano było tak ładnie, pomyślał, żałował teraz, że nie posłuchał żony. Paulina przypominała, żeby wziął parasolkę, bo zapowiadano deszcz. Żona zawsze ma rację, zaśmiał się w duchu i na myśl o rodzinie zrobiło mu się ciepło na sercu.

Rodzina zawsze była dla niego najważniejsza. Kiedyś sądził, że coś jest z nim nie tak, kiedy jego koledzy przebierali w dziewczynach jak w ulęgawkach, a on marzył tylko o tym, by znaleźć tę jedną jedyną, zostać ojcem i kochającym mężem. Był wdzięczny losowi, że postawił na jego drodze Paulinę. Dla niej chciał stworzyć dom.

Wiadomość o ciąży Pauliny była jak wygrana na loterii. Mała Karolinka stała się oczkiem w głowie i choć starał się wychowywać ją zgodnie z ustalonymi przez matkę zasadami, dziewczynka miała sposoby, by udobruchać ojca w niemalże każdej sprawie. Tymon zrobiłby wszystko, aby jego mała księżniczka była szczęśliwa.

Teraz dopadła ją choroba. Słabiutkie ciało potrzebowało opieki, a Tymon nie mógł odgonić od siebie myśli, że powinien siedzieć przy łóżku chorej córki, zamiast biegać po mieście z Ernestem Jabłońskim u boku.

Lubił aspiranta, ale od jakiegoś czasu czuł się w jego obecności nieswojo. Na tle Ernesta i jego wysportowanej sylwetki biegacza Tymon wypadał bardzo słabo. Odkąd urodziła się Karolinka, zapomniał o pielęgnowaniu dobrej formy fizycznej, jakby pojawienie się dziecka zwalniało go z obowiązku dbania o siebie. Wiele razy powtarzał, że zacznie ćwiczyć, choćby dla Pauliny, która szybko odzyskała figurę po ciąży. Żona zapewniała, że lubi jego misiowatą posturę, ale

Tymon czuł się źle we własnej skórze, jakby jego ciało należało do kogoś innego. Powinien zrzucić parę kilo, ale jak to zrobić, skoro codziennie przesiaduje na komendzie do późna? Gdy wraca z pracy, nie ma na nic siły. Z trudem udaje mu się nie zasnąć podczas czytania córce wieczornej bajki.

Ernest może sobie na to pozwolić, pomyślał. Nie ma rodziny ani nawet narzeczonej. Wieczny kawaler, który cały wolny czas poświęca siłowni, bieganiu i pięknym studentkom. Tymon czasem zazdrościł koledze. Nie tylko powodzenia u płci przeciwnej, ale również braku obowiązków i zmartwień. Jabłoński wciąż mieszka w przybudówce na podwórku matki, gdzie sprowadza nocne zdobycze. Fajnie byłoby choć na kilka dni wrócić do kawalerskich czasów.

Wspięli się po schodach prowadzących do Centrum Monitoringu Miejskiego. Ernest sprężystym ruchem przeskakiwał stopnie. Tymon musiał przystanąć i odsapnąć. Wąskie, strome schody okazały się nie lada wyzwaniem przy jego marnej kondycji.

– Oczywiście, nie ma problemu – powiedział mężczyzna w średnim wieku i podniósł się z obrotowego krzesła. – Kiedy to było?

– Wczoraj. Interesują nas nagrania od dwudziestej – odparł Ernest, który zdążył wyłuszczyć zarządcy cel ich przybycia. Najwyraźniej chwila na odsapnięcie wcale nie była taka krótka, jak się Tymonowi wydawało. Oparł dłonie na biodrach, starając się uspokoić przyspieszony oddech.

– Słaba kondycja? – zagadnął aspirant. – Przydałoby ci się trochę biegania. Wystarczy tydzień, a od razu poprawisz formę. A jaki przypływ endorfin, stary!

– Wezmę sobie twoją uwagę do serca – odparł Tymon i oparł się o ścianę.

– Paula też się ucieszy. Mówię ci, nic tak nie poprawia pożycia seksualnego, jak...

– Tu są – wtrącił mężczyzna, gładząc koszulę z emblematem Straży Miejskiej. – Proszę.

– Możemy obejrzeć? – spytał Tymon. Oddech powoli się wyrównywał, co ułatwiało mu prowadzenie normalnej rozmowy, bo nie dyszał już jak zziębnięty pies.

Mężczyzna uruchomił nagranie przedstawiające wejście do parku i przewinął film na godzinę dwudziestą. Policjanci szukali mężczyzny ubranego w bladozieloną koszulę i garniturowe spodnie. W przyspieszonym tempie oglądali głównie wieczornych biegaczy, nastolatków kryjących pod kurtkami butelki z alkoholem i spacerowiczów z psami.

Strażnik zmienił taśmę i powtórzył tę czynność jeszcze dwa razy. Policjanci na żadnym nagraniu nie zobaczyli Klemensa Chmielnego. Tymon zmrużył oczy,

które od uporczywego wpatrywania się w monitor komputera stały się suche i piekące.

– Niech pan zatrzyma – polecił Ernest. – I cofnie o pięć minut.

Na ekranie zobaczyli Klemensa Chmielnego. Szedł pewnym krokiem, a w prawej ręce trzymał czarną aktówkę.

– Która to godzina?

– Dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć – odczytał Tymon.

– Co to za teczka? – spytał Ernest. – Była na miejscu, kiedy go znaleziono?

– Rudnicka nic nie mówiła, więc pewnie nie.

– Z jakiej części parku pochodzi to nagranie?

– Główna alejka od Śmigłego – odparł strażnik.

– Proszę uruchomić zapis z następnej kamery.

Trzy kolejne nagrania przedstawiały Klemensa idącego przez parkowe uliczki. Przy czwartej postaci Chmielnego już się nie pojawiła.

– To wszystko? – spytał Tymon.

– Tak – potwierdził mężczyzna. – Kamery są umieszczone w strategicznych miejscach, ale jeśli panowie odwiedzili kiedyś ten park, powinni wiedzieć, że nie należy do najmniejszych. Ma powierzchnię ponad dwudziestu hektarów, więc jeżeli człowiek, którego szukacie, skręcił w zarośla, których jest sporo, lub w mniej uczęszczaną uliczkę, kamery mogły go nie uchwycić.

– Faktycznie w strategicznych miejscach – burknął Tymon.

– Proszę pana, monitoring z założenia miał chronić najważniejsze obiekty w parku – powiedział zarządca, nie kryjąc zdenerwowania. – Tam gdzie zbiera się wieczorami młodzież i popija alkohol. Wie pan, jakich zniszczeń dokonano kiedyś na placu zabaw dla dzieci?

– Rozumiem – zapewnił Ernest z uspokajającym gestem. – Przejrzymy jeszcze raz nagrania. Może przeoczyliśmy kogoś podejrzanego, kto pojawił się w tych alejkach przed Klemensem.

– Albo po Klemensie – dodał Tymon.

– Albo po Klemensie – przytaknął Ernest. – Chcielibyśmy wypożyczyć te nagrania – zwrócił się do strażnika.

– Oczywiście.

Ernest zgarnął taśmy i podziękował zarządcy, ale ten zbył go machnięciem ręki.

Tymon zarzucił kaptur na głowę. Silny wiatr szybko go zerwał, więc nałożył kaptur ponownie i przytrzymał go rękoma. Służbowego opla zaparkowali trzysta metrów dalej, ale powinni zdążyć przed nadchodzącą nawałnicą.

13

Dorota Bracka na widok zbliżającej się dwójki policjantów przełknęła ślinę. Serce zabiło szybciej nie tylko ze stresu. Sierżant sztabowy Marcel Wolski szedł zwinnym, zwawym krokiem, jakby przechadzał się po wybiegu, a nie po korytarzach obskurnego hotelu Retro. Bracka przygładziła spódnicę. Może gdyby nie obecność pyskatej policjantki, udałoby się zaprosić sierżanta na małego drinka? Klemens dbał o to, żeby barek był zawsze dobrze zaopatrzony, a stróżowi prawa też należy się chwila relaksu.

- Chcemy obejrzeć apartament – zaanonsowała Rudnicka.
- Mój apartament? – spytała Dorota Bracka, zerkając na policjanta.
- A niby czyj?
- Oczywiście, zapraszam.

Poprowadziła funkcjonariuszy na ostatnie piętro. Tym razem Lena starała się omijać wzrokiem zapuszczone ściany. Gdyby spędziła tutaj noc, przez następne pół roku na pewno dręczyłyby ją koszmary.

Bracka gestem zaprosiła ich do środka.

Apartament został gruntownie odnowiony. Rudnicka pomyślała, że gdyby tak wyglądały wszystkie pokoje w hotelu Retro, Bracka nie opędziłaby się od klientów, szczególnie tych z zasobnym portfelem. Mieszkanie urządzono w skandynawskim stylu, w którym od kilku lat lubowała się cała Polska. Proste formy w połączeniu z minimalizmem dobrze oddawały sposób bycia Doroty Brackiej. W oczy rzucał się designerski żyrandol wiszący nad stołem z niemalowanego drewna. Ogromna, sześćoosobowa kanapa oddzielała pomieszczenie dzienne od kuchni, a wokół unosił się zapach kwiatów, tłoczących się na niskim parapecie. Kolorowe wazony nieco ożywiały szaro-białe wnętrze.

- Proszę. Co chcecie tutaj oglądać? Może obrazy? – spytała Bracka z przekąsem.
- Za pseudodzieła sztuki raczej podziękuję – odparła Lena. – Chciałabym zobaczyć gabinet męża.
- Jeśli pani pozwoli – dodał Marcel.
- Oczywiście, zapraszam. – Bracka przeszła wąskim korytarzem i wskazała na drzwi. – To królestwo mojego męża, więc nie odpowiadam za to, co zastaniecie

w środku. Praktycznie tam nie wchodziłam.

– Zajmę się gabinetem, a ty porozmawiaj z panią – poleciła Lena Wolskiemu.

Marcel spojrzał zaskoczony.

– Zrobię kawy – oznajmiła Bracka wyraźnie rozochociona i zaprosiła sierżanta do salonu. Niechętnie poszedł za nią.

Rudnicka rozejrzała się po gabinecie Chmielnego. Jak się spodziewała, w pomieszczeniu panował perfekcyjny porządek. Pokój wyglądał jak żywcem wyjęty z katalogu sklepu meblarskiego. Lena wyczuwała rękę architekta wewnątrz. Koce leżące na kanapie złożono w idealną kostkę, a przedmioty na biurku ustawiono w rzędzie od najmniejszego do największego.

Zajrzała do gabloty i przejechała palcem po tytułach. *Rachunkowość w biznesie*, prychnęła. Ludzie potrafiący poruszać się w świecie liczb wciąż stanowili dla niej zagadkę. Dla Leny matematyka była czarną magią, a matematycznym Mount Everestem i jednocześnie kulą u nogi w liceum okazała się geometria. Zeszyt wyglądał jak krajobraz po bitwie, a gdy nauczycielka brała go do ręki, patrzyła na Lenę z obrzydzeniem. Może stąd awersja do ohydnych obrazów, które zawiesił na ścianie mąż? Kanciaste i nierówne graniastosłupy przypominały prace rosyjskiego malarza Wassilego Kandinskiego, tylko wtedy nikt nie nazywał tego sztuką.

Odsunęła szufladę i wyjęła plik dokumentów. Szybko je przekartkowała. Przychody hotelu były znikome w porównaniu z wydatkami. Utrzymanie tak dużego obiektu z tym saldem na koncie granoczyło z cudem, a za kilka miesięcy Chmielnym groziło bankructwo.

Zajrzała do kolejnej szuflady i wyciągnęła czerwoną teczkę. Zsunęła gumkę i gwizdnęła z zadowolenia. Wreszcie coś ciekawego, pomyślała. Wsunęła kartkę do kieszeni.

Otworzyła cienkiego laptopa, którego ekran rozświetliła powitalna animacja Windows i domagała się podania hasła. Lena zacisnęła usta i zakręciła się na obrotowym fotelu. Ludziom raczej brakuje kreatywności w wymyślaniu haseł. Przypomniał się jej poranek, gdy Krzysztof czytał artykuł, mówiący o standardowych hasłach Polaków. Szybko odszukała odpowiedni dokument, przeleciała wzrokiem i wpisała datę urodzenia.

System ją wpuścił. Uśmiechnęła się z satysfakcją i schowała dokument do szuflady.

– No i co tu mamy... – mruknęła, przeglądając pliki.

Rozliczenia w Excelu i firmowe maile jej nie interesowały. Ominęła folder z pozycjami naukowymi dotyczącymi najnowszych badań nad finansami skarbu

państwa i kliknęła folder zatytułowany „Rodzina”. Zdjęcia z wakacji znad morza, z rodzinnego grilla, z wycieczki do lasu. Lena beznamytnie naciskała strzałkę w prawo, kiedy nagle zawiesiła palec. Cofnęła się o dwie fotografie.

Brunetka z burzą ciemnych loków uśmiechała się na tle fioletowych kwiatów. Wyglądała na nie więcej niż trzydzieści lat. Rudnicka powiększyła plik w poszukiwaniu jakiegoś szczegółu lokalizacyjnego, ale w tle nie dostrzegła nic oprócz płataniny orchidei. Zakłęła pod nosem, wyciągnęła telefon i zrobiła zdjęcie.

Wstała, upewniwszy się, że kartka, którą schowała w kieszeni, jest na swoim miejscu, i wyszła z pokoju.

Dorota Bracka siedziała zdecydowanie za blisko Marcela. Sierżant bawił się nerwowo kubkiem, przesuwając go z jednej strony na drugą.

– Zbieraj się, młody. – Rudnicka stanęła w półkroku, zastanawiając się, czy powinna zapytać żonę Chmielnego o zdjęcie kobiety w komputerze męża. Uznała jednak, że nawet jeśli Bracka rozpozna dziewczynę, nie powie im prawdy. Żona denata coś ukrywała, tylko co?

Wolski z nieskrywaną ulgą szybko podniósł się z krzesła. To samo postanowiła zrobić Bracka i niemal zetknęli się głowami. Marcel szybko odskoczył na bok, jakby krótka rozmowa z Bracką wystarczająco go onieśmieliła.

– Przepraszam – bąknął.

– Nic się nie stało. – Bracka położyła dłoń na jego ramieniu. Marcel poszukał ratunku u szefowej, ale spotkał się jedynie z kpiącym uśmiechem. – Gdyby pan zmienił zdanie, proszę się nie krępować – dodała.

– Chciałabym porozmawiać z pracownikami – oznajmiła Lena.

Żona Chmielnego zreflektowała się i odsunęła się na stosowną odległość, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie są sami.

– Pokojówki poszły już do domu – odparła i spojrzała na zegarek. – Dozorcy też nie ma, ale Agnieszka ma na recepcji nocną zmianę, więc...

– Okej. Resztę załatwimy jutro.

Wolałyby załatwić sprawę za jednym razem, ale musieli porozmawiać ze wszystkimi pracownikami.

– Marcel, zostajesz? – spytała.

– Nie, nie – zaoponował. – Pójdę z tobą.

– Może pan zostać, zrobiłabym jeszcze kawy – odezwała się Bracka.

– Obowiązki wzywają.

Uśmiechnął się przepaszająco i szybkim krokiem wyszedł z apartamentu. Dogonił Rudnicką w połowie schodów.

– Czemu nie zostałeś? – spytała. – Tak miło wam się rozmawiało. Nie musisz się krępować.

– Zaprosiła mnie na drinka, wyobrażasz sobie? – odparł. – A dzisiaj dowiedziała się o śmierci męża.

– Widocznie wpadłeś jej w oko.

– Nie widzisz w tym nic niestosownego?

– Nie.

– Jesteś wyzuta z uczuć – skwitował pod nosem.

– Mogłeś zostać. Sama porozmawiam z recepcjonistką. Dzisiaj nie załatwimy nic więcej, więc właściwie masz już wolne.

– Zwariowałaś? Nie zamierzam flirtować z żoną denata.

– Dlaczego nie? Jak na swój wiek jest całkiem ładna. Gdyby tylko pozbyła się tego babcinego koka...

– Daj spokój...

– Zapytałeś o walizkę?

– Tak – odparł. – Bracka utrzymuje, że ostatni raz widziała męża, zanim wyszedł do sklepu.

– Ciekawe...

– Klemens nie wspomniał o żadnym wyjeździe, dalekiej podróży ani przeprowadzce. Bracka uważa, że nie wiedziała nawet o tym, że z domu zniknęła walizka.

– Może zabrał ją, kiedy Brackiej nie było w hotelu.

– Ale wtedy któryś z pracowników by go zobaczył. Na recepcji zawsze ktoś jest.

– Zaraz się dowiemy – odparła Lena, wchodząc do holu. – Ej, ty! – zawołała. Wysoka kobieta zaczesła blond kosmyk za ucho i odwróciła się w kierunku nadchodzących policjantów. – Jesteś recepcjonistką?

– Tak – odparła. – Agnieszka Mizerna.

Rudnicka zlustrowała kobietę od góry do dołu. Była od niej wyższa przynajmniej o głowę, ale zdecydowanie nie miała kompleksów z powodu nieprzeciętnego wzrostu. Obcasy kilkucentymetrowych czółenek stuknęły cicho po wyludnionym korytarzu.

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Po polsku? Mogę przejść na angielski. Mam certyfikat z Cambridge, więc nie ma problemu.

– Państwo z policji?

– Nie, z zakładu pogrzebowego.

Kobieta poruszyła się zakłopotana. Wolski ruszył recepcjonistce na ratunek.

– Przepraszam, chcielibyśmy... – zaczął.

Lena uciszyła go ruchem dłoni.

– Och, panie sierzancie – westchnęła. – Przejdźmy do rzeczy. Miałaś romans z Klemensem Chmielnym?

– Ja? – Mizerna uniosła brwi.

– Tak czy nie?

– Oczywiście, że nie! – Świeżo przypudrowana broda zadygotała.

– Tylko bez hysterii, moja droga. Przed momentem dowiedziałam się, że jestem wyzuta z uczuć, więc daruj sobie te łzy.

Rudnicka oparła się o blat recepcji i położyła dłoń na zwisającym przy pasku glocku. Agnieszka Mizerna zadrżała.

– To straszne, że ktoś... – zaczęła. – Że ktoś zamordował pana Klemensa, ale ja nie miałam z nim żadnego romansu.

– Do rzeczy – powiedziała Lena. – Kiedy ostatni raz widziałaś Chmielnego?

– W poniedziałek.

– O której?

– Wyszedł z hotelu około osiemnastej – odpowiedziała, nie spuszczać wzroku z ręki komisarz.

– Dokąd?

– Nie wiem, nie pytałam.

– Potem go nie widziałaś?

– Nie.

– Czyli w ciągu dwóch kolejnych dni nie zjawił się w Retro?

– Tego nie wiem – dyplomatycznie odparła recepcjonistka. – Ja go nie widziałam.

Rudnicka sięgnęła po ciastko leżące na ozdobnej paterze. Ugryzła kawałek.

– Zaobserwowała pani coś podejrzanego, jak na przykład niecodzienne zachowanie pana Klemensa? – spytał Wolski.

– Nie. Wszystko było jak zwykle – odpowiedziała. – Chociaż...

– No? – ponagliła ją Lena.

– Nie wiem, czy to ma znaczenie...

– Wszystko ma znaczenie.

– Wyglądał na zdenerwowanego.

– No i?

– Zapytałam, czy wszystko w porządku, a pan Klemens odpowiedział, że nic nie jest w porządku, i wyszedł.

- Jak był ubrany? – spytała, mieląc w ustach wyschniętą delicję.
- W dzinsy i bezrękawnik.
- A to ciekawe – ucieszyła się Lena. – Jaki bezrękawnik?
- Granatowy.

Wolski znacząco spojrział na Rudnicką. Oboje pomyśleli o tym samym – Klemens Chmielny w chwili śmierci był ubrany w koszulę i garniturowe spodnie.

Lena zerknęła w okno. Dorota Bracka szła przez parking z czerwoną parasolką w ręku. Wiatr podrywał ją do góry i wykrzywiał śliski materiał na drugą stronę.

- Jest tu drugie wyjście? – zapytała.
- Tak, od strony ogrodu.

Brackiej najwyraźniej bardzo się spieszyło. Złożyła parasolkę i potruchtała do samochodu. Ledwo zdążyła do niego wsiąść, a światła rozbłysły i auto wyjechało z parkingu. Ciekawe, dlaczego właścicielka Retro pofatygowała się dłuższą drogą? Z nieba deszcz lał się strumieniami, a z głównego wejścia droga na parking była połowę krótsza.

– Jest jeszcze jedna rzecz, ale nie wiem, czy powinnam o tym mówić... – Pociągnęła twarz Agnieszki Mizерnej nieco się rozluźniła, jakby obawa przed ewentualnym gniewem szefowej odjechała razem z czarnym punto.

– Jaka?

– Kiedy zaczęłam zmianę, nie znalazłam księgi gości – powiedziała ściszym głosem. – Odkąd tu pracuję, zawsze leży na ladzie i jest skrupulatnie uzupełniana. To tradycja tego hotelu. Każdy gość składa w księdze pamiątkowy podpis. Zapytałam o to panią Bracką, ale mnie zbyła i zabroniła zawracać sobie głowę takimi rzeczami. Uznałam, że to dziwne, bo zawsze dbała o uzupełnianie wpisów.

– Co dalej?

– Znalazłam księgę na dnie szafy i zobaczyłam, że ostatnia strona została wyrwana.

– Jak to?

– Pani Bracka w ogóle się tym nie przejęła. Dziwne, bo ta księga to jej oczko w głowie.

– Wiesz, kto wyrwał kartkę?

– Nie. Teoretycznie wszyscy goście mają dostęp do księgi, ale ona leży na ladzie, więc gdyby któryś z gości wyrwał kartkę, to albo ja albo pani Bracka byśmy się zorientowały.

– Na recepcji stoicie tylko we dwie?

– Tak, a na mojej zmianie nikt tej kartki nie wyrwał.

Kartka, pomyślała Lena. Jakie znaczenie ma jedna kartka z księgi gości? Czy w hotelu nocował ktoś, kto ma związek ze śmiercią Chmielnego? Jeżeli recepcjonistka mówi prawdę i to nie ona wyrwała stronę, Bracka ewidentnie coś ukrywa. Dlaczego? Może zwykły wpis nie ma znaczenia, ale Lena wiedziała, że nawet najmniejszy szczegół przyda się w tej układance.

Rudnicka wyjęła telefon i uruchomiła zdjęcie zrobione w gabinecie Chmielnego.

– Znasz tę kobietę? – zapytała.

Recepcjonistka przyjrzała się fotografii.

– Nigdy jej nie widziałam – odparła.

– Jak oceniałaby pani stosunki pomiędzy małżonkami? – spytał Wolski.

– Trudno powiedzieć. Nie wtrącam się w cudze sprawy, ale po Retro krążyły plotki, że im się nie układa.

– To znaczy?

– Często się kłócili. Jakby nie przepadali za sobą.

– Słyszała pani te kłótnie?

– Czasem. – Wygładziła materiał jasnej bluzki. – Pokojówki więcej słyszały. W końcu pracowały bliżej ich apartamentu.

Kiedy wyszli na parking, wciąż zaciął deszcz, a czarne chmury osiadły nad ziemią tak nisko, jakby chciały pochłonąć mrokiem całe miasto. Lena puściła się biegiem do samochodu. Wiatr smagał jej ciało. Miała wrażenie, że wystarczyłby jeden mocniejszy podmuch, a porwałby ją wraz z wirującymi w powietrzu liśćmi.

Usiadła w fotelu kierowcy i wzdrygnęła się mimowolnie. Zimno przeniknęło ją aż do kości. Przejrzała się w lusterku, zmierzwiła wilgotne włosy i ułożyła niesforną grzywkę.

Marcel trzasnął drzwiami, po czym strzepnął z kurtki krople deszczu.

– Buciki się zabrudziły, co?

Otarł mokre dłonie o spodnie i zapiął pas.

– Mogłaś załatwić to bardziej dyplomatycznie – stwierdził.

– Niby jak? – spytała, odpalając silnik.

– Nie musiałaś na nią naskakiwać.

– A ty co? – zaatakowała. – Obrońca dam w opałach?

– Po prostu uważam, że można prowadzić rozmowę w nieco miłszym tonie.

– Nie jestem boeingiem i nie lubię krążyć wokół tematu – odparowała. – Mam dzisiaj paskudny nastrój i jestem głodna, a jak jestem głodna, robię się nieprzyjemna. Od rana nic nie jadłam. Nie licząc paskudnego ciastka, które składało się z samego cukru. Oby poszło w biodra, bo muszę trochę przytyć.

Wolski głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Jesteś pierwszą kobietą, od której słyszę, że chciałyby przytyć.

– Byłam kiedyś na diecie – wyznała. – Wytrzymałam dwie godziny. Cholerny seven days leżał w szafce. Wiedziałam, że on tam jest, a on wiedział, że o nim myślę. To było jak porozumienie dusz. Zjadłam go, ponieważ nie chciałam, żeby tak samotnie czekał. Poza tym zauważyłam, że lubisz panie przy tuszy, więc uznałam, że powinnam trochę przybrać tu i tam.

Marcel obrócił się w jej stronę. Rudnicka wycofała samochód i wyjechała z parkingu. Lejący się z nieba deszcz przybrał na sile i znacznie ograniczył widoczność.

– Panie przy tuszy? – powtórzył z niedowierzaniem.

– No – bąknęła. – Albo żyrafy. Agnieszka Mizerna przerosła chyba Gortata.

– Nie przesadzaj.

– A Bracka ma trochę więcej ciała. Widziałeś jej tyłek?

– Co?

– W tej spódnicy wyglądała całkiem seksownie. Gdybym preferowała tę samą płęć, skusiłabym się na drinka.

– O czym ty mówisz?

– O jej tyłku. Nie mów, że nie zauważyłeś.

– Przypominam, że ciągle mówisz o żonie denata.

– Która próbowała uwieść funkcjonariusza prowadzącego sprawę o morderstwo jej męża.

– O to ci chodzi? – spytał.

– O co?

– O Bracką?

– Przemówiło moje alter ego.

– Słucham?

– Mroczna strona mojej osobowości.

– Skręć tutaj. – Wskazał na znak.

– Po co?

– Mówiłaś, że jesteś głodna – odparł. – Znam miejsce, gdzie smacznie karmią.

14

Pulchna dziennikarka przedstawiała najważniejsze informacje dnia. Dariusz Brzozowski miał zwyczaj oglądania wieczornego dziennika i od lat nie przegapił żadnego wydania. Pieczołowicie zapisywał najważniejsze wydarzenia polityczne i z uwagą słuchał gości zaproszonych do telewizyjnego studia.

Dzisiaj wpatrywał się tępo w migający ekran. Usta korespondenta zdającego relację sprzed Białego Domu układały się w słowa, ale do Dariusza nie docierały żadne dźwięki. Serce głośno obijało się o klatkę piersiową, a spocone dłonie drżały i nie chciały współpracować z resztą ciała. Pilot zsunął się na podłogę, po czym wpadł pod szklaną ławę. Brzozowski szybkim ruchem podniósł się z kanapy, by ręcznie wyłączyć telewizor.

Przeszedł się po niewielkim pokoju połączonym z kuchnią. Dwudziestometrowa kawalerka wydała się jeszcze mniejsza, jakby ściany zaczęły niebezpiecznie się zsuwać. Chwycił się za głowę, mrużąc coś niewyraźnie. Czterdziestoprocentowa, czysta wódka spoglądała na niego ze stołu, jak gdyby starała się go pocieszyć i zachęcić do degustacji. Nie opierał się, odkręcił butelkę, wypełnił szklankę do połowy i wypił jednym haustem. Mocny alkohol zapiekł w przetyk, spłynął do żołądka, rozlał się ciepłem po całym ciele.

Dariusz odchrząknął.

Przejechał dłonią po skórzanym materiale czarnej aktówki. Powinien się jej pozbyć, ale pieniądze znajdujące się w środku odwodziły go od tego pomysłu.

Potrzebował gotówki. Już dawno nie przekroczył progu kasyna, ale może dzisiaj dopisze mu szczęście? Wreszcie odbije się od dna, spłaci długi i kupi mieszkanie. Wstyd, że w tym wieku jeszcze nie dorobił się własnego kąta. Zaśmiał się w duchu. To wszystko jego wina. Przecież miał wspaniałe mieszkanie, kochającą żonę i dwójkę ślicznych dzieci, ale przez głupią nieostrożność stracił wszystko, co kochał. Zamiłowanie do karcianych gier okazało się silniejsze niż miłość do rodziny.

Wychylił kolejną szklankę.

Powinien zwrócić pieniądze Dorocie. Wiedział o jej kłopotach finansowych. Klemens nie raz opowiadał, że hotel ledwo przędzie, a teraz, gdy go zabrakło, Brackiej będzie jeszcze ciężiej.

Otworzył aktówkę i powąchał plik zielonych banknotów. Upchnął pieniądze do kieszeni, wypił kolejną porcję wódki i ruszył do drzwi. Przystanął w pół kroku. Zawrócił i wepchnął teczkę na dno szafy, tak by nikt przypadkiem się na nią nie natknął.

15

Kiedy weszli do środka, Rudnicka poczuła ucisk w brzuchu. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętała z poprzedniego wieczora.

W pubie panowała przyjemna, melancholijna atmosfera. Pobrzmiewała cicha muzyka, szmer rozmów i stukot odstawianych na stół kieliszków. Stoliki otaczały oliwkowe kanapy, nad którymi paliły się lampy z fikuśnymi kloszami. Nad stołami wisiała wielka neonowa koniczyna, rzucająca zieloną poświatę. Na blatach migotały płomienie świec, tworzące kameralny klimat, a z kuchni dolatywał zapach smażeniny. Lena poczuła, jak żołądek wywraca się jej na drugą stronę. Umierała z głodu.

– Gdybym wiedziała, że ta świetna restauracja okaże się zwykłym irlandzkim pubem, nie telepałabym się tutaj w taką pogodę – burknęła, gdy zajęli ustronne miejsce w kącie sali.

– Uznałem, że lubisz to miejsce – odparł Marcel. Odebrał od Leny przemoczoną kurtkę i odwiesił na wieszak. – Jakoś nie widzę cię w eleganckiej restauracji z nadętymi waźniakami w garniturach, próbującymi na wszelkie możliwe sposoby uporać się z ostrygami w tempurze.

– Ja siebie też nie – odpowiedziała i przypomniała sobie, kiedy ostatni raz mąż zaprosił ją do restauracji. Wykwintna francuska knajpa wymagała stosownej elegancji. Zamówienie zwykłego piwa wiązało się z pogardliwymi spojrzeniami bogatych gości, a kieliszek wina kosztował tyle, że na sam widok ceny odechciewało się alkoholu. Krzysztof lubował się w drogich lokalach i nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że jego żona gustuje w miejscach tak prostackich jak Irish Pub. O przybytkach tego typu mąż wypowiadał się w nader nieprzychylnych słowach.

– Polecam schabowego z kością – powiedział Marcel.

– Może być – mruknęła, przeglądając menu.

Gdy Wolski poszedł złożyć zamówienie przy barze, wyciągnęła z kieszeni plastikową fiolkę i łyknęła tabletkę. Dwadzieścia miligramów oksykodonu właśnie rozpoczęło proces wchłaniania się do krwiobiegu.

Telefon w jej kieszeni zawibrował i zanim sierżant powrócił z dwoma kuflami ciemnego piwa, aspirant sztabowy Tymon Milewski zdał jej szybką relację z tego,

co ustalili w Centrum Monitoringu.

– Nie piję alkoholu – powiedziała, gdy Wolski usiadł naprzeciw.

Zmrużył oczy, bo uznał słowa komisarz za żart, ale po krótkim namyśle zawrócił do baru.

– To jakieś nowe, wiosenne postanowienie? Wczoraj nie wyglądałaś na abstynentkę – zauważył, gdy postawił na stoliku butelkę coca-coli.

– Czego się szczerzysz? – warknęła. – Wczorajszy wieczór był wyjątkiem.

– Potwierdzającym regułę? – Upił łyk chłodnego piwa.

– Muszę zachować trzeźwość umysłu.

– A ja się chętnie napiję, bo... – Zawiesił głos.

Leżący na stole telefon zaanonsował nadchodzące połączenie. Skierowany był ekranem do dołu, ale Lena z miny Marcela natychmiast domyśliła się, kto dzwoni.

– Cześć, tato... Tak, wszystko w porządku... Pogadamy później. Tak, jadłem obiad... Dobrze, wpadnę do was. Wszystko w porządku, już mówiłem... – Marcel mruzczał do słuchawki, unikając pogardliwego wzroku szefowej.

– Tatusz czuwa, co? – zagadnęła, gdy odłożył komórkę na stół. – Zdjął ci chociaż blokadę rodzicielską? Czy nadal nie możesz pooglądać stron dla dorosłych? Nie zapomnij odebrać prania od mamusi.

– Prania?

– Pewnie nadal prasuje ci koszule do pracy.

– Od ośmiu lat nie mieszkam z rodzicami.

– Wyprowadziłeś się w wieku dziesięciu lat?

Zaśmiał się.

– Nie, zaraz po liceum.

– Ale pewnie cały czas na garnuszku mamusi, co? Przyznaj się, wozileś bigos w słoikach do tej swojej Warszawki?

– Zarabiałem na siebie – burknął urażony. Chociaż Rudnicka uważała go za dzieciaka, w rzeczywistości zrobił wszystko, by jak najszybciej się usamodzielić. – Pracowałem w firmie budowlanej. Wykańczaliśmy wnętrza...

– O, świetnie! – zawołała. – Zgłoszę się do ciebie, jeśli będę planowała mały remoncik.

– Potem dostałem się do policji.

– Ale gwoździa umiesz przybić?

– I studiowałem zaocznie prawo – dokończył, nie kryjąc dumy.

– Cudownie panie mecenasie, ale na co tyle zachodu, skoro wylądowałeś jako gliniarz?

Marcel wzruszył ramionami.

– Najpierw miałem zamiar zostać adwokatem.

– Trzeba było wytrwać w tym postanowieniu, przynajmniej zarabiałbyś godne pieniądze i nie wysłuchiwał gdakania podatników.

– Od dziecka chciałem być policjantem...

– O nie! – Uniosła dłoń. – Tylko nie wyjeżdżaj mi z gadką o powołaniu.

– Ojciec służy w policji, mój dziadek i wujek też byli...

– Rodzinna tradycja? – przerwała mu. – Gdybym nie była wyzuta z uczuć, pewnie bym się wzruszyła, ale mówiąc szczerze, nie interesuje mnie historia twojego życia. Jeśli czujesz potrzebę, żeby się wygadać, zgłoś się do programu „Opowiem wam moją historię” czy coś w tym guście.

– Nie ma takiego programu.

– Więc zaproponuj nowy. Z twoją szalenie ciekawą osobowością jestem pewna, że dyrektor którejs stacji przyjmie cię z otwartymi ramionami. Patrz, jak Majdanom się udało.

– Uważasz, że mam ciekawą osobowość?

Spojrzała na niego, zdumiona, że nie wychwycił ironii.

– Nie bez przyczyny podałam przykład małżeństwa perfekcyjnej pani domu – odparła, pocierając palcem podbródek. – Chociaż, w sumie, Gosia jest całkiem zabawna.

– Jak na osobę, która nie ogląda telewizji, masz niesłychanie rozległą wiedzę...

– Mam dobrego informatora – weszła mu w słowo. – Oraz internet. To, że nie oglądam telewizji i nie słucham radia, nie oznacza, że jestem życiową ignorantką. Wystarczy zajrzeć na „pudła”.

Kelnerka postawiła na stole parujące talerze. Podziękowali jedynie skinieniem głowy, jakby żadne nie chciało przerywać prowadzonej rozmowy.

– Zaglądasz na „pudła”? – spytał, unosząc brwi.

– A wyglądam, jakbym zaglądała? Ale – zaznaczyła – nie myśl, że jestem osobą, która bezrozumnie zapuszcza się w odmęty internetu. Wchodzę i wychodzę jak do łazienki w centrum handlowym. Załatwiam, co potrzeba, i idę dalej, bo dłuższy pobyt zabiera cenne sekundy z katorzniczej walki zwanej życiem.

– A ty dlaczego poszłaś do policji? – spytał, odstawiając kufel. Otarł serwetką pianę z ust.

– Bo mogę kogoś zabić w imię prawa i porządku publicznego – odparła, przeżuwając kawałek schabu. Oceniała go jako całkiem zjadliwy i wrzuciła do ust ćwiartkę pieczonego ziemniaka.

– Zabiłaś kogoś?

– Czyżbyśmy grali w „Dziesięć pytań”? Oczywiście rozumiem, że w twoich żyłach krąży jeszcze wypity na studiach alkohol, ale ja w przeciwieństwie do ciebie, sierżancie, dawno wyrosłam z licealnych czasów, których swoją drogą nie wspominam dobrze. Matematyczka skutecznie obrzydziła mi szkołę.

– Zabiłaś kogoś? – powtórzył pytanie.

Lena uniosła wzrok znad talerza, odłożyła sztucę i oparła się plecami o kanapę.

– Tak – odparła, przyglądając się Marcelowi. Po chwili nabiła mięso i włożyła kawałek do ust. – Chcesz porozmawiać o moich uczuciach? – spytała, unosząc widelec.

Chciał. Był ciekaw, co dzieje się w umyśle człowieka, który odbiera komuś życie. Doszedł jednak do wniosku, że Rudnicka nie oczekiwała od niego odpowiedzi.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Skończmy już z tym pierdoleniem – zaproponowała. – Rozmawiałam z Tymonem i mam dwie informacje. Jedną do dupy i drugą jeszcze gorszą.

– Mianowicie?

– Mamy nagranie naszego delikwenta spacerującego po parku za piętnaście dziesiąta. Chłopaki przejrzeni inne ujęcia, ale nikogo podejrzanego nie zauważyli.

– Nikogo?

– Nikt tamtędy nie przechodził przez dwadzieścia minut przed i po Chmielnym.

– A reszta kamer?

– Przejrzeni, ale podążając tym tokiem rozumowania, to może być każdy: pan z pieskiem, kobieta z dzieckiem albo amator biegania. Ale – wystawiła palec – denat miał ze sobą walizkę.

– Walizkę?

– Aktówkę, teczkę, jak zwał, tak zwał.

– Przy zwłokach nie było teczki – zauważył Marcel.

– Otóż to.

– A druga informacja?

– Sprawdzili hotele. W żadnym nie zameldował się mężczyzna o nazwisku Chmielny.

– Może zarezerwował pokój na inne nazwisko?

– Mundurowi objechali ze zdjęciem Chmielnego okoliczne hotele – poinformowała. – Trzeba jeszcze sprawdzić za miastem, ale mam przecucie, że to ślepa uliczka.

– Okej. Gdzie w takim razie zadekował się Chmielny na te dwa dni?

Rudnicka podparła brodę na splecionych dłoniach. To było kluczowe pytanie, na które powinni jak najszybciej znaleźć odpowiedź.

– Powiedzmy, że pokłóciłeś się z żoną...

– Nie mam żony.

– Hipotetycznie. Pokłóciłeś się z żoną, wkurzyła cię i nie chcesz wracać do domu. Gdzie byś poszedł?

– Do baru.

– Okej, a potem? Przy założeniu, że nie chcesz wracać do wyczekującej ukochanej.

– Do ciebie – odparł, próbując ukryć uśmiech.

Lena szybko kiwnęła głową, jakby nie widziała w tym nic zdroźnego.

– Przypuszczalnie nie otworzyłabym ci drzwi. Co dalej?

Marcel przyglądał się chwilę płomieniowi świecy.

– Do kolegi.

– Kto jest kolegą Klemensa Chmielnego?

– Kumpel ze studiów?

– Bingo! – Uderzyła dłonią w blat. – W nagrodę idź zamówić mi deser.

– Deser? – spytał, spoglądając na swoją porcję. Nie podołał nawet połowie, a jego łożądek rozciągnął się do granic możliwości.

– Deser, deser. – Podała pusty talerz. – Zdam się na twoją inwencję. Weź coś dobrego.

Marcel posłusznie podreptał do baru, a Rudnicka sięgnęła po telefon. Spostrzegła, że Krzysztof trzy razy próbował się z nią skontaktować, ale nie miała zamiaru oddzwaniać. Nigdy nie tłumaczyła się Krzysztofowi, gdzie i z kim jest. Przyzwyczaił ją do tego, a Lenie bardzo odpowiadała ta sytuacja. Nigdy nie będzie przykładną żoną, wyczekującą powrotu męża i polerującą chińską zastawę na niedzielny obiad.

– Tiramisu może być? – Wolski postawił talerzyk i przesunął w stronę Leny.

– Ujdzie – mruknęła.

– Co z tą aktówką? – spytał, obserwując Rudnicką. Zabrała się do ciasta, jakby nie jadła co najmniej przez tydzień. Porządna porcja mięsa i ziemniaków najwyraźniej jej nie nasyciła.

Niechętnie odłożyła widelczyk, wyjęła z kieszeni kartkę i podała Marcelowi.

– Kredyt na sto tysięcy? – Uniósł wzrok znad dokumentu.

– Aha. – Kiwnęła głową.

– Skąd to masz?

– Zakosiłam z gabinetu Chmielnego.

– Przecież tak nie można. Powinno się...

Uciszyła go gestem.

– Kto tu jest szefem? – spytała.

– Ty – odparł bez przekonania.

– Właśnie, a szef ma zawsze rację. Więc przymknij się i skoncentruj na czymś innym. Co mogło być w teczce, o której mówił Tymon?

– Ale...

– Skup się, młody. Jakies hipotezy?

– Pieniądze? – podsunął nieśmiało.

– Może.

– Wtedy nie można wykluczyć motywu rabunkowego.

– Okej – powiedziała, odsuwając od siebie pusty talerzyk. – Ale po mieście paradytuje masa pseudoważniaków w garniturach z podobnymi teczkami. Dlaczego ktoś miałby napadać akurat na nudnego księgowego?

– Może ten ktoś wiedział, że Chmielny niesie w aktówce sporo kasy?

– Pomiñałeś jeden szczegół.

– Jaki?

– Co robiłeś w poniedziałek wieczorem?

– Dlaczego pytasz?

– Co robiłeś? – powtórzyła.

Marcel przejechał dłonią po włosach.

– Prawdopodobnie wracałem z siłowni.

– Chodzisz na siłownię?

– Tak, obok Centrala.

Od niedawna, dodał w duchu. Wykupienie karnetu na siłownię było spóźnionym postanowieniem noworocznym. Niegdyś pieczołowicie dbał o formę i regularnie bywał na sali treningowej, jednak w ostatnich miesiącach nieco się zapuścił, co zamierzał w najbliższym czasie nadrobić.

– Nie widać – skwitowała. Marcel skrzywił się urażony, ale nie odpowiedział. – Jak byłeś ubrany?

– Do czego zmierzasz, bo nie nadążam...

– To mnie akurat nie dziwi. Miałeś na sobie tę seksowną kurteczkę Justina Bi?

– Uważasz, że jest seksowna?

– Nie.

Roześmiał się.

– Tak, miałem ją na sobie.

– Więc?

– Więc co? Naprawdę nie wiem, do czego zmierzasz.

Lena westchnęła i zabębniła palcami o blat.

– Jak był ubrany nasz denat?

– W koszulę i... – Marcel zmarszczył czoło.

– Chyba wieczorem jest trochę chłodno, nie?

– Dlaczego nie miał kurtki? – mruknął Wolski.

Jak na marzec temperatura w ciągu ostatnich dni była dość wysoka, około dwudziestu stopni, ale wieczorem słupek rtęci oscylował wokół dziesięciu. Bez kurtki czy płaszcz człowiek zmarzłby na kość.

– Jakież propozycje?

– Raczej nie przyjechał swoim samochodem – powiedział po krótkiej chwili.

– Dlaczego?

Tym razem to Rudnicka wyglądała na zaintrygowaną.

– Bracka twierdzi, że samochód Klemensa stoi przed hotelem.

– Odnajduję dobre strony twojego romansu z żoną denata – oświadczyła i skarciła się w duchu za to małe przeoczenie. Kolejny powód, by nie przychodzić do pracy na kacu.

– Nie mam z nią romansu...

– Są dwa warianty – przerwała mu. – Chmielny przyjechał z kimś do parku. Nie założył kurtki, ponieważ sądził, że szybko załatwi sprawę, albo był u Brzozowskiego.

– Kumpel ze studiów mieszka przy Kopcińskiego.

Rudnicka kiwnęła głową.

– To nie więcej jak kilometr drogi. Najwyżej dziesięć minut piechotą. Sprawdziłam pogodę z poniedziałku. Było osiem stopni, więc jeżeli faktycznie zatrzymał się u Brzozowskiego, rodzi się pytanie, dlaczego nie włożył kurtki?

– Może się spieszył – powiedział Marcel. – Albo zapomniał.

– Może się spieszył – powtórzyła bezwiednie.

– Uważasz, że Klemens ukrywał się dwa dni u Brzozowskiego? Rodzice denata twierdzą, że Brzozowski nie wiedział, gdzie jest Chmielny.

– Ty byś wydał swojego kumpla?

– Zależy, co miałyby do ukrycia.

– Cokolwiek.

– Masz rację – przyznał.

– Kiedy gruchałeś sobie z Bracką, znalazłam coś jeszcze.

Podła telefon Wolskiemu.

– Kto to jest? – spytał, przyglądając się młodej kobiecie na zdjęciu.

– Skąd mam wiedzieć?

– Kochanka?

– Było w folderze „Rodzina”. Zwróciło moją uwagę, bo oprócz zdjęć z żoną i rodzicami nie było nikogo innego, tylko ona.

– Włamałaś mu się do komputera?

– Miał łatwe hasło. – Wzruszyła ramionami, a Wolski dostrzegł w jej oczach dumę. – To może być każdy: kochanka, zaginiona siostra, ktokolwiek – dodała.

Marcel ponownie spojrzął na zdjęcie kobiety. Była bardzo ładna. Owalną twarz otaczały pukle ciemnych włosów. Kiedy się uśmiechała, w jej policzkach pojawiły się dołeczki, podobne do tych na twarzy Rudnickiej, a jednak inne. Gdy człowiek naprawdę się śmieje, wraz z twarzą śmieje się całe ciało, a oczy kobiety wyglądały na smutne.

– Dlaczego nie zapytałaś Brackiej o tę dziewczynę?

Oddał Lenie telefon i splótł dłonie na karku, rozprostowując kręgosłup.

– Muszę coś na nią znaleźć, bo nic po dobroci nie powie. Wygląda na to, że żonka umie dobrze kłamać. Wezwiemy ją.

– Na Bracką? Myślisz, że to ona zabiła Chmielnego?

– Wątpię.

Choć Bracka ukrywała jakieś tajemnice, którymi nie chciała się podzielić, Lena uważała, że to nie ona zabiła. To przekonanie nie miało jednak żadnych podstaw. Zwykle przeczucie.

– A według mnie nie powinniśmy jej wykluczać – odezwał się Wolski. – Zachowuje się co najmniej dziwnie.

– Miejmy nadzieję, że jutrzejszy dzień przyniesie więcej informacji. – Westchnęła, spoglądając na zegarek. – Czas się zbierać.

Marcel dopił piwo i poklepał się po brzuchu. Po solidnej kolacji i dwóch półlitrowych kuflach miał wrażenie, że zaraz pęknie mu żołądek. Mimo tego nabrał ochoty na małego drinka.

– Podwieźć cię? – spytała, ściągnęła z wieszaka przemoczoną kurtkę i z obrzydzeniem wsunęła rękę w przemoczony rękaw.

– Dzięki, przejdę się.

Do mieszkania przy ulicy 6 Sierpnia dzieliły go najwyżej trzy minuty drogi.

– Skoro lubisz romantyczne spacery w deszczu. – Zgarnęła z blatu telefon, upchnęła go w tylnej kieszeni spodni i spojrzała na Wolskiego. Marcel również uniósł wzrok. Przyglądali się sobie przez chwilę, jakby żadne z nich nie miało ochoty wprowadzić swoich słów w czyn.

– Do jutra – rzuciła, odzyskawszy rezon.

16

Krzysztof przemieszał mięso na patelni i wytarł dłonie w kuchenny fartuch. Zazwyczaj nosiła go pani Jadzia, ale dzisiaj zwolnił gosposię z obowiązku przygotowywania kolacji, postanowił, że spędzi ten wieczór z żoną. Już dawno nie jedli wspólnego posiłku. Oczywiście nie licząc śniadań, które pochłaniali w pośpiechu lub spędzali na rozmowie o sprawach zawodowych. Liczył, że Lena doceni ten gest i uda mu się choć trochę poprawić jej humor. W ostatnich tygodniach chodziła dziwnie przygaszona i miewała huśtawki nastroju. Bywała nadmiernie pobudzona albo kompletnie pozbawiona energii.

W kuchni pachniało cebulą i smażoną papryką. Zapach był drażniący, więc Krzysztof uchylił okno, by wpuścić do środka świeże powietrze. Odchrząknął kilka razy i zerknął na zegarek. Lena powinna wrócić przynajmniej godzinę temu. Zazwyczaj zostawała w pracy dłużej, ale dzisiaj obiecała, że wyjdzie wcześniej. Krzysztof dzwonił do niej kilka razy, ale w słuchawce odzywał się tylko głos automatycznej sekretarki. Sprawdził telefon, ale nie spodziewał się, że napisała jakąkolwiek wiadomość. Nigdy tego nie robiła. Pojawiała się w domu znienacka, o różnych porach i znikwała w równie szybkim tempie.

Zaczynał się martwić, choć wiedział, że nie powinien. Zdarzało się, że Lena zostawała na noc w pracy, ale dzisiaj odczuwał pewien niepokój.

Dostała sprawę morderstwa i obawiał się, że jej wrodzony pracoholizm znowu zawładnie ich życiem. Lena postawiła sobie za cel wyłapanie wszystkich przestępców stąpających po tej ziemi. Nie zwracała uwagi na to, że próbował pomóc. Że pragnął tylko tego, aby była szczęśliwa. Nie miał szans w starciu z poszukiwaniem mordercy i zawsze schodził na drugi plan. O ile w ogóle kiedykolwiek znajdowałem się na pierwszym planie, pomyślał.

Mija szósty rok wspólnego życia, a wciąż zdawało mu się, że nie poznał do końca własnej żony. Nosiła w sobie ból. Rzadko o tym rozmawiali, ale Krzysztof wiedział, że psychiczny uraz towarzyszy jej przez całe życie, a sprawa sprzed sześciu miesięcy sprawiła, że Lena dorzuciła kilka cegieł do muru, jakim się otoczyła. Zawsze była zamknięta w sobie i nigdy nie dzieliła się swoimi problemami, ale znał ją dość długo, by wiedzieć, że nie jest tak silna, jak próbuje

pokazać. Za maską twardzielki kryła się prawdziwa Lena Rudnicka, delikatna i poraniona przez życie.

Usłyszał dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Szybko ściągnął fartuszek i odwiesił go na specjalny wieszak. Nie chciał, by Lena zobaczyła go w tym przebraniu. Wyśmiewała się z jego upodobania do czystości i uważała, że tego typu strój odbiera męskość, ale Krzysztof prezentował w tej kwestii wyjątkowo pedantyczne podejście. Zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym cenił harmonię i porządek. W tym aspekcie jesteśmy wyjątkowo niedobrani, pomyślał. Lena nie dość, że lekceważyła kwestie estetyczne, to funkcjonowała w chaosie i nie dbała o dobra materialne, które on uważał za życiowy priorytet.

Weszła do kuchni i jak zwykle rzuciła pęk kluczy na blat, zamiast powiesić je w skrzyneczce na klucze przy drzwiach. Krzysztof umieścił ją tam specjalnie, żeby wszystko miało swoje miejsce, ale odnosił wrażenie, że nawet nie zarejestrowała jej istnienia.

– Dzwoniłem – powiedział, zmniejszając moc na płycie indukcyjnej, przemieszał sos i odwrócił się do żony. Stała oparta o ścianę ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Mokra od deszczu bluzka przylepiła się do jej szczupłego ciała.

– Co robisz? – spytała.

– Dzwoniłem, ale nie odbierałaś.

– Naprawdę? Nie widziałam.

Uśmiechnął się.

– Okej, widziałam, ale nie miałam czasu oddzwonić.

– Jak w pracy?

– Już zapomniałeś o zasadzie, jaką wprowadziłeś? – spytała, zdejmując marynarkę. – Jak to brzmiało? Zakaz rozmawiania w domu o pracy? – Zawiesiła ją na krześle i usiadła na kuchennej wyspie. Krzysztof powstrzymał się od komentarza. Kuchenna wyspa to nie miejsce do siedzenia, pomyślał, a krzesło nie służy do odwieszania ubrań. – Dostałam nowego partnera – dodała.

– Naprawdę? Kogo?

Wzruszyła ramionami.

– Takiego jednego – bąknęła, odkręcając pepsa. Upiła kilka łyków prosto z butelki. Krzysztof podał jej szklankę, ale odstawiła ją na bok i ponownie przyłożyła butelkę do ust. – Zabrałeś się za gotowanie?

– Wiesz, że lubię gotować – odparł, przyglądając się jej. Ciemny stanik przebijał przez wilgotny materiał, eksponując nie za duże, lecz krągłe piersi.

– Wiem, ale ostatni raz, kiedy gotowałeś... – Zastanowiła się, przygryzając wargę. – Właściwie, to przez ostatni rok nie widziałam cię przy kuchni.

Krzysztof podszedł do żony i położył dłonie na jej udach. Włosy przesiąknięte miała dziwnym zapachem, który przywodził mu na myśl niezjadliwą kuchnię ze szkolnej stołówki. Nachylił się, by ją pocałować, ale odsunęła głowę.

– Coś się stało? – spytała podejrzliwie.

– Powinienem zapytać cię o to samo.

Spojrzała na niego, rozprostowując plecy.

– Pomyślałem... Pomyślałem, że zjemy wspólnie kolację.

– Już jadłam – rzuciła bez zastanowienia.

– Jak to?

– Od kiedy jadamy wspólnie kolację?

Krzysztof zmarkotniał. Ściągnął brwi i potarł podbródek. Przypomniał zbitego psa, który jest gotów zrobić wszystko, by właściciel na nowo go pokochał.

– Chciałem... Chciałem zrobić ci przyjemność – powiedział zgodnie z prawdą, cofając się o krok.

– Już jadłam – powtórzyła i zeskoczyła. – Ale możesz trochę zostawić, to zabiorę jutro do pracy.

Krzysztof obserwował, jak Lena wchodzi do swojej sypialni. Po upływie kilku minut zjawiała się w korytarzu w samej bieliźnie, z przewieszonym przez ramię ręcznikiem. Zatrzymała się przed drzwiami do łazienki, cofnęła się parę kroków i spojrzała na męża.

– Przepraszam, Krzysiek – powiedziała takim tonem, jakby wymierzała werbalny policzek. Nie usłyszał skruchy. W głosie zabrzęczały kostki lodu.

– Lena... – Powiódł wzrokiem po jej nagich udach.

Bez słowa odwróciła się i zniknęła za drzwiami.

Zapomniał o sterylności i rękawem białej koszuli otarł łzę spływającą po policzku. To pewnie od ostrych przypraw, które dodałem do sosu, pomyślał.

Patrzyła na niemowlaka. Jeszcze kilka sekund, a twarz pulchnego chłopca wykrzywi grymas płaczu, który widywała przez ostatnie dni. Okrągła, pyzata buźka spurpurowiała, a po policzkach rozlał się rumieniec. Zacisnął dłonie w pięstki i wierzgał nóżkami. Bródka zadrżała, a przeszkłone, ciemne oczy wpatrywały się z satysfakcją, jakby wiedziały, że mogą grać na uczuciach udręczonej matki.

Krzyknął, aż podskoczyła. Kwilenie powoli przechodziło w pisk, a potem w przeraźliwy skowyt. Kobieta nie podniosła chłopca z łóżeczka. Nachyliła się i oparła dłoń na drewnianej ramie, po czym okryła dziecko kocykiem w tulipany. Piękne kwiaty kojarzyły się ze spokojem, ale ruchliwe nóżki zrzuciły nakrycie. Wrzask syna był tak głośny, że wypełniał jej całą głowę. Potrząsnęła nią, próbując zebrać myśli.

– Po co mi to było? – mruknęła. – Mogłam im cię oddać i mieć święty spokój! – Wstała i przeszła się po pokoju. Czuła, że nie wytrzyma ani chwili dłużej. – Ale nie! Zachciało mi się zabawy w dom! Myślałam, że będę dobrą matką, ale jak mam być dobrą matką, skoro moje dziecko jest takie beznadziejne! – Zajrzała do łóżeczka. – Jesteś beznadziejny, słyszysz?! Żałuję, że cię urodziłam! – Chłopiec zawył głośniej. – Zamknij się! Słyszysz?! Zamknij się, bo już nie mogę cię słuchać!

Niemowlak nagle zamilkł i złapał się za nóżki. Spojrzała w czerwoną i mokrą od łez twarz.

– Ojej, przepraszam – wymamrotała, podnosząc chłopca. – Przepraszam, kochanie. Wcale tak nie myślę. – Przytuliła syna do piersi. – Jesteś wszystkim, co mam. Nie powinnam tak mówić, co ze mnie za matka? No już, spokojnie. – Poglaskała go po łysej główce. Oczy jej zwilgotniały. – Po prostu nie wiem, dlaczego płaczesz, wiesz? Czasami nie mam siły, ale to nie twoja wina. Przecież ty jesteś taki malutki.

Usiadła na sofie i wyjęła pierś, do której natychmiast przyssał się niemowlak.

Rozdział II

1

Zegarek wskazywał szóstą rano, kiedy Marcel zrezygnował ze snu. Od godziny turlał się po łóżku, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Przetarł oczy i postawił bose stopy na chłodnej podłodze. Przeszedł przez pokój, odsłonił rolety i wyrztał przez zabrudzoną szybę. Po całonocnej ulewie pozostały kałuże. Promienie porannego słońca nieśmiało zaglądały do okien kamienicy.

Wolski nie bez powodu wybrał tę lokalizację. Wynajęcie mieszkania na woonerfie przy 6 Sierpnia dawało dwie korzyści: bliskość do Piotrkowskiej, najważniejszej ulicy w mieście, i klimat, który zapewniały tylko mieszkania w starej kamienicy. W warszawskim bloku z wielkiej płyty tęsknił za zapachem lekkiej wilgoci i wiekowych murów.

Dlatego zdecydował się na powrót do rodzinnego miasta. Wyjechał do stolicy w pogoni za wielkim światem i karierą prawnika, ale już w pierwszym roku warszawskiej przygody zrozumiał, że przechadzanie się pomiędzy przeszklonymi drapaczami chmur nie jest dla niego. Miał poczucie, że życie w Syrenim Grodzie to tylko epizod, poprzedzający nieuchronny powrót do ukochanej Łodzi.

Spojrzał na rozgrzebane łóżko. Zmusił się, by ułożyć pościel i przykryć ją kocem. Uznał, że uporządkowanie łóżka to pierwszy krok do zaprowadzenia ładu w mieszkaniu. Kartony po meblach wciąż walały się po podłodze obok toreb i pudełek z ubraniami. Powinienem zainwestować w szafę, pomyślał. Odszukał czysty ręcznik i wziął gorący prysznic, po którym zaparzył kubek mocnej kawy i zabrał się do przygotowywania śniadania. Wbił na patelnię trzy jajka i szybko przemieszał, aby nie przywarły. Oparł się dłońmi o blat. Chociaż dopiero wstał, czuł się zmęczony. Lena Rudnicka zadbała o to, by już w pierwszym dniu nowej pracy nie zabrakło mu wrażeń. Wspomnienie tamtego wieczora powracało niczym bumerang.

Kiedy przechadzał się deptakiem, nogi same zaprowadziły go do Irish Pubu. Pamiętał go jeszcze z czasów liceum, ale odremontowane wnętrze było nie do poznania. Teraz zatęchła knajpa, w której kiedyś popijał z kolegami pierwsze mocniejsze alkohole, wyglądała jak rasowy bar, podobny do tych zza oceanu.

Zajął miejsce w kącie sali. Sącył drinka powoli, delektując się mocnym posmakiem alkoholu w ustach, kiedy nagle do pomieszczenia weszła jakaś

kobieta. Drzwi zamknęły się za nią z hukiem, co wywołało zainteresowanie wśród mężczyzn siedzących przy stolikach obok. Machnęła ręką do barmana, jakby był jej dobrym znajomym. Szklanekę wypełnioną solidną porcją kruszonego lodu zalała miarką ginu z tonikiem i przesunęła w jej stronę.

Kobieta zdjęła marynarkę i usiadła przy barze. Była jak powiew świeżego powietrza. Mówiła coś do barmana, uśmiechając się subtelnie, a jej twarz przyozdobiły urocze dołeczki w policzkach. Marcel nie mógł oderwać od niej wzroku.

Nonszalanckie zachowanie sprawiało wrażenie, jakby nie interesowała ją nic, oprócz stojącego na ladzie drinka. Ostentacyjnie ignorowała mężczyzn, którzy nagle zaczęli kręcić się obok. Ich zachęcające spojrzenia nie wywoływały żadnej reakcji.

Głośno odstawiała pustą szklanekę na blat, a barman szybko postawił przed nią kolejną porcję ginu w fikuśnej szklance o wąskich bokach. Kobieta dotknęła palcami wilgotnej od lodu powierzchni i wtedy Marcel uświadomił sobie, że do zestawu cech, jakie przypisywał kobiecie, musi dołączyć jeszcze jedną – zmysłowość.

Potoczyła spojrzeniem po sali, jakby szukała znajomego, i spojrzała prosto na Marcela. Od razu spuścił głowę, gdy poczuł na sobie ciężkie spojrzenie, które przytłaczało go w przyjemny sposób. Kiedy ponownie podniósł wzrok, wciąż na niego patrzyła. W nagłym przypływie odwagi wstał i podszedł do niej. Usiadł zdecydowanie zbyt blisko, ale ona nie ruszyła się nawet o milimetr.

– A ty odebrałaś już dowód, żeby pić alkohol? – spytała protekcyjnym tonem. Ku swemu zaskoczeniu Marcel nie wyczuł w jej głosie niechęci, w oczach zaś dostrzegł ciekawość.

Szybko ocenił, że nieznajoma jest kilka lat starsza. Świadczyły o tym pierwsze zmarszczki w kącikach oczu, które dodawały jej charyzmy. Wpatrywała się w niego intensywnie, jakby próbowała odczytać jego myśli. W jej spojrzeniu dostrzegł pewną tajemnicę. Odnotował też, że ma lekki stosunek do pieniędzy. Za napiwek, jaki zostawiła barmanowi, mogłaby kupić dwa kolejne drinki. Lekko zakłopotany poprawił się na barowym stołku. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy jakaś kobieta patrzyła na niego w ten sposób.

Marcel poczuł swąd spalenizny. Ocknął się i zdjęł patelnię z kuchenki. Zaklął pod nosem i wyrzucił przypaloną jajecznicę do kosza. Myśli znowu pogalopowały w niebezpiecznym kierunku, a nie powinien sobie na to pozwalać. Nie teraz, kiedy zagadkowa nieznajoma okazała się jego szefową.

Dał sobie spokój ze śniadaniem, pozmywał naczynia, zaparzył kolejną kawę i wypalił dwa papierosy. Do rozpoczęcia służby pozostało trochę czasu, ale postanowił, że zjawi się na komendzie wcześniej. Siedzenie w pustych czterech ścianach przyprawiało go o ból głowy.

Zgarnął ze stolika kluczyki do samochodu, zamknął mieszkanie i nieśpiesznie zszedł ze schodów. Minął skrzynki pocztowe zawieszane po prawej, nie lewej, stronie i zaśmiał się w duchu z własnej spostrzegawczości. Słabej, jak się okazało.

Niekwestionowaną cechą komisarz był wyostrzony zmysł obserwacji. Nie przypuszczał, że ktokolwiek przywiązuje wagę do takich szczegółów, ale w pracy śledczego to właśnie wyczulenie na detale i umiejętność dopasowywania ich do faktów sprawiało, że tylko nieliczni nadawali się do tej roboty. Najwyraźniej Rudnicka wybrała idealną dla siebie profesję.

Pchnął żelazne, ciężkie drzwi i wyszedł na przejście łączące bramę i dziedziniec kamienicy.

– Długo każesz na siebie czekać.

Usłyszał znajomą melodię głosu i odwrócił się w stronę bramy. Rudnicka przygryzła wargę, jakby powstrzymywała się od parsknięcia śmiechem, i podeszła bliżej. Schowała dłonie w kieszeni luźnych džinsów i uniosła głowę ku górze. Marcel dopiero teraz dostrzegł, że jest od niego sporo niższa.

– Spóźnienie – dodała. – Radziłabym wychodzić nieco wcześniej, bo inaczej odnotuję to w twoim dzienniku praktyk.

– Dzienniku praktyk?

– Najpierw muszę go założyć.

Marcel wyjął telefon i sprawdził godzinę.

– Jest piętnaście po siódmej – powiedział.

– Może w tej Warszawie funkcjonujecie w innej strefie czasowej albo według zegara słonecznego, ale w Łodzi obowiązuje czas środkowoeuropejski, a według niego w tym momencie jest siódma dwadzieścia pięć. – Postukała palcem w ekran swojego iPhone'a.

– Chyba zegarek mi się spóźnia.

– Nie chyba, ale na pewno. Co nie zmienia faktu, że wychodząc z domu piętnaście po siódmej, narażasz się na ryzyko, że wpadniesz po drodze w korek i nie zdążysz dojechać na czas, a co za tym idzie, zaliczysz spóźnienie. Bardzo nie lubię spóźniałstwa, więc wpiszę ci naganę.

– Przecież się nie spóźniłem – odparł i zapalił papierosa. – Nawet nie dotarłem na komendę.

– Zakładam, że nie przyjechałbyś na czas, więc traktuję to jako spóźnienie.

– Nie ma czegoś takiego, jak dziennik praktyk – zauważył. – Nie jesteśmy w szkole...

– Nie ma, nie ma – weszła mu w słowo. – Ale może być.

Marcel się roześmiał, jakby komisarz opowiedziała dobry żart. Co dziwne, Rudnicka również wydawała się rozbawiona.

– Przestań się wdzięczyc – rzuciła. – Lepiej powiedz, gdzie trzymasz swoje ferrari.

– Słucham?

– Auto, samochód. Kojarzysz taki wynalazek? Ma cztery koła, kierownicę i służy do przemieszczania się z punktu A do punktu B.

– Nie przyjechałaś swoim?

– A co? – bąknęła. – Mam robić za darmową taksówkę?

– Mogłaś powiedzieć, podjechałbym po ciebie.

– Robi mi się ciepło na sercu, że tak się o mnie martwisz – powiedziała z westchnieniem. – Ale zapewniam, że jestem już duża i umiem o sobie zadbać.

– Tramwajem raczej nie podróżujesz.

Lena Rudnicka w komunikacji miejskiej pomiędzy starszymi paniami a trajkoczącymi nastolatkami to byłby nietypowy widok.

– Przybyłam karocą z dyni, ciągniętą przez różowe kucyki – ucięła. – No, gdzie trzymasz swój automobil?

– Co z jaguarem?

– Jest u weterynarza – odparła. – Na przeglądzie. Jutro go odzyskam, a dzisiaj zostaniesz moim szoferem.

– Nie możemy wziąć służbowego?

– Co to za wykręty? – zapytała, podpierając się pod boki. – Zaraz pomyślę, że wstydzisz się swojej pociechy. Poza tym, już przerabialiśmy temat służbowych wozów. Urągają mojej godności.

– Okej – powiedział. – Pojedziemy moim.

Omijając kałuże, weszli na dziedziniec. Lena szła nieco z boku, unikając papierosowej mgły, która ciągnęła się za Wolskim. Spojrzała na czarne audi, ale Marcel pokręcił przecząco głową. Przeniosła wzrok na sąsiedni samochód.

– Chyba. Kurwa. Żartujesz – powiedziała.

Złoty lakier skody fabii zamigotał w słońcu.

– To funkcjonalne auto – powiedział Wolski, naciskając przycisk otwierający drzwi.

– Słyszałeś, co przed chwilą powiedziałam na temat urągania mojej godności? Uważasz, że to... coś jest w czymkolwiek lepsze od policyjnych kijanek?

Marcel pogładził maskę.

– Wiesz, kto jeździ takim czymś? – zapytała. – Panowie pięćdziesiąt plus, pseudobiznesmeni albo stateczne rodziny z trójką dzieci.

– I księgowi – dodał Marcel. – Chmielny miał podobne.

– O, i tu jest klucz – powiedziała Lena, wbijając Wolskiemu palec wskazujący w klatkę piersiową. – Jaki był nasz księgowy? Nudny! Podobnie jak twój samochód. Jeszcze powiedz, że wlewasz do niego gaz, to naprawdę przestanę z tobą rozmawiać.

– Taniej wychodzi – bąknął.

– O nie, panie reżyserze, ja schodzę ze sceny. – Uniosła dłonie. – To w ogóle jeździ? Ile to ma koni? Do setki pewnie przyspiesza w pół godziny, co?

– Siedemdziesiąt pięć – odparł.

Lena skrzywiła się na znak, że wcale nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

– Najważniejsze, żeby dojechać na miejsce – dodał.

– Chyba w tempie siedemdziesięcioletniego dziadka. Na autostradzie wyprzedzi cię nawet rower. – Obeszła auto, obejrzała je z każdej strony, jakby patrzyła na eksponat w muzeum. – Zrozumiałabym golfa trójkę ze świeącymi ksenonami i dudniącymi głośnikami w bagażniku. Zrzuciłabym to na karb twojego nastoletniego wieku, bo przecież młode kociaki lecą na wszystko, co ma cztery kręcące się kółka, ale fabia?! Jeśli przejadę choć kilometr tym powozem, stracę do siebie szacunek.

2

Władysława Chmielna sprzątnęła talerzyk ze stołu. Jajecznica już dawno wystygła w zimną, wyschniętą żółto-białą breję.

Klemens nie zszedł na śniadanie. Nie było go też na kolacji. Władysława nie zmrużyła oka przez całą noc. Łyknęła pół opakowania tabletek uspokajających, ale leki nie pomogły. Czuwała z głową na poduszce i już nawet nie miała siły płakać. Wszystkie łzy wyparowały, ustępując pustce w sercu. Jej synek został zamordowany. Kto mógł zrobić tak ohydny rzecz? Wciąż zadawała sobie to pytanie. Kiedy policjanci wyszli, wybuchła płaczem i rzuciła się na podłogę. Klemens senior pozostał niewzruszony na widok rozdzierającego ją bólu. Po prostu zniknął w tej swojej cholernej piwnicy, a potem zajął się pielęgnowaniem ogrodu. Do tej pory nie znalazł czasu, by poprzycinać jabłonie, a teraz gdy syna mu zabili, nagle wziął do rąk sekator?

Słyszała, jak o trzeciej w nocy wchodzi do domu i kładzie się na kanapie w salonie. Bóg jeden wie, co robił w suterenie. Władysława nie miała zamiaru sprawdzać. Przy obiedzie wykrzyknął jej w twarz, że śmierć syna to jego wina. Co takiego zrobił Klemens senior? Nie wyjaśnił. Wszedł z kuchni bez słowa, a żona pozostała w niewiedzy, która doprowadzała ją do szału.

3

Całą drogę do hotelu Rudnicka wygłaszała monolog dotyczący wyższości Jaguara nad wszystkimi innymi markami. Z początku Marcel odnotowywał w pamięci najważniejsze podpunkty, do których zaliczała się nienawiść do niemieckich opłi i pogarda dla francuskich citroënów i włoskich fiatów; ale gdy przeszła do krytyki obmierzłego wnętrza skody fabii, które przyprawiało ją o odruchy wymiotne, skapitulowała. Żadne argumenty nie były w stanie przerwać dywagacji komisarz.

Kiedy wjechali na parking, Lena nagle zamilkła, jakby długie przemówienie nadszarpnęło jej siły. Wyszła z samochodu bez słowa i zatrzymała się dopiero przy wejściu do hotelu.

– Gdyby to ode mnie zależało – oznajmiła, obracając się na pięcie – wprowadziłabym odgórny zakaz produkcji tego szmelcu i przy okazji pozbawiła cię prawa jazdy za stwarzanie niebezpieczeństwa w ruchu drogowym.

– Jechałem zgodnie z przepisami – stwierdził Wolski, gdy do niej dołączył.

– Pięćdziesiąt kilometrów na godzinę! – zawołała, załamując ręce. – Gdybym robiła w drogówce, zwinęłabym cię na pierwszym zakręcie i wlepiła mandat za zbyt wolną jazdę.

Marcel wyobraził sobie komisarz ubraną w niebieski mundur, z lizakiem w ręce, jak wlepią zatrzymanym kierowcom srogie mandaty. Dobrze, że wybrała inną drogę, pomyślał. W przeciwnym wypadku połowę łodzian pozbawiłaby prawa do prowadzenia pojazdów.

– To maksymalna dozwolona prędkość w terenie zabudowanym – oświadczył.

Z miny Rudnickiej wywnioskował, że już dawno wymazała z pamięci ten przepis.

Dorota Bracka uniosła wzrok znad dokumentów. Na widok policjantów skinęła głową i powróciła do swojego zajęcia. Przerzuciła kartkę i utkwiała w niej wzrok, dając do zrozumienia, że wizyta stróżów prawa nie robi na niej wrażenia. To tylko gra, pomyślała Lena. Bracka udawała zajętą, ale z pewnością bacznie ich obserwowała, kiedy podjechali pod Retro. Okna recepcji wychodziły na parking.

– Czego tak szukamy, co? – zagadnęła, zaglądając za ladę. Bracka błyskawicznie zamknęła segregator i przykryła go dłonią. – Może zaginionej kartki z księgi gości?

– Słucham? – spytała. – Jakiej kartki?

– Tej, którą wyrwałaś.

– Nie przypominam sobie, żebym przeszła z panią na ty.

Rudnicka zaśmiała się głośno, krzyżując ramiona. Sztuczna kurtuazja Polaków i tytułowanie się panią i panem działało jej na nerwy. Zdecydowanie wolała model anglosaski.

– Co z tą kartką? – zapytała. – Co na niej było?

– Słucham? Co państwo sobie wyobrażają? Wieczorem zjawia się policja i przeszukuje moje mieszkanie, a teraz znowu wy!

Wieczorna wizyta mundurowych w hotelu nie przyniosła żadnych skutków. Lena żywiła nadzieję, że znajdą coś, co wskazywałoby na winę Brackiej, ale nadzieja okazała się płonna. W zabezpieczonym komputerze nie znajdą pewnie nic ponad to, co odkryła sama komisarz.

– Słucham, słucham. Płyta się zacięła? – odparowała Lena.

– Nic nie wiem o żadnej kartce.

– Czyżby?

– Proszę pokazać aktualną księgę gości – powiedział Marcel.

Bracka postukała długopisem o blat, starając się ugrać kilka cennych sekund. Po namyśle podniosła się z krzesła i podała policjantom książkę. Rudnicka otworzyła w miejscu, gdzie wyrwano stronę. Przesunęła palcem po strzępkach papieru. Przez chwilę ogarnęło ją przerażenie, że zaciera ewentualne ślady, ale zaraz uznała argument za bezsensowny. Jeśli każdy z gości wpisywał się do książki, było na niej tysiące śladów. Nie do sprawdzenia.

– Macie tu kamery? – spytała.

Bracka zaprzeczyła; monitoring uważała za zbyteczny wydatek.

– Czy to pani wyrwała tę kartkę? – zapytał Wolski.

– Oczywiście, że nie – odparła Bracka, wydymając usta.

– Kto mógł to zrobić?

– Wszyscy. – Bracka rozłożyła ręce. – Każdy z gości ma dostęp do księgi i może zostawić pamiątkowy podpis.

– Czy domyśla się pani, co takiego zapisane było na stronie, że ktoś postanowił się jej pozbyć?

– Nie. Dawno do niej nie zaglądałam.

– Recepcjonistka zeznała, że księga gości stanowiła tradycję Retro – wtrąciła Rudnicka. – Czy nie zaniepokoiło cię, że dzień po zabójstwie męża jedna strona została wyrwana?

– To faktycznie trochę dziwne – odparła Bracka, pocierając ramię.

Nawet bardzo, dodała w myślach Lena. Czy Bracka sama wyrwała stronę? Jeśli tak, to dlaczego? A może to sprawa recepcjonistki?

– Wróćmy do sprawy walizki – podjęła komisarz. – Twierdzisz, że nie widziałaś męża od poniedziałku.

– Zgadza się.

– I nie zauważyłaś, że z mieszkania zniknęła walizka i pół szafy?

– Nie zaglądam do szafy Klemensa – powiedziała cicho i odwróciła głowę w stronę okna.

– Ciekawe. – Rudnicka przeszła się po holu, splatając dłonie z tyłu pleców. Przypominała detektywa strzelającego oczami w poszukiwaniu szczegółu, którego mógłby się złapać.

– Istnieje możliwość, że Klemens wszedł do hotelu niezauważony? – zapytała.

– Gdyby wszedł głównym wejściem, zobaczyłabym go ja albo Agnieszka – odparła Dorota.

Więc musiał się dostać do środka od strony ogrodu. Tym samym wyjściem, którym wczoraj wymknęła się Bracka. Gdyby nie spotkał po drodze żadnej z pokojówek, faktycznie mógłby przejść niezauważony.

Bracka poruszyła się niespokojnie, jakby chciała coś dodać. Rozchyliła usta, ale szybko je zamknęła. Rudnicka nie potrzebowała więcej.

– Wiedziałaś, że Klemens zabrał rzeczy, prawda? – spytała, uważnie obserwując Bracką.

Właścicielka odchrząknęła, kręcąc pierścionek na palcu. Biła się z myślami. Komisarz w milczeniu czekała, aż Bracka podejmie decyzję. Dla wielu ludzi cisza jest niewygodna, ale Rudnicka prezentowała zgoła odmienne zdanie. Zegar tykał, a napięcie rosło z każdą sekundą.

– Tak – przyznała szeptem Bracka. – Wiedziałam. Zniknęły walizka i ubrania, dlatego nie zgłosiłam zaginięcia policji. Sądziłam, że Klemens gdzieś wyjechał, że chce odpocząć. Nie powiedziałam teściom, żeby ich nie denerwować. To starsi ludzie. – Westchnęła i dodała: – Nie widziałam go od poniedziałku, to prawda, ale mógł wejść tylnym wejściem. Jakoś zabrał te rzeczy, prawda? W poniedziałek nie wziął ze sobą walizki.

– Kiedy pani zauważyła, że nie ma rzeczy męża? – zapytał Marcel.

– W środę, ale przecież mógł przyjechać we wtorek, a ja zorientowałam się dzień później.

Sprawa walizki się wyjaśniła, ale Marcela gnębiło jedno pytanie. Hotel znajduje się na krańcu miasta; żeby do niego dojechać, trzeba było tłuc się tramwajem i iść piechotą dobre dziesięć minut. A samochód Klemensa stał na parkingu.

– Dlaczego nie zabrał samochodu?

– Nie rozumiem. – Bracka wbiła wzrok w sierżanta. Wydawała się zdezorientowana.

– Jak zrozumiałem podczas naszej ostatniej rozmowy, posiadacie państwo dwa samochody. Samochód męża wciąż stoi przed hotelem. Jak pani sądzi, dlaczego nim nie odjechał?

– W weekend padł akumulator – odparła Bracka. – Trzeba go naładować. W poniedziałek, kiedy Klemens zawoził matkę do lekarza, wziął moje auto, a potem oddał mi kluczyki.

Logiczne. Naładowanie akumulatora zajęłoby zbyt dużo czasu. Jeśli Klemens nie chciał, żeby ktokolwiek z pracowników go zobaczył, nie tracił cennego czasu. Równie dobrze mógł podjechać taksówką i wysiąść na leśnej drodze prowadzącej do hotelu, kazać kierowcy poczekać i wrócić w ten sam sposób.

– Wiedziała pani, że Klemens podjął w banku sto tysięcy? – spytał Wolski.

– Sto tysięcy? – Bracka otworzyła szerzej oczy.

– Złotych polskich – wtrąciła komisarz.

– Jak? Na co?

– No właśnie, na co?

– Nie wiedziałam o żadnych pieniądzach.

Bracka wyglądała na szczerze zaskoczoną. Przynajmniej w jednej kwestii nie zaślaniała się kłamstwami, pomyślała komisarz i westchnęła przeciągle.

– Chcielibyśmy porozmawiać z personelem – rzekła.

– Pokojówka Jaśmina ma poranną zmianę. Prawdopodobnie znajdziecie ją w pokoju trzydzieści sześć.

Policjanci zostawili Bracką w holu recepcji. Musiała być wściekła na męża. Hotel ledwo prządl, a Chmielny, ot tak, wziął kredyt na pokaźną sumę.

Szli korytarzem, wodząc wzrokiem po numerach pokoi. Szybko się zorientowali, że pokój trzydzieści sześć znajduje się piętro wyżej. Ruszyli schodami w górę, pogrążeni w myślach. Gdyby je skonfrontowali, wiedzieliby, że oboje gólowią się nad tym samym: Czy na wyrwanej stronie z książki gości widnieje nazwisko mordercy?

Młoda kobieta kołysała biodrami, przecierając drewnianą ramę małżeńskiego łóża. Zamoczyła szmatkę w misce, wyjęła z wody i przejechała ścierką po nocnej szafce. Zafalowała ramionami, obróciła się wokół własnej osi i zamarła z rękoma w górze. Powoli je opuściła, po czym wyjęła z uszu słuchawki.

– Przepraszam, nie zauważyłam, jak państwo weszli – powiedziała, przygryzając srebrny kolczyk wystający z wargi.

– Wygodnie ci z tym? – spytała Lena.

Dziewczyna przejechała językiem po zimnym metalu i uśmiechnęła się.

– Przyzwyczaiłam się – odparła, zaczesując czerwony kosmyk włosów za ucho, przyozdobione rzędem kolorowych kolczyków. Policzki dziewczyny płonęły czerwienią, bynajmniej nie ze wstydu. Opalona sztucznym światłem wyglądała, jakby wróciła przed chwilą ze słonecznego Egiptu.

– Pani nazywa się Jaśmina? – spytał Wolski.

Sprzątaczką przytaknęła.

– Tak, nazywam się Jaśmina Kwiatkowska. Dorabiam tutaj jako pokojówka. Trzeba jakoś opłacić studia, nie?

– Co studiujesz? – zapytała Rudnicka, bardziej dla porządku niż z ciekawości. – Albo czekaj, niech zgadnę. Kosmetologię?

– Tak! – potwierdziła Jaśmina z uśmiechem. – Na Społecznej Akademii Nauk, skąd pani wiedziała?

Sztuczna opalenizna, przesadna dbałość o wygląd, nadmiar łańcuszków na szyi i bransoletek na nadgarstku plus idiotyczny kolor włosów, wyliczała w myślach Lena. Dziewczyna nie wygląda na studentkę prawa, a tym bardziej nauk ścisłych.

Wolski odchrząknął.

– Jesteśmy z policji.

– Wiem – z dumą oznajmiła Jaśmina i wskazała na kabury z bronią.

Marcel uśmiechnął się z uznaniem.

– Sierżant Wolski, a to komisarz Rudnicka – powiedział. – Chcielibyśmy porozmawiać na temat Klemensa Chmielnego, słyszała pani o jego śmierci?

– No jasne – przyznała dziewczyna, mieląc w ustach gumę do żucia. – Od wczoraj o niczym innym się nie mówi. Niby szkoda człowieka, chociaż wstyd się przyznać, ale jakoś specjalnie go nie żałuję. Nie lubiłam typu.

Rudnicka się ożywiła.

– Dlaczego?

– Straszny gbur. – Jaśmina puściła balona. – Wielki pan księgowy, a gdy mnie zatrudniał, zaproponował pracę na czarno, kumacie? Gdyby trafiła się kontrola, dostałabym po dupie tak samo jak on. No i chciał, żebym robiła za siódemkę za godzinę. Za siódemkę, rozumiecie? Co on w Kambodży ten hotel prowadzi czy jak? Powiedziałam, że daje dychę albo spadam.

Pokojówka była pierwszą osobą, która nie wynosiła Chmielnego pod niebiosa. Rudnicka poczuła, że wreszcie nadarzyła się okazja, by dowiedzieć się prawdy o szczerozłotym księgowym.

– Proszę opowiedzieć nam o jego stosunkach z pracownikami – odezwał się Marcel.

Jaśmina zastanowiła się, przegryzając kolczyk.

– Zależy, o kogo wam chodzi – podjęła. – Ze mną było jako tako, bez żadnych przepychanek ani nic takiego. Robiłam, co do mnie należało, i wychodziłam. Chmielny najwięcej kłócił się z własną żoną, choć to akurat mnie nie dziwi.

– Sugeruje pani, że między małżonkami niezbyt dobrze się układało?

– No. – Jaśmina zaśmiała się. – Mało powiedziane. Non stop kręcili awantury. Czasem głupio podsłuchiwać, ale jak sprzątałam w pokojach obok ich apartamentu, wcale nie musiałam nadstawiać ucha. Bracka to wyjątkowo głośna kobieta, a Chmielny nie pozostawał jej dłużny.

– Czego dotyczyły kłótnie?

– Chodziło głównie o pieniądze. Szef mówił coś o kredycie na remont, a Bracka się nie zgadzała.

Czyżby kredyt, który wziął Chmielny, przeznaczony był na modernizację hotelu? Sprzeciw żony uzasadniałby to, dlaczego Bracka nie wiedziała nic o gotówce, jaką podjął z banku Klemens. Rodziło się więc pytanie: gdzie są te pieniądze? Marcel przypomniał sobie zeznanie właścicielki. Czy byłaby zdolna zabić dla stu tysięcy? Czy włożenie w nierentowny hotel takiej sumy sprawiło, że żona postanowiła pozbawić życia własnego męża? To brzmiało nielogicznie. Jakkolwiek by było, Retro należało do niej, a każda inwestycja mogłaby przynieść jakieś zyski. Z zamyślenia wyrwał go głos Rudnickiej.

– Czy kłócili się o coś jeszcze?

– Tak, o dziecko – odparła Jaśmina nieco ciszej, jakby obawiała się, że w korytarzu stoi szefowa, przysłuchująca się całej rozmowie. Rudnicka zareagowała, zamykając drzwi od pokoju. Pokojówka odetchnęła z ulgą i kontynuowała: – Z tego co zrozumiałam, Bracka jest bezpłodna, a szef męczył ją o dziecko. Ale nie zdziwiłabym się, gdyby Bracka wymyśliła tę bajeczkę.

– To znaczy?

– Ona i dziecko? – prychnęła. – Nie widzę tego.

– Uważasz, że Bracka wmówiła Chmielnemu, że nie może mieć dzieci, a w rzeczywistości nie chciała potomstwa?

– Słabo to brzmi, ale tak. Trudno ją sobie wyobrazić z bobasem w ramionach.

Właścicielka Retro przekonywała wczoraj, że robiła wszystko, by namówić męża do adopcji. Sprawiała wrażenie zdeterminowanej i zawiedziona faktem, że nie może dać mu potomstwa, ale mówienie prawdy nie było najwyraźniej jej mocną stroną.

– Pamięta pani dzień, kiedy zniknął Klemens Chmielny? – zapytał Wolski.
– W poniedziałek, tak? Sprzątałam naprzeciwko ich apartamentu. Pokłócili się o coś i potem Chmielny wyszedł z hotelu.

– Słyszałaś kłótnię?

– Bracka powtarzała, żeby dał jej spokój, a Chmielny krzyczał, że muszą to zrobić. Nie wiem co. Było coś o dziecku, chyba z majstrował jakieś pannie dzieciaka. Potem założyłam słuchawki i już nic nie słyszałam.

W głowie Marcela zapaliła się czerwona lampka, sygnalizująca kolejny motyw właścicielki. Romans, pieniądze, dziecko z inną. Zranione żony są w stanie zrobić wiele, by się zemścić.

Spojrzał na Rudnicką, która pomyślała dokładnie o tym samym. Jeśli Chmielny chciał zniknąć z inną kobietą i sporą sumą w gotówce, Bracka miałaby idealny pretekst do zabójstwa.

– Wiesz coś więcej o tym dziecku? – zapytała komisarz.

– Niestety nie. Na odchodne usłyszałam tylko, jak Bracka wrzasnęła do męża, żeby wypierdalał. To i tak delikatnie powiedziane, bo szefowa klnie jak szewc.

Lena uniosła brwi. Przy policjantach właścicielce Retro nie wymyknęło się ani jedno przekleństwo, umiejętnie odgrywała rolę dystygowanej pani menedżer. Rozmowa z Jaśminą wniosła do śledztwa sporo ciekawych informacji.

– Mistrzynie pozorów – podjęła pokojówka, jakby czytała komisarz w myślach.

– Elegancka dama i bizneswoman, ale ma charakterek. Ja jestem z nią w dobrych stosunkach, ale Kalinie nieźle zaszła za skórę.

– Kim jest Kalina?

– Drugą pokojówką. Dzisiaj przychodzi na popołudnie, więc będziecie mogli z nią porozmawiać. Nie wiem, o co im poszło, ale Bracka nie daje jej spokoju i ciągle się czepia, że źle posprzątała, tam nie dotarła, śmieci nie wyniosła.

Rudnicka stęknęła na myśl, że muszą pojawić się tutaj ponownie.

– Czy oprócz żony był ktoś jeszcze, z kim Chmielny się nie dogadywał? – zapytał Marcel.

– Dozorca za nim nie przepadał. – Jaśmina zawiesiła głos. – Ale nie chcę rzucać bezpodstawnych oskarżeń.

– Proszę mówić – zachęcił.

Pokojówka znów zamoczyła szmatkę w wodzie i wyżeła, jakby próbowała zyskać czas do namysłu. Wrodzona gadatliwość szybko wzięła górę.

– Karol Warski pracuje tutaj od dawna – powiedziała, miętosząc ścierkę w rękach. – Może kiedyś pokłócili się z Chmielnym. Nie wiem, pracuję dopiero

pół roku, ale wzajemna niechęć była mocno wyczuwalna. Omijali się szerokim łukiem i oboje nie szczydzili sobie ostrych słów.

– Gdzie znajdziemy tego dozorcę?

– Zaczyna zmianę rano, ale szefowa mówiła, że jeszcze nie przyszedł. Dziwne, bo Karol się nie spóźnia.

Rudnicka zmrużyła oczy. Zmiana zachowania i codziennych rytuałów to reakcja na silny stres. Często obserwuje się ją u sprawców przestępstw. Z pozoru normalny człowiek nie radzi sobie z sytuacją i odreagowuje w sposób odbiegający od normy. Może to zwykłe spóźnienie, a może dozorca ma związek ze śmiercią Klemensa Chmielnego...

Telefon Leny zabrzączał w kieszeni. Komisarz przepaszająco skinęła głową i oddaliła się do okna.

– Czy po sprzeczce z żoną widziała pani Klemensa? – spytał Wolski. – Był w hotelu?

– Nie widziałam go. A był?

Wolski uśmiechnął się, sugerując, że nie może udzielać takich informacji.

– Słyszała pani o wyrwanej z książki gości stronie?

– Ktoś wyrwał stronę? – Jaśmina zmarszczyła cienkie brwi i wrzuciła ścierkę do miski. – Kto?

– To próbujemy ustalić.

– Nie wiem nic na ten temat, ale Bracka ma fioła na punkcie tej książki. To jakaś tradycja jej babci czy coś. Wszystkie książki układa na honorowym miejscu, więc pewnie nieźle się wkurzyła, że ktoś ją zniszczył.

Właścicielka hotelu nie wyglądała na zdenerwowaną, odnotował w myślach Marcel i spojrzął na Lenę.

Komisarz skończyła rozmowę, podeszła do Jaśminy i obróciła telefon w jej kierunku.

– Znasz tę dziewczynę?

Pokojówka przyjrzała się fotografii i pokręciła głową.

– Okej. – Lena schowała telefon i podała sprzątacze wizytówkę. – Gdyby przypomniało ci się coś jeszcze, cokolwiek, dzwoń o każdej porze.

– Jasne – powiedziała Jaśmina i wsadziła kartonik do tylnej kieszeni opiętych dzinsów.

4

Aspirant sztabowy Tymon Milewski przeciągnął się na krześle, powstrzymując ziewnięcie. Upił łyk parującej kawy i spojrzał na Ernesta Jabłońskiego. Młody aspirant od rana tryskał humorem. Była dopiero dziewiąta, a Jabłoński zdążył zjeść pożywne śniadanie i zrobić dziesięciokilometrową przebieżkę wzdłuż Rokicińskiej. Milewski potarł zaspane oczy. Całą noc czuwał przy chorej córeczce. Zdrzemnął się nad ranem, ale czuł, jakby jego głowę wypełniały trociny. Nie był w stanie jasno myśleć. Marzył o krótkiej drzemce, co w obecnej sytuacji było równie nieosiągalne jak wycieczka na Marsa.

Do gabinetu Rudnickiej wszedł prokurator Nawrocki. Chociaż na stopie prywatnej utrzymywali niemal koleżeńskie stosunki, w sprawach zawodowych prokurator był nadzwyczajnym formalistą.

– Gdzie komisarz Rudnicka? – zapytał, odwieszając czarny płaszcz. – Umówiliśmy się na dziewiątą.

– Powinna zaraz być – odparł Tymon i sięgnął po kubek z kawą. Wypił ją jednym haustem w nadziei, że solidna dawka kofeiny postawi go na nogi. – Wpadniesz do nas dzisiaj? Paula ma urodziny.

– Osiemnaste? – spytał prokurator, unosząc kąciuki ust ku górze. – Pewnie, że wpadnę. A jak mała? Słyszałem, że choruje.

– Złe wieści szybko się rozchodzą – zauważył Tymon, ale w jego głosie nie było pretensji. Troska kolegi poprawiła mu humor.

– Coś poważnego? – spytał i z uwagą przez piętnaście minut słuchał opowieści Milewskiego o chorobie córki. Tymon streścił minioną noc, nie pominąwszy żadnego szczegółu, łącznie z wymiocinami, jakie wytoczyła z siebie pięcioletnia Karolina Milewska. Skończył dopiero, gdy w gabinecie zjawiała się Rudnicka z Marcelem u boku.

– Sorry za spóźnienie – bąknęła, rzucając telefon na biurko. – Ale to nie moja wina. Ten tu – wskazała na sierżanta – razem ze swoją skodą fabią toczą się przez miasto w takim tempie, że emerytki na wózkach wzięłyby ich na pierwszym lepszym zakręcie.

Wolski wzruszył ramionami i uśmiechnął się do siedzącego przy stole mężczyzny.

Silny uścisk dłoni prokuratora trwał kilka sekund dłużej, niż wymagała tego sytuacja. Marcela znowu ogarnęło dziwne skrępowanie.

– Jak tam śledztwo? Mamy coś konkretnego?

– Zapoznałeś się ze sprawą? – zapytała Rudnicka. Mina Nawrockiego wskazywała, że uznał pytanie za retoryczne. – Świetnie – dodała. – Ominiemy zbędne szczegóły. Rozmawiałam z Liz i odciski na ciele denata nie pasują do żadnych w bazie. Zachowany odcisk buta, trapera o grubej podeszwie, to rozmiar czterdzieści sześć. Sądząc z siły nacisku, właściciel był albo wysoki, albo potężnie zbudowany. Albo jedno i drugie. Po drodze rozmawiałam z technicznymi. W komputerze denata nie znaleźli nic, co pomogłoby nam w śledztwie.

– Wykluczamy dziadka z psem, który znalazł ciało? – zapytał Ernest.

– Raczej tak, zwykły przechodzień. Ale nie możemy wykluczyć, że odcisk buta nie należy do sprawcy. Równie dobrze mógł zostawić go zbłąkany spacerowicz, który na widok truchła w krzakach spieszył z podkulonym ogonem do domu.

– Co z tą walizką? – podjął Nawrocki. – Zakładamy, że denat planował podróż?

– Nie – zaoponowała Rudnicka. – W tej chwili nie zakładamy niczego. W dniu zaginięcia małżonkowie się pokłócili, więc denat mógł planować odejście od żony, krótki urlop, wyprowadzkę, cokolwiek.

– Albo odejście do kochanki – nieśmiało wtrącił Marcel.

– Tak. – Rudnicka kiwnęła głową. – Od pokojówki dowiedzieliśmy się, że denat prawdopodobnie zrobił dziecko innej pani, co mogło skomplikować życie małżeńskie.

– Czy żona wiedziała o romansie? – spytał prokurator, zakładając nogę na nogę.

– Wiedziała, ale to, że mąż pukał kogoś na boku, nie stanowi dla niej problemu. Tak przynajmniej twierdzi.

– Jak to?

– Ich małżeństwo było fikcją. Żona zdaje się w ogóle nie przejmować śmiercią męża. Ponadto Chmielny wziął pożyczkę w banku na sto tysięcy, o której podobno nie wiedziała, co akurat wydaje mi się prawdą.

Nawrocki potarł podbródek, dumając nad słowami komisarz. Rudnicka uruchomiła ekspres do kawy i wyjęła z szafki dwa kubki.

– Denat musiał wrócić do hotelu po walizkę – powiedział Marcel ściszym głosem. Odchrząknął i dodał: – Bracka zeznała, że nie widziała męża od chwili, gdy opuścił dom, a wyszedł bez walizki.

– Czy ktoś z pracowników widział Klemensa Chmielnego w ciągu następnych dni?

– Nie, ale tam są dwa wejścia. Chmielny mógł wejść od strony ogrodu, zabrać rzeczy i wyjść niezauważony. Nie zdążyliśmy porozmawiać ze wszystkimi pracownikami. Została pokojówka i dozorca, który nie zjawił się jeszcze w pracy.

– Według sprzątaczkę Chmielny miał na pieńku z dozorcą – wtrąciła Lena, podając Wolskiemu kawę. Ten podziękował skinieniem głowy. – Nie zna powodu, ale podobno nie przepadali za sobą.

– Trzeba z nim porozmawiać – stanowczo oznajmił prokurator.

– Wiem. Poczekamy, jeśli nie zjawi się w hotelu, złożymy mu prywatną wizytę.

– Pozostaje kwestia aktówki – dodał Ernest. – Denat wszedł do parku z teczką, ale przy zwłokach jej nie było.

– Motyw rabunkowy? – podsunął Nawrocki.

– Wykluczyłbym – odparł Marcel i skulił się na krześle. Trzy pary oczu, z wyjątkiem Rudnickiej, zwróciły się ku niemu.

– Mógłby sierżant rozwinąć? – kpiąco zaproponował prokurator.

Marcel pożałował swoich słów. Poczul się jak na egzaminie, kiedy wymagający profesor zadaje pytanie, o którym wie, że niedouczony student i tak nie poda na nie poprawnej odpowiedzi. Spojrzał na Rudnicką, a w jej oczach dostrzegł aprobatę. Pewność siebie nagle powróciła. Wziął głęboki oddech.

– Wiele osób chodzi po mieście z podobnymi aktówkami, więc jeśli bralibyśmy pod uwagę motyw rabunkowy, należy założyć, że sprawca wiedział o pieniądzach znajdujących się w teczce.

Komisarz uśmiechnęła się pod nosem. Na dobrą sprawę mogłaby go speszyć uwagę, że jeszcze wczoraj sam sugerował motyw rabunkowy, ale nie zrobiła tego.

Nawrocki wstał i spojrzał z góry na Marcela. Na surowej twarzy prokuratora malowało się wyzwanie. Wolski najchętniej zwinąłby się w kłębek i schował pod stołem.

– Może pieniądze miały kupić spokój u kochanki – zaproponował Tymon, nie wyczuwając napiętej atmosfery.

– Bez sensu – wtrąciła Rudnicka, która najwyraźniej też niczego nie zauważyła.

– Gdyby Chmielny chciał zapłacić kochance za milczenie albo za spokój, to dlaczego ta miałaby go zabijać? Przecież mogła ciągnąć od niego kasę latami, szczególnie jeśli zrobił jej dziecko.

– Ale założenie, że sprawca jest w posiadaniu aktówki, wydaje się trafne – podsumował Ernest.

Rudnicka pomyślała, że jest jeszcze inna opcja: że aktówkę zabrał przypadkowy przechodzień, który zajrzał do środka z czystej ciekawości i widząc tyle

pieniędzy, zabrał ją ze sobą, jednak nie zdążyła podzielić się swoimi przemyśleniami.

– Dowiedzcie się, gdzie denat spędził te dwa dni – polecił Nawrocki.

– Sprawdziliśmy okoliczne hotele, ale bez rezultatu.

– Mógł zatrzymać się u kumpla ze studiów – podsunęła Rudnicka. – Zaraz do niego pojedziemy i zobaczymy, co ma do powiedzenia w tej sprawie. A wy – zwróciła się do Ernesta i Tymona – odwiedźcie dawne miejsce pracy Chmielnego. Może dowiemy się czegoś ciekawego, bo na razie mamy dwie sprzeczne wersje. Według rodziców syn to spokojny i dobroduszny człowiek, a żona i pokojówka przedstawiają zgoła inny obrazek.

Policjanci pokiwali głowami.

– Czyli żona miała motyw? – zawyrokował prokurator.

– Naciągany – odparła komisarz. – Nie dysponujemy żadnymi dowodami, by ją zamknąć, a mam przeczucie, że na wolności przyda się nam bardziej, niż gdyby siedziała za kratami.

– Chcieli mieć dziecko – ciągnął Nawrocki. – Żona leczyła się na bezpłodność, dowiedziała się o kochance, która była w ciąży z jej mężem, i go zabiła.

– Jeżeli zobaczę kwity, że faktycznie leczyła się na bezpłodność, wtedy uwierzę.

– Co z sekcją? – spytał Tymon.

– Za wcześnie, ale dzisiaj chcę złożyć wizytę Bani – odparła Lena. – Może powie coś interesującego. No i jest jeszcze zdjęcie kobiety, o której nic nie wiemy.

Tymon spojrzał z zaciekawiony. Rudnicka pokazała fotografię dziewczyny i pokrótce wyjaśniła, w jaki sposób weszła w jej posiadanie.

– Nie wiadomo, kim jest? – spytał Nawrocki.

– Dowiemy się.

– Być może tajemnicza kochanka.

– Być może – potwierdziła komisarz.

– A telefon?

– Ostatnie logowanie z parku, potem nic. Pewnie ktoś zniszczył aparat razem z kartą SIM, ale wystąpiliśmy do operatora o billingi.

– To trochę poczekamy.

– Tak – przyznała. – Już nie jest tak łatwo jak kiedyś. Przed decyzją sądu wątpię, żeby coś udostępnili.

– Pieprzona ochrona danych... – mruknął Milewski.

– Dobra. – Rudnicka klasnęła w dłonie, dopiła kawę i potoczyła wzrokiem po sali. – Czas wziąć się do roboty.

5

Lena energicznie pokonywała schodki prowadzące do mieszkania Dariusza Brzozowskiego. Klatka schodowa starego bloku nie wyróżniała się niczym szczególnym. Wysłużone, metalowe poręcze; bladozielone ściany, które dawno nie widziały malarskiego pędzla; odpadający gdzieś tam tynk i typowy dla powojennych klocków zapach. Woń gotowanej kapusty i smażonego schabowego wymieszana z papierosowym dymem. Na każdym półpiętrze stały wypełnione petami słoiki z zażółconą wodą.

Marcel trzymał się z tyłu. Lena dostała zastrzyk energii, jakby ktoś podmienił jej baterie na takie z turbodoładowaniem. Gnała po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. W związku z porannym postanowieniem pozycja, jaką zajął, nie była dobra. Przed oczami miał pośladki swojej szefowej, które mimowolnie przyciągały jego uwagę. Odwracał wzrok, by komisarz nie zauważyła, co tak naprawdę zajmuje jego myśli.

Zatrzymała się przy jednym z mieszkań.

– Napatrzyłeś się? – zapytała, łomocząc pięścią w drzwi. Druga dłoń powędrowała na przypiętego do paska glocka. Odruch bezwarunkowy.

– Na co? – spytał, oblewając się rumieńcem.

Komisarz uśmiechnęła się szelmowsko, co wprowadziło Wolskiego w jeszcze większe zakłopotanie.

– Może go nie ma? – dyplomatycznie zmienił temat.

– Musi być. – Ponownie walnęła pięścią.

Z wnętrza mieszkania doszło ciche szuranie kapci. Rudnicka odsunęła się, gotowa, by odeprzeć ewentualny atak. Po chwili w otwartych drzwiach stanął mężczyzna w średnim wieku. Niedbały, zbyt obfity zarost na policzkach; rozwichrzone włosy i zamglony wzrok kazały sądzić, że wizyta policjantów wyrwała go ze snu. Poglądził zaplamiony podkoszulek, rozchylając usta.

– Dariusz Brzozowski? – spytała Rudnicka.

– Tak, a o co chodzi?

– Zaraz się dowiesz – burknęła, mijając go w progu.

– Komenda Miejska Policji, Wydział Kryminalny – wyjaśnił Wolski. – Możemy?

Pytanie zadał dla formalności, bo komisarz już dawno zniknęła we wnętrzu mieszkania. Brzozowski przytaknął i wpuścił policjanta do środka.

Marcel wyczuł mocną woń alkoholu i rozejrzał się po ciasnej kawalerce. Na podłodze walały się butelki po finlandii i puszki po piwie. Sterta butelek po napojach zalegała pod ścianą. Wczoraj zastawiony suto stół teraz świecił opróżnionymi półmiskami. Na dużym talerzu Marcel dojrzał muszle po mięczakach. Liczba kieliszków wskazywała na sześciu imprezowiczów, ale Wolski nie wykluczał, że w zawalonym naczyniami zlewie kieliszków mogło być więcej. Zastanowił się, jak Brzozowskiemu udało się zmieścić tylu ludzi w tak małym mieszkaniu. Jego kawalerka miała podobny metraż, ale nie wyobrażał sobie, by weszło tam więcej niż trzy osoby naraz.

– Masz, może ci się przydać. – Rudnicka rzuciła na stół listek paracetamolu.

Brzozowski zerknął zaskoczony, ale po namyśle wycisnął jedną tabletkę i poszukał wzrokiem czegoś do picia. Podniósł karton po soku, ale nie uleciała z niego ani jedna kropla. Podszedł do zlewu, popił pigułkę wodą z kranu i odwrócił się do policjantów.

– O co chodzi? – spytał zachrypniętym głosem, po czym otarł wierzchem dłoni wilgotne usta.

– Może ty nam powiesz? – odparowała Lena. Brzozowski zmarszczył czoło, a jego napuchnięta od alkoholu twarz przybrała nieodgadniony wyraz. – Rozumiem, że żałoba po kumplu nie obowiązuje, ale żeby wyprawiać stypę przed pogrzebem? – dodała.

Brzozowski podrapał się po brzuchu.

– Nie wiem, o czym pani mówi – powiedział.

Rudnicka wzięła wdech, ale Marcel wszedł jej w słowo.

– Pana przyjaciel Klemens Chmielny został zamordowany.

– Klemens zamordowany? – Brzozowski nie wyglądał na zdziwionego. Zdawało się, że na mgnienie oka cały zeszywniał, co nie uszło uwagi policjantów.

– Nie wmawiaj mi, że nic nie wiedziałeś – oświadczyła Lena.

– Jak zamordowany?

– Dostał trzy ciosy nożem – wyjaśnił Wolski. – W parku Trzeciego Maja.

– Ale kto go zabił?

– Dobre pytanie – zaatakowała Rudnicka. – Jaki nosisz rozmiar buta?

Brzozowski popatrzył na komisarz.

– No jaki? – ponagliła.

– Czterdzieści.

– Taki wielki chłop, a taka mała stopa? Pokaż no te buty.

– Co pani?

– Proszę pokazać – powiedział Wolski, sceptycznie nastawiony do takiego sposobu przesłuchiwania świadka. Rudnicka przez całą drogę do mieszkania Brzozowskiego wysnuwała tezę, że przyjaciel denata wie, gdzie podziewał się on przez dwa dni. Prawdopodobnie ten fakt był wystarczający, by nakreślić komisarz.

Brzozowski podszedł do sfatygowanego adidasa i obrócił go podeszwą do góry. Lena zajrzała Wolskiemu przez ramię.

– Kurwa – rzuciła.

– Nie rozumiem – powiedział Dariusz. – O co chodzi z tym butem?

– Tajemnica śledztwa.

– Proszę powiedzieć, kiedy ostatni raz widział pan Klemensa Chmielnego? – spytał Marcel.

– W poniedziałek.

– Gdzie?

– W hotelu jego żony. Pojechałem tam na chwilę.

– Po co?

– Porozmawiać – bąknął Brzozowski.

– Czego konkretnie dotyczyła ta rozmowa?

– Niczego. Zwykle odwiedziny.

Wpadanie na pogaduchy i kawę to raczej specjalność kobiet, pomyślał Marcel. Po tym, co zastali w mieszkaniu, spodziewałby się raczej odwiedzin z butelką czystej wódki.

– Sprawdźmy to – zapewnił.

Brzozowski wzruszył ramionami.

– O której był pan w hotelu?

– Rano jakoś.

– Proszę określić godzinę.

– Około dziewiątej.

Marcel zmarszczył brwi. Klemens Chmielny o dziewiątej odwoził matkę do lekarza, co potwierdzili mundurowi, którzy sprawdzili nagrania z monitoringu w przychodni.

– Nie mówi pan prawdy – stwierdził.

Policzki Brzozowskiego poczerwieniały. Potrząsnął głową, jakby ten ruch miał sprawić, że wymyśli jakąś dobrą wymówkę.

– Może trochę później – powiedział. – Nie pamiętam.

– Potem widział pan Klemensa?

- Nie widziałem.
 - Czy pański przyjaciel planował urlop albo jakąś podróż?
 - Nie, dlaczego?
 - Nie zjawiał się w domu przez dwa dni, a z mieszkania zniknęła walizka wraz z rzeczami osobistymi.
 - Nie wspomniał o żadnym wyjeździe – odparł Brzozowski, wyraźnie zmieszany.
 - W takim razie może wie pan, gdzie przebywał przez dwa dni?
 - Nie wiem.
 - Byliście ze sobą blisko?
 - Można powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi.
 - Czy Klemens wspominał o problemach z żoną?
 - Kłócili się, jak wszyscy.
- Dariusz uciekał wzrokiem. Ewidentnie wolałby, by policjanci opuścili jego mieszkanie. Nerwowo drapał krostę na ramieniu i choć skóra wokół mocno się zaczerwieniła, nadal bezwiednie skrobał paznokciem.
- Zauważył pan coś podejrzanego w zachowaniu Klemensa? – naciskał Wolski.
 - Zachowywał się jak zwykle. Naprawdę nie wiem, co mógłbym więcej państwu powiedzieć.
 - Ale ja wiem – wypaliła Rudnicka, podpierając się pod boki.
- Mężczyźni spojrzeli na komisarz. Rozmowa z Brzozowskim pochłonęła Marcela na tyle, że nie zauważył, iż Rudnicka już dawno wyszła z pokoju. Zamachała szarym materiałem.
- Co to jest? – zapytała.
 - Płaszcz – odparł Brzozowski, robiąc krok do tyłu.
 - Twój?
 - Mój.
 - Chyba nie – skwitowała z błyskiem w oku.
- Marcel czekał, aż Rudnicka wyjaśni tę zagadkę.
- Zmieniłeś stylówkę? – spytała. – Bo ten płaszczyk do ciebie nie pasuje.
 - Przepraszam, ale...
 - Marcel, spójrz. – Rozłożyła dłonie, wskazując wieszak. – Same sportowe ciuchy i ten płaszcz? Do czego go zakładasz? – Zwróciła się do Brzozowskiego. – Do tych trampek? – Pokręciła głową. – Wciąż nie pojmuję tej dzisiejszej mody.
 - Nie rozumiem...
 - Mieścisz się w niego? Nie sugeruję, że jesteś gruby, ale to chyba nie twój rozmiar, co? Wszystkie kapotki to XXL, a kupiłeś sobie płaszcz w rozmiarze L?

Chyba pije cię pod pachami?

– Ja... – Na czoło Brzozowskiego wystąpiły kropelki potu. Starł je rękawem, przełykając ślinę.

– Kiedy ostatni raz widziałeś Klemensa? – spytała Rudnicka.

Popatrzył na policjantkę, jakby zastanawiał się, jaką drogę obrać. Wystarczyłoby jedno słowo, by pogrążył sam siebie. Z drugiej jednak strony był tak zestresowany, że żadne kłamstwo nie przychodziło mu do głowy. W pijackim amoku zapomniał schować ten cholerny płaszcz i teraz przyjdzie mu za to zapłacić.

– Widziałem go w środę – odparł po dłuższej chwili. – W środę wieczorem.

– O której? – Rudnicka z triumfem rzuciła płaszcz na oparcie fotela.

– Po dwudziestej pierwszej.

– A dokładniej?

– Nie wiem, może za dwadzieścia dziesiąta.

– O proszę! A wiesz, że dwadzieścia minut później twój kolega wyzionął ducha?

– Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego! – krzyknął, łapiąc się za głowę. Przeszedł do kuchni i napił się wody, by uspokoić skołatane nerwy. Gdy jednak odwrócił się w stronę policjantów, na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Gdzie go widziałeś? – podjęła komisarz.

– Ja naprawdę... Powiem wam wszystko. To nie moja wina, przysięgam.

– Zamieniam się w słuch. – Rudnicka skrzyżowała ramiona na piersi.

Brzozowski znowu zamilkł. Powolnym ruchem odsunął krzesło i siadł przy stole. Kilka długich sekund wpatrywał się w puste kieliszki, a kiedy podniósł wzrok, wyglądał na nieco uspokojonego.

Tym razem komisarz nie poganiała świadka. Cierpliwie czekała, aż sam zacznie mówić.

– Klemens mieszkał u mnie przez te dwa dni – wymamrotał, pocierając dłonie.

– To akurat zdążyłam sama wydedukować – rzuciła. – Co dalej?

– Zjawił się u mnie w poniedziałek wieczorem i prosił, abym go przenocował. Pokłócił się z Dorotą i nie chciał wracać do domu. Był lekko wstawiony, ale nie pytałem, gdzie pił. Pewnie gdzieś na mieście. – Wciągnął głośno powietrze, próbując opanować drżenie głosu i kontynuował: – Co mogłem zrobić? Wyrzucić przyjaciela? W szafie leży dmuchany materac, więc go wyciągnąłem, opróżniliśmy flaszkę i przespał się na podłodze.

– Miał ze sobą walizkę?

– Nie. Poszedł po nią następnego dnia, kiedy Doroty nie było w hotelu. Chciała załatwić coś w urzędzie, więc Klemens miał pewność, że jej nie spotka i będzie mógł spakować rzeczy. Mówił, że wyprowadzi się od żony. Planował wynajęcie mieszkania.

– Z powodu jednej kłótni?

– Z powodu serii kłótni – sprostował Brzozowski. – Nie układało się między nimi. Zresztą, sam doradzałem Klemensowi, żeby to skończył, bo oboje niepotrzebnie się męczyli.

– Czego dotyczyły kłótnie?

– Wszystkiego. Pieniądzy, hotelu...

– A dzieciaka?

– Dzieciaka? – Brzozowski zamarł. – Jakiego dziecka?

– Ty mi powiedz.

– Nic nie wiem.

Dariusz wstał i odwrócił się do okna. Splótł dłonie z tyłu pleców, ale Rudnicka zauważyła, że lekko drżą. Brzozowski wiedział coś na temat dziecka Klemensa, ale raczej nie zamierzał dzielić się tą wiedzą z nimi.

– O co posprzeczali się w poniedziałek? – zapytała.

– Nie chciał powiedzieć, a ja nie naciskałem.

Kłamstwo, pomyślała. Jeśli Chmielny przyszedł do przyjaciela pijany, zapewne wylał z siebie wszystkie żale dotyczące małżonki.

– To pan wrzucił walizkę do kontenera, prawda? – Wolski zmienił temat.

– Tak – przyznał Brzozowski, odwracając się do policjantów. Zaciśnął usta z wahaniem, po czym dodał: – I ja zadzwoniłem na sto dwanaście, żeby o niej poinformować.

– Dlaczego pan to zrobił? – spytał Marcel, choć zarówno on, jak i Lena domyślali się odpowiedzi.

– Nie mam alibi – wyjaśnił. – Byłem w mieszkaniu, kiedy to się stało. Nie mogłem... w to uwierzyć, kiedy zadzwoniła do mnie matka Klemensa i poinformowała o całej sprawie. Spanikowałem i wyrzuciłem walizkę, ale potem doszedłem do wniosku, że powinienem zawiadomić policję.

– Nie zaniepokoiło cię, że Klemens nie wrócił na noc? – spytała Rudnicka.

– Pomyślałem, że gdzieś zabalował...

Lena zmrużyła oczy.

– Twoja sytuacja wygląda gorzej niż dramatycznie – zawyrokowała.

– Nie zabiłem Klemensa, przysięgam!

Marcelowi zdawało się, że w oczach Brzozowskiego zobaczył łzy. Nie zweryfikował swego spostrzeżenia, bo ten odwrócił się z powrotem do okna.

– Mieszkał tutaj dwa dni, w środę wyszedł i już go nie widziałem – wyznał łamiącym się głosem.

– Mówił, gdzie wychodzi?

Brzozowski zaprzeczył.

– Jeszcze tu wrócę.

Komisarz obróciła się na pięcie i wymaszerowała z mieszkania. Gdy Marcel podążył za nią, przyjaciel denata wciąż wpatrywał się w okno.

Na klatce Rudnicka dostała takiego przyspieszenia, że kiedy Marcel dotarł do samochodu, zdążyła odbyć szybką rozmowę przez telefon.

Wsunęła komórkę do kieszeni i spojrzała na Wolskiego karcącym wzrokiem.

– Poleciałam chłopakom go sprawdzić – wyjaśniła. – Coś tu śmierdzi, ale muszę zebrać więcej informacji.

– Nie spytałaś o aktówkę, żeby mieć na niego haka? – zgadł Marcel, wyjął paczkę papierosów i odpalił jednego.

Rudnicka przytaknęła i oparła się o maskę. Wolski spodziewał się, że go popędzi, by palił szybciej, ale odpłynęła myślami gdzieś daleko.

– Z tym płaszczem ci się udało – odezwał się, strząsając popiół.

Lena spojrzała na niego wzrokiem, jakim nauczycielka obrzuca niesfornego ucznia. Dopiero po chwili zorientował się, że jest rozbawiona.

– No co?

– Nie skojarzyłeś faceta z brodą, o którym mówił ćpunek spod kamienicy? Nie odpowiadaj. – Uniosła dłoń. – Wiem, że nie. Trochę podciął te bokobrody, ale zielona kurtka wisiała na wieszaku, a na stoliku leżały ciemne okulary.

Marcel poczuł się jak naiwne dziecko. Najchętniej zapadłby się pod ziemię i przysypał toną piachu. Odwrócił wzrok, przypuszczając, że dał komisarz dobry powód do naigrawania się przez następną godzinę.

– Spoko – bąknęła i kopnęła kamyk. Potoczył się prosto pod koła przejeżdżającego samochodu.

Wolski przygotował się na kpiny, a tymczasem Lena cierpliwie czekała, aż wypali papierosa. Odsunęła się, by uniknąć wdychania strużki dymu lecącej w jej stronę.

– Już? – zapytał z niedowierzaniem.

– Jedziemy do patologa – odparła zamyślona. – Jak go przycisnę, może powie coś pożytecznego.

6

Kurwa, kurwa, kurwa! – krzyczała Bracka, przechadzając się z jednego końca holu na drugi. – Ja pierdolę, coś ty nagadała tym gliniarzom?

Agnieszka Mizerna wbiła wzrok w podłogę. Nie zdążyła zdjąć szalika, a szefowa od razu przystąpiła do ataku, jakby siedziała w oknie i tylko czekała, aż recepcjonistka przekroczy próg hotelu.

– Przepraszam.

– Przepraszam? Jakie, kurwa, przepraszam!

– Ja po prostu...

– Kurwa! Po co mówiłaś o tej pieprzonej księdze gości?!

– Nie wiedziałam, że to pani wyrwała tę kartkę.

– Nie wiedziałam, nie wiedziałam – przedrzeźniła recepcjonistkę Bracka, wymachując rękoma. – To nie ma żadnego związku ze sprawą śmierci mojego męża, a teraz przez ciebie ta stuknięta policjantka węszy w moim hotelu. Macie zakaz rozmawiania z policją bez mojej zgody, rozumiano?

– Oczywiście.

– No. – Bracka poprawiła spódnice, odzyskując fason.

Nigdy nie zdarzyło się jej naskakiwać na Agnieszkę. Owszem nie zaliczała się do wzorowych pracodawców, ale złość wyładowywała na Kalinie Michalskiej. Ta głupia pokojówka wystarczająco namieszała w jej życiu.

Dorota przeszła korytarzem i skierowała się do apartamentu. Na wszelki wypadek zamknęła drzwi na klucz. Otworzyła gabinet Klemensa i z westchnieniem usiadła w fotelu. Rozejrzała się wokół. Po wizycie policjantów, którzy przetrzepali biuro, pozostał ogromny bałagan. Powinna posprzątać, ale nie miała na to siły.

Oparła łokcie na biurku i schowała w dłoniach twarz. Klemens nie żyje. Jak to mogło się stać?

Poczuła, że w oku zakręciła się niechciana łza. Starła ją ze złością, ale zaraz pojawiła się następna, i kolejna. Dlaczego płacze? Przecież nie kochała Klemensa, a rozvodu pragnęła jak niczego innego. Ale spędziła z tym człowiekiem pięć lat, więc chyba nie był jej zupełnie obojętny...

Może gdyby bardziej interesowała się życiem własnego męża, nie doszłoby do tej tragedii. Może uchroniłaby go od śmierci? Powstrzymała przed głupotą, którą zrobił.

Zaśmiała się w duchu. Przecież próbowała. To była tylko jego decyzja. Sam sobie winien. No cóż, trudno. Wzruszyła ramionami. Czasu nie cofnie. Powinna skupić się na bieżących sprawach, znaleźć nowego księgowego, bo sama nie upora się z tą finansową machiną.

Wyprostowała się gotowa do pracy, ale poczuła, że znowu wpada w rozpacz. Nie powstrzymywała łez. Była sama. Jak zawsze.

Uznała, że może pozwolić sobie na jedną chwilę słabości.

7

Siedziba firmy Let-Bud znajdowała się przy ulicy Wólczańskiej. O tej porze próżno było szukać wolnego miejsca parkingowego, więc Tymon zatrzymał samochód na chodniku pod kamienicą. Policjanci z drogówki i strażnicy miejscy dobrze znają nieoznakowane radiowozy, więc narażam się tylko na biadolenie przechodniów, pomyślał. Na chodniku było tak wąsko, że w szczelinie pomiędzy ścianą budynku a samochodową blachą ledwo zmieściłaby się jedna osoba, a co dopiero matka z dziecięcym wózkiem.

Tymon zastanowił się nad przestawieniem opla. Kiedy Karolinka była jeszcze małą, Paulina wiele razy narzekała na kierowców tarasujących przejście. Nie zdążył jednak podjąć decyzji, bo Ernest Jabłoński wyskoczył z samochodu i z łatwością przecisnął się pomiędzy ścianą a uchylonymi drzwiami.

– No idziesz? – ponaglił.

– Tak, tak.

Milewski wygramolił się z siedzenia, złapał za rączkę przy szybie, podciągając ją do góry. Nie chciał zarysować samochodu, usprawiedliwił się w myślach. W rzeczywistości jego zwiotczałe mięśnie odmawiały współpracy. Od całonocnego czuwania nad łóżkiem Karolinki łupało go w krzyżu. Paulina proponowała, by się zmienili, ale przekonał ją argumentem, że przynajmniej niech jedno z nich się nie wyśpi. Po co oboje mają zarywać noc? Poza tym Paulę czeka dużo pracy i powinna być wypoczęta.

Ernest pchnął drzwi, nad którymi widniał szyld firmy Let-Bud. Młoda sekretarka uniosła wzrok znad dokumentów i posłała mu wystudiowany uśmiech.

– Dzień dobry, aspirant Ernest Jabłoński, Wydział Kryminalny – przedstawił się, wyjmując odznakę.

Tymon zaśmiał się na to przedstawienie, ale dziewczyna zdawała się nie zauważać w tym nic niestosownego. Obniżony głos Ernesta i wyprężona pierś kazały sądzić, że blondwłosą sekretarkę czeka dziś burzliwa noc.

– A w jakiej sprawie? – spytała.

– Pani... – Ernest spojrział na plakietkę, przyczepioną do jasnej bluzki. Nie zawahał się, by na wydatnym dekolcie zatrzymać wzrok nieco dłużej. – Pani Mileno, chcielibyśmy porozmawiać z szefem, Adrianem Letmańskim.

– Jest zajęty – ucięła.

– To raczej pilne.

Nieprzychylność kobiety stanowiła dla aspiranta jeszcze większą zachętę. Poprawił podkoszulek i wydał usta w udawanym zamyśleniu.

– Ma spotkanie – poinformowała urzędowym tonem. – Mogą panowie poczekać. Niedługo powinno się skończyć.

Ernest rozsiadł się na krześle, zarzucił prawą rękę na oparcie obok i wyeksponował umięśniony tors. Sekretarka powróciła do swojego zajęcia, nerwowo przerzucając papiery. Ciszę zakłócało jedynie klikanie komputerowej myszki.

Tymon znał tę grę. Kiedyś wybrał się z Ernestem do baru, kolega szczegółowo omówił różne typy kobiet chodzących po świecie. Sekretarka najwyraźniej zaliczała się do „pozornie niedostępnych”, ale według Jabłońskiego ta postawa jest jedynie wyzwaniem dla myśliwego. Milewski nie był przekonany do tej teorii, ale nie polemizował. Jego doświadczenia z kobietami ograniczały się do własnej żony.

Pięć minut później z gabinetu wyszło dwóch mężczyzn. Pożegnali się z prezesem serdecznie, jak starzy przyjaciele, a nie partnerzy biznesowi. Wzajemnym poklepywaniami i uściskom nie było końca.

Tymon odchrząknął i podniósł się z krzesła.

– Pan Letmański?

– Panowie z policji – poinformowała sekretarka, gdy goście zniknęli za drzwiami.

– Z policji? – Prezes uniósł krzaczaste brwi.

– Możemy zająć kilka minut?

– Oczywiście, zapraszam do mojego gabinetu.

Biuro Letmańskiego zajmowało niewielkie, acz przytulne wnętrze. Jasne kolory miały za zadanie wprowadzić klienta w dobry nastrój. Głównym punktem była ściana za plecami prezesa, przedstawiająca budynki wzniesione przez firmę. Dość okazałe, ocenił w duchu Tymon.

Zasiedli przy biurku. Adrian Letmański splótł dłonie na blacie i pytająco spoglądał na policjantów. Najwyraźniej nie miał pojęcia, z jakiego powodu pojawili się w jego biurze, ale podchodził do sprawy biznesowo. Szybka, krótka rozmowa i wszyscy powrócą do swoich zajęć.

– Słyszał pan o zabójstwie Klemensa Chmielnego? – zagadnął Ernest.

– Ach, o to panom chodzi!

Uśmiech, jaki pojawił się na twarzy Letmańskiego, nie pasował do sytuacji. Właściciel firmy natychmiast się zreflektował.

– Tak, słyszałem – odparł. – Czytałem w gazecie. Koszmarna sprawa.

– Klemens Chmielny pracował dla pana.

– Dawno temu – sprostował Letmański. – W ostatnim czasie pomagał tylko, kiedy główny księgowy nie radził sobie z nadmiarem obowiązków.

– Czyli widywał się pan z Chmielnym? – spytał Tymon.

– Owszem, ale rzadko. Spotykaliśmy się w firmie, a właściwie mijaliśmy. Wpadał do księgowego i czasem zamieniliśmy kilka słów.

– A kiedy ostatni raz pan z nim rozmawiał?

– A bo ja wiem? – Prezes powiódł wzrokiem po suficie. – Z miesiąc temu. Przyszedł załatwić coś z Wnukiem, naszym księgowym. Spotkaliśmy się na korytarzu.

– O czym rozmawialiście?

– Nie pamiętam – odparł. – Przepraszam, nie przywiązywałem do tego wagi. Zwykła, kurtuazyjna rozmowa.

– Czy podczas tej rozmowy Klemens Chmielny zachowywał się inaczej? Może był zdenerwowany?

– Raczej nie. Wszystko wyglądało w porządku. Chociaż... – Letmański zawiesił głos. – Teraz sobie przypomniałem. Rozmawialiśmy o tym, że zbliża się jego rocznica ślubu. Odniosłem wrażenie, że zdenerwowałem go tym pytaniem.

– Czy opowiadał kiedyś o życiu rodzinnym?

– Nie byliśmy kolegami i nie rozmawialiśmy o takich sprawach.

– Jak pan postrzegał Klemensa Chmielnego?

Letmański zdumiał się.

– Niby jak mogłem go postrzegać? Normalny człowiek. Miał swoje za uszami, jak każdy.

– To znaczy?

– Nie dogadywał się z drugim księgowym. Tym, który go zastąpił. Nie pytałem, o co się poprztykali, ale dopóki nie wpływało to na pracę, postanowiłem nie wnikać.

Ernest spojrzął na Tymona. Czeka ich rozmowa z drugim finansistą. Pozornie nieznaczące kłótnie czasem skłaniały ludzi do najgorszych przestępstw.

8

Za murami Zakładu Medycyny Sądowej przy ulicy Sędziowskiej mimo przykrych okoliczności panowała przyjemna aura. Pomalowany na żółto, otoczony drzewami budynek sprawiał sympatyczne wrażenie. W oddali dało się słyszeć donośne śpiewy ptaków. Do melodyjnych gwizdów i treli dołączył cichy terkot słowika, który przeszedł w głośne, gardłowe gwizdy. Szybką serię ptak zakończył melodyjnym, długim poświstywaniem; poderwał się do lotu, a po chwili stał się jedynie majaczącą na bezchmurnym niebie czarną kropką.

Marcel przełknął ślinę. Nieczęsto bywał w prosektorium, ale każdą wizytę w tym miejscu przeżywał przez kilka następnych dni. Widok martwego ciała zapadał w pamięć i nachodził go w najmniej odpowiednich momentach. Dzisiaj będzie podobnie, pomyślał i odpalił papierosa; próbując opanować żółć podchodzącą do gardła. Wypuścił dym z płuc i zaciągnął się ponownie, jakby nikotyna stanowiła lek na wszystkie trawiące go dolegliwości.

– Sielanka, co? – zagadnęła Rudnicka. – Nic, tylko wziąć kocyk i kanapki na piknik.

Wolski spojrzał na nią przelotnie. Wiatr rozwiewał włosy, które z uporem próbowała zagarnąć za ucho. Po kilku podejściach odpuściła i z głośnym westchnieniem wsunęła dłonie do kieszeni spodni. Bliskość kilkudziesięciu martwych ciał w lodówkach za ścianą i czekających na swoją kolej, by trafić pod skalpel medyka, nie robiła na niej żadnego wrażenia.

Pewnie przywykła do widoku zwłok, przyszło mu do głowy, ale czy ktokolwiek oprócz patologów jest w stanie do tego przywyknąć?

Rudnicka przechadzała się przed bramą. Czekwała na niego, jak zawsze, gdy palił papierosa, ale w tym momencie wolałby, aby weszła do zakładu sama. Podsuniecie jej tego pomysłu nie wchodziło w grę. Wystarczy, że wyszedł na szczeniaka, kiedy przeoczył istotne szczegóły w mieszkaniu Brzozowskiego.

Wyrzucił niedopałek i przydeptał butem. Rudnicka od razu otworzyła drzwi, by zniknąć wewnątrz. Marcel niepewnym krokiem ruszył za nią.

Charakterystyczny ostry zapach środków chemicznych uderzał w nozdrza. Roztwór wodny formaldehydu, zwanego potocznie formaliną, drażnił drogi

oddechowe. Marcel odkaslnął, zakrywając usta, ale woń była tak intensywna, że czuł ją nawet w żołądku.

W milczeniu pokonali wąski korytarz i weszli do dużej, sterylnej sali, w której panował szpitalny klimat. Trzy metalowe stoły sekcyjne ustawiono w centralnym miejscu w otoczeniu szarych lodówek. Leżące na stołach dwa ciała tonęły w ostrym białym świetle z przytwierdzonych do sufitu jarzeniówek.

Marcel, oszołomiony zapachami i widokami, dopiero po chwili spostrzegł, że w kącie sali siedzi patolog. Bania wziął do ręki kubek z kawą i podszedł do policjantów.

– Spodziewałem się ciebie wczoraj! – zawołał do Leny.

Rudnicka uniosła głowę. Felicjan Bania był wysoki i przeraźliwie chudy, miał zapadnięte, blade policzki i przekrwione oczy. Gdyby go nie znali, mogliby odnieść wrażenie, że stoi przed nimi narkoman na głodzie, a nie biegły sądowy.

– Wiedziałam, że dzisiaj dostanę od ciebie więcej informacji.

– Wiesz, dlaczego nie lubię z nią pracować? – Kiwnął głową do Marcela. – Bo wszystko musi być natychmiast. Spóźnisz się godzinę z wynikami? Rudnicka zaserwuje ci specjalne kazanie jak klecha z ambony...

– Bania – przerwała.

– O! – Wystawił palec. – Widzisz? I nie pozwala nikomu dokończyć. Spędziłem z twoim przyjemniaczkiem pół nocy, a nie usłyszę ani słowa podziękowania. Wiesz, ilu takich czeka w kolejce? – Wskazał na lodówki. – Wielu.

– Już? – spytała Lena. – Możemy przejść do rzeczy?

– Owszem – odparł lekarz, upił łyk kawy i odstawił kubek na parapet. – Wybacz, musiałem pozbyć się frustracji.

Lena знаła Banię wystarczająco długo, by wiedzieć, że jego gawędziarska natura może w każdej chwili wziąć górę. Dzisiaj darował im perorowanie o pogodzie i polityce, ale nic nie było jeszcze przesądzone. Istniało ryzyko, że rozwiąże mu się język, gdy omówią wstępną sekcję zwłok, a wtedy najlepiej będzie czym prędzej umknąć przed rozgadanyim patologiem.

– Jasne – mruknęła. – Mów, co masz.

Bania podszedł do stolika i odsłonił płachtę. Na widok trupio bladej twarzy Klemensa Chmielnego Wolski cofnął się o krok i wpadł na Rudnicką. Odepchnęła go wystraszona, jakby kontakt z jego ciałem napawał ją przerażeniem.

Medyk przyglądał się zwłokom. Zdawał się nie zauważać zakłopotania policjantów.

– Wasz klient zmienił się w małe zoo – zaczął. – Jaja i żywe larwy muchówek to standard, ale nie odnalazłem kusaków ani gnilików, więc potwierdzam to, co

mówiłem na miejscu znalezienia zwłok, czyli czas zgonu szacuję między dwudziestą drugą a dwudziestą trzecią.

– Za piętnaście dziesiąta chodził jeszcze żywy – wtrąciła Rudnicka. Stała po drugiej stronie stołu, unikając wzroku Marcela.

– To pasuje. Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej o imprezie, jaką urządziły sobie robaki, musisz poprosić o pomoc entomologa.

– Wystarczy.

– Okej – odparł patolog, zadowolony z tej odpowiedzi. – Dalej nic nadzwyczajnego: zielone zabarwienie w okolicy brzucha, wyraźne po prawej stronie w okolicach kątnicy. – Spojrzał na Marcela. – W tym miejscu jest bogata flora bakteryjna – wyjaśnił. – No i bliska odległość pęcherzyka żółciowego, więc...

– Bania – przerwała Lena. – On nie jest studentem medycyny.

– Chciałem wyłuszczyć wszystko ze szczegółami.

– To umówcie się na towarzyską sekcję zwłok – rzuciła. – Teraz chcę konkrety.

– Oczywiście. – Bania uśmiechnął się. – Jasne plamy opadowe to znak, że denat stracił trochę krwi. Otarcia na skórze dowodzą, że ciało zostało przeciągnięte, ale ślady pośmiertne pokazują co innego. Zmiany koloru skóry na karku i małżowinach usznych wykształciły się do około trzydziestu minut po śmierci, ale krew się nie przemieszczała.

– Marcel, co to znaczy? – spytała Rudnicka, krzyżując ramiona.

Wolski przełknął ślinę. Niewiele zrozumiał z wywodu lekarza. Wiedział, że plamy opadowe mogą wiele powiedzieć o tym, co działo się ze zwłokami. Po śmierci krew przemieszcza się do najniższej położonych części ciała. W ciągu dwóch do czterech godzin plamy są odpowiednio wykształcone, ale w przypadku zmiany położenia ciała mogą ulec zmianie. Dopiero po dwunastu godzinach wędrownka zostaje przerwana i zmiany na skórze pozostają w tym samym miejscu.

– Co oznacza fakt, że nie wystąpiło zjawisko przemieszczania się plam opadowych? – dodała.

– Chmielny żył, kiedy został przeciągnięty w zarośla?

– Owszem – przytaknął lekarz. – Otarcia powstałe za życia wyglądają inaczej niż pośmiertne. Poza tym, na ciele nie ma obrażeń obronnych. W wypadkach śmierci od ciosu nożem to rzadkość. Najczęściej, kiedy ofiara próbuje powstrzymać ciosy, występują skaleczenia rąk, ale w tym przypadku ich nie ma.

– Ofiara знаła zabójcę – stwierdziła Lena. – Nie spodziewała się ataku.

– Charakter ran jest przypadkowy – ciągnął Bania. – Jako narzędzie zbrodni, jak już się pewnie domyślicie, wskazałbym nóż, ale nie za duży. Dwa pierwsze

wkłucia są dość płytkie i nie były przyczyną śmierci. Natomiast ostatnia rana po lewej stronie klatki piersiowej to kanał długości dwunastu centymetrów. Przebiega pionowo, z góry na dół. Ostrze zakończyło podróż w okolicy mięśnia przegrody międzykomorowej. Kąt zadawania ran świadczy o tym, że morderca był praworęczny.

– Chmielny się wykrwawił? – upewniła się.

– Tak.

Sprawca pozostawił żyjącego Klemensa. Brzmiało to kiepsko, ale dawało jeszcze jedną ścieżkę do rozważań: może morderca nie chciał zabić? Gdyby zabójstwo było jego celem, najprawdopodobniej dobiłby ofiarę, upewnił się, że nie żyje, i dopiero wtedy by uciekł.

– Ile żył od momentu ostatniego ciosu?

– Krótko.

– Nie pomogłeś. – Rudnicka przeszła się po sali, stanęła przy stole i odsłoniła zwłoki. Oczom Marcela ukazała się blada twarz kościstej staruszki.

– Kochanie, na obecną chwilę nic więcej nie powiem – powiedział Bania. – Przypominam, że nasz wczasowicz trafił tutaj dopiero wczoraj.

– Dobra – rzuciła, naciągając z powrotem materiał. – Jeśli znajdziesz coś jeszcze, znasz mój numer.

Felicjan Bania uklonił się teatralnie, odprowadzając policjantów wzrokiem.

Gdy wyszli na parking, Marcel oparł dłonie na kolanach i napełnił płuca świeżym powietrzem. Ubranie przesiąkło tym koszmarnym zapachem, który będzie włókł za sobą cały dzień. Rudnicka uśmiechnęła się blado, zrobiła krok w stronę zaparkowanej skody fabii, ale Wolski złapał ją za ramię. Odskoczyła jak oparzona.

– Przejdziemy się? – zaproponował.

Komisarz rozchyliła usta zaskoczona pytaniem.

– Tam jest park. – Uniósł dłoń, wskazując kierunek.

– No i co z tego? – zaatakowała. – Uważasz, że mamy czas na spacer?

– Muszę trochę odsapnąć – wyznał. – Takie wizyty zawsze wprawiają mnie w paskudny nastrój.

Rudnicka stęknęła, spoglądając w stronę fabii. Najchętniej wskoczyłaby na siedzenie i odjechała bez Wolskiego. Spacer? Co też mu wpadło do głowy? pomyślała. Jest tyle roboty, że nie uwiną się ze wszystkim przez kolejne dni. Cholerny gówniarz.

– Dobra – mruknęła. – Popatrz sobie na pączkujące kwiaty i się ogarnij. Ja tu zaczekam.

Marcel zdjął kurtkę i wrzucił ją na tylne siedzenie. Zaprzagnął pozbyć się z głowy widoku martwego Klemensa Chmielnego, ale nie chciał zostawiać Rudnickiej samej.

– Chodź – odezwał się. – Nie zapraszam cię na randkę, tylko na zwykły spacer.

Słowa Marcela zabrzmiały poufale. Nie spodobał jej się ten ton, ale gdy Wolski przeciągnął dłonią po twarzy, dostrzegła rezygnację. Przeżywał wizytę w prosektorium jak uczeń pierwszego roku medycyny, a nie policjant z kilkuletnim stażem. Nie zamierzała nigdzie iść, ale noga sama postawiła się krok do przodu.

Westchnęła i poczłapała za Wolskim.

W milczeniu szli parkową alejką. Śpiew ptaków brzmiał jeszcze donośniej, ale żadne z nich zdawało się tego nie słyszeć. Marcel przysiadł na ławce, oparł łokcie na kolanach i zapalił papierosa.

Rudnicka zawahała się chwilę, ale po namyśle usiadła obok. Była nieobecna, jakby myślami galopowała po meandrach innej czasoprzestrzeni. Nagle obróciła się gwałtownie i złapała go za przedramię. Marcel chciał cofnąć rękę, zaskoczony tą bliskością, ale zdał sobie sprawę, że wykonała ten gest nieświadomie.

– Ile ważysz? – zapytała, szybko zdejmując dłoń.

– Dlaczego pytasz?

– No ile?

– Osiemdziesiąt.

Prychnęła.

– Mów prawdę. To nie wizyta u dietetyczki.

– Osiemdziesiąt cztery – odparł. – Może pięć.

– Aha. Aha.

W głowie szefowej zachodził zawiły proces myślowy. Marcel obserwował ją chwilę, a potem przeniósł wzrok na przechodzącą parę emerytek. Kijki do nordic walkingu rytmicznie uderzały o wybrukowaną kostką ścieżkę.

– Na co ci moja waga? – zapytał, odpalając drugiego papierosa.

– A ile masz wzrostu?

– Dlaczego pytasz? – powtórzył, opadając na oparcie. Zreflektował się i przełożył westa do drugiej dłoni, ale tym razem Rudnickiej nie przeszkadzał ulatujący w powietrze dym.

– Robię ranking moich kochanków – rzuciła. – No ile?

– Metr osiemdziesiąt pięć.

– Okej – powiedziała, jakby jedno słowo mówiło wszystko.

Wolski nic z tego nie rozumiał.

– Mam podać resztę moich wymiarów? Niektóre chyba znasz – stwierdził z przekąsem, ale Rudnicka nie zareagowała. Potarła oczy i przygryzła dolną wargę. Marcel spostrzegł, że usta ma delikatnie pociągnięte jasną szminką. Dziwne, że wcześniej tego nie zauważył. – Podzielisz się swoją refleksją? – dodał, przerywając ciszę.

Odwróciła się w jego stronę, jak gdyby przebudziła się z głębokiego snu.

– Masz idealne BMI, ale na moje oko mógłbyś trochę przypakować – oceniła. – Co ty robisz na tej siłce? Kręcisz kilometry na spinningu? Porzucałbyś trochę sztangą, to wyglądałbyś jak rasowy gliniarz z CSI.

– Sztangą się nie rzuca, tylko ją podnosi.

– Jeden pies.

– Powiesz wreszcie, do czego zmierzasz?

– Chmielny był podobnej postury. Może trochę wyższy. – Przypatrzyła się Marcelowi. – Ale niewiele. Nieważne. – Machnęła ręką. – Idzie przez park spotkać się z kimś znajomym. Może chce przekazać mu kasę, ale kiedy go spotyka, ten ktoś nadziewa go na nóż jak kurczaka na rożen...

– Niezbyt trafne porównanie – zauważył, zaciągając się.

– Wbija mu nóż w parkowej alejce – ciągnęła. – Ile metrów jest od chodnika do tych zarośli?

– Nie wiem. Z pięćdziesiąt?

– No. Może być. Jeżeli sprawca ważył ze sto kilo, z łatwością przeciągnąłby zwłoki.

– To chyba dobrze – stwierdził. – W końcu odcisk buta świadczy o tym, że morderca był duży.

– Ale dlaczego go nie dobił?

– Może nie zauważył, że Chmielny żyje?

– Jasne – zachnęła się. – Chmielny widział mordercę, więc ten nie ryzykowałby zostawienia go żywego. Ja na jego miejscu upewniłabym się, czy na pewno jest martwy. Nasz kiler to amator, bo gdyby był profesjonalistą, zadałby jeden porządny cios. Ale nikt nie jest na tyle głupi, by zostawić półżywą ofiarę.

Marcela przeraził fakt, co by było, gdyby Rudnicka nie została policjantką. Gdyby przeszła na drugą stronę, prawdopodobnie zostałaby mistrzem w swoim fachu.

– Zabrał telefon, by uniemożliwić Chmielnemu wezwanie pomocy – stwierdził.

– Przeciągnął go w krzaki, żeby nikt nie zobaczył ciała. W ciemności raczej trudno cokolwiek dojrzeć w tych zaroślach.

– Ale dlaczego go nie dobił? – powtórzyła do siebie.

Wolski odrzucił niedopałek i spojrzał na Rudnicką.

– Mamy zbyt wąskie myślenie – oznajmił.

Komisarz spojrzała z ciekawością. Ponagliła sierżanta ruchem ręki.

– Może morderca wcale nie chciał zabić? – podsunął.

– Morderstwo w afekcie?

– Ktoś wiedział, że Klemens spaceruje z teczką wypchaną pieniędzmi, zaatakował go, ale ten nie chciał jej oddać i wtedy doszło do morderstwa.

– Nie wiemy, czy w aktówce rzeczywiście niósł pieniądze.

– To najprawdopodobniejsza wersja.

– Tak – przyznała.

Biorąc pod uwagę, że wyparowało sto tysięcy, ta wersja wydawała się do przyjęcia. Ale Rudnicka wolała posługiwać się suchymi faktami, a w tej sprawie odnajdywała ich wyjątkowo mało.

– Nie powinniśmy zakładać, że mordercą jest mężczyzna – powiedziała, zarzucając rękę na oparcie. Grzywka na jej czole lekko się rozchyliła, a Marcel miał ochotę ją poprawić, ale momentalnie się wyprostował.

– Odcisk buta wskazuje na mężczyznę – powiedział.

To niezaprzeczalny dowód, ale w głowie Rudnickiej wciąż paliła się lampka mówiąca, że but należy do przypadkowej osoby.

– Jeśli Chmielny faktycznie miał romans i jakaś kobieta spodziewała się jego dziecka, warto również ją wziąć pod uwagę. Zakosiła kasę i czmychnęła.

Taka wersja brzmiała mało racjonalnie. Zabijanie dojrzałej kobiety jest pozbawione sensu, ale czy jakakolwiek zbrodnia ma sens? Sto tysięcy mogło okazać się wystarczającą rekompensatą dla skrzywdzonej kobiety.

– Sądzisz, że była to kobieta ze zdjęcia? – spytał, spoglądając w niebo. Kilka siwych ptaków przeleciało nad ich głowami.

– Może.

Może – słowo, które coraz bardziej drażniło Lenę. Potrząsnęła głową, starając się zebrać myśli. Musi znaleźć coś, czego będą mogli się złapać. Kochanka wydawała się dobrym tropem, ale przeczył temu odcisk buta. Nic nie układało się w całość.

– Które mam miejsce? – zapytał Marcel.

Zmarszczyła czoło, jakby nie miała pojęcia, o czym Wolski mówi.

– W twoim rankingu – dodał.

Rudnicka w odpowiedzi podniosła się z ławki, wsunęła ręce do kieszeni i potoczyła wzrokiem po kołyszących się drzewach.

– Udało mi się wskoczyć na podium?

Uśmiechnęła się w sposób, który sprawił, że ścisnęło go w żołądku. Chyba tak, pomyślał.

9

Klemens senior przejechał dłonią po ostrej powierzchni papieru ściernego. Docisnął palce i powtórzył ruch. Chropowata faktura złuszczyła stary, pomarszczony naskórek. Przyłożył sztywną kartkę do mahoniowej deski i przeciągnął papierem, by usunąć wiekową farbę. Ogrodowa ławeczka już dawno prosiła się o odmalowanie, ale do tej pory nie znalazł czasu, by się nią zająć. Tymczasem teraz nic innego mu nie pozostało. Zamaszystymi ruchami szorował drewno, wkładając w tę czynność jak największą siłę. Po chwili zabrakło mu tchu. Mięśnie prawej ręki zapiekły, jakby dawały do zrozumienia, że nie są wystarczająco mocne na tak energiczne ruchy.

Klemensowi brakowało dawnej krzepkości i zdrowia. Kiedyś szanowany pułkownik, teraz ociężały starzec. Wkrótce będzie w stanie poruszać się tylko o lasce. Parsknął gorzkim śmiechem. Co to za kraj, gdzie nikt nie pamięta o weteranach wojennych? Nikt już nie ceni zasług dla kraju. Dobrze, że chociaż emerytura jest na przyzwoitym poziomie i nie musi czekać w przydługich kolejkach na NFZ. Od patrzenia na tych wszystkich emerytów dostałby załamania nerwowego. Ciągłe biadolenie o chorobach nie było w jego stylu. On cierpiał w milczeniu, samotnie.

W wojsku uważano go za tyrana, ale służba to nie zabawa dla chłoptasiów. Mężczyzna musi być twardy i odporny na ból. Klemens senior gardził mazgajami, a stykał się w życiu z wieloma nieudacznikami. To samo powtarzał synowi, ale ten rady ojca puszczał mimo uszu.

Senior westchnął i cisnął papierem o ziemię. Miał ochotę kopnąć tę cholerną ławkę, ale się powstrzymał. Stare kości mogłyby tego nie wytrzymać.

Przez lata wpajał młodym żołnierzom, że twardy charakter uratuje ich z niejednej opresji, a teraz sam chował głowę w piasek. Jak tchórz. Co ze mnie za żołnierz, pomyślał i zaklął pod nosem. Podparł się rękoma, wstał powoli i rozprostował bolące kości, spoglądając na ogród.

Podjął decyzję, że złoży wizytę Dorocie Brackiej. Odkładał spotkanie przez cały wczorajszy dzień, ale dzisiaj się z nią rozmówi. A może lepiej porozmawiać z policją?

Nie. Ta głupia paniusia w policyjnym mundurze nie zasługuje na jego uwagę. Zaśmiał się gorzko. Głupie baby pchają się do męskiego świata, nie mając pojęcia o prawdziwej robocie.

A może ten drugi policjant okaże się bardziej błyskotliwy? Z mężczyznami inaczej się rozmawia. Klemens senior odegnał tę myśl. Ten młokos pewnie dopiero co wyleciał spod skrzydeł mamusi.

Trudno.

Wyszedł garażowymi drzwiami na podjazd i się wzdrygnął. Żona stała pośrodku chodnika, a strąki na jej głowie zbiły się w pojedyncze, tłuste pasma przypominające podłogowego mopa. Poczuli się nieswojo, jakby patrzył na obcą osobę. Władysława zrobiła krok w jego stronę. Dostrzegł, że za plecami trzyma ogrodowy sekator. Kwiecistą podomkę szpeciło kilka czerwonych plam, a Klemens senior pomyślał o najgorszym. Opamiętał się w porę. To pewnie sos pomidorowy.

– Przytniesz jabłonie? – zapytała przesadnie miłym głosem.

– Przycinałem wczoraj – odburknął.

– Ale dzisiaj też przytnij.

Zamachała ciężkim sekatorem, jakby ważył zaledwie parę gramów.

– Po co? Uciąłem wszystkie gałęzie, które wystawały na podjazd.

– Chciałabym, żebyś je przyciął – powtórzyła spokojnie. – Najlepiej przy samej ziemi.

– Mam je ściąć?

– Nie mogę na nie patrzeć. Są okropne i zasłaniają drogę. Z kuchennego okna nie widzę, kiedy ktoś podjeżdża, a dzisiaj wpadnie Klemens z Dorotką.

Klemens senior mimowolnie się cofnął.

– Przygotowuję pulpeciki w sosie pomidorowym, ale jak otwierałam puszkę krojonych pomidorów, wylałam wszystko na siebie. – Wskazała na podomkę. – Dlaczego? Czy zrobiłam coś źle? Otwierałam ją normalnie. Urwałam zawleczkę, więc wzięłam nóż, wbiłam w metal i wtedy prysnęło.

– Władka, wszystko w porządku?

Nigdy nie wykazywał przesadnej troski o żonę, ale teraz poważnie się zaniepokoił.

Podniosła na niego nieobecny wzrok.

– Zaraz przyjadą – powiedziała.

– Władka, nasz syn nie żyje – odparł Klemens senior. – Wczoraj była policja i...

– Policja? Jaka policja?

– Zapomniałaś?

Chmielna upuściła sekator. Ciężkie narzędzie sturlało się po stromym podjeździe.

– Muszę iść, bo zaraz pulpeciki się przypalą – powiedziała. – Klemens pewnie przyjedzie głodny. Dobrze, żeby zjadł coś ciepłego.

10

Ernest Jabłoński założył nogę na nogę i rozparł się w fotelu. Otyły księgowy zerkał na policjantów spod oka. Zachowywał się gburowato i nie krył niechęci do organów ścigania. Naciągnął zsuwające się z ramienia szelki, podtrzymujące spodnie od garnituru, i położył dłonie na podłokietnikach.

– Co to ma wspólnego ze mną? – zapytał tubalnym głosem.

– Podobno pańskie stosunki z Klemensem Chmielnym były napięte – odezwał się Tymon.

– Napięte? – odparował księgowy. – Czyli że co?

– Tego chcemy się dowiedzieć. Kłóciliście się?

– Nie. Albo tak. Nie wiem.

– Więc?

– Nie kłóciłem się z nim.

– Pański szef powiedział nam coś innego – zauważył Tymon.

– On gównu wie.

Milewski zaklął w myślach. Przesłuchiwanie świadków tego pokroju przypominało przebijanie się przez skalne bloki. Jedno uderzenie – jedna odpowiedź.

– Czyli nie kłócił się pan z Chmielnym?

– Nie.

– Nie mieliście żadnych zatargów?

– Mieliśmy.

– Czego dotyczyły sporne kwestie?

– To nieważne.

– Panie Wnuk – wtrącił się Ernest. Zmarszczki na czole świadczyły, że nie tylko Tymona denerwował sposób prowadzenia tej rozmowy. – Jakie miał pan relacje z Klemensem Chmielnym?

– Przeleciał mi żonę – wyrzucił z siebie księgowy. – Pierdolony chuj.

Tymon uniósł brwi. Kolejna kobieta w sprawie. Może dziewczyna z fotografii była żoną finansisty? Serdeczny uśmiech, który Tymon pamiętał ze zdjęcia, nie pasował do żony prostackiego mężczyzny siedzącego za biurkiem, ale ponoć przeciwieństwa się przyciągają. Milewski otworzył w telefonie fotografię

dziewczyny z komputera Chmielnego, którą przesłała mu Lena, i przesunął komórkę po blacie.

– Czy to pańska żona? – spytał.

Bilansista nawet nie przyjrzał się zdjęciu i zarechotał.

– Nie – odparł. – Moja żona to stara rura.

Tymon obruszył się na te słowa, ale zbył uwagę milczeniem.

– Czyli nie pałał pan sympatią do Klemensa?

– A pan by pałał? – warknął. – Jakby panu ktoś przeorał żonkę we własnej sypialni?

Milewski automatycznie się wyprostował. Wolał nie wyobrazać sobie takiej sytuacji.

– Moja na recepcji pracowała – ciągnął Wnuk. – A ten lowelas niby zagadywał, taki dobry kumpel, a tu proszę. Żonojebca.

– Kiedy to było? – spytał Ernest.

– Dawno. Trzy lata temu gdzieś. Dlatego mówię, że to nieważne. Jestem po rozwodzie i planuję drugi ślub.

Twarz księgowego poczerwieniała, więc Milewski postanowił zmienić temat.

– Podobało się panu, że szef dawał Chmielnemu dodatkowe zlecenia?

– Nie – odparł. – A panu podobałoby się, że musi pan pracować z żonojebcą? Ale co mogłem zrobić? To nie moja firma. Ja zajmuję się tylko papierkami.

– Jak wyglądały wasze spotkania?

– Normalnie.

– To znaczy?

– Normalnie, mówię. – Wnuk głośno wypuścił powietrze, jakby ta rozmowa potwornie go zmęczyła. – Wymiana papierów i do widzenia. Najchętniej walnąłbym go między oczy, ale na co mi to? Mam dość problemów.

– Kiedy ostatni raz widział pan Chmielnego? – spytał Ernest.

– Z miesiąc temu.

– W firmie?

– Tja.

– Dostał kolejne zlecenie?

– No. Dużo roboty było i nie dawaliśmy rady.

– Rozmawialiście?

– Nie. To znaczy trochę tak.

– Czyli?

– Zagadywał mnie, jak gdyby nigdy nic – odparł Wnuk, zerkając w stronę drzwi. Milcząca sugestia, by policjanci zbierali się do wyjścia. – Ale ja nie

wykazywałem zainteresowania, więc odpuścił. Przyszedł z jakąś lalą, lowelas jebany.

Tymon nagle się ożywił.

– Z kobietą? Jak wyglądała? – spytał i ponownie podsunął księgowemu telefon ze zdjęciem.

– Nie widziałem jej – powiedział znudzony Wnuk. – Dowiedziałem się od recepcjonistki.

Milewski schował komórkę z przeciągłym westchnieniem. I to by było na tyle. Kolejna rozmowa, która na dobrą sprawę nie wniosła nic nowego do śledztwa.

11

Krzysztof obejrzał zawartość zabezpieczonych gablot. Jasne światło sklepu jubilerskiego raziło w oczy. Nowoczesny wystrój nadawał wysublimowany charakter. Przeciętny Kowalski nie znajdzie tu nic dla siebie. To nie sklep z bazarową biżuterią, Ostrowski zaśmiał się w duchu.

Na jego widok elegancka ekspedientka wygładziła materiał ołówkowej spódnicy i uśmiechnęła się zalotnie. Prokurator uznał, że dziewczyna mogłaby być jego córką. Ostry makijaż i upięte w kok włosy wprawdzie dodały jej kilka lat, ale młodej twarzy nie szpeciła ani jedna zmarszczka. Miała nie więcej niż dwudziestkę.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – zapytała słodkim tonem, którego nauczyła się na kursie dla skutecznych sprzedawców. Ku jej zdumieniu na mężczyźnie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Znała ten typ klientów – garnitur, elegancko przystrzyżone włosy i oczy zerkające tylko tam, gdzie plakietki przedstawiają najwyższe ceny. Ona za równowartość jednego z pierścionków przeżyłaby pół roku w studenckim mieszkaniu, ale większość tych mężczyzn wydawała taką sumę lekką ręką.

– Szukam prezentu dla żony – odparł zamyślony.

Ekspedientka podjęła drugą próbę i poprawiła kołnierzyk białej koszuli, ale i na ten gest mężczyzna nie zareagował. Poczwała się onieśmielona. Codziennie w sklepie zjawiali się majątni biznesmeni, którzy na widok jej bujnego biustu zamieniali się w natrętnych amantów lub płochliwie uciekali wzrokiem, ale ten klient nawet na nią nie spojrzał. Jakby nie dostrzegał przed sobą wydatnych piersi w rozmiarze C. Zainteresowany był wyłącznie przedmiotami za szybą.

Sprzedawczyni pozazdrościła nieznajomej kobiecie, którą los obdarzył takim mężem. Musiał być w niej szaleńczo zakochany, skoro nie zwracał uwagi na młode dziewczyny. Taka to pożyje, pomyślała.

– Z pewnością coś znajdziemy – odparła. – Szuka pan łańcuszka, pierścionka czy może kolczyków?

– Sam nie wiem – powiedział. – Żona nie nosi nawet obrączki, więc pierścionelek odpada. – Uśmiechnął się przepaszająco. Obrączkę na palcu Leny widział tylko

raz, w dniu ślubu. A jedyny pierścionek, jaki nosiła, to ten odziedziczony po matce. Złoty z niewielkim chabrowym oczkiem. – Może łańcuszek – dodał.

– Jakaś specjalna okazja? – zapytała kobieta, otwierając odpowiednią gablotę.

– Chciałbym zrobić żonie prezent.

– Taki mąż to skarb. – Postawiła na blacie zestaw przywieszek. – Proszę obejrzyć. Interesuje pana złoto czy srebro?

– Złoto. Tylko złoto.

– Białe?

– Nie, nie. – Potarł dłonią policzek. – Chyba nie.

– Może ten?

Krzysztof sięgnął po biżuteryjne serduszko wypełnione kryształkami. Obejrzał je z każdej strony i spojrzał na cenę.

– Za tanie – ocenił. – Żona zasługuje na coś droższego. Poza tym... Serce... Jakoś do niej nie pasuje. Jest zbyt delikatne.

Ekspedientka ze zrozumieniem kiwnęła głową i wyciągnęła złoty łańcuszek z niebieskim oczkiem w otoczeniu srebrnych kamyków.

– Trzymaście diamentów – poinformowała.

– Szafir?

Kobieta uśmiechnęła się potwierdzająco. Krzysztof przyjrzał się błękitnemu kamieniowi. Pasowałby do pierścionka, pomyślał.

– Niech będzie.

– Już pakuję. Jestem pewna, że spodoba się żonie.

– Och. – Zaśmiał się. – Z moją żoną nigdy nic nie wiadomo.

– Każda kobieta doceni taki gest!

Dziewczyna weszła za ladę, włożyła naszyjnik do gustownego pudełeczka z czarną kokardą i nabiła cenę. Krzysztof, nie spoglądając na wysoką kwotę, przyłożył kartę płatniczą.

Dziewczyna obserwowała klienta i myślała z zazdrością o jego żonie, która pewnie nie przejmuje się błahostkami dnia codziennego. Wyobraziła sobie ich wielki dom z gosposią na każde zawołanie. Kobieta, w przeciwieństwie do niej, nie musi pracować, by opłacić wynajem obskurnego mieszkania. Która żona nie doceniłaby takiego męża?

12

No i co? – zapytał Marcel, dociskając pedał gazu.

– Zielone masz. – Rudnicka wskazała na sygnalizator i zablokowała ekran telefonu. – Zawracaj, jedziemy pod Central.

Wolski zjechał na drugi pas i ustawił się w kolejce do skrętu w lewo. Autobus linii dwieście jeden jadący na rondo Inwalidów zatrzymał się obok. Kilku pasażerów spojrzęło w stronę samochodu.

– Czego się dowiedziałas? – zapytał, gdy zrobił nawrotkę.

– Techniczni prześwietlili Brzozowskiego – powiedziała. – Okazało się, że jest bezrobotnym hazardzistą. Mówiąc w skrócie, żona odeszła od niego razem z dziećmi, bo ten kretyń przegrał nie tylko samochód, ale i mieszkanie. Podobno ostatnio nie grał, ale kazałam sprawdzić chłopakom kasyno przy Silver Screenie i prawdopodobnie tam nasz brodac spędził wczorajszą noc. Właściciele odmawiają wydania monitoringu bez nakazu. – Prychnęła. – To godzi w prywatność ich klientów czy coś tam.

– Dlaczego akurat kasyno przy Silverze, a nie przy Manufakturze?

– Kazałam je sprawdzić, bo zauważyłam ulotkę w jego mieszkaniu – ucięła. – Pospiesz się.

Spostrzegawczość Rudnickiej znowu zaimponowała Wolskiemu. Zastanowił się, czy wygłosić ten komplement na głos, ale ostatecznie zrezygnował.

– Po co tam jedziemy, skoro nie mamy nakazu? – zapytał.

Pod ciężarem jej spojrzenia momentalnie poczuł zakłopotanie. Najwyraźniej odpowiedź była dla komisarz oczywista i wynikała z jej pokrętnego rozumienia świata, jednak dla niego stanowiła zagadkę. Jeśli właściciele kasyna odmówili wydania monitoringu mundurowym, to odmówią także im.

– Zagrać w gierkę – odbąknęła.

– Pytam poważnie.

– Czasem zastanawiam się, jakim cudem zdałeś policyjne testy. Przyznaj się, tatuś cię przepchnął, co?

– Wiesz, że to tak nie działa – burknął urażony.

Koneksje rodzinne były jego piętą achillesową. Chciałby się tym nie przejmować, ale nie potrafił.

– Ta, jasne – rzuciła. – Pewnie ściągasz nawet podczas ankiety konsumenckiej.

Nie odpowiedział. Zacisnął dłonie na kierownicy i dodał gazu, by wyminąć jadące przed nimi audi.

– Uważaj, królu szos, bo z twoimi umiejętnościami wylądujemy zaraz na barierkach.

– Sądzisz, że uda ci się przekonać właścicieli kasyna, żeby pokazali monitoring?

Rudnicką charakteryzowała zaskakująca pewność siebie, ale tym razem pokręciła głową na znak bezradności.

– Wątpię – odparła. – Prawo jest prawem.

– Trudno uwierzyć, że to powiedziałaś.

– Mogłabym zagrozić im bronią – odparła tonem, jakby naprawdę to rozważała.

– Ale jaki to ma sens, skoro zdobycie nakazu to pikuś?

Prokurator Nawrocki na pewno chętnie przystanie na tę propozycję, dodała w myślach.

– Sądzisz, że Brzozowski zabrał kasę Klemensa na grę w kasynie? – zagadnął po chwili Marcel.

Rudnicka obserwowała widok za szybą.

– Jeśli Brzozowski jest hazardzistą, sto patyków to silna pokusa – odparła.

– Ale czy zabił?

Scenariusz z morderstwem dla pieniędzy pojawił się w ich dyskusji już wcześniej, ale wtedy nie wiedzieli, że przyjaciel denata miał problem z grą w kasynie. Brzozowski raczej nie błyszczał inteligencją, co potwierdzało wyrzucenie walizki Chmielnego do kontenera, ale czy był tak głupi, żeby zabijać kolegę, wiedząc, że wszystkie dowody wskazywałyby na niego?

Dywagacje nie miały sensu, skoro nie znali podstawowych faktów.

– Trzeba się dowiedzieć, z jaką gotówką Brzozowski przyszedł do kasyna – powiedziała Lena. – Nie ulega wątpliwości, że był ostatnią osobą, która widziała Klemensa żywego, ale nie przesądza to o jego winie.

– Według mnie przyjaciel denata ma motyw – stwierdził Wolski.

– Może i ma – przyznała. – Do tego zatajał fakt, że Chmielny nocował u niego przez dwa dni i wywalił walizę na śmietnik.

– I nie ma alibi.

– I nie ma alibi – powtórzyła.

– Moglibyśmy go zamknąć.

Mogliby, ale Rudnicka uważała, że na wolności ludzie są bardziej rozmowni. I nie chodziło o słowa, lecz o czyny, zachowanie, instynktowne reakcje czy

zmianę przyzwyczajęń. Odkopywanie prawdy to proces złożony, na który składają się również czynniki niewerbalne. Poznanie i analiza faktów wraz z uwzględnieniem aspektów psychologicznych stanowiła fundament myślenia komisarz Rudnickiej.

Potrzebowała informacji, by stworzyć konkretny plan i poznać tajemnice przeszłości. Sprawa była zawiła i to ją napędzało, ale zatrzesienie poszlak wpędzało ją we frustrację. Pojawiło się wiele małych tropów, ale żaden nie wydawał się istotny.

Spojrzała na siedzenie obok i pomyślała, że Marcel jest jak chorągiewka, która odwraca się w stronę, skąd wieje wiatr. Sierżant łapie się każdej nowej wiadomości i najchętniej wszystkich podejrzanych umieściłby w areszcie. Ale spraw nie rozwiązuje się w ten sposób. Zamykanie się na jedną wersję wydarzeń jest najgorszym błędem młodych policjantów. Lena była zwolenniczką otwierania wielu drzwi i sprawdzania, w którym pokoju śmierdzi najmocniej.

Kolejne światła zatrzymały fabię. Wolski poczuł skrępowanie ciszą, jaka zapanowała w samochodzie, więc uruchomił radio, ale Rudnicka bez słowa je wyłączyła. Uruchomił je raz jeszcze. Komisarz sięgnęła do przycisku wyraźnie rozeźlona, ale Marcel strącił jej dłoń.

– Wyłącz to – rozkazała. – Głuchy jesteś?

– Nie lubisz Eda Sheerana? – spytał, posuwając samochód do przodu.

Potrząsnęła głową. Nie lubiła Eda Sheerana, Lady Gagi, Beyoncé, Budki Suflera ani Maryli Rodowicz. Nie słuchała żadnej muzyki. I było jej z tym dobrze.

– Nie wiem nawet, kto to jest – odburknęła, skubiąc materiał dzinsów.

– Nie znasz Eda Sheerana?

Wolski uniósł brwi. Wszyscy go znają, pomyślał. Nawet ci, którzy naśmiewają się z jego muzyki, wiedzą, kim jest rudy Brytyjczyk, i potrafią zanucić chociaż kawałek jego piosenki.

– Nie, ale z tego co słyszę, raczej się z Edem nie polubimy. Rzewne, romantyczne kawałki o wiecznej miłości raczej do mnie nie przemawiają.

– A co do ciebie przemawia?

Marcel oparł rękę na podłokietniku i zerknął na komisarz. Wyglądała na zawstydzoną, co było nieprawdopodobne.

– Cisza, którą notorycznie zakłócasz swoim gadaniem – ucięła. – Największe umysły pracowały w ciszy. Nie bez powodu Beethoven stworzył swoją drugą symfonię dopiero, kiedy ogłuchł. Jeśli wysłuchiwałby twojego pieprzenia, prędzej zamknęliby go u czubków. Jaki więc z tego wniosek, sierżancie?

– Że nie lubisz muzyki?

– Rozstraja mnie – odparła. – Kiedy słyszę to brzdąkanie, czuję się jak fabia w salonie Jaguara. Nawet jeśli będę działać na najwyższych obrotach, i tak nie dorównam wozom z Coventry. Skupiam się na tym, co śpiewa twój Ed, a nie na logicznym myśleniu. Chociaż domyślam się, że nie masz pojęcia, o czym mówię.

Marcel roześmiał się i pokręcił głową.

– Czasem warto na chwilę odpuścić – powiedział. – Człowiek nie jest w stanie działać przez dwadzieścia cztery godziny na najwyższych obrotach.

To samo powtarzał jej Krzysztof.

– Ty chyba często sobie odpuszczasz, skoro tatuś musiał załatwić ci pracę – odparła tonem ostrzejszym, niż planowała.

Nerwowa reakcja Wolskiego sprowadziła ją na ziemię. Nie odpowiedział, ale wyczuła, że jest wściekły. Zaciśnął palce na kierownicy, a twarz miał ściągniętą. Gdyby wisiał przed nim worek treningowy, uderzałby dotąd, aż na knykciach pojawiłyby się rany.

Zapadło milczenie.

Przeszło jej przez myśl, że powinna rozładować atmosferę, ale nie przywykła do wyciągania ręki jako pierwsza. A jednak poczuła się nieswojo, co zaniepokoiło ją i rozdrażniło. Przejmowanie się stanem emocjonalnym innych ludzi było jak rozdrapywanie problemu globalnego ocieplenia. Istniało, ale nie miała na to żadnego wpływu. Z drugiej strony nie chciała, by Marcel się na nią gniewał. Dziwne uczucie, pomyślała. Nie znalazła jednak słów, które mogłyby go udobruchać.

Wyłączyła radio, na co Wolski zareagował głośnym sapnięciem.

Cisza stała się jeszcze cięższa.

Zaparkował fabię na chodniku obok przeszklonego budynku kina. Kasyno znajdowało się w samym centrum miasta i znalezienie wolnego miejsca parkingowego granoczyło z cudem. Drogówka i strażnicy miejscy wykazywali się ostatnio przesadną czujnością, więc istniało ryzyko, że po powrocie znajdą na kołach żółtą blokadę.

Nie zdążył nic powiedzieć, bo komisarz wyskoczyła z samochodu tak szybko, jakby dłuższe przebywanie z młodym sierżantem przyprawiało ją o ból głowy, i poszła do kasyna.

– Chcę pogadać.

Także wysiadł z auta i usłyszał głos Rudnickiej. Rozejrzał się, żeby ją zlokalizować.

– To idź do „Rozmów w toku” – burknął rosły ochroniarz. Dłonie zawiesił na pasku, eksponując umięśnione ramiona.

– Skończ pierdolić – powiedziała komisarz. – Chodzi o jednego gościa.

Ochroniarz zrobił minę, która sugerowała, że nie ma ochoty na zwierzenia. Mimo to Rudnicka nie odpuszczała.

– Dariusz Brzozowski, kojarzysz? Był tu wczoraj.

– Nie wiem, nie pamiętam, nic nie widziałem.

Komisarz sprawiała wrażenie gotowej skoczyć mu do gardła. Ochroniarz również dostrzegł złowrogi błysk w jej oku.

– Wczoraj robiłem rano – wyjaśnił szybko. – Nic nie wiem.

Lena rozejrzała się po korytarzu w poszukiwaniu kogokolwiek, kogo mogłaby pociągnąć za język, kiedy wpadła na znacznie lepszy pomysł. Ludzie zazwyczaj nabierają wody w usta w kontaktach z policją. Czują się jak na przesłuchaniu, podczas którego każde słowo jest skrupulatnie odnotowywane. Żeby dowiedzieć się czegoś więcej, trzeba przyjść bez odznak i przypiętego do paska glocka.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z kasyna. Marcel popatrzył za nią zaskoczony. Spodziewał się, że komisarz dociśnie ochroniarza, aż ten pęknie i wyśpiewa całą prawdę ze wszystkimi szczegółami. Zerknął na mężczyznę i począpał za nią, zapalając po drodze papierosa. Stała z rękoma w kieszeni, oparta o drzwi pasażera. Marcel wypuścił dym i potoczył wzrokiem po ulicy.

Sznur samochodów wjeżdżał do tunelu pod skrzyżowaniem, a drugi toczył się wolno wzdłuż alei Piłsudskiego. Autobus jadący na Kurak jak zwykle utknął między przystankiem na Sienkiewicza a Pogotowiem Ratunkowym. Remont i modernizacja sieci połączeń, zakończone parę miesięcy wcześniej, miały usprawnić ruch, ale zdawało się, że skorzystały na tym tylko tramwaje. Jako jedyne unikały korków i przemykały po torach.

Grupka dzieci w wieku przedszkolnym wyszła z kina. Marcel usunął się na bok, by przepuścić maluchy, które ustawiały się w rzędzie niczym armia wyszkolonych żołnierzyków. Nauczycielka sprawnie nawigowała całą gromadką i po krótkiej chwili wszystkie pociechy przy akompaniamencie donośnego jazgotu pomaszerowały do autokaru.

– Słabo poszło – odezwał się Wolski, dusząc papierosa w miejskiej popielniczce.

Rudnicka spojrzała na niego. Uśmiechnął się, wydymając policzki. Jeszcze miał żal, ale pierwsza złość minęła, stwierdziła. Zaatakowała Marcela bez powodu i tym razem przesadziła. Dopadło ją poczucie winy, ale nie wiedziała, jak się zachować. Nabrała tchu, jakby przygotowywała się do zanurzenia pod wodą, co

właściwie mogło stanowić słuszne porównanie, bo wody, na które zamierzała wpłynąć, były niezbadanym przez nią terenem. Rzadko wygłaszała szczere przeprosiny, dlatego wypowiedzenie magicznego słowa przychodziło jej z trudem.

– Sorry – bąknęła.

Marcel nie krył zdumienia. Rudnicka rozchyliła usta, jakby chciała coś dodać, ale zaraz je zamknęła i wzruszyła ramionami.

Już dawno przestał się gniewać. Spodziewał się po komisarz wszystkiego, ale nie tego, że postanowi go przeprosić.

– Nie wiedziałam, że jesteś taki wrażliwy – powiedziała po namyśle.

– W tej kwestii nawet bardzo – odparł, podchodząc bliżej.

– Jesteś jedynakiem?

– Tak.

– To wszystko wyjaśnia.

– A ty? – spytał, a kącki jego ust uniosły się ku górze. Zmrużył lekko oczy, bynajmniej nie z powodu odbijających się od samochodowych szyb promieni słońca.

– Nie.

– To dziwne, bo z naszej dwójki to ty przejawiasz wyższy stopień samouwielbienia.

– Nie zaprzeczam, ale tylko ze względu na wysokie poczucie własnej wartości.

Droga do hotelu zajęła ponad pół godziny. Atmosfera w samochodzie znacznie się rozluźniła. Rudnicka powstrzymywała się od komentowania stylu jazdy Wolskiego. Doceniał to, że choć przez chwilę starała się zapanować nad ciętym językiem. Był pewien, że ten stan nie potrwa długo, więc cieszył się, póki czas.

Na parkingu Retro stał piętrowy autokar. Tłum ludzi taszczył torby w kierunku recepcji, a kółka walizek turkotały po powierzchni nierównego chodnika. Gdy policjanci wysiedli z samochodu, usłyszeli gniewny krzyk starszej pani. Wśród bagaży nie znalazła swojego kuferka, więc zdesperowany kierowca wsunął się do luku bagażowego w poszukiwaniu zguby.

– Dzisiaj ktoś zarobi trochę zielonych i niestety to nie będę ja – powiedziała Rudnicka, wchodząc do holu. Gęsty tłum tarasował wejście. Policjanci zmuszeni byli przystanąć, by przepuścić dwoje emerytów.

Dorota Bracka powitała zebranych i zapewniła, że dla każdego z niezapowiedzianych gości znajdzie się wolne łóżko. Zaaferowana Agnieszka Mizerna w ekspresowym tempie wypełniała formalności związane z meldunkiem. Rudnicka oparła się o ścianę i skrzyżowała ramiona na piersi, z rozbawieniem

przypatrując się całej sytuacji. Szukała wzrokiem Marcela, ale wśród gąszczy ludzkich głów nie dostrzegła znajomej sylwetki partnera. Wyjrzała za okno. Wolski stał odwrócony tyłem, paląc papierosa, a chmurka gęstego dymu ulatywała znad jego ramienia.

Gdy w korytarzu zrobiło się luźniej, podeszła do Brackiej. Właścicielka hotelu spojrzała z pretensją.

– Znowu pani? – burknęła. – Nie widzi pani, co tu się dzieje?

– No właśnie widzę – odparła komisarz. – Cóż to za dzika szarża emerytów? Postanowiliście się przebranżowić i otworzyć sanatorium?

– Awaria autokaru – wyjaśniła Bracka. – Dopiero jutro podstawią nowy, a jesteśmy jedynym hotelem w okolicy, który oferuje tyle wolnych miejsc.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– Czego pani chce? – Hotelarka podparła się pod boki. – Powiedziałam wszystko, co wiedziałam w sprawie mojego męża.

– Doceniam chęć współpracy, ale szukam pokojówki i dozorca.

– Karola nie ma. Nie zjawił się w pracy, nie odbiera telefonu i nie mam pojęcia, co się z nim dzieje. Ale szlag mnie trafi, jeśli wkrótce się tu nie pojawi. Przy tylu gościach jest potrzebny, jak nigdy wcześniej. – Westchnęła, poprawiając ciasny kok na czubku głowy, i uśmiechnęła się do przechodzących staruszków. – Kalina jest na piętrze, ale ma dużo pracy, więc proszę jej nie przeszkadzać. Może pani przyjechać jutro...

– Nie mogę – odparła komisarz. – Czy zdarzało się wcześniej, że dozorca nie przychodził do pracy?

– Nie! Sama się dziwię. Może coś się stało?

– Proszę podać jego adres.

Bracka weszła za kontuar i sprawdziła adres w dokumentach. Błyskawicznie podyktowała go Rudnickiej, żeby jak najszybciej pozbyć się męczącej komisarz. Obecność policjantki mogła zaniepokoić gości.

Komisarz rozejrzała się za Marcelem, ale nigdzie go nie dostrzegła. Wbiegła na schody, wymijając powolnych staruszków.

Wpadło jej do głowy, że nieobecność dozorca w pracy jest co najmniej niepokojąca. Rano brała pod uwagę zwykłe spóźnienie, ale teraz postanowiła zbadać sprawę i wystukała wiadomość do Tymona Milewskiego. Wysłała adres wraz z poleceniem, by doprowadzić dozorcę na komendę.

Wcześniej puste i obmierzłe, korytarze teraz tętniły życiem. Awaria autokaru to prawdziwa gratka dla podupadającego hotelu – zastrzyk gotówki i darmowa

reklama. Starsi ludzie lubią spokojne miejsca w leśnym otoczeniu i z pewnością rozpropagują hotel wśród znajomych emerytów.

Blondwłosa pokojówka wyszła z za rogu, a jej cienkie jak patyki ramiona z trudem pchały ciężki wózek. Niebieskie wiadra wątpliwej czystości bujały się na boki. Pokojówka nie przejmowała się ludźmi na korytarzu i bez pardonowo torowała sobie drogę, obijając wiaderkami hotelowych gości. Nie wyglądała na szczególnie zapracowaną, a wręcz przeciwnie – na jej twarzy odmalowywało się znużenie.

Stała przy jednym z pokoi, otworzyła drzwi i spojrzała przelotnie na Rudnicką. Najwyraźniej uznała komisarz za turystkę, bo dopiero gdy przeniosła wzrok na glocka, mimowolnie się wyprostowała.

– Dzień dobry – powiedziała Lena, gdy podeszła bliżej. Kalina miała wymizerowaną, bladą twarz i wyglądała, jakby od kilku nocy nie spała. – Dużo roboty?

– Powiedzmy – odparła pokojówka od niechcienia. – Szczęśliwie pokoje są posprzątane, bo cynk o wycieczce dostaliśmy wcześniej.

– Możemy pogadać?

– Jasne. Teraz tylko udaję, że sprzątam, ale niech pani nie powtarza tego szefowej. – Kalina uśmiechnęła się smętnie, uchylając drzwi do pokoju. – Bracka biega jak nakręcona. Dawno nie mieliśmy tylu gości...

Weszły do pokoju. Pokojówka rzeczywiście udawała, że sprząta, bo wszechobecny brud aż kłuł w oczy. Rudnicka z obrzydzeniem patrzyła na zakurzoną ramę okienną i papierosowy popiół na parapecie.

– Mam parę pytań – powiedziała.

– W sprawie śmierci Klemensa?

Kalina ustawiła wózek pod ścianą. Wyjęła wiadro z wodą i środek czyszczący, spryskała szmatkę, ale zawahała się i odwiesiła ją na wózek.

– To był dobry człowiek – oznajmiła ze smutkiem.

– Doprawdy?

Rudnicka przyjrzała się dziewczynie. Wersje obu pokojówek diametralnie się różniły. Wpadła jej do głowy pewna myśl, ale najpierw postanowiła przygotować sobie grunt. Pokojówka zdawała się nieco skryta, więc pierwszym krokiem było zdobycie jej zaufania. Komisarz liczyła, że wystarczy parę kurtuazyjnych pytań, by pociągnąć ją za język.

– Podobno twoje stosunki z szefową są napięte – powiedziała, przechadzając się po pokoju. Z wysłużonego materaca prześcieradło lekko się ściągnęło, odsłaniając przybrudzony materiał.

– Raczej tak – odparła pokojówka, gładząc służbową spódniczkę.

– Co jest powodem?

– Ciężko powiedzieć. Szefowa ma trudny charakter. Znoszę jej obelgi i przytyki, ale jeszcze chwilę. Znalazłam pracę na Piotrkowskiej i zamierzam odejść. Nie dam rady dłużej pracować w takiej atmosferze.

– Bracka wie o odejściu?

– Pewnie, że nie. – Kalina zaśmiała się gorzko. – Mam umowę zlecenie, więc poinformuję ją tydzień przed odejściem. Tak mam zapisane w umowie.

– To obustronna niechęć?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, sięgnęła po ścierkę i przetarła komodę. Na jasnym materiale pozostał ciemny ślad. Rudnicka wyczuła, że pokojówka chciałaby coś dodać. Postanowiła ją sprowokować.

– Rozmawiałam z drugą pokojówką – powiedziała. – Jaśmina twierdzi, że Klemens był gburem i fatalnym pracodawcą. Jakie miałaś o nim zdanie?

Kalina drgnęła.

– Jaśmina pracuje tu za krótko, nie zdążyła go poznać – odparła ostro.

– Więc ty znałaś go wystarczająco długo, żeby coś o nim opowiedzieć.

– To był dobry człowiek i wspaniały szef. Tylko dla niego jeszcze nie odeszłam z tej parszywej roboty.

Rudnicka nie potrzebowała więcej. Błada twarz, przekrwione od płaczu białka i sińce pod oczami. Negatywny stosunek Brackiej i sprzeciw wobec obrażania zmarłego Klemensa.

– Miałaś z nim romans, co?

Kalina zamarła. Z rezygnacją wrzuciła ścierkę do miski. Woda rozprysnęła się na jej czarne rajstopy, ale Kalina tego nie zauważyła, ukryła twarz w dłoniach i potarła oczy. Kreska na dolnej powiece trochę się rozmazała.

– Ile to trwało? – zapytała Rudnicka.

– Kilka miesięcy – przyznała pokojówka cicho.

– Bracka wiedziała?

Kalina przygarbiła się, jakby poczuła na barkach ciężar wspomnień.

– Oficjalnie nie, ale myślę, że podejrzewała. Dlatego pastwiła się nade mną. Wciskała najgorsze zmiany, ciągle się czepiała, a od jakiegoś czasu nie dostałam żadnego dnia wolnego.

Jeden element układanki wskoczył na swoje miejsce. Dziwne, że reszta pracowników nie wiedziała o romansie szefa i pokojówki, ale widocznie dobrze się ukrywali. To tłumaczy, dlaczego Bracka nie przejęła się śmiercią męża.

Wiedziała o jego romansie i chociaż twierdziła, że nic ich nie łączy, dusiła w sobie żal. W końcu codziennie widywała kochankę męża.

Zdrada zawsze boli, pomyślała Lena.

– Jak to się zaczęło? – spytała.

Kalina głęboko westchnęła.

– W małżeństwie Klemensa nie układało się od dawna. Nie sypiali ze sobą, kłócili się. Klemens chyba czuł się samotny.

Kalina była tą drugą. I wypierała fakt, że zabiera komuś męża. Każdy czuje potrzebę, by wytłumaczyć się sam przed sobą. Dla pokojówki usprawiedliwieniem były problemy małżeńskie kochanka.

Całkiem dobry powód.

– Jak to się zaczęło? – komisarz powtórzyła pytanie.

– Trudno powiedzieć – odparła Kalina. – Któregoś dnia sprzątałam w jednym z pokoi i zjawił się Klemens z butelką wina. Zapytał, czy mam ochotę się napić. Czułam, że to niestosowne, ale zgodziłam się, bo w domu nikt na mnie nie czeka.

– Nerwowo szarpała materiał spódnicy.

– Co było potem?

– Coś nas do siebie ciągnęło. Teoretycznie łączyła nas tylko praca, ale oboje czuliśmy podskórnie, że to nieprawda. Nie planowałam wdawać się z nim w romans. Przecież jego żona była moją szefową. To niedorzeczne. Może pani myśleć o mnie różne rzeczy, ale zapewniam, że nie jestem taka. Nie chciałam rozbijać małżeństwa. Ale – pokojówka objęła się ramieniem – z żadnym mężczyzną się tak nie czułam. To śmieszne, bo tak wiele nas dzieliło: wiek, zawód... – Załkała, chowając twarz w dłoniach.

– Jesteś pewna, że Bracka o was wiedziała?

– Nie – odparła Kalina, wycierając łzy. – To tylko moje przypuszczenie.

– Kiedy ostatni raz widziałaś Klemensa?

– W poniedziałek rano. Miał zawieźć matkę do lekarza.

Rudnicka zaklęła w myślach.

– Rozmawiałaś z nim? – zapytała.

– Nie. Minęliśmy się na parkingu, szedł z żoną.

Kalina wyglądała na zdruzgotaną śmiercią kochanka. Nasuwało się kluczowe pytanie.

– Chciałaś, żeby rozstał się z Bracką?

– Nie wiem – odparła, ścisząc głos. – Pragnęłam mieć go dla siebie, to chyba normalne, ale... Na drodze stało zbyt wiele przeszkód. Był moim przełożonym, ożenił się pięć lat temu. To nie takie proste...

– Kochałaś go?

– Tak – odparła.

Pewność w jej głosie zaskoczyła Lenę.

– Mimo to nie naciskałaś na rozwód?

– Nie chciałam naciskać – sprostowała Kalina. – Klemens tylko raz wspomniał o rozwodzie. Uznałam, że to jego decyzja i nie mam prawa go zmuszać.

– Ale kiedy wspomniał o rozwodzie, ucieszyłaś się?

– Chyba tak. – Kalina westchnęła, gładząc brzuch. – Tak, raczej tak.

Lena przeszła się po pokoju. W tej sprawie było coś jeszcze. Przyglądała się pokojówce zmrużonymi oczami.

– Bracka planowała z Klemensem dziecko – powiedziała. – Wiesz coś o tym?

– Bracka i dziecko?

– Jeden ze świadków zeznał, że przed zniknięciem Klemens pokłócił się z żoną o dziecko.

Twarz Kaliny stężała, jakby na kilka sekund straciła władzę nad emocjami. Potrząsnęła głową i potarła skronie.

– Nie, nie, nie – powiedziała. – To niemożliwe.

– Co jest niemożliwe?

– Ja... – Zawahała się. – Jestem w ciąży.

Rudnicka uśmiechnęła się z satysfakcją. Kolejny z puzzli wskoczył na swoje miejsce.

– To dziecko Chmielnego? – upewniła się.

– Tak. – Oczy pokojówki znów się zaszklily. – Wciąż to do mnie nie dociera.

– Powiedziałaś Klemensowi o ciąży?

– Nie – zaszlochała. – Dowiedziałam się kilka dni temu. Nikomu nie powiedziałam, dlatego Bracka nie mogła wiedzieć o dziecku.

Rudnicka współczuła dziewczynie. Nie dość, że zakochała się w nieodpowiednim mężczyźnie, to zaszła w ciążę z facetem, który leży teraz w lodówce w zakładzie medycyny sądowej. Poczwała, że powinna jakoś ją pocieszyć, ale była w tym tak samo dobra jak w wygłaszaniu przeprosin. Zamknięta natura kazała wycofać się, kiedy w okolicy zaczynały krążyć sprawy związane z uczuciami. Może dlatego nigdy nie miałam przyjaciółki, pomyślała.

Miała do Kaliny jeszcze kilka pytań, ale teraz wydawały się nieistotne. Podczas rozmowy z pokojówką i tak dowiedziała się więcej niż przez dwa dni śledztwa.

Zostawiła Kalinie numer telefonu, pożegnała się i wyszła na korytarz. Po tłumach nie pozostał żaden ślad. Emerycy zapewne odpoczywali w pokojach, z których dobiegały roześmiane głosy.

– Szukam cię od piętnastu minut!

Podniosła głowę, a Wolski rozłożył ręce.

– Niepotrzebnie – odburknęła i wyminęła go.

– Mogłaś mnie zawołać!

Nie doczekał się odpowiedzi. Lena pokonywała schody w milczeniu.

– Rozmawiałaś z pokojówką? – spytał, przepuszczając ją w drzwiach.

– Rozmawiałam.

– I co?

Wyszli na parking. Rudnicką uderzył w nozdrza zapach świeżego, wiosennego wiatru. Bliskość lasu ma jednak swoje plusy, pomyślała. Rozmowa z Kaliną Michalską poruszyła w niej nostalgiczną strunę, niewygodną i niechcianą. Uczucia i emocje już dawno odłożyła do szuflady, którą zamknęła na cztery spusty, a która teraz otworzyła się sama i uwolniła dziwne samopoczucie.

Wolski odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę.

– Miała romans z Chmielnym – powiedziała. – Spodziewa się jego dziecka.

Marcel zdębiał i pożałował, że nie towarzyszył Rudnickiej przy tej rozmowie. Wyglądało na to, że wprowadziła do sprawy wiele ciekawych faktów.

– Jak to? – spytał i zapalił papierosa. Kiedy czekał na Lenę, wypalił ich już cztery, ale musiał zająć czymś ręce. Zaciągnął się i odwrócił głowę, by wypuścić dym.

Rudnicka streściła przebieg rozmowy z pokojówką. Marcel słuchał uważnie, starając się nie uronić żadnego szczegółu. Gdy komisarz skończyła, odpalił szóstego westa i uzmysłowił sobie, że pora wybrać się do sklepu po nową paczkę. Skinął głową, sugerując, by Lena wsiadła do samochodu. Na parkingu pojawiła się Bracka; lepiej, żeby nie słyszała ich rozmowy.

Wolski wyjechał z terenu hotelu i zatrzymał fabię na leśnej drodze. Zgasił silnik, po czym uchylił drzwi. Papierosowy dym kłębił się pod sufitem. Lena odkaszlnęła i spojrzała na Marcela.

– Zacznijmy od początku – powiedział. – Pokojówka miała romans z Klemensem. Bracka wiedziała o zdradzie i dokuczała Kalinie, która nosi dziecko jej męża. Może Bracka dowiedziała się o ciąży?

– Kalina twierdzi, że nie poinformowała nawet Chmielnego.

– Może Bracka podsłuchiwała jakąś rozmowę albo Kalina pochwaliła się któremuś z pracowników hotelu i ten doniósł Brackiej?

To brzmiało logicznie, nawet jak na sierżanta.

– Widzę, że szukasz motywu dla żony denata – zauważyła Rudnicka i wysiadła z samochodu, który przypominał zadymioną puszkę. Musiała zaczerpnąć

świeżego powietrza.

– Jeśli faktycznie wiedziała o ciąży Kaliny, mogła posunąć się do zabójstwa niewiernego męża – powiedział, stając naprzeciwko niej.

– Okej. – Lena uniosła dłoń. – Ale pamiętaj, że ich romans trwał kilka miesięcy, a Bracka znosiła to przez cały ten czas. Nie wyrzuciła męża z domu, nie wystąpiła o rozwód, po prostu to akceptowała.

Rudnicka bezwiednie zadała sobie pytanie, jak zareagowałby Krzysztof na wieść, że jego żona sypia z innymi mężczyznami. A może był tego świadom?

– Bracka nie wytrzymała, puściły jej nerwy i zamordowała męża.

– Ona ma alibi – przypomniała z naciskiem.

Marcel zaciągnął się głęboko i powoli wypuścił dym. Teoria o tym, że Chmielnego zabiła własna żona, wydawała się na tyle realna, że nabrał ochoty, by zawrócić i odwieźć ją na komendę.

– A co na to Kalina? – spytał. – Podobno go kochała. Nie chciała rozwodu?

– Wołała nie naciskać. Poza tym wątpiła w sens ich związku.

– To znaczy?

– Różnica wieku, status społeczny...

Wolski się skrzywił.

– To trochę podejrzanę – stwierdził. – Pokojówka zakochuje się w pracodawcy, codziennie widzi go w towarzystwie żony; wie, że jego małżeństwo to fikcja; a mimo tego nie naciska na rozwód?

– Z zazdrości Kalina zabiłaby raczej Bracką, a nie ukochanego.

– No więc odwróćmy sytuację i spójrzmy z perspektywy Brackiej.

Lena przygryzła dolną wargę. Po rozmowie z Kaliną czuła się otępiała i tym razem to Marcel przejął pałeczkę w snuciu różnych teorii. To dobrze, pomyślała, podczas burzy mózgow istniała szansa, że któreś z nich coś wymyśli. Najprawdopodobniej Marcel, bo ona miała wrażenie, że jej mózg zamienił się w pulsującą papkę.

Potarła bark i poczuła, że powinna łyknąć tabletkę.

– Mów – ponagliła.

– Bracka dowiedziała się o dziecku Klemensa, ten wypłacił sporą sumę i chciał uciec z kochanką. Jak twierdzi, nie kochała męża, więc zabicie go nie niosło ze sobą ładunku emocjonalnego.

Rudnicka uśmiechnęła się mimowolnie.

– Ładunku emocjonalnego? – spytała.

Wolski rzucił niedopałek i oparł się o maskę samochodu tuż obok Leny.

Komisarz odgarnęła kosmyk włosów z twarzy i zastanowiła się nad wszystkimi faktami, którymi dysponowali. Mieli zbyt dużo podejrzanych. Należało jak najszybciej kogoś wykluczyć.

– Jakież konkluzje? – podjął Wolski, wpatrując się w przestrzeń lasu.

– Nie wiem – odparła Lena. – Słone łyzy Michalskiej wybiły mnie z rytmu.

– Czyli jednak nosisz w sobie pokłady głębszych uczuć?

Rudnicka wsunęła dłonie do kieszeni spodni.

– Moja życiowa postawa zawiera się w jednym słowie: tumiwizizm.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– Tu-mi-wi-sizm – wysylabizowała z całkowitą powagą. – Oznacza bierność i lekceważący stosunek do spraw błahych, na które nie mamy wpływu.

– Ja nazwałbym to brakiem empatii.

– Mylisz pojęcia, kolego – zaoponowała. – Brak empatii to inaczej ślepotą emocjonalną i niezdolność dostrzegania stanów emocjonalnych innych ludzi. Ja je dostrzegam, ale ignoruję. – Spojrzała na Marcela. – Ty za to charakteryzujesz się nadmierną emocjonalnością, czego dowodem jest fakt, że słuchasz Eda Sheerana. Ta wasza rozślawiona miłość to jedynie stan organizmu, wywołany przez fenyletyloaminę. Burza w mózgu i podwyższona produkcja neuroprzekaźników. Mija najdalej po czterech latach związku. Endorfiny szybko wyparowują, a motyle z brzucha odlatują. Jeśli wpadnie ci w oko jakaś babka, zgłoś się do mnie. Chętnie wyłuszcę ci to zagadnienie.

– Zrobiłaś kurs w poradni dla par? – spytał, uśmiechając się pod nosem. Nie wierzył w te naukowe brednie.

– Jestem dyplomowanym psychologiem – odparła. – Wiem, co mówię.

– Skończyłaś psychologię?

Patrzył na nią zdumiony, a Rudnicka wzruszyła ramionami.

– Dostrzegam więcej niż inni – przyznała. – Na przykład to, że wkroczyłeś w moją strefę intymną.

– Słucham?

– Wynosi od piętnastu do czterdziestu pięciu centymetrów i jest wyrazem emocjonalnej bliskości. Biorąc pod uwagę, że między nami nie ma żadnej relacji emocjonalnej, powinieneś cię cofnąć.

Roześmiał się.

– Chyba już dawno przekroczyłem twoją strefę intymną – powiedział.

Spodziewał się kontrataku, ale Rudnicka pozostała niewzruszona.

– Jednorazowo – odparła.

– Nigdy nie wiadomo.

– To jest tak jak z zabawą w wesołym miasteczku – stwierdziła, stając naprzeciwko niego. – Przejdziesz się nową kolejką, którą nigdy nie jechałeś, ale już nie masz ochoty wsiadać drugi raz.

– Byłaś kiedyś w Energylandii?

Milczenie komisarz uznał za odpowiedź przeczącą.

– Jest tam coś, co nazywa się Rollercoaster Formuła. Rozpędza się do stu kilometrów na godzinę. Wagoniki przejeżdżają trasę prawie sześćset metrów w ekstremalnym tempie, pokonują pętle i zawijasy...

– W ekstremalnym tempie... – mruknęła. – To jakaś alegoria do twojej wytrzymałości podczas stosunku?

– Do naszej relacji, której według ciebie nie ma – odparł. – Zaczęliśmy od ostatniej bazy, co nie oznacza, że nie możemy wrzucić biegu wstecznego.

Do Marcela dopiero po chwili dotarło, co powiedział. Rudnicka jednak puściła to mimo uszu, jakby nie dostrzegła w tym nic nieprzyzwoitego.

– Myślę, że moją wytrzymałość podczas stosunku można porównać do kolejki dla dzieci – odezwał się.

Obszedł samochód i usiadł na miejscu kierowcy.

– Takiej z kolorowymi konikami?

– Jedzie bardzo wolno.

Lena ocknęła się z zamyślenia i spojrzała na Marcela.

– Nie przypominam sobie – bąknęła, uciekając wzrokiem.

13

Marcel splótł dłonie z tyłu pleców i przechadzał się po gabinecie komisarz Rudnickiej. Wnętrze było ascetyczne, ale uznał, że idealnie odzwierciedla charakter szefowej. Gdyby tylko Lena pozwoliła rozchylić żaluzje, Marcel poczułby się w gabinecie jak u siebie w domu. Lubił skromny wystrój, ale ten półmrok wprowadzał go w posepny nastrój.

– Zrób mi kawę – poleciła komisarz. Siedziała za biurkiem z nogami położonymi na blacie.

Wolski oczami wyobraźni zobaczył, jak do gabinetu wchodzi interesant. Ten widok z pewnością nie poprawiłby opinii o polskiej policji.

– Nie jestem praktykantem – oznajmił, urażony protekcyjnym tonem.

– Ale kawę możesz zrobić.

Nie zamierzał oponować. Sam chętnie łyknąłby porządną dawkę kofeiny. Podszedł do ekspresu i znieruchomiał.

– Jaką? – zapytał, przyglądając się szeregowi skomplikowanych przycisków.

– Powiem to raz i lepiej, żebyś zapamiętał, więc wyjmij kajecik i notuj – powiedziała, zdejmując nogi z biurka. – Nie piję kawy o pojemności mniejszej niż czterysta mililitrów. Jeśli chcesz sączyć przy mnie espresso, to majtnij się z tą pseudofilizanką na korytarz i oszczędź mi tego widoku. Dwa: mój ulubiony kubek to ten z Central Perku. Swoją drogą *Przyjaciele* to jedyny serial, jaki obejrzałam w życiu, i wciąż nie pojmuję, że Rachel wybrała Rossa zamiast Joeya. – Westchnęła. – Oni kompletnie do siebie nie pasowali.

– Nie przypuszczałbym, że interesują cię perypetie związków fikcyjnych bohaterów – stwierdził, sięgając po kubek.

– Bo nie interesują. Ale Joey powinien być z Rachel, koniec kropka. Oglądałam to milion lat temu, ale wciąż pamiętam, jakim pełnokrwistym mężczyzną był Tribbiani.

– Pełnokrwisty jest koń, a nie mężczyzna.

– Do tego miał poczucie humoru – rzuciła. – W odróżnieniu od ciebie.

– Może Rachel wolała nieco mądrzejszego Rossa zamiast przygłupiego Joeya.

Lena zmrużyła oczy, jakby rzeczywiście głęboko się nad tym zastanawiała.

– Co z tą kawą? – spytał.

– Czarna, z trzech ziarenek. I jeśli wsypiesz mniej niż trzy łyżeczki cukru, będziemy zmuszeni się rozstać.

– Rozstać?

– Rozdzielić, odseparować, rozłączyć, pożegnać.

Wolski odburknął coś niezrozumiałego i uruchomił ekspres. Zaparzył kawę również dla siebie, postawił kubek z napisem „Central Perk” na biurku i usiadł naprzeciwko szefowej.

– Doceniam – powiedziała Lena, wskazując na dużą szklankę Marcela. – Pamiętaj, że tutaj nie pija się małych porcji. – Otworzyła opakowanie podwójnego snickersa, ułamała połowę dla siebie, a resztę przesunęła po blacie w stronę sierżanta.

Zawahał się, podejrzewając w tym gościu podstęp, ale po namyśle sięgnął po batonik. Od rana nie miał w ustach nic oprócz lodowych westów.

Przez następne piętnaście minut Wolski słuchał wykładu komisarz o roli cukrów w organizmie. Zapamiętał trzy rzeczy: cukier dostarcza odpowiedniej dawki energii, pobudza produkcję hormonu szczęścia i jest paliwem dla mięśni. Marcel odniósł wrażenie, że Rudnicka przestudiowała encyklopedię dietetyki, ale wybierała tylko te fragmenty, które ją interesowały, i przerabiała na własne potrzeby. Owszem, węglowodany to pożywka dla organizmu, ale z pewnością nie te, które przed chwilą zjedli. Jediną korzyścią z tony cukru i sztucznych substancji zawartych w karmelowym batonie będzie powiększająca się oponka na brzuchu.

Monolog komisarz przerwał Ernest Jabłoński. Aspirant wszedł do gabinetu z przepaszającym uśmiechem. Zaraz po nim dołączył do nich Milewski, otarł spocone czoło i zajął miejsce przy stole.

Lena otworzyła usta, by wygłosić kąśliwą uwagę na temat spóźnienia, ale Tymon uniósł dłoń.

– Żadnych pytań – zastrzegł zziębnięty.

– Auto się nam rozkraczyło na Narutowicza – poinformował Ernest. – Przeszliśmy ten kawałek pieszo. W końcu taka ładna pogoda...

Komisarz przeniosła wzrok na Tymona. Wypieki na policzkach oznaczały, że tylko jedna osoba z tej dwójki była zadowolona ze spaceru.

– Dlatego nie jeździmy oplem? – zwróciła się do Marcela i upiła łyk kawy. Wstała, obeszła biurko dookoła, po czym usiadła na skraju blatu z kubkiem w rękach. Wolski odsunął nieco krzesło, bo odległość, jaką narzuciła komisarz, wydawała się zbyt mała.

– Sprawdziliście dozorcę? – zapytała.

– Tak, byliśmy w mieszkaniu, ale go nie zastaliśmy – relacjonował Ernest. – Sąsiadka powiedziała, że nie widziała Warskiego od kilku tygodni.

– Tygodni?

Aspirant skinął głową.

– Sądziła, że gdzieś wyjechał.

– Nie zjawił się w pracy dopiero jeden dzień – przypomniała Lena. – To gdzie, do cholery, podziewał się przez cały ten czas?

– Kobitka to typowy osiedlowy monitoring, więc uznałbym jej słowa za prawdziwe.

– Ciekawe – mruknęła.

– Sprawdziliśmy jego kartotekę, jest czysty jak łąza.

Rudnicka pokiwała głową. Gdyby było inaczej, Liz już dawno dopasowałaby odciski palców.

– Z Let-Budu nie wynieśliśmy żadnych konkretnych informacji – odezwał się Tymon, wyrównując oddech. – Chmielny dorabiał w firmie na dodatkowych zleceniach. Trzy lata temu pokłócił się z drugim księgowym.

– O co?

– Chmielny przeleciał mu żonę.

Rudnicka gwizdnęła.

– Wychodzi na to, że nasz finansista miał wyjątkowe powodzenie u kobiet – stwierdził Milewski, wachlując się dłonią. – Jak Ernest, któremu wystarczyło pół godziny, by zaprosić sekretarkę na randkę.

– Blondynka – wyjaśnił z dumą Jabłoński i posłał Marcelowi porozumiewawcze spojrzenie.

Wolski uśmiechnął się zdawkowo i zerknął na komisarz.

– Co z tą żoną? – spytała Lena, ignorując aspiranta.

– Księgowy wypowiadał się w raczej niepocholebnych słowach o denacie, ale w tej sytuacji to zrozumiałe – ciągnął Tymon. – Nie sądzę, aby miało to jakikolwiek związek z naszym śledztwem. Księgowy planuje drugi ślub i mimo konfrontacyjnego nastawienia nie byłby zdolny do zabicia muchy.

Faktycznie, gdyby finansista z Let-Budu chciał się zemścić na Klemensie, to raczej trzy lata temu, kiedy szalał z wściekłości, pomyślała.

– Pokazaliście zdjęcie z komputera denata? – spytała. – Może to żona księgowego?

– Niestety nie – odparł Ernest.

To byłoby zbyt piękne, dodała w myślach komisarz i napiła się kawy.

– Dowiedzieliście się czegoś jeszcze?

– Ostatni raz widzieli się miesiąc temu – odparł Ernest. – Przyszedł do firmy z jakąś kobietą.

– Jaką kobietą?

– Wnuk jej nie widział.

– To skąd wie, że przyszedł z kobietą? – Rudnicka zmierzyła ich wzrokiem.

– Recepcjonistka mu powiedziała – odparł Tymon, zapadając się w krzesło. Własna głupota przygnoitła go jak dwustukilowy kamień.

Zapadło niewygodne milczenie.

– A wy rozmawialiście z recepcjonistką, prawda? – podjęła Rudnicka. Pytanie było retoryczne. Miny policjantów mówiły same za siebie.

Ściągnęła brwi i przeniosła wzrok na Ernesta. Jego wieczne rozbawienie i luz nagle wyparowały. Poprawił kołnierzyk obcisłej polówki i wziął głęboki oddech, ale komisarz nie dała mu dojść do słowa.

– Zdążyłeś poderwać sekretarkę, ale nie wpadłeś na pomysł, by zadać jej jedno, kluczowe pytanie? – mówiła bardzo powoli, akcentując każde słowo.

Ernest wzrokiem szukał ratunku u Milewskiego.

– Możemy zajrzeć do firmy jeszcze raz – zaproponował Tymon.

– Nie, dziękuję. Jesteście wolni.

– Lena...

Sympatyczna atmosfera zgęstniała. Rudnicka odstawiła kubek i usiadła w fotelu. Zabębniła palcami o blat.

– No, już – ponagliła. – Żegnam panów.

Jej ton nie był ostry, ale zimny i opanowany. Marcel współczująco popatrzył na zbierających się do wyjścia policjantów. Pomieszczenie wypełnił dźwięk szurania krzesel. Wolski również wstał z przecuciem, że podzieli los kolegów, ale komisarz wymierzyła w niego palec.

– Ty zostajesz – powiedziała.

Ernest popchnął lekko Tymona i obaj zniknęli za drzwiami. Marcel przełknął ślinę.

Spojrzał na Lenę. W milczeniu wpatrywała się w swoje splecione na biurku dłonie. Czuł pod skórą, że wystarczy jedno nieodpowiednie słowo, aby buzujący w niej wulkan eksplodował. Podjął decyzję, że nie odezwie się pierwszy, i nie musiał, gdyż w progu zjawił się naczelnik wydziału.

Marcel słyszał od ojca, że tych dwoje łączy wyjątkowa niechęć. Nadchodzi katastrofa, pomyślał i najchętniej zapadłby się pod ziemię.

– Kogo ja tu widzę? – zagadnął naczelnik. Spojrzenie swoich małych, lisich oczu wbił w dekolt komisarz. Obojczyki ostro rysowały się pod materiałem

wyciętej w serek bluzki.

– Popatrzyłeś sobie? – warknęła.

– Nie ma na co.

– Dla ciebie to i tak rzadki widok. Dotykać możesz tylko samego siebie, więc pozostały ci wzrokowe uciechy.

Naczelnik wydał z siebie chrapliwy rechot i potarł szeroką szczękę. Marcelowi przypominał bardziej boksera wagi ciężkiej aniżeli przyjaznego obywatelom stróża prawa. Wąskie usta nie pasowały do wielkiej, kwadratowej twarzy naznaczonej kilkoma głębokimi bruzdami.

Naczelnik przeniósł ciężkie spojrzenie na Wolskiego. Nie mieli okazji się poznać, ale Ostrowski najwyraźniej uznał, że młody sierżant nie jest godzien jego uwagi, bo szybko odwrócił głowę, spoglądając na komisarz.

– Mów, co cię tu przywiało – odezwała się Rudnicka, odpakowując kolejnego batona. – Byle szybko, bo zaśmiecasz mi gabinet.

Ostrowski prychnął pogardliwie.

– Przypominam, że zwracasz się do swojego przełożonego – odparł.

– A ja przypominam, że zawracasz mi dupę w godzinach pracy.

– Nie wyglądasz na specjalnie zajętą.

– Bo marnuję czas na rozmowę z tobą.

Rozmowa tej dwójki przypominała walkę KSW. Wymiana ciosów następowała błyskawicznie. Dominująca postawa naczelnika wskazywała, że on tu rządzi, ale Marcel był pewien, że biegły umysł Rudnickiej jest w stanie uniknąć ciosu i wyjść z tego starcia zwycięsko.

– Planujesz pracować czy nadal zapierdalać po mieście jak obłąkana prostytutka? – spytał Ostrowski, wsuwając ręce do kieszeni żołnierskich spodni.

Lena nie wyglądała na urażoną, jakby styl tej rozmowy uznawała za normalny.

– Gdybym robiła za obłąkaną prostytutkę, dziennie zarabiałabym tyle, ile tutaj w dwa tygodnie.

– Wątpię – stwierdził naczelnik. – Z takimi cyckami nie wróżyłbym wielu klientów.

– Paru by się znalazło. – Rudnicka zerknęła przelotnie na Marcela i wgrzyła się w snickersa.

– Co z tym morderstwem? Nie dostałem żadnego raportu.

Lena wzruszyła ramionami i odchyliła się na oparcie. Ponownie ugryzła baton, jakby odwlekanie odpowiedzi sprawiało jej frajdę.

Pomiędzy brwiami naczelnika pojawiła się pionowa zmarszczka.

– Zaległe napisałaś? – zapytał.

- Nie.
- To na co, kurwa, czekasz?
- Na zachętę – odparła z uśmiechem.

Ostrowski otworzył usta, ale obecność syna komendanta powstrzymała go przed wygłoszeniem kolejnego niewybrednego komentarza.

– Zapowietrzyłeś się? – spytała i kiwnęła głową. – Spokojnie, kowboju. Przy mnie nie musisz się stresować.

– Jesteś pierdolnięta – powiedział Ostrowski i zerknął na Marcela, jakby obawiał się, że ten może donieść ojcu o przebiegu tej rozmowy.

- No – mruknęła. – Często to słyszę.
- Do końca dnia chcę zobaczyć wszystkie zaległe raporty.
- Jaja sobie robisz.
- Chciałabyś.

Na twarzy naczelnika wykwitł cyniczny uśmieszek. Splótł ramiona na piersi, wyraźnie dumny ze strategii, jaką obrał na tę rozmowę. Hierarchia w policji była przejrzysta i Rudnicka musiała wykonać polecenie, Marcel jednak przypuszczał, że komisarz nie podda się bez walki.

I miał rację.

– Grzęznę w sprawie o morderstwo, a ty kazesz mi wypełniać papierki? – zaatakowała. – Co ja, kurwa, na poczcie pracuję?

– Zmień zawód – podsunął Ostrowski. – Bo w tym nie wróżę ci sukcesów.

Wolski sądził, że wrodzona duma Rudnickiej każe jej zaoponować i zaraz usłyszą komentarz dotyczący jej pozycji w komendzie, ale ona obrała ugodową ścieżkę.

– Wypełnię te pieprzone raporty w pierwszej wolnej chwili...

– Nie – przerwał naczelnik. – Napiszesz je, kurwa, dzisiaj. Zrozumiano? Bo jak nie...

– No to co?

– Z przyjemnością cię zawieszę.

Zaśmiała się nerwowo.

– Masz czas do wieczora – oznajmił Ostrowski z satysfakcją i poprawił guziki koszuli. Marcel pomyślał, że wystarczyłby jeden gwałtowniejszy ruch, by szwy puściły i odsłoniły szerokie bary naczelnika. – A w najbliższych dniach chcę zobaczyć stempel Beaty, inaczej odsunę cię od śledztwa – zagroził.

– Zjedź z dawki – warknęła. – Pojechało ci się w głowie od tych sterydów.

– Zrozumiałas? To polecenie służbowe.

– Pierdol się.

Wolski niespokojnie poruszył się na krześle. Gdyby ktoś posłuchał tej wymiany zdań, uznałby, że rozmowa odbywa się pod trzepakiem na szemranym blokowisku, a nie w gabinecie najlepszego śledczego w województwie.

– Mówię poważnie. Dziś widzę raporty. Inaczej przydzielam sprawę komuś innemu.

– Zabieraj się stąd, bo zanieczyszczasz mi powietrze.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia – odparł Ostrowski i klasnął w dłoń. Zadowolony wyszedł z gabinetu, głośno trzaskając drzwiami.

– Pierdolony chuj – wymamrotała Lena i opadła na krzesło. Dłonie spłótła na brzuchu i odchyliła głowę do tyłu, przymykając oczy.

– Zgłoś to służbom wewnętrznym – powiedział Marcel. – To naczelnik wydziału, a zachowuje się jak...

– Szczegół. – Zbyła go machnięciem ręki. – Facet ma problem z własną męskością. Przerost formy nad treścią, i to dosłownie. Myśli, że jak wpompuje w siebie tę chemię, to zamoczy. Typowy przedstawiciel machismo.

– Czego?

– Jest zdania, że miejsce kobiet jest w domu przy garach i ciężko mu pogodzić się z tym, że jestem tu, gdzie jestem – odparła. – Ma poczucie wyższości tylko dlatego, że zwisa mu coś między nogami. Swoją drogą, nie spodziewałabym się po nim wiele. Podobno sterydy zmniejszają potencję i zaburzają gospodarkę hormonalną. Pewnie jego węgorz jest wielkości złotej rybki.

– Węgorz?

– Mhm... Penis, zaganiacz, fallus...

– Okej, zrozumiałem. – Uniósł dłoń. – To chyba mit...

– Nie sądzę – zaoponowała. – Słyszałam, że oprócz niewspółpracującego węgorza nabiął robi się coraz mniejszy i...

– Wystarczy – przerwał i dodał z westchnieniem: – W dzisiejszych czasach kobiety walczą o równouprawnienie, a on zachowuje się jak seksista, więc proponowałbym, żebyś jednak komuś to zgłosiła.

– Mhm... – mruknęła. – Chyba twojemu tacie.

Rudnicka zdawała się nie przywiązywać wagi do zachowania Ostrowskiego, ale Marcel zastanowił się nad powiadomieniem ojca. Odrzucił szybko tę myśl. Nie chciał wyjść na donosiciela. Postanowił więc, że dopóki Rudnickiej nie przeszkadza ta sytuacja, on nie będzie się mieszał.

– Co zamierzasz? – spytał. – Wypełnisz te raporty?

Lena położyła łokcie na blacie i potarła skronie.

– Nie mam wyjścia – odparła po chwili. – Ten kretyn zrobi wszystko, żeby mnie zawiesić, a ja nie dam mu tej satysfakcji.

– Ma powód do zawieszenia? Brak raportów to raczej kiepska podkładka.

Rudnicka zerknęła na Marcela. Mierzyli się chwilę wzrokiem, a Wolski dałby sobie rękę uciąć, że przez powietrze przetoczyło się kilka iskier. Przełknął ślinę, czując dziwny ucisk w gardle, i odwrócił się do okna.

– Miło, że we mnie wierzysz – powiedziała. – Ale te raporty to tylko kropla w bagnie, jakie sobie zgotowałam. Wpadłam do rynsztoka, ale nie popłynęłam z nurtem...

– Poetyckie porównanie.

– Słabe – skwitowała. – Powinnam powiedzieć, że taplam się we własnych fekaliach, a Ostrowski zrobi wszystko, żebym w nich utonęła.

Posłała mu zdawkowy uśmiech, ale Marcel dostrzegł na jej twarzy oznaki zmęczenia.

– Kim jest Beata? – spytał.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Sądziła, że ojciec opowiedział synowi, co wydarzyło się sześć miesięcy temu, ale Marcel najwidoczniej nie miał o niczym pojęcia. No i dobrze, pomyślała. Im mniej osób wie, tym lepiej. Chociaż prędzej czy później Wolski i tak dowie się całej prawdy. Hermetyczne środowisko policji huczało od plotek.

– Karnowska – odparła od niechcienia.

– Kim ona jest?

– Moją zmorą – ucięła. – Dobra, skończmy to pieprzenie. – Rozejrzała się po gabinecie, zbierając myśli. – Pojedziesz do Let-Budu i podpytasz o panią, co przyszła z Chmielnym.

Wolski westchnął, przeciągając się na krześle.

– Bardzo chętnie bym ci potowarzyszyła – dodała komisarz. – Ale na kilka godzin zamieniam się w biurwę. Muszę wtoczyć ten kamień pod górę i zatopić się w odmętach protokolaryzmu. Biorąc pod uwagę moje usposobienie, byłabym najgorszą panią z okienka w historii pań z okienka. Wyobrażasz sobie, że miałabym całymi dniami siedzieć na tyłku i obsługiwać interesantów?

14

Wszyscy goście dostali pokoje. Wyglądali na zadowolonych, więc Dorota Bracka miała chwilę dla siebie. Wyszła na parking, usiadła na ławce przed hotelem i zapaliła papierosa. Wtłoczyła dym do płuc, spoglądając na zegarek. Zaciśnęła poły płaszcz. Chłód marcowego wieczoru dawał się we znaki. Wypaliła kolejne dwa papierosy, kiedy zobaczyła w oddali światła nadjeżdżającego samochodu. Srebrny mercedes firmy taksówkarskiej zatoczył koło na parkingu, stał przez chwilę, a potem z wnętrza wyłonił się Dariusz Brzozowski. Machnął w podziękowaniu do kierowcy i ruszył w stronę Brackiej. Uśmiechnął się do niej i wszedł do hotelu.

Dorota zgasila papierosa i popędziła za nim. Posłała recepcjonistce spojrzenie, nie zaszczycając jej nawet słowem wyjaśnienia. Agnieszka Mizerna zrozumiała ten niewerbalny przekaz i spuściła głowę.

Oficjalnie nic nie widziała.

Weszli do małżeńskiego apartamentu. Dariusz odwiesił sportową kurtkę i przeszedł się po mieszkaniu. Dorota otworzyła kilkuletnie wino i rozlała je do dwóch kieliszków. Podała jeden gościowi, który posłał jej ujmujący uśmiech.

Dorota rozpięła guzik służbowej koszuli. Potem następny, i kolejny. Dariusz obserwował świeżą wdowę z rosnącą fascynacją. Kołysała wydatnymi biodrami, uwodząc go spojrzeniem.

– Tęskniłem – zachrypiał.

Od samego patrzenia na Dorotę głos grzązł mu w gardle, a w podbrzuszu pojawiło się dziwne mrowienie. Podeszedł do Doroty, ścisnął ją mocno za pośladki i przyciągnął do siebie.

Bracka nie potrzebowała dalszej zachęty. Pchnęła Dariusza w stronę korytarza. Brzozowski bez trudu odnalazł drzwi prowadzące do sypialni. Był tu już tyle razy, że czuł się jak u siebie.

15

Rudnicka wyłączyła komputer, zgarnęła dokumenty i wsunęła je do papierowej teczki, spoglądając na dzwoniący telefon. Krzysztof siódmy raz próbował skontaktować się z żoną. Lena zawahała się, jednak po upływie kilku sekund ekran ponownie zasnuł się czernią. Odetchnęła z ulgą, napiła się kawy i odczytała wiadomość, w której mąż przypominał o dzisiejszym przyjęciu u Tymona.

Naszła ją chęć, by walnąć komórką o ścianę, przygnieść ciężką podeszwą buta i rozłuc szklaną obudowę w drobny mak. Najchętniej zakopałaby się pod kocem i przespała to, co zbliżało się wielkimi krokami.

Najpierw zakradało się tylnymi drzwiami, chowając się za fasadą uśmiechu; potem wychodziło na chwilę i skrywało się z powrotem, jak gdyby zachęcało do wzięcia udziału w tej wątpliwej zabawie. Atak następował niespodziewanie, ale wypełniał cały umysł niczym igła, która wędruje przez ciało, nawlekając na nitkę wszystkie emocje.

Ból.

Starła się zająć myśli czymś innym, ale klucie nasilało się z każdym uderzeniem serca. Sięgnęła po fiolkę z lekami i wytrząsnęła pigułkę na dłoń. Przyjrzała się jej, jakby była czymś więcej niż zwykłą tabletką. Jakby stanowiła remedium na dręczące ją problemy.

Poruszyła nieznacznie barkiem, odchyliła materiał bluzki i przejechała palcami po bliźnie. Skóra już dawno się zrosła, zostało jedynie małe wgniecenie tuż przy kości obojczykowej.

Wspomnienia z tamtego dnia uderzyły w nią z wielką siłą. Przed oczami pojawiły się obrazy, których nie chciała widzieć, a uszy wypełnił krzyk, którego nie chciała słyszeć.

Dźwięk upadającego na zimny beton ciała. Najpierw jednego, potem drugiego. Jedna minuta, dwa odebrane życia.

Trzy przecinające powietrze kule.

Gdyby przewidziała rozwój wydarzeń, do niczego by nie doszło. Zawiodła jako policjantka i jako człowiek. Dopuściła do śmierci niewinnej osoby. I niczym nie różniła się od tych, których poszukiwała. Była morderczynią.

Wystarczyło nacisnąć spust. To wszystko.

Koniec. Pozostały jedynie zgliszcza w psychice. Wspomnienia, których nigdy nie zdoła się pozbyć.

Gdyby lufa pistoletu wycelowana była nieco wyżej, kula przeszłaby jej czaszkę. Tak byłoby lepiej. Za to, co zrobiła, powinna ponieść karę. Powinna umrzeć, ale los postanowił ją oszczędzić. Pozostała blizna, na ciele i w pamięci, która codziennie przypominała o tamtych wydarzeniach.

Każdego dnia toczyła walkę ze sobą i bólem. Odurzanie się lekami przynosiło chwilowe ukojenie, za które płaciła odpowiednią cenę. Przytłumione myśli i mętlik w głowie to nic nieznaczące kamyczki na drodze prowadzącej do uzależnienia od środków przeciwbólowych. Wiedziała o tym zagrożeniu, ale przecież gdyby chciała, odstawiłaby leki w każdej chwili. Uzależnienie jej nie dotyczyło. Kontrolowała to.

Popatrzyła na tabletkę. Śledztwo wciąż trwało, więc powinna zachować trzeźwy umysł i doprowadzić sprawę do końca. Wrzuciła lek z powrotem do opakowania i zasunęła głośno szufladę. Serce przyspieszyło, jakby organizm domagał się kolejnej dawki. Potrzebował tego. Położyła dłonie na blacie i uniosła wzrok.

Oczy komendanta Andrzeja Wolskiego patrzyły prosto na odsłonięte ramię. Nie usłyszała, kiedy wszedł, ale liczyła, że nie dostrzegł zagubienia, które odmalowywało się na jej twarzy. Odruchowo ukryła bliznę pod materiałem bluzki i wstała, zbierając z biurka dokumenty.

– Szykuję się do domu – wyjaśnił. – Wszystko w porządku?

Lena zaśmiała się w duchu. Jeśli powiedziałaaby prawdę, komendant kazałby jej złożyć podanie o natychmiastowy urlop. Wakacje nie wchodziły w grę, bo tylko dzięki pracy utrzymywała znośną kondycję psychiczną.

– Do szczęścia brakuje mi szóstki w totka – odparła, ale jej głos zabrzmiał słabo. Odchrząknęła więc, dodając: – Wciąż pracuję nad właściwym algorytmem. Metoda na chybił trafił jakoś do mnie nie przemawia.

Uśmiechnął się z powątpiewaniem. Wiedziała, co zaraz usłyszy. Dobrze znała to ojcowskie spojrzenie.

– Byłaś u Beaty? – spytał, zsuwając z nosa okulary, znad których zerknął na nią niczym surowy rodzic.

Rudnicka odwróciła głowę, by obmyślić szybko jakąś wymówkę. Doceniała troskę komendanta. Traktował ją jak przyszywaną córkę i od początku policyjnej kariery czuła, że ma w nim oparcie, ale w ostatnim czasie przesadzał z tą opiekuńczością. Kłamstwo zdawało się jedynym wyjściem. Przychodziło z trudem, bo choć komendant kręcił nosem na jej wybryki, zawsze stawał za nią murem.

Tymczasem teraz Rudnicka kolejny raz odtrącała jego pomocną dłoń w przekonaniu, że jej nie potrzebuje.

– Nie – odparła, odzyskując rezon. – I nie sądzę, abym w najbliższych dniach się pojawiła, ponieważ mój grafik jest napięty jak strzała Robin Hooda. Nie żebym lubowała się w średniowiecznych legendach, ale w moim Sherwood Ryszardem Lwie Serce jestem ja i niestety nie ufam psychologom, a w szczególności policyjnym. Znam te sztuczki i proszę mi wierzyć, sama jestem dla siebie wystarczającym odgromnikiem.

– Odgromnikiem?

– Potrafię zabezpieczyć własne zwoje mózgowie przed nagłym skokiem napięcia i nie potrzebuję do tego wylegiwania się na kozetce. O! – Pstryknęła palcami. – Świetnie, że jesteś!

Marcel spojrzał na ojca.

– Co? – stęknął.

– Nic takiego. – Klepnęła go w ramię. – Odwieszysz mnie do domu.

Wyszła na korytarz i poszła prosto do gabinetu naczelnika. Otworzyła ostatnie drzwi i wparowała do środka.

– Puk, puk – rzuciła.

Grzegorz Ostrowski podskoczył na krześle, kliknął dwa razy myszką, by wygasic ekran komputera, i otworzył usta, chcąc zbesztać natrętną podwładną. Komisarz okazała się szybsza.

– Pornosy oglądasz? – zagadnęła. – Przyznaj się, co ci w duszy gra. MILF-y chyba cię nie interesują, ale young girl to już bardziej twoja bajka, nie? Co tam gmerasz pod stołem?

Twarz naczelnika stężała. Gdyby posiadał zdolność zabijania spojrzeniem, Rudnicka padłaby trupem prosto na wytarty dywanik przed biurkiem przełożonego.

Z ciężkim westchnieniem rzuciła dokumenty na blat, jakby pozbywała się ciężącego jej balastu. Ruszyła w stronę wyjścia, ale w ostatniej chwili obróciła się w progu.

– Jeszcze raz każesz mi się babrać w tym gównie podczas trwania sprawy, a obiecuję, że nasze stosunki nie będą już wyglądać jak obrazek na pocztówce z Mazur.

– Co ty pieprzysz? – burknął.

– Słońce zakryją ciemne chmury, a spokojną taflę jeziora wzburzy porywisty wiatr, który uderzy prosto w twoją niewdzięczną twarz. I uważaj, bo może zamienić się w tornado, którego nie będziesz w stanie powstrzymać. Dyktaturę

wprowadzaj w swojej przeglądarce i jeśli chcesz, żeby mówiono do ciebie „pan”, zapodaj w tym komputerku coś z BDSM, poczytaj *Greya* albo inne barachło, bo takim gadaniem szacunku nie zdobędziesz.

Ostrowski uniósł brwi, zaskoczony tym nagłym atakiem.

– Jesteś pierdolnięta – skwitował.

– Mówiłeś to już dzisiaj – odparła. – Powtarzasz się, co akurat nie jest zaskoczeniem, bo twój tezaurus nie należy do bogatych, „kurwa” i „chuj” są tam w czołówce. Mylę się, panie naczelniku?

Ostrowski nie odpowiedział. Zgarnął dokumenty i rzucił na kupkę w rogu biurka.

– I po cholere kazałeś mi to wypełniać? – zapytała. – Żeby odłożyć te papiery na półkę? Po to spędziłam trzy godziny i marnowałam oczy? Wiesz, co powinni dodawać do comiesięcznej pensji policyjnej? Starazolin albo inny hydrobalance, bo jedynym zajęciem twoich funkcjonariuszy jest wypełnianie kwitów.

– Wystarczy. – Uniósł dłoń, nie dając się sprowokować.

Rudnicka przypuszczała, że powściągliwość naczelnika wymusiły uchylone drzwi, w których w każdej chwili mógł stanąć komendant. Ciekawe, jak Andrzej Wolski zareagowałby na sposób, w jaki komunikują się jego podwładni?

– Dopiero się rozkręcam – powiedziała, podpierając się pod boki.

– Wystarczy – powtórzył. – Zabieraj się stąd.

– Bardzo chętnie, bo przebywanie w tym pomieszczeniu grozi nie tylko uduszeniem, ale i martwicą mózgu.

– Rudnicka, przeginasz.

– Wal się – skwitowała, obracając się na pięcie.

Zatrzymała się dopiero na parkingu przed komendą, rozejrzała się dookoła i wzięła głęboki wdech. Powinno pachnieć wiatrem i nadchodzącą wiosną, ale woń stanowiła mieszaninę spalin i tłącego się w okolicznych piecach węgla.

– Gdzie masz wóz? – spytała.

Wolski ruszył w stronę zaparkowanej fabii. Kiedy drzwi samochodowe trzasnęły dwa razy, wycofał auto i wyjechał z parkingu. Spojrzał pytająco na Rudnicką, ale wydawała się nieobecna. Z zamyślenia wyrwało ją lekkie szturchnięcie.

– Na Księży Młyn – rzuciła, pocierając bark.

Marcel włączył kierunkowskaz, skręcił w lewo i po przejechaniu kilkudziesięciu metrów stanął na światłach przy skrzyżowaniu z Tuwima.

– Recepcjonistka rozpoznała tę kobietę – odezwał się.

Rudnicka wyglądała przez okno i obserwowała przechodniów na pasach. Dwójka zakochanych dwudziestolatków prawie zderzyła się ze starszym panem i jego długonogim dobermanem. Chłopak odskoczył w ostatniej chwili, a pies nastroszył uszy i uniósł złowrogo ogon, na szczęście właściciel w porę zareagował i pociągnął sznurową smycz. Doberman począpał za nim wyraźnie pobudzony.

Słowa Marcela docierały do niej powoli. Gdy światło zmieniło kolor na zielony, odwróciła się gwałtownie w jego stronę. Pas bezpieczeństwa zablokował ruch, więc wyciągnęła go bardziej i spojrzała na sierżanta.

– Co powiedziałaś?

– Rozpoznała tę kobietę – powtórzył.

– Co?! – zawołała, unosząc dłonie. – Nie mogłeś wcześniej tego powiedzieć?

– Nie pytałaś. Dostałaś dziwnego słowotoku, którego nie potrafiłem przerwać.

– To efekt długiego odosobnienia w towarzystwie stosu makulatury.

Wolski roześmiał się, kręcąc głową.

– Nie ma w tym nic zabawnego – bąknęła. – Zaprowadzałam ład i porządek publiczny, wklepując literki do komputera. Myślę, że dzięki mnie mieszkańcy naszego pięknego miasta poczują się bezpieczniej. Powinni docenić moje starania i przyznać mi order cierpliwości i wytrwałości. – Wzięła oddech i wbiła wzrok w Marcela. – Czego się dowiedziałeś?

– Sekretarka pamięta, że Chmielny przyszedł z kobietą. Potwierdziła, że to dziewczyna ze zdjęcia. Mówiła, że ją zapamiętała, bo miała piękne włosy. Niesamowite, że wy, kobiety, identyfikujecie ludzi według takich szczegółów.

Komisarz popatrzyła na niego, jakby nie miała pojęcia, o czym mówi.

– Dalej – ponagliła.

– Klemens przyszedł z nią do biura. Czekala w korytarzu, kiedy denat załatwiał sprawy z drugim księgowym. Nie rozmawiała z sekretarką, a Klemens jej nie przedstawił.

– Czyli co?

– Czyli nic – odparł, skręcając w Piłsudskiego. – Chmielny rozmawiał chwilę z księgowym i wyszli.

– Kurwa mać.

Marcel pokiwał głową. Wizyta w Let-Budzie potwierdziła jedynie to, co oboje podejrzewali – kobieta najprawdopodobniej była kochanką denata. Drugą kochanką, a trzecią kobietą w życiu bilansisty.

Przez chwilę oboje milczeli, zatopieni w myślach.

– Musimy ją znaleźć – stwierdziła komisarz. – Ale jak go kropnęła i zwinęła kasę, to w ciągu dwóch dni zdążyła przekroczyć niejedną granicę.

– Ciekawe.

– Co? – spytała Lena i machnęła ręką w stronę najbliższego skrzyżowania. Marcel wjechał fabią w brukowaną uliczkę.

– Na początku śledztwa sądziliśmy, że Chmielny to nudny księgowy, tymczasem okazało się, że ma sporo za uszami.

Zazwyczaj tak jest, pomyślała Lena. Ci spokojni i poukładani sprawiają dobre wrażenie, a rzeczywistość jest zgoła odmienna.

– Dolicz do tego tabun kochanek – odparła. – Śledztwo trwa i nie wiadomo, czy kobieta ze zdjęcia będzie tą ostatnią.

– Celna uwaga.

– Bo moja – skwitowała i kiwnęła głową, by się zatrzymał. – Od początku nie pasował mi wizerunek świętego finansisty o dobroduszej twarzy. Każdy człowiek ma swoje tajemnice, a my mamy taką robotę, że musimy odkrywać wszystkie karty po kolei, nawet te, które ludzie chcieliby zachować dla siebie.

– Czyli zakładamy, że kobieta ze zdjęcia jest potencjalną morderczynią?

– Zdurniałeś? – obruszyła się. – Nawet z nią nie rozmawiałeś!

Marcel wzruszył ramionami.

– Mamy zbyt wielu potencjalnych sprawców – ocenił.

– Czyżby?

– Powinniśmy kogoś wykluczyć.

– Na początek Bracką.

– Dlaczego?

W odróżnieniu od Leny Marcel wpisałby żonę denata na pierwszym miejscu listy podejrzanych. Dwie kochanki, pieniądze, niechęć do własnego męża – wyliczał w myślach. Chociaż Dariusz Brzozowski też był dobrym kandydatem. Jeśli jutro wejdą do kasyna z nakazem i potwierdzi się, że Brzozowski zjawił się ze sporą gotówką, będą mogli zawieźć go na komendę. Może tam rozwiąże mu się język.

– Gównu mamy – powiedziała komisarz. – Zaraz prokurator zacznie gęgać mi nad uchem, więc musimy zwiększyć obroty.

– Sądziłem, że już działamy na najwyższych.

– Nawet nie wrzuciłam trzeciego biegu.

– Nie chciałbym ci towarzyszyć, gdy wrzucisz szósty.

Uśmiechnęła się zawadiacko, zapominając na chwilę o bolącym barku i tabletkach kuszących w kieszeni.

Wolski podniósł wzrok i zorientował się, gdzie dojechali. Rząd ceglanych, pofabrycznych budynków ciągnął się wzdłuż wąskiej uliczki. Zaparkował pomiędzy sportowym mercedesem a eleganckim SUV-em, stwierdzając, że poczciwa skoda fabia kompletnie w tym miejscu nie pasuje.

– Mieszkasz tutaj? – spytał, marszcząc brwi.

Nie wiedział dlaczego, ale również zabytkowe osiedle dawnej przędzalni Karola Scheiblera nie pasowało do Rudnickiej. Nie znajdował żadnego argumentu dla poparcia tego przecucia. Znał ją od niedawna, ale odniósł wrażenie, że uciechy materialne nie znajdują się na liście jej priorytetów. Najwidoczniej był w błędzie.

Poczuł się skrępowany. Wynajmował kawalerkę w starej kamienicy i nie dorobił się w życiu niczego poza czternastoletnią skodą fabią, a jego oszczędności ograniczały się do kilkuset złotych, pozostałych po opłaceniu wszystkich rachunków.

– Nie – odparła. – Wsiądę tutaj, a gdy odjedziesz, przejdę do Biedy za rogiem.

– Musisz zbierać niezłe dodatki do pensji, skoro stać cię na mieszkanie u Scheiblera.

– Nie bez powodu zostałam komisarzem w tym wieku – ucięła.

Chociaż moje zarobki nie mają tutaj żadnego znaczenia, dodała w myślach. Formalnie mieszkanie należało do niej i Krzysztofa, ale to właśnie dzięki oszczędnościom męża i sprzedaży jego nieruchomości odziedziczonych po dziadkach było ich stać na zakup drogiego loftu. Ona za policyjną pensję nie kupiłaby nawet mieszkania w Zgierzu pod Łodzią. A jeśli już, dzieliłaby je z bankiem, spłacając kredyt na trzydzieści lat.

– Daj spokój – dodała, odpinając pas. – To zwykłe mury.

– Będiesz u Tymona? – spytał Marcel, ale komisarz odpowiedziała trzaśnięciem drzwiami.

Szybkim krokiem pokonała alejkę i szukając w kieszeni kluczy, wjechała windą na swoje piętro.

Gdy przekroczyła próg mieszkania, uderzył ją zapach alkoholu i środków chemicznych. Rzuciła klucze na kuchenną wyspę i zawiesiła marynarkę na krześle. Otworzyła lodówkę, wyjęła zimną pepsi i pociągnęła łyk prosto z butelki.

– Dobry wieczór, pani Leno. Dzisiaj jest pani wcześniej niż zwykle.

Odwróciła się.

– Tak – odparła niewyraźnie, bo gazowany napój podrażnił jej przełyk. – Wpadłam się przebrać, bo wieczorem idę do znajomych.

– Pan Krzysztof mówił, że wybieracie się państwo na przyjęcie.

Przyjęcie, prychnęła. Nawet zwykłe urodziny mąż nazywał przyjęciem, jakby wybierał się na imprezę do samego Baracka Obamy.

– Umyłam okna, ale użyłam nowego płynu – powiedziała gosposia, zdejmując fartuch. – Coś jest z nim nie tak, bo mocno śmierdzi alkoholem.

– Nie ma problemu.

– Ale wystarczy wywietrzyć i po sprawie. Pan Krzysztof prosił, bym posprzątała też łazienki i przetała podłogi.

– Dobrze – powiedziała Lena i wyjęła z kieszeni plik banknotów.

– Nie, nie. Pan Krzysztof już zapłacił.

Sprzątaczką uśmiechnęła się dobrotliwie, spakowała torbę wypełnioną chemikaliami i zarzuciła na plecy zmechacony płaszcz.

Krzysztof od miesięcy namawiał Lenę, żeby zatrudnili specjalistyczną firmę sprzątającą. Rudnicka jednak uważała to za zbędny wydatek. Pani Jadzia sprzątała u nich, od kiedy wprowadzili się na osiedle, i Lena nie chciała, by po mieszkaniu kręciły się inne osoby. Ufała emerytce, a bezdusnością byłoby pozbawienie jej dodatkowego źródła zarobku.

Odstawiła butelkę i podeszła do kobiety.

– Proszę to wziąć – powiedziała, wyciągając rękę z pieniędzmi. – To premia.

– Naprawdę, ja nie...

– Proszę.

Wcisnęła banknoty do kieszeni jej płaszcza i poszła do sypialni. Opadła na ogromne łóżko i splotła dłonie na brzuchu. Słyszała, jak pani Jadzia zatraskuje za sobą drzwi, a potem uszy otuliła przyjemna cisza. Przez kilka minut rozkoszowała się tym błogim stanem, ale zaraz poczuła nieprzyjemny ucisk.

Bezwiednie potarła ramię. Wiele by dała, by przerwać tę udrękę. Wystarczyło sięgnąć do kieszeni albo do szuflady, gdzie upchnęła stos nielegalnie zdobytych tabletek. Żaden lekarz nie przepisałby takiej ilości.

Zresztą, nie wierzyła przedstawicielom służby zdrowia. Oprócz zdzierania pieniędzy za prywatne wizyty i zalecenia rehabilitacji nie zrobili nic, by jej pomóc. Wizyta u ortopedy też nie przyniosła efektu. Postanowiła pomóc sobie sama. Długo szukała odpowiedniego środka i w końcu trafiła na OxyContin. Zażywanie go miało wiele skutków ubocznych, ale był jak objawienie. Zbawcza iluminacja rozjaśniająca ciemności życia. Dzięki niemu mogła funkcjonować, nie skrecając się z bólu przy każdym ruchu.

Dostęp do pigułek był utrudniony. Lekarze niechętnie wypisywali recepty, ale w Polsce wciąż można było uzyskać je z legalnego źródła. Z racji tego, że

działanie leku przypominało działanie heroiny czy morfiny, w niektórych krajach, jak Stany Zjednoczone czy Kanada, uznawano go za narkotyk.

I słusznie, pomyślała, odsuwając od siebie myśl o zażyciu tabletki. Nie była uzależniona. Potrafiła wytrwać w swoim postanowieniu i nie weźmie dzisiaj ani jednej pigułki.

Do końca śledztwa zachowa trzeźwy umysł.

Wstała i zajrzała do szafy. Wyjęła pierwszą z brzegu sukienkę i udała się do łazienki. Odbębni towarzyskie spotkanie, a potem zrealizuje plan, jaki obmyśliła na dzisiejszy wieczór.

16

Kalina przysiadła na ławeczce na tyłach hotelu. Zanedbany ogród aż prosił się o troskliwą rękę. Zwiędłe rośliny straszyły suchymi kwiatami i podgniętymi łodygami. Wiatr kołysał nimi na boki, a Kalina słyszała złowrogie trzeszczenie uschniętych gałęzi. Pomyślała, że ten lichy zielnik jest lustrzanym odbiciem hotelu Retro. Zniszczony, odstraszący wyglądem i nikomu niepotrzebny.

Odsapnęła cicho. Od całodziennego zamiatania podłóg łupało ją w krzyżu. Wolała nie myśleć, co będzie za kilka miesięcy. Chciałaby pracować do końca ciąży, ale nie była pewna, czy stan zdrowia jej na to pozwoli. Żałowała, że nie może zapalić papierosa. Brakowało jej mentolowego posmaku nikotyny, która koła zszargane nerwy.

Słońce już dawno skryło się za ponurymi obłokami. Wieczory bywały chłodne, a nad ziemią unosiła się mgła, jakby marzec za wszelką cenę chciał udowodnić, że nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Okryła się szczelniej ciepłą kurtką i spojrzała na las okalający kompleks hotelowy. Zdezelowany kort tenisowy straszył pordzewiałą siatką. Na brudnym słupku przysiadł kruk. Rozprostował skrzydła, prezentując czarne upierzenie, i zerknął złowrogo na Kalinę, jak gdyby dawał do zrozumienia, że jest tu intruzem.

Nagle usłyszała szelest liści i chrzęst łamanych gałęzi. Cienkie patyki ugięły się pod naciskiem ciężkiego buta. Serce podeszło jej do gardła. Rozum podpowiadał, aby niezwłocznie wróciła do hotelu, ale zeszywniałe mięśnie przyszpiliły ją do drewnianej ławki.

Ciemna postać przemknęła przez ogród. Mężczyzna szedł pospiesznie, nie rozglądając się na boki, machał przy tym zamasyście rękoma, jakby ten ruch miał doprowadzić masywne ciało szybciej do celu.

Kalina przełknęła ślinę, gdy postać zniknęła w ciemnościach lasu. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że zakapturzonym nieznajomym był hotelowy dozorca, Karol Warski.

17

Napijesz się? – zapytał Tymon, zaglądając do barku.

– Chętnie – odparł Marcel z uśmiechem.

Atmosfera w domu Milewskich była swojska i przyjemna, a Marcel miał wrażenie, że siedzi w gronie najbliższych przyjaciół, a nie ludzi, których poznał zaledwie dwa dni temu.

– Ja dziękuję – zaproponował prokurator Nawrocki. – Rzadko piję – poinformował Wolskiego.

Marcel ze zrozumieniem kiwnął głową. Wcześniejsza nieśmiałość względem prawnika zamieniła się w podziw. Prokurator jawił się Marcelowi jako dystyngowany człowiek o wyjątkowej fantazji. Imponowały mu zgrabne ruchy Nawrockiego, elegancki strój i sposób wypowiedzania się. Nawrocki zdawał się znać odpowiedzi na wszystkie pytania, a nawet gdyby nie znał, potrafiłby wybrnąć z sytuacji, nie zdradzając się brakiem wiedzy.

Fantastyczny człowiek, pomyślał Marcel i przez moment pożałował, że wybrał w życiu inną drogę. Może on kiedyś też stałby się kimś takim jak prokurator Nawrocki.

Upił łyk ginu z tonikiem, przysłuchując się niezobowiązującej rozmowie stróżów prawa i przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości. Nie przypuszczał, że utrzymują tak bliskie kontakty, ale po namyśle uznał to za nieuniknione. Środowisko jest hermetyczne, a wszyscy znają się przynajmniej z widzenia.

– Gdzie zgubiłeś żonę? – podjął Ernest, głaszcząc burego kocura moszczącego się na kolanach aspiranta.

– Niedługo się zjawi – odparł prawnik, zerkając na zegarek.

– Wybraliśmy się na tę sztukę, którą nam poleciłeś – odezwała się Paulina. – Świetna!

– A nie mówiłem? – spytał Nawrocki. – Lepiej zdradź, jak namówiłaś Tymona na wizytę w teatrze.

Paulina zaśmiała się głośno. Marcel pomyślał, że małżeństwo Milewskich dobrało się idealnie. Przypuszczał, że w domu Tymona stół zawsze jest pełen tych wszystkich pyszności.

– Z trudem go namówiłam – przyznała. – Ale w końcu się udało.

Tymon odpowiedział frywolnym uśmiechem, który kazał sądzić, że wizyta w teatrze była jego pierwszą i jednocześnie ostatnią w życiu.

– Szkoda, że moja żona nie godzi się na takie kompromisy – odparł prokurator.
– Sztuka mogłaby dla niej nie istnieć.

– W tej kwestii mogą sobie podać rękę z Tymonem. – Milewska przeniosła wzrok na Marcela i poklepała go po ramieniu. – Jak tam? – zagadnęła. – Zaaklimatyzowałeś się już w Łodzi?

Zwierzenia, od czego zaczął aklimatyzowanie się w rodzinnym mieście, byłyby nie na miejscu. Na szczęście od odpowiedzi wybawił go głośny dźwięk domofonu. Paulina poderwała się z krzesła.

Z korytarza dochodziły przytłumione głosy, ale Marcel od razu rozpoznał głos Rudnickiej. Rozparł się wygodniej na krześle. Ucieszył go fakt, że Lena zdecydowała się przyjść do Milewskich. Dzień był męczący, a nawet szanowana pani komisarz powinna czasem spuścić z tonu.

Widzieli się raptem półtorej godziny temu, ale pierwszą zmianą, jaką zauważył Marcel, były mocno podkrążone oczy, których sińce Lena starała się ukryć pod warstwą jasnego pudru. Wyglądała na przepracowaną, co go zmartwiło. Może lepiej, gdyby spędziła ten wieczór w domu, poczytała książkę i porządnie się wyspała.

Dopiero po chwili spostrzegł szczupłe nogi, które w połowie uda zakrywał materiał czarnej sukienki. Marynarka na ramionach sięgała do połowy pośladków, ale pomimo tego Wolskiemu zaschło w gardle. Zwilżył usta cierpkim ginem.

Nie zaszczyliła go spojrzeniem. Przywitała się z pięcioletnią Karoliną, która zaraz pognęła z powrotem na dywan i zawinęła się w śpiwór. Chora córka Tymona nie dała się odesłać do pokoju i uparła się brać czynny udział w imprezie.

Prokurator wstał i ucałował Lenę w policzek, obejmując ją w pasie. Marcel zauważył, że dłoń Nawrockiego spoczywa na jej ciele znacznie dłużej, niż wymagała tego sytuacja. Zmarszczył brwi na tę nagłą poufałość prawnika.

– Długo kazałaś na siebie czekać, kochanie – stwierdził Nawrocki i przysunął Lenie krzesło.

Marcel poczuł, że sztywniej mu wszystkie mięśnie.

– Tak wyszło. – Wzruszyła ramionami.

– Więc jesteśmy w komplecie! – zawołał Tymon, nalał Lenie drinka i uniósł kieliszek w toaście.

Komisarz wypila alkohol jednym haustem, skrzywiła się i skinęła ręką, prosząc o dolewkę. Odetchnęła ciężko, jakby przebywanie wśród ludzi sprawiało jej

fizyczny ból.

– Lenka, dobrze się czujesz? – spytał Nawrocki.

Marcel siedział jak porażony piorunem. Nie słyszał głosów dochodzących do uszu, a głowa nie przetwarzała obrazu, jakie przesyłały oczy.

Lena była żoną prokuratora Nawrockiego?

Miał wrażenie, że jest w ukrytej kamerze, a z korytarza wyskoczą ludzie z wielkimi kamerami, bukietem kwiatów i okrzykiem: Mamy cię!

To się nie działo naprawdę.

– Tak – odparła Rudnicka nieco ściszone głosem.

Krzysztof zarzucił rękę na oparcie krzesła, gładząc opuszkami palców jej szyję. Lena odsunęła się nieznacznie i wbiła wzrok w Marcela. Ścisnęło go w żołądku. Nie słyszał rozmowy przy stole. Ciężkie spojrzenie komisarz przytłaczało go tak samo jak w irlandzkim pubie. Ale w jej oczach nie zobaczył skruchy, a wręcz przeciwnie, dostrzegł wyzwanie.

Wieczór mijał powoli, a Wolski odhaczał kolejne punkty: popisowe danie Tymona, zdawkowa rozmowa o śledztwie, która później przerodziła się w dyskusję o urzędzie miasta, gdzie pracowała Paulina Milewska, kolejne drinki i kolejne danie.

Marcel starał się zachować spokój. Gdy prokurator perorował na temat dzieł sztuki wiszących w mieszkaniu jego i Leny, Wolski zdał sobie sprawę, że obraz Nawrockiego sprzed godziny uleciał gdzieś bardzo daleko. Lena milczała, jakby postawiła sobie za cel odhaczenie tego spotkania i szybki powrót do domu. Do apartamentu, poprawił się Marcel, w którym mieszka ze swoim mężem.

Gwałtownie odsunął krzesło.

– Idę zapalić – rzucił w przestrzeń i wyszedł na korytarz. Zakładanie kurtki uznał za zbędne. Potrzebował chłodnego powietrza. Buzujące w żyłach adrenalina i alkohol wystarczająco go rozgrzewały.

Zapalił papierosa, próbując opanować drżenie rąk. Cholerna zapalniczka zadziałała dopiero za trzecim razem. Wciągnął do płuc porządną porcję dymu i wypuszczał stopniowo, uspokajając oddech. Nikotyna zdawała się jedynym ratunkiem w tej absurdalnej sytuacji.

Czuł się, jakby dostał w twarz.

Rudnicka wyszła na zewnątrz, zamknęła drzwi i niespiesznym krokiem przeszła na ścieżkę, by stanąć naprzeciwko Wolskiego. Skrzyżowała ramiona na piersi. Marcel pomyślał, że gdyby miała na sobie spodnie, dłonie z pewnością wylądowałyby w kieszeniach.

– Mam pewien pomysł – odezwała się. – Ale potrzebuję twojej pomocy.

– Słucham?

– Musimy się stąd zwinąć.

Wolski rozejrzał się w poszukiwaniu kogoś, do kogo komisarz mogłaby skierować te słowa, ale wokół panowała cisza, zakłócana tylko poświstywaniami wiatru. Czuł, jak lekko muska włosy i chłodzi rozgorączkowaną twarz.

Oczekiwał wyjaśnień. Argumentów, którymi Rudnicka poparłaby tę nedorzeczną pomyłkę. Poryw chwili, zamroczenie alkoholem, chęć doświadczenia czegoś nowego – bo przecież tak tłumaczą się osoby zdradzające partnerów. A ona sprawiała wrażenie, jakby nie widziała w tym nic złego. Ot, normalna sprawa, kiedy przy jednym stole zasiada mąż i kochanek.

Marcel potrząsnął głową, łapiąc się za skronie.

– Wybierzemy się do kasyna – ciągnęła. – Będiesz robił za mojego bodyguarda.

– Zwariowałaś?

– Inaczej nie wciskałabym się w tę kieckę – mruknęła.

– Nie – powiedział twardo. – Naprawdę zwariowałaś? Bo nie wiem, czy masz pełny ogląd obecnej sytuacji, ale – wskazał palcem na dom Milewskich – za tymi drzwiami siedzi twój mąż, będący jednocześnie prokuratorem prowadzącym naszą sprawę, o którego istnieniu przypadkiem zapomniałaś mnie poinformować.

– Moją sprawę – poprawiła. – I nie zapomniałam, ale zataiłam celowo.

Prychnął, spoglądając na tłęcego się papierosa. Wyrzucił niedopałek i wyciągnął kolejnego.

– Jesteś stuknięta – stwierdził, wypuszczając dym. Kłębek substancji smolistych zakręcił się nad ich głowami i rozpląnął w powietrzu.

– Może.

– Zdradzasz własnego męża?

– A można zdradzać czyjegoś męża?

Marcel odniósł wrażenie, że świat na chwilę się zatrzymał. Wiatr ucichł, chmury znieruchomiały na nocnym niebie, a gałęzie ogrodowych drzewek zastygły w bezruchu.

Słyszał tylko dwa przyspieszone oddechy. Na opanowanej twarzy Rudnickiej dostrzegł zaciekawienie, jakby sondowała jego reakcję, notowała każde, nawet najmniejsze drgnienie powiek. Nic nie umknęło czujnemu oku komisarza.

– Posłuchaj – odezwała się. – Musimy tam pojechać, żeby...

– Nie – przerwał. – Tym razem to ty posłuchaj. Wplątałaś mnie w coś... Nawet nie wiem, jak to nazwać! Cholera, co ty sobie wyobrażasz? Mam siedzieć przy

stole i prowadzić niezobowiązujący small talk z facetem, któremu przeleciałem żonę?

– Twoja złość jest uzasadniona, ale...

– Och, dziękuję! Myślałem, że denerwuję się zupełnie bezpodstawnie!

– Faktycznie znaleźliśmy się w nietypowej sytuacji...

– Nietypowej? – przerwał. – Lena, do chuja! Zdradę nazywasz nietypową sytuacją?!

Rudnicka zmrużyła oczy. Marcel, wychowany w tradycyjnym domu, gdzie panowały jasne zasady i miłość, dająca poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji, miał silne poczucie moralności. Zdradę postrzegał jako czyn haniebnym i niedopuszczalnym. Ona prezentowała zgoła odmienne zdanie.

– Gównu wiesz – rzuciła. – Więc zamknij się, chłopcze, i nie galopuj z ocenami.

– To mnie oświeć.

– Nie będę się przed nikim tłumaczyć – odparowała. – A już na pewno nie przed tobą.

Oboje znaleźli się w kłopotliwej sytuacji, ale skąd mogła wiedzieć, że facet, z którym spędziła noc, okaże się jej nowym partnerem? To nie moja wina, pomyślała.

– Zataiłaś przede mną, że masz męża – podjął, wyjmując trzeciego papierosa. Od nadmiaru nikotyny kręciło mu się w głowie, ale musiał zająć czymś drżące dłonie. – Okej, rozumiem. Chciałaś się zabawić. Spoko. Tylko nasuwa mi się jedno pytanie...

– Umieram z ciekawości – wtrąciła znudzonym tonem.

– Często to robisz?

– Co?

– Często zdradzasz męża? Zachowujesz się, jakbyś nie widziała w tym nic niestosownego.

– A ty widzisz?

Zaśmiała się głośno.

– Ludzie czasem zdradzają – mruknęła. – I może pójde do piekła, ale nie mam zamiaru nikogo przeproszać.

– Masz to gdzieś, prawda? Nie obchodzi cię, że go ranisz. Wszystko masz gdzieś.

– Uważaj – warknęła. – Bo wchodzisz na nieznany sobie teren, a ostrzegam, że jest wyjątkowo grząski i bagnisty.

Ta rozmowa wydawała się pozbawiona sensu. Zawrócił do domu, zdjął z wieszaka kurtkę i zamówił taksówkę, przy okazji wyjął kolejnego papierosa.

Nie potrafiłyby wrócić do salonu Milewskich i spojrzeć w oczy prokuratorowi. Ta sytuacja najzwyczajniej w świecie go przerastała. Odpalił westa i skrzywił się przy tym lekko. Miał gardło wysuszone od papierosów i nabrał ochoty, by je czymś zwilżyć. Najlepiej ginem. Albo wódką. Czymkolwiek, co sprawiłoby, że pozbędzie się paskudnego poczucia winy.

Rudnicka przypatrywała się Marcelowi z rozbawieniem. Spodziewała się takiej reakcji. Wiedziała, że idąc do Milewskich, zrzuci na Wolskiego bombę, ale w końcu kiedyś i tak dowiedziałyby się o jej małżeństwie.

– Ile lat jesteście po ślubie? – spytał, kręcąc w dłoni zapalniczkę. Wzrok utkwił w przestrzeni ponad jej głową.

– Sześć.

Parsknął.

– Dlaczego nie nosisz obrączki? I dlaczego masz inne nazwisko?

Milczała chwilę.

– Może przyniesiemy butelkę i zagramy w „Prawda czy wyzwanie”? – zapytała z przekąsem.

– Wątpię – odparł. – W tej grze chodzi o to, żeby mówić prawdę, a z tym jest u ciebie wyjątkowo krucho.

– Nazwiska nie zmieniłam, bo tak mi wygodniej – powiedziała. – Nie chciałam, by każdy na komendzie paplał, że moim mężem jest prokurator. – Nabrała tchu, jakby wypowiedzenie tego zdania przychodziło jej z wielkim trudem, i dodała, uśmiechając się pod nosem: – A obrączki nie noszę, bo mnie uwiera.

Marcel uniósł brwi, doceniając w duchu tę zgrabną aluzję. Zasunął kurtkę, modląc się, by majaczące w oddali światła samochodu należały do taksówki. Czarny fiat jednak minął bramę domu Milewskich i zaparkował kilka posesji dalej.

– Nie masz wyrzutów sumienia? – spytał, przerywając ciszę.

Lena spojrzała na niego. Zastanawiał się, jak to robiła, że za każdym razem wprawiała go w zakłopotanie. Mimo że to ona powinna czuć się winna, kiedy na niego patrzyła, wzięłyby odpowiedzialność za każde jej przewinienie.

– A ty?

– Gdybym wiedział, że masz męża...

– Co wtedy? – przerwała. – Tobys mnie nie przeleciał? Akurat! Myślisz o tym nawet teraz.

– Słucham? – Zmarszczył czoło. – Chyba oszalałaś.

– A nie? – Wydeła usta, pewna swego.

Marcel chciał powiedzieć coś, co postawiłoby go w innym świetle, ale reflektor Leny Rudnickiej obnażał wszystkie jego myśli. Język ugrzązł mu w wysuszonym gardle.

– No właśnie – skwitowała.

Naszła ją chęć, by opowiedzieć Marcelowi wszystko, co ją dręczyło. Znali się krótko, ale miała przeczucie, że Marcel by ją zrozumiał. Może odsunąłby na bok zasady, jakie wpajał mu konserwatywny ojciec. Rozśmieszył ją ten nagły przypływ szczerości. To nie jego sprawa, pomyślała.

Na końcu ulicy błysnęły światła. Marcel odetchnął, gdy zobaczył migający na dachu emblemat firmy taksówkarskiej. Zrobił krok do przodu, ale Rudnicka zastąpiła mu drogę.

Zmierzyli się wzrokiem.

– Nic nie jest takie, jak ci się wydaje – powiedziała, a powaga w jej głosie wprawiła Wolskiego w zdumienie. Rozchylił usta, ale komisarz nie dała mu dojść do słowa. – Więc nie zgrywaj pierdolonego bohatera. Widzimy się za godzinę przed kasynem. I zawiń się do domu po glocka, bo ja pod tą kiecką nie ukryłabym nawet pistoletu na wodę.

Marcel zacisnął wargi, minął ją bez słowa i wsiadł do taksówki.

Lena obserwowała, jak mercedes znika za rogiem. Wówczas naszyły ją niepokojące myśli. Nie zalała jej lawina wyrzutów sumienia, ale poczuła lekkie uszczypnięcie, jakby niewidzialna ręka próbowała sprawić, by Lena ocknęła się z apatii. Spodziewała się, że zaraz pochwycą ją wielkie łapska życia i potrzásną mocno, przywołując wszystkie uczucia i emocje. Już dawno je wyłączyła, ale przestraszyła ją myśl, że wystarczy jeden dotyk, aby ożyły na nowo.

Wykluczone. Nie mogła do tego dopuścić.

Wróciła do środka i usiadła obok Krzysztofa, który natychmiast pogładził jej dłoń. Chciała ją strącić i wyjść, ale patrzyło na nich zbyt wiele par oczu. Uśmiechnęła się więc, wypila drinka i ukradkiem zamówiła taksówkę.

– Możesz mi nalać – odezwał się Krzysztof. – Zmieniłem zdanie i chętnie napiję się wina.

Marcel opuścił taksówkę tuż przy placu Wolności. Obszedł pomnik, zahaczył o Kaktusa. Chciał zaopatrzyć się w czystą wódkę i zaszyć z kieliszkiem w mieszkaniu, ale mnogość asortymentu w sklepie alkoholowym przeraziła go na tyle, że zadowolił się jedynie paczką lodowych westów i puszką coca-coli. Opuścił monopolowy i skierował się na Piotrkowską.

Szedł wolno, paląc jednego papierosa za drugim. Czytał numery na okalających pasaż kamienicach i obserwował przechodniów.

Trzy wrzeszczące dziewczyny mocowały się ze stacją rowerów miejskich, grupka studentów dyskutowała przed barem z kebabem, starsza pani wyszła z bramy, a wokół jej nóg plątały się dwa jamniki z okazałymi brzuchami. Ich krótkie łapki wykrzywiały się, nie mogąc utrzymać ciężaru ciała.

Marcel przysiadł na ławce. Pociągnął zawleczkę i opróżnił puszkę do połowy. Czuł się dziwnie rozdrażniony, a w jego duszy kłębił się lęk. Przerazały go własne myśli. Z każdą minutą coraz bardziej pragnął, by elegancki prokurator zszedł mu z drogi. Chciał, by stał się okruczem, który wystarczyłoby strzepnąć, by mieć spokój. Ale prawnik nie był okruczem. Przypominał wielki głaz, którego pozbycie się jest nie tylko niemożliwe, ale i nierealne.

Było mu wstyd, a przy tym był wściekły, głównie na siebie. Powinien mieć poczucie winy, ale nie odnajdywał w sobie żadnej. Właśnie to napawało go wstydem. Zdrada jawiła mu się jako najgorsze świństwo, jakie można zrobić drugiemu człowiekowi. Nie znał powodów, dla których zdradzała Lena, ale nic nie usprawiedliwiało jego zachowania.

Marcel stał się tym trzecim. Tym, który rozbija czyjś związek i niszczy szczęście. Nie chciał nikogo ranić, a szczególnie prokuratora Nawrockiego, który wydawał się porządnym człowiekiem. Kochał swoją żonę, co od razu było widać, gdy pojawiła się w salonie Milewskich. Zrobiłby dla niej wszystko.

Podniósł się z ławki i powlókł się Piotrkowską. W niektórych oknach paliły się światła, inne pozostały ciemne. Roześmiane głosy korzystających z wolności studentów rozbrzmiewały z każdej strony, ale Marcel ich nie słyszał.

Przyszło mu do głowy, że jego myśli są niedorzeczne. Rudnicka miała męża i była jego przełożoną. Jedna wspólna noc nic nie znaczyła. Oboje dobrze się

bawili, ale na tym powinni zakończyć bliższą relację. Dalsze rozważania nie miały sensu. Nie było się nad czym zastanawiać.

Wszedł do kawalerki i rzucił się na łóżko. Leżał kilka minut, wpatrując się w sufit. Dopiero wtedy dotarło do niego, co Rudnicka zamierzała dzisiaj zrobić.

Spojrzał na zegarek i poderwał się gwałtownie. Szybko obliczył, że nie da rady dotrzeć na czas pieszo, więc zamówił taksówkę, wsunął glocka za pasek, po czym wybiegł z mieszkania.

Droga do kasyna zajęła raptem pięć minut. O tej porze na ulicach panował mały ruch, a kierowca nie przejmował się zasadami kodeksu drogowego, co w każdym innym momencie głęboko by Marcela zmartwiło, jednak teraz liczył, że zdążą dojechać, zanim Rudnicka podejmie decyzję, by wejść do kasyna sama.

Wysiadł pod budynkiem i rozejrzał się dookoła.

– Spokojnie, poczekałabym – usłyszał i obrócił się za siebie. – Wiedziałam, że przyjdiesz. Twoja rycerskość wciąż mnie zaskakuje.

– Co chcesz zrobić? – spytał ostro. – Iść do kasyna? Po co? Jutro zdobędziemy nakaz.

– Nie lubię czekać. – Wzruszyła ramionami. – Poza tym liczę, że dowiem się czegoś drogą nieoficjalną. Zawsze warto spróbować.

– Co chcesz zrobić? – powtórzył.

– Ruszyć do przodu. Objąć ster i obrać właściwy kurs do...

– Lena, dość. Mów, o co chodzi.

Podparła się pod boki, przygryzając wargę.

– Przekabacę jakiegoś frajera, żeby opowiedział o Brzozowskim – odparła. – Najlepszy byłby kelner albo ochroniarz.

– A ja mam osłaniać ci tyłek?

– Byłoby miło.

Marcel mimowolnie otaksował ją wzrokiem. Rudnicka przystąpiła do ataku, nim zdążył odwrócić głowę.

– Wiem, że wolisz pełniejsze kształty – powiedziała, a w jej głosie rozbrzmiała zaczepna nuta. Podeszła do niego i wcisnęła mu pieniądze do kieszeni kurtki.

– Skąd to masz? – spytał zaskoczony, dotykając grubego pliku banknotów.

– Wyczarowałam.

– To twoja kasa?

– Nie, kurwa, Mikołaja Kopernika. Zagrasz w ruletkę albo pokera. Ja nigdy nie byłam mistrzynią w karty, ale to dobrze, bo zapewne uzależniłabym się od tego dreszczyku emocji.

– Mam grać twoimi pieniędzmi?

– Lepiej, żebyś wygrał, bo jeśli nie, będę w plecy dziesięć patoli.

– Wypłaciłaś dziesięć tysięcy?

– No chyba powiedziałam – odparła, krążąc po chodniku. Na chwilę przystanęła i spojrzała na Marcela. – Nie chcę, żebyś czuł presję.

Po ciele Marcela przetoczyły się gorące iskierki. Liczył, że komisarz mówi o grze w kasynie.

– Czego właściwie chcesz się dowiedzieć? – zapytał.

– Czegokolwiek. Kręcimy się w kółko jak po rondzie Inwalidów. Postanowiłam skręcić w zjazd o nazwie Dariusz Brzozowski i udać się do tego przybytku hazardu.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła do wejścia.

Marcel powątpiewał w słuszność tego pomysłu, ale komisarz już podjęła decyzję, a próba odwiedzenia jej od tego czynu spotkałaby się z odmową. W gruncie rzeczy wcale go nie potrzebowała, więc doceniał fakt, że poinformowała go o swoich zamiarach.

Klimat tego miejsca poczuli już w progu. Czerwone ściany, ciepłe światło, wszechobecna zieleń i zapach – świeży, mający wprawić gości w przyjemny nastrój. Z każdym krokiem coraz głośniejsze stawały się odgłosy automatów do gier, żetonów uderzających o stoły i okrzyków uradowanych graczy, do których los się uśmiechnął. Z głośników sączył się melancholijny głos Franka Sinatry, a w oczy uderzały migające, kolorowe światła. Kobiety w kusych strojach z perfekcyjnie ułożonymi włosami przechadzały się po sali, serwując drinki z wielkiej zielonej tacy.

Marcel wymienił pieniądze na żetony, a Rudnicka gestem przywołała barmana. Na ladzie stanęła kolejka szotów.

– Planujesz się upić? – spytał Wolski.

Kiedy w kieszeni ciąży równowartość dziesięciu tysięcy złotych, wlewanie w siebie alkoholu wydaje się decyzją zdecydowanie lekkomyślną.

– Jeśli spędzę tu trzeźwa choć pięć minut, uwierz, że pierwszą rzeczą, jaką zrobisz po opuszczeniu tej świątyni rozpusty, będzie odwiezienie mnie na leczenie do Kochanówka.

– I bez tego znalazłoby się kilka powodów, by podrzucić cię do psychiatrika.

– Fakt. – Dźgnęła go w bok. – Pij. – Przesunęła tackę z pięćdziesiątkami i błyskawicznym ruchem przechyliła dwa kieliszki. Wzdrygnęła się, gdy alkohol dotarł do kubków smakowych.

– Powiniennem zachować trzeźwość – zaoponował.

– Nie pierdol i zabieraj się za te maluchy.

Wolski z wahaniem zerknął na kieliszki. Nie zdążył opróżnić pierwszego, gdy barman postawił przed nimi dwa drinki, udekorowane skórką z limonki.

Komisarz upiła łyk, przetaczając wzrokiem po sali, jakby wypatrywała znajomego, z którym się umówiła.

– Co robisz?

– Szukam celu – wyjaśniła. – Czuję się jak na polowaniu.

– To uważaj, bo wprowadzają ustawę przeciwko myśliwym.

– Serio? – Uniosła brwi.

– Nie oglądasz wiadomości?

Wróciła pamięcią do dzisiejszego ranka. Krzysztof był dziwnie markotny, więc pominęli codzienny rytuał zdawania relacji z wydarzeń na świecie. Wypili szybką kawę i rozjechali się do pracy.

– W ostatnich, jakie widziałam, Polska weszła do Unii Europejskiej.

– To było w dwa tysiące czwartym roku.

– No – bąknęła. – Pewnie tak. – Napiła się ginu i uśmiechnęła się nieznacznie. – Nie podniecaj się tak, Marcel. To wszystko jest zorganizowane tak, żebyś czuł się wyjątkowo.

– Co masz na myśli?

– To wszystko – odparła, rozkładając ręce. – Muzyka, laski w mini, kolory. Wiesz, dlaczego wszystko tu jest zielone? Po pierwsze: zieleń kojarzy się z pieniędzmi, po drugie: jest kolorem nadziei, w tym wypadku na wygraną; a po trzecie: działa uspokajająco. Przegrałeś właśnie sto patoli? Luzik, popatrz na zielone ściany, a od razu staniesz się kwiatem lotosu na spokojnej tafli jeziora. – Wzięła wdech i zerknęła na Wolskiego. – I nie patrz na ich zegarki. Są poprzesztawiane, żebyś stracił poczucie czasu. Z tego samego powodu nie uświadczysz tu okien. Psychologia manipulacji. – Zawiesiła wzrok i błyskawicznie zeskoczyła z barowego stołka. – Mam cel. – Klepnęła Wolskiego w ramię. – Idź się pobawić, a może ugrasz nam trochę sałaty. Tylko uważaj, nie daj wciągnąć się w hazard.

Zabrała drinka ze sobą i oddaliła się w kierunku młodego kelnera. Twarz dwudziestoparoletniego chłopaka pokryła się rumieńcami.

Dwie godziny minęły tak szybko, że Wolskiemu zdawało się, iż dopiero usiadł przy ruletce. Zabiegi architektów wewnątrz zadziały modelowo, a Marcel zupełnie stracił poczucie czasu.

Ściągnął z blatu żetony i upchnął je do kieszeni. Szybko je wymienił i torując sobie drogę, przeszedł przez salę. Rudnicka stała tyłem, pochłonięta rozmową

z roslym ochroniarzem. Ozywiony mężczyzna gwałtownie gestykulował i nie zauważył, że Marcel stanął tuż obok.

Wolski pociągnął Lenę za ramię. Obróciła się zaskoczona, a jej oczy błysnęły od nadmiaru alkoholu.

– Spadamy – powiedział.

W tym momencie ochroniarz zasłonił ją swoim potężnym ciałem.

– Jakiś problem? – spytał tubalnym głosem.

– Żaden. – Wolski skinął ręką na Lenę, ale zanim zdążyła zareagować, ochroniarz zrobił kolejny krok naprzód.

– Dama nie ma ochoty wychodzić.

– Okej – zaoponowała, ale goryl zdawał się nie słyszeć. Wpatrywał się w Wolskiego gotowy do ataku.

Lena przeczuwała nadchodzący problem. Szanse Marcela w starciu z wielkim cielskim ochroniarza były marne. Porównanie obwodów w bicepsie też nie stawiało sierżanta w korzystnym świetle.

Podeszła do Wolskiego i popchnęła go w kierunku wyjścia, posyłając gorylowi przepraszający uśmiech.

Gdy wyszli przed kasyno, Marcel sięgnął po papierosy, odpalił jednego i zaciągnął się głęboko. Zbyt głęboko, bo przed następną porcją nikotyny musiał porządnie odkaszląć.

– Świetnie się bawiłaś – stwierdził pod nosem.

Mruknęła coś niezrozumiale i wyjęła komórkę. Odeszła kawałek i przyłożyła ją do ucha, wydała kilka szybkich instrukcji, po czym stanęła naprzeciwko Marcela. Ujęła jego nadgarstek, unosząc dłoń i wyjęła z niej paczkę westów.

– Przyniosłam dobre nowiny – odezwała się, odpalając papierosa. – I jedną złą. Zacznę od tej drugiej: rzuciłam palenie parę lat temu, a teraz stoję z papierosem w ręce. – Wypuściła dym. – Wiesz, co to znaczy?

– Co?

– Że znowu polubiłam się z nikotyną. – Zaciągnęła się. – Wracając do rewelacji, które wyciągnęłam od tych biednych samców: Klemens i Brzozowski bywali w kasynie. Pokazałam fotkę dziewczyny i okazało się, że pracowała w klubie. Nazywa się Michalina, ale nazwiska nikt nie zdradził. Cholerny ochroniarz nie puścił pary z ust.

– Była krupierką?

– Nie. Jej zajęcie polegało na kręceniu tyłkiem, przechadzaniu się po sali i rozdawaniu drinków. Odeszła parę miesięcy temu, nie podała powodu. To właśnie tutaj poznała się z Brzozowskim i Klemensem.

– Klemens był hazardzistą?

– Ochroniarz powiedział, że Chmielny robił jako przyzwoitka dla Brzozowskiego. Przychodził, napił się, czasem zagrał na maszynie. To Brzozowski przegrywał całą kasę, ale nic nie wskazuje na to, żeby Klemens był uzależniony. – Wzięła oddech. – I uwaga, najważniejsze: wczoraj Brzozowski przegrał prawie sto patoli.

Marcel zaciągnął się, kiwając głową. Konkluzja nasuwała się sama.

– Kasa Klemensa?

– Masz inne wyjaśnienie? Facet jest spłukany, aż nagle zjawia się z torbą pełną kapusty.

– Do kogo teraz dzwoniłaś?

– Kazałam zwinąć Brzozowskiego. Najchętniej dzisiaj pojechałabym go przesłuchać, ale to kiepski pomysł, zważywszy na ilość alkoholu, jaką w siebie wlałam.

Faktycznie, pomyślał Marcel. Lena w jego oczach wyglądała na trzeźwą, ale zapomniał o tym, że on sam był lekko wstawiony, a to nieco zaburzało ocenę sytuacji.

– Poczekaj – powiedział. – Sądzymy, że Brzozowski zabił przyjaciela dla pieniędzy?

Lena przygryzła wargę, namyślając się nad odpowiedzią.

– Każdemu z podejrzanych można przypisać motyw – ciągnął. – Bracka dowiedziała się o kochance i dziecku; pokojówka miała pretensje do Klemensa o to, że nie planuje rozwodu z żoną; księgowy z Let-Budu mógł zabić w odwecie, a łatwa gotówka dla Brzozowskiego była wystarczającą pokusą...

– Skupmy się na Brzozowskim – powiedziała i pociągnęła Marcela za rękaw w stronę przejścia dla pieszych. – Klemens spędził u niego dwa dni. W środę wieczorem wyszedł z pieniędzmi, ale wciąż nie wiemy, z kim spotkał się w parku.

– Może Michalina i Brzozowski spiknęli się w kasynie, połączyli siły i postanowili sprzątnąć Klemensa.

Założenie Marcela zdawało się prawdopodobne. Gdyby tylko wiedzieli, gdzie mieszka rzeczona Michalina, Rudnicka wsiadłaby do taksówki i w środku nocy wydusiła z niej zeznania.

Ustalenie adresu dziewczyny byłoby błahostką, gdyby znali jej nazwisko. Rudnicka próbowała je zdobyć na wszelkie możliwe sposoby, ale wszyscy jakby zmówili się, by dochować tajemnicy.

– Liz sprawdzi odciski Brzozowskiego – powiedziała. – Jeśli się potwierdzą, mamy sprawcę.

– A jeśli nie?

– Węszymy dalej.

– Coś tu śmierzdzi – stwierdził. – Michalina jest łącznikiem pomiędzy Klemensem a Brzozowskim. Według mnie kręciła z oboma, a później postanowiła, że razem z drugim kochankiem pozbędą się Klemensa, zabiorą pieniądze i odjadą w siną dal.

– To dlaczego nie odjechali?

Marcel sposepniał. Dobre pytanie, pomyślał.

– Sto kafli to sporo – odezwała się komisarz. – Wystarczyłoby na nowy start. Dlaczego nie wyjechali?

– Może coś się posypało w ich idealnym planie?

– No. Może. Ale co?

– Brzozowski zakosił pieniądze dla siebie i dziewczyna została z niczym.

– Jakby ktoś mnie tak zrobił w jajo, próbowałabym się odegrać.

– Nie chcę wiedzieć, w jaki sposób.

Rudnicka wyjęła kolejnego westa i podała paczkę Wolskiemu. Przystanęła, by zapalić, zaciągnęła się mocno, jakby wtłoczony do płuc dym miał pomóc w rozwiązaniu zagadki.

Najpewniej by nie poszła na policję, pomyślała. Naraziłaby się na podejrzenia, poza tym musiałaby się przyznać do planowanego morderstwa. Mogłaby zabić Brzozowskiego i odzyskać pieniądze, ale przyjaciel ofiary wciąż oddychał, więc to błędny trop.

– Idziemy w złym kierunku – stwierdziła.

Marcel rzucił okiem na budynki dookoła. Stali na rozwidleniu Piotrkowskiej i Mickiewicza. Zdawało się, że całe miasto pograżyło się w głębokim śnie, ale to wrażenie minie, gdy wejdą na tętniącym życiem deptak.

– Użyłam przenośni, sierzancie – powiedziała, przewracając oczami.

– Ach. No tak. – Wolski najchętniej klapnąłby się otwartą dłonią w czoło.

– Może założenie, że Klemens spotkał się z Michaliną, jest nietrafione? – spytał w zamian.

– Okej, zostawmy tę panią. Z kim jeszcze mógł umówić się Chmielny?

– Może po prostu tamtędy przechodził?

– Rozumiem, że ty też czasem wyprowadzasz na spacer swoje sto patoli?

– Najpierw chciałbym je mieć.

– To zgłoś się do „Milionerów”, bo ze swojej pensji nie ugrasz zbyt wiele.

Marcel podrapał się w skroń.

– Wykluczylibym Bracką, bo z żoną mógł się umówić w domu – stwierdziła.

– Wyprowadził się, więc może postanowił spotkać się z nią na mieście?

– Świetnie! – zawołała. – To mógł ją zabrać do jakiejś knajpy, a nie tułać się po parkach.

To był mało przekonujący argument, ale Wolski uznał go za słuszny. Małżonkowie równie dobrze mogli załatwić sprawę w hotelu. Spotkanie w parku wydawało się pozbawione logiki.

– Dlaczego uczepliłeś się Brackiej? – zapytała z wyrzutem. – Śmierć Klemensa przyniosła jej same problemy. Nie dość, że musi znaleźć nowego księgowego, to jeszcze została sama z długami.

Przypominanie o dwóch kochankach męża było zbędne. Choć Rudnicka ewidentnie wołała porzucić trop żony denata, Marcel uznał, że powinni się go trzymać.

– Bracka nie jest wariatką – ciągnęła Lena. – Może bywa kłótniwa, jak twierdzą świadkowie, ale nie sądzę, aby posunęła się do morderstwa. Nie miałyby z tego żadnego pożytku.

O ile można mieć jakikolwiek pożytek z zamordowania człowieka, dodał w myślach Wolski.

– Do tej układanki nijak nie pasuje pokojówka.

– To znaczy?

– Chmielny to jej wielka miłość – odparła komisarz. – Okej, rozumiem, ale Kalina wciąż pracowała w hotelu i oglądała ukochanego u boku żony.

– Może po śmierci Klemensa trochę idealizuje swoje uczucie?

– Nie sądzę. Brzmiała bardzo przekonująco.

Smutek Kaliny był szczery. Rudnicka nie miała co do tego wątpliwości. Gdyby ich stosunki opierały się tylko na relacji łóżkowej, pojawiłyby się smutek i żal związany ze śmiercią, ale za łzami Kaliny krył się prawdziwy ból.

– Wejdźmy w rolę pokojówki – powiedziała. – Kocham Klemensa i spodziewam się jego dziecka, a jego żona gnoi mnie na każdym kroku. Ja na jej miejscu postawiłabym warunek.

– Żona czy kochanka?

– Coś w tym stylu.

– Może postawiła? – zaproponował.

– I Klemens wybrał żonę, a pokojówka potraktowała go nożem?

– Ludzie zabijali już z bardziej błahych powodów.

Lena pokiwała głową. Przez chwilę szli w milczeniu. Zdali sobie sprawę, że po wyjściu z kasyna kierują się w stronę kawalerki na 6 Sierpnia. Mieszkanie Leny

znajdowało się po drugiej stronie alei Piłsudskiego, więc nie było sensu, by szła w tę stronę.

– Jeżeli szukasz motywu na tle zdrady, to bardziej logiczne byłoby zabicie przez Bracką Kaliny albo Michaliny – zauważyła Lena, a dwie przechodzące obok dziewczyny odwróciły się za nią gwałtownie. – Ale obie żyją, a Chmielny leży w chłodziarce.

Dziewczyny przeszły na drugą stronę ulicy, zerkając podejrzliwie na Lenę.

– Na kiedy Liz sprawdzi odciski? – spytał Wolski.

– Na już.

– Czyli rano powinniśmy coś wiedzieć?

– Mam nadzieję – odparła komisarz i przystanęła w półkroku, by przywołać przejeżdżającą taksówkę. Kierowca skinął głową na znak, że jest wolny, i zatrzymał się nieopodal.

– Mam coś dla ciebie – powiedział Marcel i wyjął z kieszeni plik pieniędzy. Lena zmarszczyła brwi. – Osiemnaście tysięcy.

Podał jej zwitek banknotów i uśmiechnął się dumnie.

– Wygrałeś? – zapytała zdumiona i zmrużyła oczy, jakby zwietrzyła podstęp. – Jednak będą z ciebie ludzie – dodała. – Przyznaj się, czasem lubisz sobie pograć, co? W twoim przypadku szczęście nowicjusza jakoś do mnie nie przemawia.

Wzięła pieniądze i odliczyła odpowiednią sumę. Wcisnęła gotówkę do ręki Marcela i ruszyła do taksówki.

– Ósemka dla ciebie – rzuciła.

– Przestań, przecież...

Odwróciła się do niego z zawadiackim uśmiechem na twarzy.

– Ja dałam tylko dychę – powiedziała. – A w nagrodę za łatwy zarobek po skończonej sprawie oczekuję zaproszenia na wysokocukrowy deser.

19

Spojrzała na synka. Spał spokojnie. Okrągły brzusek podnosił się w miarowym oddechu. Malec zacisnął dłonie w pięstki, ściskając kciuki. Wyglądał tak uroczo i niewinnie, że nabrała ochoty, by wziąć go w ramiona i tulić do piersi całą noc. Stłumiła napływ matczynych uczuć. Dziś po raz pierwszy synek przesypia noc bez rozdzierającego krzyku i płaczu.

Zaparzyła zieloną herbatę i wyszła na ganek. Bury kocur poszedł za nią, płacząc się między nogami. Przysiadła na schodku i odetchnęła głęboko. Wokół panowała ciemność. Światło ulicznych latarni nie docierało do jej domku na skraju lasu. Może to i dobrze, pomyślała. Są zupełnie sami, a jedynym towarzystwem jest szumiący las. Napiła się herbaty i grzała dłonie, trzymając kubek oburącz. Przez uchylone drzwi usłyszała, że dziecko poruszyło się w łóżeczku. Z każdą minutą ściany domku wypełniało coraz głośniejsze stękanie. To byłoby na tyle z utęsknionej ciszy.

Wstała i udała się do mieszkania, zostawiając uchylone drzwi dla kocura. Zwierzak zaraz powinien wrócić. Nie lubił zimna i noce spędzał wyciągnięty na drewnianej skrzyni obok pieca.

Zajrzała do synka, ale wyglądało na to, że maluch przebudził się tylko na chwilę. Oczy miał zamknięte i uśmiechał się przez sen.

Drzwi zaskrzypiały.

Odwróciła się, by odstawić kubek z herbatą, i spostrzegła, że kot już zajął miejsce na skrzyni. Pewnie wrócił zaraz za nią.

Zrobiła krok w kierunku wąskiego korytarzyka i zamarła. Bose stopy owiało chłodne, nocne powietrze. Chciała krzyknąć, ale ze ściśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Serce stanęło, czekając na wyrok. Potem przyspieszyło, ale uderzyło raptem kilka razy.

Ostrze przebiło skórę i dotarło do najważniejszego organu. Było zimne jak świszczący na zewnątrz wiatr. Zaczerpnęła tchu, by ostatni raz wciągnąć do płuc zapach wiosennego powietrza. Pachniało kwitnącymi jabłoniami i igliwiem. Rozpoznała woń wilgotnego mchu i kory.

Chłopczyka obudził hałas upadającego ciała. Poczzerwieniał na twarzy, wybuchnął płaczem i wyciągnął rączki, nieświadomy, że matka już nigdy nie

weźmie go w ramiona.

Jej zamglone martwe oczy patrzyły na płaczącego wniebogłosy synka.

Lena weszła do mieszkania. Zachwiała się lekko, zdejmując buty. Zakłęła pod nosem i rzuciła szpilki w kąt. Nic dziwnego, że buty na obcasie są wymysłem mężczyzny. Która kobieta zaprojektowałaby coś, w czym chodzenie dłużej niż kilka godzin groziło amputacją stóp? Najchętniej wyrzuciłaby szpilki na śmietnik i wyłożyła szafę butami na płaskiej podeszwie.

Przeszła do kuchni, nalała do szklanki gazowanej wody i opróżniła ją jednym haustem. Wytarła spierzchnięte usta, położyła dłonie na kuchennej wyspie, spoglądając w stronę salonu. Serce załomotało jej szybciej.

Krzysztof wyglądał jak król siedzący na swym tronie w oczekiwaniu na niesubordynowanego poddanego. Czerwony materiał fikuśnego fotela gustownie komponował się z białą koszulą i wiśniowym krawatem. Patrzył na nią surowym wzrokiem. Założył nogę na nogę, a w dłoniach obracał kieliszek z winem. Pod maską uprzejmego uśmiechu skrywał się gniew. Dolał alkoholu i postawił butelkę obok dwóch pustych.

Przełknęła gęstą ślinę.

– Gdzie byłaś? – spytał.

– W pracy.

Zaśmiał się gorzko.

– Byłaś w pracy do drugiej w nocy? W takim stroju?

– Co jest nie tak w tym stroju? – zapytała, unosząc dłonie.

– Jest seksowny.

– To chyba dobrze.

– Nie dla ciebie.

Chętnie podeszłaby do zimnej, marmurowej ściany w salonie i porządnie łupnęła głową. Może wtedy umysł wskoczyłby na właściwe tory.

Powinna spędzić tę noc tam, gdzie wszystkie inne noce, kiedy Krzysztof raczy się ulubionym winem. W hotelu. Kompletnie zapomniała, że mąż sięgnął po kieliszek u Milewskich i teraz przyjdzie jej zapłacić za własną głupotę.

– Więc zapytam raz jeszcze – powiedział tonem prokuratora, oskarżycielskim i zimnym jak śnieg na Syberii. – Gdzie byłaś?

– W pracy.

Wstał i wolnym krokiem przeszedł po salonie. Okrążył Lenę dookoła i wsparł się plecami o kuchenny blat, pocierając palcem cienkie szkło kieliszka na nóżce.

– Śmierdzisz – zauważył, a po jego twarzy przemknął cień.

Odwróciła się do niego. Chciałaby mieć to za sobą, ale to był dopiero wstęp do przedstawienia, jakie miało się rozegrać we wnętrzu nowoczesnego loftu. Krzysztof grał w sztuce główną rolę, ona zaś stanowiła jedynie rekwizyt.

– Śmierdzisz papierosami, a przecież ty nie palisz.

– Wydaje ci się.

– Kłamiesz. Jak zwykle.

Spojrzał na nią karcącym wzrokiem zawiedzionego rodzica.

– Kupiłem dla ciebie prezent – powiedział, wyjmując z kieszeni małe pudełeczko. Przesunął je po blacie w stronę Leny.

Uchyliła wieczko i wyjęła cienki łańcuszek.

– Przykro mi, że wręczam ci go w takich okolicznościach.

Milczała, a gula w jej gardle rosła z każdą sekundą.

– Podoba ci się?

Wcale się jej nie podobał. Przypuszczała, że kosztował majątek, ale mimo to najchętniej wyrzuciłaby łańcuszek do najbliższego kosza na śmieci.

– Tak – odparła.

– Nie kłam – syknął. – Ciągłe kłamiesz.

Zacisnęła usta. Wyjęła mu z rąk kieliszek i upiła łyk. Kwaśne wino, dwieście złotych za butelkę, smakowało jak podrzędny sikacz za piąta. Skrzywiła się.

– Nie masz w sobie krzty wysublimowania – ocenił, lustrując żonę krytycznym wzrokiem. – Dla kogo się tak ubrałaś?

Nie odpowiedziała. Odstawiła kieliszek na szafkę.

– Przecież nie dla mnie – dodał z ciężkim westchnieniem. – Dla niego?

– Dla kogo?

– To ty mi powiedz – warknął. – Sypiasz z nim?

– O czym ty mówisz?

– Widzę, jak na niego patrzysz.

– Jak?

– Inaczej.

– O czym ty mówisz, Krzysiek? – powtórzyła, odsuwając się na bok.

Wiedziała, co zaraz nastąpi, ale prowadziła z nim tę idiotyczną rozmowę. Pomyślała, że to zabawne i przerażające jednocześnie, jakby stała na skraju urwiska i czekała, aż mąż zepchnie ją w przepaść.

– Mnie możesz powiedzieć – odparł. – Puszczasz się z nim?

– Nie.

– Kłamiesz. – Zaśmiał się ponuro. – Widziałem, jak oczy ci błyszczą na jego widok.

Z pewnym zaciekawieniem słuchała jego słów. Zazwyczaj prolog był nieco krótszy, ale dzisiaj Krzysztof zdawał się być w wyjątkowo elokwentnym nastroju. Dostrzegła jednak w jego oczach niepokojący błysk zazdrości. Nigdy wcześniej go nie widziała.

– Myślałem, że mam omamy, ale dzisiaj się przekonałem – powiedział.

– Masz omamy, Krzysztof.

– Pobiegåł za nim jak nastolatka. Chociaż – upił łyk – sierżant to przecież młokos. Kręcą cię dzieciaki, Lena? Zawsze sądziłem, że gustujesz w dojrzałych mężczyznach, ale żeby dawać dupy takiemu smarkaczowi?

Odpowiedź była zbędna. Poza tym mąż wcale jej nie wymagał. Mogłaby powiedzieć cokolwiek na swoją obronę, ale żadne słowa nie przekonałyby go do zmiany zdania.

– Jesteś taka głupia, Lena. – Uśmiechnął się dobrotliwie, przeciągając dłonią po włosach. – Nie potrafisz docenić tego, co masz. A masz wszystko. – Rozłożył ręce. – Widzisz? Dałem ci wszystko. Jestem w stanie spełnić każde twoje życzenie.

Mógł ją obrazać do woli. Wysłuchiwała już setek obelg, a kolejna wiązka nie robiła różnicy. Żadne wyzwisko nie było w stanie jej zranić. Obudowała się solidnym pancerzem, który odbijał wszystkie pociski.

– Mam jedno życzenie – powiedziała. – Żebyś skończył to pierdolenie.

Pokiwał głową. Odstawił kieliszek i stanął naprzeciwko. Otwartą dłonią wymierzył jej policzek. Ciepło rozlało się po skórze, ale nie spuściła wzroku.

– Powinnaś docenić, że toleruję twój paskudny charakter – stwierdził, sięgając po wino. Napił się, zostawił trochę na dnie. – I twoje zachowanie. Staram się, jak mogę, ale tobie wciąż coś nie pasuje. Dlaczego, Lena? Dlaczego?

– Sam na to przystałeś – odparła spokojnie.

– Racja. – Rozprostował kark. – Ale myślisz, że to łatwe? Jesteś taka ładna.

– To nie moja wina, że...

Kolejny policzek. Znacznie mocniejszy, ale nie na tyle, by zostawił ślad w postaci siniaka. Krzysztof nigdy nie zostawiał po sobie śladów, przynajmniej nie na twarzy. Prawdopodobnie przestudiował książkę dla bijących mężów i zapamiętał wszystkie triki, żeby nikt z zewnątrz nie przejrzał, co dzieje się w murach loftu Scheiblera.

Ale zapomniał o jednym. Obrączka zderzyła się z twardą kością łuku brwiowego, a strużka krwi spłynęła wzdłuż linii włosów. To nic, pomyślała. Jutro zostanie tylko małe zadrapanie.

– Jeszcze raz o tym wspomnisz – syknął, zaglądając jej w oczy. Spodziewał się, że zobaczy w nich strach, ale dojrzał jedynie pustkę, co rozdrażniło go jeszcze bardziej. – Może dzisiaj spróbujemy?

– Nie – odparła szybko.

– Podniecasz mnie w tej sukience.

Odwróciła głowę.

– Jesteś dobra w te klocki – dodał. – Jeszcze nie zapomniałem.

– Nie.

– A może jednak?

Przejechał palcem wzdłuż jej kręgosłupa. Wzdrygnęła się, jakby dotykał jej rozżarzonymi węglami.

– Zostaw – powiedziała i odepchnęła jego rękę.

– Jesteś strasznie spięta. – Objął Lenę w pasie. – Boisz się?

Nie bała się. Czowała obrzydzenie.

Od dwóch lat była to pierwsza próba zbliżenia się do żony. Od dnia, kiedy szanowany łódzki prokurator uderzył po raz pierwszy. Krzysztof zaliczył porządny start. Zresztą nie spodziewała się po nim niczego innego. Nigdy nie robił nic na pół gwizdka. Nawet jeśli chodziło o bicie własnej żony. Lena nie była w stanie ruszać się przez cały następny dzień, nie tylko ze względu na obolałe ciało. Psychika ucierpiała znacznie mocniej. Może gdyby chodziło tylko o przemoc, zdążyłaby zapomnieć.

– Zostaw mnie, słyszysz?

Wyrwała się z uścisku, stanęła po drugiej stronie kuchni i oparła się plecami o szafkę.

– Masz swoje potrzeby – powiedział. – Potrafię je zaspokoić.

– Nie.

– Może spróbujemy?

– Nie.

– Nie wierzysz we mnie?

Krzysztof był spostrzegawczy i wiedział, jakie słowo cisnęło się jej na usta.

Uderzenie w brzuch. Pięść w okolicach żołądka. Lena zgięła się w pół.

Informacja do mózgu dotrze za kilka sekund, więc wykorzystwała ten czas, by się wyprostować. Jej śmiałość nie spodobała się Krzysztofowi, który wymierzył kolejny cios. W to samo miejsce. Odkasznęła, próbując unieść głowę.

Zawsze grali w tę grę. Ona udawała twardą. On zaś mierzył się z dziwnym wahaniem, jakby starał się powściągnąć emocje i uniknąć najgorszego, ale nigdy mu się nie udawało. Jakby pięści zostały odłączone od umysłu i działały autonomicznie.

Trzeci cios nadszedł błyskawicznie. Nabrała powietrza, czując ucisk w klatce piersiowej. Ból rozlewał się powoli, docierał do każdego zakamarka ciała. Płuca wypełnił ogień.

Ale odnajdywała w tym wszystkim powód do radości. Dzisiejsze uderzenia nie były aż tak mocne, jak się spodziewała. Ilość wypitego wina prawdopodobnie nieco osłabiła potencjał prawnika. Albo mąż dopiero się rozkręcał i stopniowo dawkował tę wątpliwą przyjemność?

– Widzisz? – spytał. – To twoja wina. Naprawdę cię kocham, Lena, ale to twoja wina. Nie umiem do ciebie dotrzeć.

Sięgnął po kieliszek i opróżnił go jednym haustem.

Spojrzała na niego, ocierając strużkę krwi sączącą się z łuku brwiowego. Obity brzuch to drobnostka. Miała tylko nadzieję, że na twarzy nie pozostanie żaden ślad.

Zaskoczyła ją nieostrożność męża. Zazwyczaj wykazywał się niewzruszonym spokojem, jakby każdy cios miał dokładnie przemyślany. Czasem zdawało się jej, że przed każdym biciem Krzysztof studiował mapę jej ciała, analizując, w które miejsce uderzyć.

Nie był typem, który wpada w alkoholowy szal i rozbija wszystko, co wpadnie mu w ręce. Krzysztof był eleganckim mężczyzną i nawet żonę bił z klasą. Ten spokój i opanowanie były najbardziej zatrważające.

– Sama mnie do tego zmuszasz – ciągnął. – Byłoby inaczej, gdybyś choć trochę się postarała.

– Powinieneś pójść do lekarza – wychrypiała.

Odpowiedział szyderczym śmiechem.

– To ty potrzebujesz lekarza – odparł i postukał się w skroń. – Tego od głowy.

Przesunęła się w stronę korytarza. Mogłaby uciec do bezpiecznej sypialni albo łazienki. Zamknąć od wewnątrz i przeczekać, ale po co? Nie zasnęłaby do rana, słuchając licznych epitetów i walenia do drzwi. Wolała odrobić swoje i przespać się parę godzin. Uzmysłowała sobie, że jej strategia jest kompletnie pozbawiona sensu. Dobrowolnie godziła się na przemoc, choć marzyła o zagrzebaniu się w pościeli i zapadnięciu w głęboki sen.

– Wyglądasz jakoś inaczej – powiedział.

– Jak?

– Dawno tak nie wyglądałaś.
– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
– Podoba ci się ten dzieciak, prawda? Widziałem was w twoim gabinecie, a potem u Milewskich. Nie oszukasz mnie.

Czuła, jak ból wypełnia całe ciało. Nie miała siły mówić.

– Ale to nie ma znaczenia – ciągnął Krzysztof. – Nie odejdziesz ode mnie. Teraz jestem tego pewien.

Zmrużyła oczy.

– Nawet o tym nie myśl, Lena. Mam swoje kontakty. Ojciec na stanowisku komendanta to przy tym pikuś.

– Nie odważysz się...

– Czyli jednak! – huknął, uderzając pięścią w blat.

Lena zakłęta w duchu. Krzysztof w jednej kwestii miał absolutną rację. Była naprawdę głupia, że tak łatwo dała się sprowokować.

Uniosła wzrok, by na niego spojrzeć, ale nie zdążyła. Przyjęła kolejny cios, potem następny i kolejny. Przestała liczyć przy piątym.

Odbijała się od szafek jak piłka. Z blatu spadły talerze, kuchnię wypełnił rumor tłuczonego szkła, a gdy gruchnęła plecami o zimną powierzchnię lodówki, na podłogę posypały się kolorowe magnesy przywiezione z dalekich podróży.

Dojrzała obrazek z wieżą Eiffla, kiedy Krzysztof nagle obrócił ją do tyłu.

– Jak twój bark, kochanie? Boli jeszcze? – syknął i wygiął jej ramię.

Alkohol uśmierzył dzisiejszy ból i obyło się bez tabletki oksykodonu, ale teraz przez bark przewędrował koszmarny ucisk. Poprzednie uczucie szpilek wbijanych w ciało było delikatnym łaskotaniem przy tym, czego doświadczała w tym momencie. Zacisnęła powieki. Wytrzyma. Jak zawsze. Nie uroni ani jednej łzy. Nie da Krzysztofowi satysfakcji.

Odepchnął ją od siebie jak szmacianą lalkę. Zatrzymała się na kuchennej wyspie.

Oddychał ciężko, jakby przebiegł maraton. Otarł z czoła kroplę potu. Nierówna walka nadszarpnęła jego siły.

To koniec, pomyślała z ulgą. Zaledwie pół godziny i może iść spać. Przesunęła się wzdłuż szafki i zgarnęła z blatu półlitrową butelkę wody. Przyda się na rano, kiedy zaaplikuje sobie dawkę opioidów, niezbędnych do normalnego funkcjonowania.

Weszła do łazienki, ściągnęła ubranie i oceniła swój stan. Nie było tak źle, jak początkowo zakładała.

Skóra na poobijanych żebrach poczerwieniała. Rano przybierze ciemnoniebieski odcień, aby w ciągu paru dni zmienić się w ciemnozielone plamy. Odnalazła również zasinienia w okolicy brzucha, ale one były najmniejszym problemem. Żebra będą dawały o sobie znać przez najbliższy tydzień, ale to i tak krótko, wzięwszy pod uwagę ból, jaki czuła, gdy poruszała ramieniem.

Jęknęła. Pieczenie, ścisk, kłucie – wszystkie odcienie bólu zwinęły się w jedną kulę i przetaczały się przez bark. Najchętniej łyknęłaby garść środków przeciwbólowych, ale po kilku drinkach nie mogła.

Spojrzała w lustro i przemyśla łuk brwiowy. Krew zastygła, więc namoczyła chusteczkę, przetarła zranienie i cicho odetchnęła. Mała kreska, zwykłe draśnięcie. Nie zwróci niczyjej uwagi.

Chłodny prysznic przyniósł chwilowe ukojenie obolałemu ciału. Przeszła do swojej sypialni, która niegdyś służyła Krzysztofowi za gabinet. Przemebłowali mieszkanie dwa lata temu, gdy dzielenie jednego łóżka z mężem okazało się dla niej niemożliwe. Postawiła warunek, na który Krzysztof przystał. Czuł się winny i przeproszał ją przez kilka następnych tygodni. Jutro też będzie się kajał i zarzekał, że to ostatni raz. Lena wiedziała, że to nieprawda, ale wysłucha pokrętnych tłumaczeń męża i wypije z nim poranną kawę.

Wszystko było jej winą. Kiedy zobaczyła, że Krzysztof moczy usta w cierpkim winie, powinna przewidzieć dalszy rozwój wydarzeń. Zazwyczaj udawało się uniknąć scysji. Nocowała wtedy w hotelu i zjawiała się w domu rano, by zmienić ubranie i zniknąć w zaciszu własnego gabinetu. Ale czasem zdarzało się, że Krzysztof pił, kiedy nie widziała, jakby chciał jej zrobić niespodziankę. Witał ją wtedy z tym swoim uśmiechem, raczył krótką pogawędką i rozpoczynał spektakl.

Obwinał ją o różne rzeczy, ale głównie o swoje problemy natury fizycznej. Impotencja męża zaczęła się w drugą rocznicę ślubu. Sugestie Leny, by zgłosił się do specjalisty, kwitował śmiechem. Godziło to w jego męskość. Dwa lata temu najpierw ją pobił, a później zgwałcił. Wtedy stanął na wysokości zadania. Ostatni raz.

Zgwałcił ją własny mąż. Czasem Lena powtarzała w myślach to zdanie i miała ochotę gorzko się roześmiać. Wiedziała, jak absurdalnie to brzmi, ale wciąż czuła wstyd i upokorzenie. Tamtego dnia bała się Krzysztofa. Bała się, że w zapamiętaniu ją zabije, co na dobrą sprawę byłoby całkiem dobrym rozwiązaniem. Ale nie zrobił tego. I nigdy więcej nie próbował się do niej zbliżyć.

Dzisiaj już nie odczuwała strachu, jedynie pustkę, która wypełniała jej umysł i ciało. Była jak wydmuszka. Pusta w środku, pozbawiona uczuć i emocji.

Mogła odejść od Krzysztofa. Czasem zastanawiała się, dlaczego wciąż tkwi w tym marazmie. Jej życie przypominało próżnię, jak gdyby ktoś zamknął ją w zamrażarce, żeby poczekała na lepsze czasy, które nigdy nie nadejdą.

Nie kochała Krzysztofa. Ani teraz, ani wtedy, gdy brali ślub. Zgodziła się na małżeństwo z wygody. Potrzebowała poczucia bezpieczeństwa, jakiejś stałej, której będzie mogła się złapać, choć teraz brzmiało to abstrakcyjnie. Mimo to nie złożyła pozwu o rozwód. Dlaczego?

Wypierała ze świadomości fakt, że stała się ofiarą przemocy domowej. Lena Rudnicka nie mogła być ofiarą przemocy domowej. Ona nie była jak te wszystkie biedne kobiety, które kulą się na widok własnego męża. Ona była inna.

Stworzyli z Krzysztofem papierowy dom, który nie miał żadnych fundamentów. Wystarczyłby jeden podmuch wiatru, by zniknął z powierzchni ziemi. Ale pofrunęliby razem. Wiedzieli o sobie zbyt wiele, by się rozdzielić. Poza tym Lena wcale nie czuła do Krzysztofa nienawiści. Był jej obojętny, jak wszyscy inni ludzie.

Być może dzieciństwo pozbawiło ją złudzeń, policyjne środowisko wyprało z uczuć albo własny mąż odebrał nadzieję? Nie zastanawiała się nad tym. Przyjmowała ten stan z typową sobie biernością. Przez lata nie zrobiła nic, by to zmienić.

Położyła się na łóżku i zwinęła się w kołdrę. Nie płakała, choć chciałaby umieć zrzucić z siebie ten ciężar. Zdawało się, że jej spokój jest jedynie ciszą przed nadchodzącą burzą. Ale prognozy nie mówiły o nawałnicy. Nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie miała spaść choć jedna kropla deszczu. Obojętność wżarła się w jej duszę.

Sięgnęła po komórkę. Ekran wyświetlił trzy nieodebrane wiadomości. Wszystkie od Marcela, który prosił, by odezwała się, kiedy dotrze do domu. Pisał, że się martwi. Głupi dzieciak.

Rzuciła telefon na poduszkę i zacisnęła powieki. Na jej barku szalała wielka pustynna burza, wicher podrywał ziarenka piasku, które podskakiwały jako małe drobinki, a opadały wielkimi, ciężkimi kamieniami.

Usłyszała, jak Krzysztof zamyka się w swojej sypialni. Wzięła głęboki oddech i owinęła się ciasniej kołdrą.

Teraz może już zasnąć.

Rozdział III

1

Brygida Walicka szła polną drogą, pchając z boku niewielki składak. Cienkie opony roweru zanurzały się w miękkim piasku, ale Brygida miała na to sposób. Wystarczyło iść środkiem dróżki po pasie trawy, a wędrówka stawała się znośniejsza. Na kierownicy czerwonego rometa bujała się torba z Biedronki, a w niej sterta wytłaczanek wielokrotnego użytku.

Dzisiaj wypadła dostawa dla dziewczyny, która mieszkała w domku pod lasem. Brygida musiała nadłożyć drogi, by tam dotrzeć, ale kobieta niedawno urodziła synka, więc wyprawa na zakupy byłaby dla niej zbyt trudna. Brygida zaproponowała pomoc, bo wiedziała, że dla karmiącej mamy zdrowe odżywianie to podstawa. Wiele się mówi dzisiaj o ekologii, więc jajka z przydomowego kurnika Brygidy stanowiły idealną alternatywę dla sklepowej chemii.

Zegarek wskazywał kilka minut po siódmej, a nad otaczającymi dróżkę polami unosiła się poranna mgła. Pachniało wilgocią i ziemią, którą lokalni rolnicy spulchnili pod zasiew zboża. Brygida zerknęła na stare jabłonie, ciągnące się wzdłuż drogi. Za kilka miesięcy przyjdzie tu ze swoimi wnuczkami, aby zebrać dzikie papierówki. Potem je upraży i włoży do słoika. Przydadzą się na zimę, kiedy będzie piekła wnukom ich ukochaną szarlotkę. Do jabłecznej masy zawsze dodawała odrobinę cynamonu i waniliowego budyniu. Wtedy posmak smażonych jabłek stawał się bardziej wyrazisty.

Lichy domek stał tuż pod ścianą lasu i przypominał domek letniskowy, do którego przyjeżdża się na weekend, by odpocząć od miejskiego zgiełku w towarzystwie przyrody. Jedynym, co wskazywało na obecność człowieka w tym miejscu, były powiewające na sznurkach pieluchy. Brygida pomyślała, że młoda mama jest nieroztropna. Zostawienie tetrowych pieluch na noc wiązało się z tym, że materiał nasiąknie wilgocią i będzie schnął przez cały następny dzień. Postanowiła, że zwróci dziewczynie uwagę na ten szczegół. W końcu biedaczka nie ma nikogo, kto mógłby jej doradzić.

Odkąd jej matka zmarła na raka, została sama. Ojciec ulotnił się, zanim się urodziła. Teraz miała na głowie niemowlaka i z pewnością musiało być jej ciężko. Brygida zmartwiła się na myśl o tym, że córka podzieli los matki. Do tej pory nie

było wiadomo, kim jest ojciec synka, a na horyzoncie też nie widziano żadnego mężczyzny, który kręciłby się wokół Kowalskiej.

Ale zdawało się, że dziewczyna radzi sobie całkiem nieźle. Na rowerze dojeżdżała na przystanek autobusowy, potem zostawiała go u zaprzyjaźnionej sklepikarki i jechała do pracy w mieście. Podobno pracowała jako kelnerka, ale ileż to taka kelnerka może zarobić? Kiedy samemu wychowuje się dziecko, liczy się każdy grosz.

Brygida postanowiła, że dzisiaj nie weźmie za jajka ani złotówki. Niech za zaoszczędzone dwadzieścia złotych dziewczyna kupi coś synkowi. Może w nagrodę za ten gest zaprosi ją do domku i pozwoli zobaczyć niemowlaka? Małe dzieci są cudowne, a Brygida była ciekawa, jak wygląda synek Kowalskiej.

Oparła rower o drewniany płotek, wyjęła z torby dwie wytłaczanki i weszła na ścieżkę prowadzącą do domu. Zastukała w drzwi, ale jedyną odpowiedzią był płacz dziecka. A właściwie przeraźliwy wrzask. Brygida poczuła się nieswojo. Kowalska nie powinna pozwalać synkowi tak krzyczeć. Może ma kolkę albo jest głodny? Brygida wykarmiła trójkę dzieci i wiedziała, że zawsze istnieje powód płaczu. Dziecko w ten sposób komunikuje się z dorosłymi.

Pchnęła drzwi, ale napotkała opór. Pewnie są zamknięte od środka, ale dlaczego nikt nie otwiera? Zapukała raz jeszcze, tym razem głośniejszym głosem, na darmo. Odczekała jeszcze kilka minut, ale nie usłyszała wewnątrz żadnego dźwięku. Czyżby Kowalska spała? Tylko jak można spać, kiedy dziecko tak płacze?

Westchnęła, obeszła domek i rozejrzała się dookoła. Przy komórce w końcu podwórka stało wiadro z drzewem. Wysypała je i zabrała puste wiadro ze sobą. Postawiła odwrócone pod oknem do pokoju, stanęła na nim i zajrzała do środka.

Jajka, które trzymała w ręku, upadły, a ich zawartość zalała betonowy chodnik wokół domu. Brygida zamarła. Zdawało się, że nogi przykleiły się jej do dna plastikowego wiadra. Serce podeszło do gardła, a z ust wydobył się mimowolny krzyk.

Drżącymi dłońmi wyjęła staroświecką komórkę, którą córka podarowała jej na święta, i wybrała numer sto dwanaście.

2

Marcel popatrzył na leżące na podłodze zwłoki i stłumił chęć zwymiotowania prosto na drewnianą podłogę.

Kredowobiałą twarz okalały fale ciemnych włosów. Rozdarte w niemym krzyku usta nie wzywały już pomocy. Ciało zastygło w nienaturalnej pozie. Przed śmiercią kobieta pełzła w stronę dziecięcego łóżeczka. Daremny gest umierającej matki, starającej się uchronić własne dziecko.

Marcel wzdrygnął się, pocierając przedramię, na które wystąpiła gęsia skórka.

Zgłoszenie odebrało dwóch mundurowych, którzy jako pierwsi zjawili się na miejscu. Poniosła ich młodzieńcza werwa i wyważyli drzwi, by dostać się do środka, ale teraz utknęli w korytarzu ze skonsternowanymi minami. Żaden z nich nie kwapił się do zajęcia krzyczącym w łóżeczku niemowlakiem.

Wolski czekał na komisarz, nerwowo spoglądając na komórkę. Marcel przyjechał jako pierwszy, ale spodziewał się, że Rudnicka niebawem do niego dołączy. Gdy rozmawiali, siedziała już w samochodzie.

Spojrzał w okno i dostrzegł czarnego jaguara. Komisarz zatarasowała całą drogę, ale przypuszczał, że w tym momencie zasady poprawnego parkowania nie miały znaczenia. Wsiadła z auta i pognała w stronę domku.

Wpadła niczym pocisk, wypełniając sobą całe pomieszczenie. Najpierw zerknęła na Marcela. Zdawało mu się, że w zielonych tęczówkach zobaczył smutek, ale zaraz odwróciła wzrok w stronę leżącego ciała.

– Kurwa! – krzyknęła. – Kurwa mać! Marcel, widzisz to?! Czy ty to, kurwa, widzisz?!

– Widzę – odparł. – Nasza Michalina.

– Kurwa! – Ostrożnie obeszła ciało, jakby chciała zachować w pamięci każdy szczegół. – Liz już wie?

Wolski kiwnął głową. Technik policyjna powinna przyjechać najdalej za piętnaście minut.

Rudnicka podparła się pod boki i odwróciła w stronę dziecięcego łóżeczka. Mały chłopczyk wierzgał nóżkami i swoimi wielkimi oczami wpatrywał się w komisarz, gryząc kciuk. Wystarczyła chwila, by zaniósł się kolejną salwą rozdzierającego płaczu.

– Czy, kurwa, podmienił wam ktoś mózgi na kupkę trocin?! – wypaliła.

Mundurowi unieśli głowy, niepewni, do kogo skierowane są te słowa.

– Czy, kurwa, takie z was kołki, że żaden nie wpadł na pomysł, żeby zabrać stąd dzieciaka?

Posterunkowy Lipiński stanął na baczność i pogładził dłonią policzek.

– No co tak stoisz, do chuja? Na okazję czekasz?

– Ja...

– Co ty? Co ty?

– Pani komisarz...

– Zabieraj go stąd!

– Ja nie – wymamrotał. – Może pani...

– Kurwa mać! – zawołała. – Czy wyglądam na gołębicę, która tuli do piersi każdego bobasa?!

Marcel odchrząknął, czego zaraz pożałował. Rudnicka spiorunowała go wzrokiem i wymierzyła w niego palec.

– Milcz, sierżancie – powiedziała. – Nie jesteś lepszy.

Podeszła do łóżeczka, chwilę wpatrywała się w płaczącego chłopczyka, po czym wsunęła pod niego dłonie i ostrożnie wyciągnęła. Niemowlak natychmiast się uspokoił, wrzask przeszedł w ciche kwilenie. Był spragniony ludzkiego dotyku, ale komisarz trzymała go w bezpiecznej odległości, jakby dzierżyła w dłoniach wiekowy eksponat i obawiała się, że może go uszkodzić jakimś nieostrożnym ruchem.

Podążyła chłopca Wolskiemu.

– Co mam z nim zrobić? – spytał, odbierając dziecko. Niemowlak wtulił się w jego pierś.

– Nie wiem – odparła ostro. – Zmień pieluchę albo napełnij butlę i nakarm. Skąd mam wiedzieć?

Malec ewidentnie preferował kobiece towarzystwo, bo wodził oczami za Rudnicką, wyciągając do niej rączki.

– O nie – zaproponowała. – Sorry, młody, ale nie bez powodu skutecznie bronię się przed posiadaniem potomstwa.

Wolski, kołysząc niemowlaka w ramionach, przeszedł przez pokój i podał go posterunkowemu.

– Wyjdź z nim na podwórko – polecił.

Lipiński skinął głową i zniknął za drzwiami z nieskrywaną ulgą. Drugi z mundurowych zdał szybką relację z przyjazdu na miejsce zdarzenia i ulotnił się za kolegą. Sądząc po kolorach, jakie przybrała jego twarz, czmychnął w krzaki,

gdzie puścił solidnego pawia, pomyślała Lena i zwróciła się do Wolskiego, który wcale nie prezentował się korzystnie.

– Jak zamierzasz rzygać, polecałabym opuszczenie miejsca zbrodni – powiedziała, kucając przy zwłokach.

– Nie – odparł bez przekonania. – Chyba nie chcę.

Zakrył dłonią usta, wstrzymując podchodzącą do gardła ciecz. W przełyku pozostał kwaśny posmak.

– Mamy problem – stwierdził.

– Ja mam niejedną – odparła. – Ale ten tutaj jest wyjątkowo paskudny.

Przyjrzała się ciału, oddychając ciężko. Próbowwała zebrać myśli, ale poobijane żebra paliły pod skórą. Poranna dawka środka przeciwbólowego jeszcze nie zaczęła działać.

– Niesamowite – powiedziała. – Jeden skuteczny cios.

– Nie doszukiwałbym się niczego niesamowitego w tym widoku.

– Tak, tak – mruknęła. – Sprawca miał szczęście albo wiedział, gdzie uderzyć. Narzędzie podobne do poprzedniego.

– Obie zbrodnie są ze sobą połączone?

– To chyba logiczne, sierżancie – ucięła. – Nie zakładam innego scenariusza. Zmarła maksymalnie dwanaście godzin temu. Może dziesięć.

– Bania i tak będzie musiał to potwierdzić.

Podniosła głowę znad ciała, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale ostatecznie wstała i potoczyła wzrokiem po pokoju.

– Żadnych śladów walki – stwierdziła. – Żadnych porozbijanych talerzy, przewróconych krzeseł...

– Może Michalina spodziewała się gościa, ale nie podejrzewała, że postanowi ją zabić.

– Mhm. Kiedy mundurowi przyjechali, drzwi były zamknięte?

– Tak – odparł. – Wyważyli je. Kobieta, która zadzwoniła na policję, powiedziała, że przez okno zobaczyła martwą Michalinę i...

– Czyli sprawca zamknął drzwi od zewnątrz.

– Na to wygląda.

Rudnicka miała nadzieję, że zostawił po sobie jakiś ślad. Najlepiej, gdyby tym śladem okazały się odciski palców na drzwiach albo innych przedmiotach.

– Kurwa – burknęła. – Jesteśmy w dupie.

– To znaczy?

– To znaczy, że nasz główny podejrzany spędził tę noc na komendzie. Nie musimy czekać na wyniki od Liz, żeby stwierdzić, że to nie on jest sprawcą. Bo to

– wskazała na ciało Michaliny – zrobiła ta sama osoba, która skasowała Chmielnego.

Marcelowi przyszło do głowy, że istnieje jeszcze kilka innych rozwiązań. Że może to naśladowca, a Michalina wiedziała coś, czego nie powinna, i przypłaciła to życiem; ale ostatecznie uznał, że polemizowanie z komisarz byłoby głupotą. Założenie, że to ten sam sprawca, zdawało się słuszne.

– Gdzie ta kobieta? – zapytała Lena.

Wolski wskazał na polną drogę za oknem.

Siwowłosa staruszka stała przy płotku z chusteczką przy nosie. Jej chude, wyschnięte ciało dygotało z emocji.

– Zadzwoń po Karnowską – bąknęła komisarz. – Bo nam babcia wykituje.

Marcel skinął głową i oddalił się na bok.

– Dzień dobry, to pani znalazła ciało? – podjęła Rudnicka.

Kobieta złapała się drewnianego przęsła i zaszłochała.

– T-t-tak – wychrypiała.

– O której?

– Przed chwilą, no... Z pół... pół godziny temu.

– Dlaczego przyszła pani do Michaliny o tak wczesnej porze?

– Ja... Przyniosłam jajka... Ode mnie z kurnika... Zawsze przynoszę... Pukałam, ale nie otwierała... A mały płakał.

– I co pani zrobiła?

– Poszłam... Do okna. – Oddech staruszki stał się urywany. Mówienie przychodziło jej z coraz większym trudem. – Zajrzałam... A tam...

– I wezwała pani policję?

– T-t-tak.

– Widziała pani kogoś? – spytała, choć znała odpowiedź.

– N-n-nie.

– Spokojnie. – Lena położyła dłoń na ramieniu kobiety. – Zaraz przyjedzie psycholog.

Staruszka wybałuszyła oczy, jakby rozmowa z psychologiem była dla niej równie nierealna jak lot w kosmos.

Lena najchętniej zostawiłaby kobietę i nie dręczyła jej kolejnymi pytaniami, ale potrzebowała informacji na temat dziewczyny.

– Znała pani Michalinę? – zapytała łagodnym tonem, choć rozdrażnienie nie ułatwiało zadania.

– Znałam. Od... Od dziecka. Mieszkała z matką, ale... matka umarła na raka.

– Jak się nazywa?

– Michalina... Michalina Kowalska.

Przynajmniej wreszcie poznali nazwisko. Gdyby znali je kilkanaście godzin temu, może udałoby się zapobiec tragedii.

– Wie pani, kto jest ojcem jej dziecka?

– Nie... Nie wiem. – Kobieta schowała jedną dłoń w drugą. – Ona... Pracowała w mieście. Może poznała tam kogoś.

– Czy widziała pani albo słyszała, żeby jakiś mężczyzna się koło niej kręcił?

Lena liczyła, że tak. W tej małej wiosce wszyscy wszystko wiedzą. Niestety, los okazał się mniej łaskawy.

– Same pola... tu są – odparła kobiecina. – Ja nic nie widziałam. Ludzie też nie, bo inaczej zaczęliby gadać.

Lena doszła do wniosku, że nic więcej się nie dowie. Wróciła na posesję i stanęła obok Marcela. Przez chwilę oboje milczeli, wpatrując się w ścianę lasu. Drzewa kołysały się w rytm muzyki granej przez wiatr. Wyglądało na to, że wiosna w tym roku rozpieszczą łódzkie niziny, bo zapowiadał się kolejny ciepły dzień.

– Daj fajkę – odezwała się.

– Podobno nie palisz.

Prychnęła.

– Lipiński pojechał odwiedzić tego malucha do jakiegoś ośrodka – powiedział, podając Rudnickiej paczkę lodowych westów.

– To dobrze – odparła, podpalając papierosa. Zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym, odzyskując utracony spokój. – Najważniejsze, że nie będzie pamiętał, że spędził noc w jednym pomieszczeniu z zamordowaną matką.

Lekkość w głosie Rudnickiej sprawiła, że po ciele Marcela przeszedł dreszcz.

– Ale dlaczego ktoś ją zabił? – mruknął do siebie.

Komisarz odchyliła głowę do tyłu, przyzymkając oczy. Zadawała sobie to samo pytanie.

– Wydam polecenie, żeby mundurowi popytali mieszkańców – powiedziała. – Może ktoś coś widział. Liczę, że Liz znajdzie jakieś ślady, cokolwiek, co naprowadzi nas na ślad sprawcę.

– Dlaczego ona zginęła? – powtórzył, spoglądając na Lenę.

Na jej łuku brwiowym zauważył zadrapanie. Chciał zapytać, czy przez wczorajsze drinki zaliczyła po drodze glebę, ale ugryzł się w język.

Rudnicka zaciągnęła się i wypuściła dym, obserwując nadjeżdżający samochód. Luiza Krajewska chwilę manewrowała kierownicą, bo stojący w poprzek jaguar uniemożliwił zaparkowanie przy domku. Lena nie pokwapiła się, by go

przestawić, więc technik stanęła na poboczu i taszcząc pod pachą nieodłączną walizkę, ruszyła w stronę chaty. Ruda policjantka najwyraźniej poczuła nadchodzące lato, jednak jej kwiecista bluzka wyjątkowo nie pasowała do sytuacji.

Gdy weszli do środka, Luiza natychmiast przystąpiła do pracy. Komisarz wsparła się o framugę i skrzyżowała ramiona na piersi. Wyjątkowo nie ponaglała technik, cierpliwie czekała, aż ta skończy wstępne oględziny. Marcel stanął tuż za Rudnicką, zdecydowanie zbyt blisko, ale żadne z nich nie poruszyło się, by to zmienić.

Usłyszeli kroki na ganku.

– Dzień dobry.

Prokurator ostrożnie wszedł do środka. Lena odsunęła się nieznacznie, a Wolski zrobił krok w tył, by przepuścić Nawrockiego.

Kiedy podawali sobie dłonie, prokurator zmierzył go przeszywającym wzrokiem. Marcel poczuł rodzącą się panikę. Jeśli Lena przyznała się mężowi do skoku w bok, istniało ryzyko, że ten postanowi się zemścić. Marcel nie miał pojęcia, w jaki sposób mógłby to zrobić, ale zacięty wyraz twarzy prokuratora wskazywał, że dla Wolskiego nie skończyłoby się to najlepiej.

Nawrocki wypytywał technik o szczegóły. Chociaż niebieski garnitur wyglądał jak spod igły, Nawrockiemu kropelki potu wystąpiły na skronie. Był zdenerwowany. Czyżby powstrzymał się przed walnięciem Marcela pięścią między oczy? Natomiast Lena nieobecny wzrokiem tępo wpatrywała się w przestrzeń, jakby przebywała we własnym świecie.

– Kto to jest? – zapytał Nawrocki, odwracając się do policjantów.

– Michalina Kowalska – nieśmiało odpowiedział Marcel.

– Znacie ją?

– Tak. Wczoraj pojechaliśmy od Milewskich do kasyna i dowiedzieliśmy się, że Kowalska znała zarówno Chmielnego, jak i Brzozowskiego.

– Pojechaliście do kasyna?

Prokurator uniósł brwi.

– Tak – szybko potwierdziła Rudnicka, patrząc mężowi prosto w oczy. Krzysztof przygarbił się, jakby właśnie dotarła do niego bezpodstawność wczorajszych oskarżeń.

Na chwilę zapadła niewygodna cisza.

– Jaki jest związek dziewczyny ze sprawą Chmielnego? – podjął.

– Kiedy się dowiem, na pewno cię poinformuję – ucięła komisarz.

– Poznali się w kasynie, gdzie Kowalska pracowała jako kelnerka – dodał Wolski. – Mamy tylko tyle. Na dobrą sprawę dopiero kilka godzin temu dowiedzieliśmy się, jak miała na imię dziewczyna ze zdjęcia. Żaden z pracowników kasyna nie chciał podać nazwiska.

Nawrocki przelotnie spojrzął na sierżanta, jakby ten był zbędnym ogniwem. Ułożył palce w trójkąt, skupiając się na żonie.

– Jakie mamy założenia?

– Jeden sprawca – odparła oschle.

– Co z Brzozowskim?

– Och – jęknęła Liz. – Z tego wszystkiego wyleciało mi z głowy, że porównałam odciski znalezione na ciele. Niestety, nie należą do Brzozowskiego.

Lena wypuściła ze świstem powietrze.

– Zwalniamy go – zawyrokował Nawrocki.

– Najpierw muszę z nim pogadać.

– Nie możemy go trzymać...

– Godzina – ucięła. – Nie musi wiedzieć, że mieliśmy wyniki wcześniej.

Napięcie pomiędzy małżonkami było wręcz namacalne. Krzysztofa przygniotło poczucie winy. Nie zdążyli nawet porozmawiać o wydarzeniach minionej nocy. Najchętniej wzięłyby żonę na bok, aby przeprosić ją za to, co się stało, ale intuicja podpowiadała, że lepiej odczekać. Postanowił na razie nie dolewać oliwy do ognia.

– Mamy innych podejrzanych? – spytał.

– Przyjrzałbym się żonie Chmielnego – odezwał się Marcel.

Skoro obecna sytuacja najprawdopodobniej wykluczała udział Brzozowskiego, Dorota Bracka zdawała się idealną kandydatką.

– Pojedziemy do niej – powiedziała Rudnicka.

– Lena – odezwała się technik. – Sprawca najprawdopodobniej miał rękawiczki.

– Kurwa.

– Niestety.

– A ślady opon? Butów? Na tym zadupiu nie ma dużego ruchu, a jakoś musiał tu dotrzeć. Jeśli wyłączymy nasze ślady...

– Sprawdzę.

– Mógł przyjść od strony lasu – zauważył prokurator.

Marcel odchrząknął, wskazując na widok za oknem.

– Mamy towarzystwo – powiedział.

Wóz transmisyjny jednej ze stacji telewizyjnej miał problem, by podjechać bliżej domku. Jaguar skutecznie zatarasował mu drogę. Wielki van zatrzymał się

więc kilkadziesiąt metrów przed bramą wjazdową.

Rudnicka zaklęła i wybiegła na zewnątrz, by odeprzeć atak dziennikarza. Niski reporter szedł w stronę policjantki z wyraźnie pozytywnym nastawieniem. Zamachał ręką w geście powitania i poprawił materiał koszulki opinającej pokaźny brzuch. Nie zdążył jednak otworzyć ust.

– Pojechało cię?! – huknęła.

– Słucham?

– Pytam, czy cię popierdoliło?

Operator gmerał w torbie przy bagażniku, wyraźnie rozczarowany, że nie włączył w porę swojej wielkiej kamery. Zanim wyjmie ją z torby i uruchomi, straci kilka cennych minut.

– Słucham? – spytał reporter. – Kim pani jest?

– Zakonnica, kurwa – warknęła. – Zabieraj się stąd, pismaku jeden!

Wzrok korespondenta zawisł na glocku. Pyszata twarz nagle pojaśniała.

– Pani prowadzi tę sprawę?

– Nie, kurwa! Przyszłam popatrzeć!

Dziennikarz przełknął ślinę.

– Skąd dostałeś cynk? – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– Tajemnica...

– Nie pierdol mi tu o tajemnicy dziennikarskiej! Jakim prawem się nią zasłaniasz, skoro zanieczyszczasz zafajdanymi buciorami miejsce przestępstwa i wyciągasz szczegóły śledztwa?!

– Lena! – krzyknął prokurator, przywołując ją gestem.

Nawet się nie odwróciła.

– Skąd masz cynk, pytam?! – wrzasnęła. – Czego stoisz jak ta mumia?! Ogłuchłeś?!

– Nie mogę powiedzieć...

– Sensacji szu... – Przerwała, czując zaciskające się na ramieniu palce.

Wolski pociągnął komisarz na ganek. Oddychała ciężko i szukała w głowie kolejnej obelgi, lecz ostatecznie dała sobie spokój. Wpadła do pokoju, ale technik pokręciła głową na znak, że nie znalazła nic konkretnego. Rudnicka mamrotała wściekle pod nosem coraz bardziej wymyślne przekleństwa. Krzysztof przyglądał się żonie z rosnącym niepokojem.

Choć bywała porywcza i często wybuchała, martwił się, że jej dzisiejszy stan jest spowodowany wieczorną awanturą.

– Wychodzimy – oznajmiła w końcu.

Marcel spojrział zaskoczony.

– Co?

– Zatkąły ci się uszy? – warknęła. – Opuszczamy to siedlisko smutku. Powiedz chłopakom, żeby odstawili twój samochód.

Zanim Marcel rozeznał się w sytuacji, Rudnicka siedziała już w samochodzie, stukając nerwowo w kierownicę. Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi, ruszyła z takim impetem, że operator odruchowo zasłonił kamerę własnym ciałem.

Wolski przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

– Co się dzieje? – spytał.

Rudnicka gnała przez polną drogę z taką szybkością, że zaczął się martwić o stan amortyzatorów.

– Nic – odburknęła.

– Przecież widzę.

– Gównu widzisz.

Beznadziejna sprawa, pomyślał. Stracili podejrzanego i zyskali kolejną ofiarę, a wszystkie wcześniejsze założenia straciły sens. Związek Michaliny ze śmiercią Klemensa też jawił się jako jeden wielki znak zapytania, ale Wolski przypuszczał, że nerwowość komisarz spowodowana jest zupełnie czymś innym.

Czym? Nie miał pojęcia, ale po wczorajszym luzie nie było już śladu. Rudnicka zachowywała się jak tykająca bomba, a rozmowa z nią przypominała lawirowanie na polu minowym.

– Może ja poprowadzę? – spytał.

– Chciałbyś.

– Wyglądasz nie najlepiej.

– Dzięki – warknęła. – Doceniam komplement.

Zawahał się, obserwując, jak komisarz kurczowo zaciska palce na drążku zmiany biegów, i ostrożnie położył rękę na jej dłoni.

Nie wiedział, jak zareaguje na ten śmiały gest. Mogła mu przywalić, wyszarpnąć dłoń, wrzasnąć na niego, ale nie zrobiła żadnej z tych rzeczy.

– Zabierz tę łapę – rzuciła ostro.

Nie posłuchał. Czuł, jak jej palce zaciskają się coraz mocniej. Była spięta.

– Uspokój się – powiedział ściszym głosem.

– Po polsku nie rozumiesz?

– Podobno to ja jestem beznadziejnym kierowcą, ale to ty jedziesz jak pijana.

Rzeczywiście, przyznała w duchu. Starła się omijać doły w polnej drodze, ale w efekcie zaliczała każdy, a samochód bujał się na boki jak oszalały.

– Wal się – skwitowała.

3

Pokój przesłuchań był zdecydowanie zbyt jasny i ascetyczny. Dariusz Brzozowski pomyślał, że do złudzenia przypomina pomieszczenia, w których przesłuchującymi są agenci FBI. Oglądał parę amerykańskich seriali kryminalnych i miał nadzieję, że scenariusz tego przesłuchania nie odmaluje się w tak ciemnych barwach jak na ekranie telewizora.

Zakuto go w kajdanki i przytwierdzono do belki na środku stołu. Jak najgorszego przestępcę. Tak zresztą się czuł.

Kiedy wczoraj wrócił od Doroty, nie zdążył nawet wziąć prysznic, kiedy wpadli policjanci i bez ceregieli odwieźli go na komendę. Spędził noc w mikroskopijnej celi na niewygodnej pryczy. Miał dość.

– Skończył się dzień dziecka dla hazardzistów – powiedziała policjantka, która od kilku minut intensywnie świdrowała go wzrokiem.

– Nie rozumiem.

– Wcale się nie dziwię. Na Einsteina mi nie wyglądasz.

Westchnął.

– Dobra, mogę się dowiedzieć, o co chodzi? – spytał. – Jestem o coś podejrzany?

– No – bąknęła komisarz, odchylając się w krześle.

Przez całą drogę zastanawiała się, jak to rozegrać. Rozważała pójście z Brzozowskim na ugodę i zabawienie się w dobrego glinę, ale w końcu obrała swoją ulubioną drogę, jaką jest postawienie świadka pod ścianą, spod której nie ma drogi ucieczki.

– Michalina Kowalska, mówi ci to coś? – spytała.

– Nie wiem.

– No to radzę szybko się dowiedzieć, bo zaraz możesz wsiąść na karuzelę.

– Słucham?

– Dostać dożywocie – wyjaśnił Wolski, siadając obok Leny.

– No, proszę. – Rozłożyła dłonie, zakładając nogę na nogę. – Masz swoje pięć minut i dobrze je wykorzystaj, bo następną szansę dostaniesz przed prokuratorem. A ostrzegam, ten, który ci przypadnie, to wyjątkowy skurwiel.

Brzozowski milczał.

– Zaciukałeś ją.

Brzozowski podniósł głowę zaskoczony.

– Słucham?

– Michalina Kowalska nie żyje.

Poblądł. Gdyby nie miał skutych kajdankami dłoni, z pewnością ukryłby w nich twarz.

– Jak to nie żyje? – spytał drżącym głosem.

– Ty mi powiedz.

– Ja jej nie zabiłem!

– Czyżby?

– Proszę powiedzieć wszystko, co pan wie o tej sprawie – wtrącił Wolski.

Komisarz zawczasu wyłuszczyła mu, jaką strategię obierają. Uznał jej pomysł za całkiem przyzwoity. Przyjaciół Klemensa Chmielnego wiedział coś, czym nie podzielił się podczas poprzedniej rozmowy, więc należało go przycisnąć. A nikt nie czuje większej presji niż w momencie, gdy oskarża się go o coś, czego nie zrobił. Szczególnie jeśli w grę wchodzi dożywocie.

– Ale ja nic nie wiem...

– Skończ wreszcie pierdolić jak ksiądz po kolędzie i zacznij śpiewać – warknęła.

Marcel spojrzał na nią kontrolnie. Gdy podjechali na parking przed komendą, nieco się uspokoiła. Być może nikotyna pochodząca z trzech wypalonych papierosów zadziałała kojąco, ale przynajmniej przestała narzekać na wszystkich dookoła.

– Ja nie...

– Znał ją pan? – spytał Marcel.

Lena przewróciła oczami, dając do zrozumienia, że to najgłupsze pytanie, jakie Marcel mógł zadać.

– Nie.

Tego było za wiele. Gruchnęła otwartą dłonią w blat i wymierzyła w niego palec. Brzozowski wzdrygnął się wystraszony.

– Ostatnia szansa – powiedziała.

– Dobrze... Znałem ją.

– A to nowina!

– Poznaliśmy się w kasynie...

– Tym samym, w którym przegrałeś pieniądze Chmielnego?

– Ja... Skąd wiecie?

– Proszę zacząć od początku – wtrącił Wolski. – Jak się poznaliście?

– Już, już – wyszeptał, kręcąc głową. – Poszedłem kiedyś do kasyna z Klemensem. Tam poznaliśmy Michalinę. Ona i Klemens od razu wpadli sobie w oko. Czasami wystarczy spojrzenie i człowiek od razu czuje...

Mówił szybko, jakby obracał tę formułkę w głowie wielokrotnie. Lenie przypomniała się nauczycielka polskiego z podstawówki, która kazała jej wykuć na pamięć *Litwo, ojczyzno moja!* i recytować przed całą klasą.

– Gdybym miała ochotę na cikliwą bajeczkę o miłości od pierwszego wejrzenia, to sięgnę po harlequina albo odwiedzę tego tu kolegę, który lubuje się w smętnych piosenkach o wiecznym szczęściu. – Postukała palcem wskazującym w blat. – Konkrety!

Brzozowski znowu zamilkł, poruszył nadgarstkami, a salkę wypełniło klekotanie metalu. Chwila trwała zdecydowanie zbyt długo.

– Wiesz, co mam? – zapytała komisarz. – Wystarczającą ilość informacji, by posadzić cię na przynajmniej dwadzieścia pięć lat. Ale jeśli chcesz, chętnie przypomnę niektóre fakty z twojego beznadziejnego życia: jesteś ostatnią znaną mi osobą, która widziała Chmielnego żywego; próbowałeś zataić fakt, że spędził u ciebie dwa dni, wyrzuciłeś jego walizkę do kontenera na śmieci i teraz uwaga, moje ulubione: zakosiłeś jego pieniądze i przegrałeś je w kasynie. Twoja przyszłość maluje się w wyjątkowo ciemnych barwach. Na moje oko sprawa wyglądała tak, że razem z Michaliną zgadaliście się, by zamordować Klemensa, ale ona okazała się sprytniejsza i zwinęła pieniądze, a ty postanowiłeś ją zabić i odzyskać gotówkę.

Brzozowski drgnął, jego policzki oblały się czerwienią, a czoło zrosiły krople lepkiego potu.

– Nie zabiłem Michaliny – powiedział.

– Więc czas na pieśń prawdy, bo jeszcze chwila, a stracę cierpliwość.

Brzozowski wyraźnie się wahał. Oczywiście przyjaciel Chmielnego nie mógł wiedzieć, że ma alibi na noc morderstwa Michaliny. Siedział wtedy w areszcie. Zagrali nieczysto, ale liczył, że Brzozowski wreszcie puści parę z ust.

Nie pomylił się.

– Klemens spotykał się z Michaliną – odezwał się Dariusz. – Mieli razem dziecko.

Komisarz zaśmiała się ironicznie.

– Kurwa, nie wierzę – oznajmiła. – Co to ma być? *Zakola uczuć* czy inny brazylijski serial? Rozpłodowy był samiec z tego twojego nieświętej pamięci kumpla. Gdzie się nie zjawił, zostawiał po sobie dziecko. Może nie uważał na lekcjach wychowania do życia w rodzinie...

– Mówię prawdę.

Zmierzyła go wzrokiem. Robiło się coraz ciekawiej.

– Dobra – ucięła. – Dzieciak Michaliny jest synem Klemensa?

– Tak.

– Bracka wiedziała o nieślubnym dziecku?

– Dowiedziała się w dniu... zaginięcia Klemensa.

Wolski znacząco spojrział na Lenę. Pomyśleli o tym samym, pokojówka wspomniała o kłótni małżonków, ale błędnie założyli, że chodziło o ciążę Kaliny. Najwidoczniej mówiła prawdę i faktycznie nie pisnęła słowem o ciąży.

– Mów – ponagliła Rudnicka.

– Spędził u mnie dwa dni. Pokłócił się z Dorotą. Poszło o syna Michaliny. W dzień śmierci wyszedł do parku, by się z nią spotkać i dać jej pieniądze.

– Na co?

– Chciał... Chciał odkupić od niej dziecko.

– Słucham?

– Odkupić dziecko – powtórzył. – Sprawa była dość skomplikowana, bo Klemens pragnął uczestniczyć w życiu syna, ale nie zamierzał wiązać się z Michaliną ani zostać weekendowym ojcem. Ona nie zgadzała się na zrzeczenie praw, więc w zamian Klemens zaoferował pieniądze.

– Nie mógł wyprodukować potomka z żoną?

– Dorota nie chciała słyszeć o ciąży.

Druga osoba przedstawia wersję o niechęci Brackiej do posiadania potomstwa. Dlaczego więc przedstawiła policjantom inną wersję?

– Skoro twój kumpel tak bardzo chciał się bawić w pieluchy, dlaczego nie związał się z Michaliną? Byłoby to prostsze niż cudowanie z kilkudziesięcioma bańkami.

Brzozowski wzruszył ramionami.

– Po prostu nie chciał – odparł.

– O, świetnie. Zaliczył i do widzenia?

Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu.

– Z Dorotą miał wszystko... Pracę, dom...

Komisarz uważnie przyjrzała się Brzozowskiemu i nagle uderzyło ją pewne przypuszczenie. Nie miała na to żadnego potwierdzenia. Zwykle przecucie, które postanowiła zgłębić.

– Do tego cudownego obrazka brakowało jednego – stwierdziła.

Uniósł wzrok.

– Szczęścia – dodała. – Klemens pukał wszystko, co się nawinęło, a żonka, jak sądzę, też nie była kryształowa.

– Słucham? Co ma pani na myśli?

– No nie wiem – bąknęła. – Może ty mi powiesz?

Marcel zmarszczył brwi. Rudnicka spojrzała na niego przelotnie, a w jej oczach dostrzegł błysk. Najwidoczniej znowu coś mu umknęło.

– Co łączy cię z Dorotą Bracką? – zapytała urzędowym tonem.

– Mnie? – Brzozowski uciekł wzrokiem.

– Czekam.

Westchnął głęboko, jakby obawiał się konsekwencji, jakie niosła ze sobą odpowiedź na to pytanie. Rozejrzał się po pokoju, a zmarszczki wokół ust się pogłębiły. Zwilżył językiem wargi.

– W ostatnim czasie... zbliżyliśmy się do siebie – wyznał.

Sypiali ze sobą, zawyrokowała w myślach.

– Nie wkurzało cię, że twój kumpel jest z Dorotą, a nie ty?

– Co mogłem zrobić? Była żoną mojego przyjaciela, wiedziałem od początku.

Lena założyła rękę na oparcie krzesła, czego zaraz pożałowała. Zdjęła ramię, gdy poczuła ucisk w barku. Z trudem powstrzymała grymas bólu. Okazywanie słabości podczas rozmowy ze świadkiem to fatalny pomysł.

– Zastanawiałeś się, co by było, gdyby Klemens zniknął? – podsunęła. – Mielibyście wolną drogę...

– Nie.

– Klemens wiedział o was? – zapytał Marcel.

– Myślę, że nie. Inaczej nie przyszedłby do mnie po kłótni z Dorotą.

– Może buntowałeś przyjaciela do rozwodu i związania się z Michaliną? – podjęła komisarz.

– Nie – odparł. – Wręcz przeciwnie.

– Słucham.

– W dniu, kiedy został zabity, miał spotkać się z Michaliną i przekazać pieniądze – powiedział cicho. – Zgodziła się na jego propozycję. Ona mieszkała w jakiejś rozpadającej się chacie, więc pewnie doszła do wniosku, że nie zdoła zapewnić dziecku dobrej przyszłości. Ale ja namawiałem Klemensa, żeby tego nie robił. Na Boga! Przecież to nielegalne.

Lena prychnęła.

– Wyszedł ode mnie do parku – ciągnął Brzozowski. – Był zdenerwowany. Ciągle się wahał. Siedziałem chwilę w mieszkaniu, ale potem pobiegłem go dogonić, chciałem wytłumaczyć mu, że robi straszne głupstwo...

– Słusznie.

– Dogoniłem go, a on dał się przekonać. Oddał mi pieniądze i poszedł porozmawiać z Michaliną. Powiedział, że zachowa się jak mężczyzna i zwiąże się z Michaliną, aby wspólnie z nią wychować syna. Zamierzał później wrócić do mnie po aktówkę.

– Problem w tym – nachyliła się do Brzozowskiego – że on już z tego parku nie wyszedł, a ciebie nie ma na nagraniu z monitoringu.

– Bardzo możliwe – odparł. – Gdybym biegł głównymi alejkami, tobym go nie dogonił, więc wybrałem drogę przez zarośla. Może... Nie wiem, może tam nie ma kamer. Nie mam pojęcia... Nawet nie wiem, czy Michalina faktycznie się z nim spotkała.

– Ale forsa została, co?

– Niepotrzebnie wyrzuciłem tę walizkę. Bałem się, że będę podejrzany... Powinienem o niej powiedzieć, wiem. Ale to było silniejsze ode mnie... Myślałem, że uda mi się wygrać i oddam całą sumę Dorocie, a wygraną zachowam dla siebie...

Rudnicka przyglądała się Brzozowskiemu, rozważając, czy uznać jego zeznanie za prawdziwe. Była skłonna mu wierzyć, chociaż wciąż pamiętała jego próby mataczenia podczas pierwszej rozmowy.

– Wygrałeś chociaż?

Pokręcił głową.

– Dorota Bracka wiedziała o spotkaniu? – spytał Wolski.

– Przedstawił jej swój pomysł w dniu, gdy się pokłócili – odparł. – Wściekła się i zapowiedziała, że nie zamierza wychowywać cudzego bachora.

– O pieniądzach, które Klemens proponował Michalinie, też wiedziała?

– Chyba nie. – Zastanowił się. – Gdyby wiedziała, pewnie by nie wypuściła go z hotelu.

– Zdradzę ci, jak wygląda moja wersja wydarzeń – oznajmiła komisarz. – Klemens spotkał się z Michaliną, oddał jej kasę, a ty postanowiłeś zabić jego, a potem ją.

– Nie zabiłem ich! – krzyknął. – Michaliny nie widziałem od kilku miesięcy!

Dostrzegła na jego twarzy zagubienie. Był tylko skołowanym i rozdartym facetem, który nie radzi sobie z własnym życiem. Hazard odebrał mu rodzinę i widoki na przyszłość.

Gdy dowiedział się o śmierci Klemensa, załamał się. Jedni topią rozpacz w kieliszku, inni płaczą w zaciszu mieszkania, a jeszcze inni idą do kasyna i oddają się hazardowi. W takich chwilach walka z nałogiem jest najtrudniejsza,

a Brzozowski do wytrwałych zawodników nie należał. Był kruchy i chwiejny, ale nie odnajdywała w nim zła, które popchnęłoby go do morderstwa.

– Jestem o coś oskarżony? – wyszeptał.

– Nie – odparła, wstając. Wsunęła głośno krzesło i włożyła dłonie do tylnych kieszeni spodni. – Wychodzisz.

– Ale...

– Michalina została zamordowana dzisiejszej nocy, kiedy smacznie spałeś na komendzie.

Brzozowski przełknął ślinę.

– Więc skąd te oskarżenia? – spytał, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Policjanci opuścili pokój, pozostawiając go w niewiedzy.

4

Dwa morderstwa w ciągu kilku dni. Kto zabił? Jaki miał motyw? Czyżby w Łodzi grasował seryjny morderca? Czy mieszkańcy powinni się obawiać? I jak wygląda poziom bezpieczeństwa w mieście? Czy działania podjęte przez miejską policję będą skuteczne?

Blondwłosa wychudzona dziennikarka siedząca nad sterylnym pulpitem w studiu podsumowała najważniejsze wydarzenia z kraju. Zaraz za przetasowaniami w rządzie rodzinne miasto Juliana Tuwima stało się głównym tematem ogólnopolskiej stacji.

Głos zabrała rzeczniczka komendy, która zapewniła, że prowadzący sprawę funkcjonariusze robią wszystko, aby jak najszybciej ująć sprawcę i sprawić, że mieszkańcy znów poczują się bezpiecznie we własnym mieście.

Klemens senior wyłączył telewizor. Zwyczajnie pieprzenie pod publiczkę. Zaśmiał się pod nosem, choć wcale nie było mu do śmiechu. Policja pewnie nie natrafiła na żaden trop. Są nieudolni, jak zwykle. Ludzie płacą podatki, a oni pierdzą w stołki, zamiast znaleźć mordercę jego syna. Prychnął, podnosząc się z fotela i spojrzał na żonę.

Władysława kołysała się w fotelu, jakby ktoś zaprogramował ją na wykonywanie tylko tej jednej czynności.

– Władka, zrobić ci herbaty? – spytał.

Zamglone oczy żony patrzyły nieobecny wzrokiem. Tłuste włosy wyglądały koszmarnie. Każde pasmo sterczało w inną stronę, a żylaste, pomarszczone dłonie poruszały się rytmicznie, drapiąc paznokciami podłokietniki.

– Klemens nie przyjechał na obiad – odezwała się. – Może coś się stało?

– Władka, nasz syn...

– Szukałam go wczoraj.

– Gdzie go szukałaś?

– Wszędzie – odparła. – Ale nie znalazłam.

– Nie było cię całą noc, bo szukałaś Klemensa?

– Nie znalazłam – powtórzyła, wodząc dookoła mętnym wzrokiem.

– Władka, powinnaś odpocząć. Poczekaj, dam ci tabletki.

Sięgnął po fiolkę z lekami, wysypał na dłoń cztery pigułki i razem ze szklanką wody podał żonie. Jej dłonie drżały, jakby chorowała na parkinsona. Z trudem utrzymała szklankę. Popiła tabletki i znów kołysała się rytmicznie w fotelu.

Klemens z westchnieniem przykrył ją kocem.

– Prześpij się – powiedział i wyszedł do kuchni.

5

Dorota Bracka kopnęła wiaderko. Spieniona woda popłynęła na świeżo umytą podłogę.

– No i gdzie to stawiasz, kurwa? – zapytała. – Na środku?! Przejść nie można.

Kalina wymamrotała pod nosem obelgę i odwróciła się do szefowej. Wysokie szpilki dodawały jej piętnastu centymetrów, a gruba warstwa fluidu ukrywała worki pod oczami, ale Kalina wiedziała, że szefowa miała ciężką noc. Recepcjonistka Agnieszka powiedziała jej, że Dariusz Brzozowski dopiero wieczorem opuścił hotel.

Bracka powinna tryskać humorem, ale wyglądała na wyjątkowo wściekłą. Kok na jej głowie oklapł, a plisowana bluzka była wymięta, jakby Bracka dopiero wyjęła ją z pralki.

– Przepraszam.

– Przepraszam, przepraszam. Ciągłe tylko przepraszasz! Za robotę byś się wzięła, a nie snujesz się po hotelu i wszystkim przeszkadzasz. – Bracka wymierzyła palec w podłogę. – Zmyj to.

Pokojówka kiwnęła głową i przyklęknęła, by zetrzeć nadmiar wody. Odcisnęła szmatę i powtórzyła czynność.

– Znowu te kundle – rzuciła Bracka, wyglądając przez okno. – Węszą i węszą jak psy myśliwskie. A najgorsza ta pyskata suka, która lata z nosem przy ziemi.

Drzwi do hotelowego holu otworzyły się, a Dorota przywołała na twarz profesjonalny uśmiech.

– Dzień dobry.

– No nie wiem, czy taki dobry – rzuciła Rudnicka. – Mamy do pogadania. I uprzedzam, że rozmowa do najprzyjemniejszych należała nie będzie.

– W jakiej sprawie?

– Tej samej.

– Dobrze, proszę.

Właścicielka zaprowadziła policjantów do dawnej restauracji. Dzisiaj większość krzeseł była zajęta. Goście z autokaru spożywali posiłek nieświadomi, jak to miejsce wyglądało jeszcze niedawno.

Marcel usiadł naprzeciwko Doroty.

– Dariusz Brzozowski – powiedziała Lena, stając obok.

Pokryte narzutami krzesła nie zachęcały do siadania. Rudnicka miała w pamięci poprzedni obraz zżółkniętych krzesłek i lepkiej ceraty, którą teraz zastąpiły pluszowe poduszki i białe obrusy.

– Nie rozumiem.

– Doskonale rozumiesz.

– Chodzi o to, że... – podjął Wolski.

– Że się z nim pukasz – dokończyła Rudnicka, krzyżując ramiona. – Czekam na wyjaśnienia.

– Ale... Ja...

– Nie ściemniaj.

Dorota wbiła wzrok w splecione na stole dłonie.

– Dobrze – powiedziała z ciężkim westchnieniem. – Przyznaję, miałam romans z Darkiem.

– Spóźniłaś się z tą rewelacją, pogadałam już sobie z Brzozowskim. Co robiłaś wczoraj między dwudziestą drugą a północą?

– Byłam... – Bracka zawiesiła głos. Na jej czole pojawiła się zmarszczka, jakby rozrysowywała tabelkę „za” i „przeciw”: czy udzielić prawdziwej odpowiedzi, czy brnąć w kłamstwa. W końcu odsapnęła głośno. – Byłam na Piotrkowskiej.

– Ciekawe, bo Brzozowski twierdzi, że byliście w hotelu.

– Byliśmy – przyznała. – Gdy odjechał, zamówiłam taksówkę i wybrałam się do baru.

– Jakiego?

– Do Mety – odparła. – Wypiłam parę drinków i wróciłam około drugiej w nocy.

Sprawdzenie alibi Brackiej to pestka. Kamery miejskiego monitoringu szybko pokażą, czy mówi prawdę. A jeśli okaże się, że tak, cały plan, jaki Lena ułożyła w drodze do hotelu, legnie w gruzach.

– Sprawdzimy to – zapewnił Marcel.

– Dlaczego wcześniej nie pochwaliłaś się romanssem z przyjacielem męża? – podjęła Rudnicka.

– Spotykałam się z Darkiem, ale to nie miało żadnego związku z Klemensem.

– Co ty pieprzysz?! – huknęła komisarz. – Do cholery, twój mąż obracał na boku dwie panny, a ty zabawiałaś się z jego najlepszym kumplem i mówisz, że to nie miało związku?!

Dorota wystraszona odsunęła krzesło, a kilka głów odwróciło się w ich stronę. Starsza pani szepnęła coś do swojej koleżanki, która pokiwała głową

ze zrozumieniem.

Marcel ściągnął łopatki i wyprostował plecy. Obawiał się, że jedno niefortunne zdanie wypowiedziane przez Dorotę Bracką okaże się kamykiem, który wywoła lawinę złości komisarz. Od rana zapowiadało się na burzę. Lena oddychała ciężko. Materiał jasnego T-shirtu unosił się w górę i w dół, ale zdawało się, że wybuch był tylko chwilową utratą kontroli. Komisarz poprawiła marynarkę i wsunęła dłonie do kieszeni.

– Przystań mataczyć – powiedziała.

– To naprawdę nie miało związku – zapewniła Bracka. – Z Darkiem łączyły mnie jednonocne spotkania, to wszystko.

– Dlaczego wcześniej zataiłaś to przed nami?

– Stawiałoby mnie to w niekorzystnym świetle.

– Uwierz, że teraz światło zamienia się w reflektor świecący prosto na ciebie i twojego kochanka.

– Czy wie pani o śmierci Michaliny Kowalskiej? – zapytał Wolski.

Bracka wyglądała, jakby sierżant wylał na nią wiadro zimnej wody. Wzdrygnęła się i potarła ramiona.

– Słyszałam.

– Wiesz, jak widzę tę sprawę? – burknęła Lena. – Najpierw pozbyłaś się męża, a potem Michaliny.

Klemens przekazał Michalinie pieniądze, z czym żona nie mogła się pogodzić, więc postanowiła zabić oboje. To jedyna teoria, jaka przyszła Marcelowi do głowy. Jeśli jednak alibi Brackiej się potwierdzi, okaże się kolejnym błędnym tropem.

– Dlaczego miałabym zabijać Michalinę? – zapytała Dorota.

– Bo miała dziecko z twoim mężem? – odparła Lena z zaciętą miną. Obeszła stolik i nachyliła się do Doroty. Właścicielka hotelu chciała cofnąć krzesło, ale komisarz zablokowała ten ruch, przytrzymując butem metalową nogę.

– Wiedziałaś, że Klemens ma dziecko z Michaliną? – zapytała.

– Tak.

– Więc masz motyw.

– Alibi też mam.

– Dopóki go nie sprawdzę, gówna masz.

– Na pewno nagrały mnie kamery!

– Pojedziesz grzecznie na komendę i oddasz swoje drogocenne linie papilarne.

Dorota zacisnęła usta.

– Pokłóciliście się z mężem o syna Michaliny? – zapytał Marcel, posyłając Lenie uspokajające spojrzenie. Podziałało, bo odsunęła się od Doroty i zatoczyła kolejne kółko wokół stolika.

– Tak, przyznał się, że zrobił jej bachora – odparła. – Wściekłam się i wyrzuciłam go z domu.

– Dlaczego nie powiedziała pani tego wcześniej?

– Bałam się, że będziecie mnie podejrzewać.

Lena prychnęła.

– Wiedziała pani, że Klemens chciał zapłacić Michalinie za zrzeczenie się praw? – podjął Marcel.

Dorota spięła wszystkie mięśnie i nerwowo potarła nos, jakby brała udział w teleturnieju i udzielała odpowiedzi na pytanie o najwyższą stawkę.

– Coś wspominał – mruknęła.

– A co konkretnie? – spytała Rudnicka.

– Kiedyś rzucił taki pomysł, ale mu zabroniłam, sądziłam, że mnie posłuchał.

Gdy Bracka dowiedziała się, że mąż podjął z banku sto tysięcy, wydawała się zaskoczona. I nic dziwnego, pomyślała Lena. Pewnie nie pierwszy raz mąż działał wbrew jej zaleceniom.

– Dlaczego, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziała pani, że chciała zostać matką? – zapytał Marcel.

– Nie wiem. – Bracka wzruszyła ramionami. – Nie wiedziałam, że to się wyda.

– Wciskałaś nam bajeczkę o bezpłodności – stwierdziła Lena. – Po co? Słucham.

– Skąd miałam wiedzieć, że ktoś zabije tę Kowalską. Pokojówka słyszała naszą kłótnię, pomyślałam więc, że wymyślę to kłamstwo, żeby...

– Żeby przedstawić siebie jako pokrzywdzoną?

– Inaczej uznalibyście, że miałam motyw, aby zabić Klemensa.

Historia zatoczyła koło.

– Zdrada to dobry motyw – skwitowała Lena. – A kasa? Klemens chciał jej zapłacić sto tysięcy. Wkurzało cię, że mąż zmarnuje pieniądze na jakiegoś dzieciaka?

– On się uparł i nie trafiały do niego żadne racjonalne argumenty. Byłam wściekła! Kupowanie dziecka jest nielegalne!

Lena skwitowała to kpiącym śmiechem, a Bracka spurpurowiała. Dała się sprowokować.

– Byłaś wściekła, bo myślałaś, że Michalina ma pieniądze Klemensa – stwierdziła komisarz. – Ona twierdziła, że ich nie ma, a ty uważałaś, że kłamie,

więc ją zabiłaś. Tylko sęk w tym, że ona naprawdę ich nie miała, bo zabrał je twój luby i przewalił na grę w kasynie.

Dorota wybałuszyła oczy. Najwyraźniej fakt, że w jedną noc stracił sto tysięcy należące do Chmielnego, nie przeszkodził Brzozowskiemu w sypianiu z żoną przyjaciela. Rudnicka właściwie nie spodziewała się niczego innego.

– Nie... Mam alibi. Sprawdźcie monitoring.

Komisarz wyjęła komórkę i odeszła na bok. Marcel przypuszczał, że dzwoni po patrol, by zabrali Dorotę na komendę. Przez chwilę jej współczuł. Taka kobieta nie odnajdzie się w areszcie śledczym.

– A księga gości? – zagadnął. – Pani wyrwała stronę?

Bracka przełknęła ślinę i pokiwała głową.

– Błahostka – odparła. – Głupi wygłup.

– Proszę rozwinąć.

– Dariusz zostawił żartobliwy wpis w książce, ale wyrwałam tę cholerną kartkę, gdy dowiedziałam się o śmierci Klemensa. Bałam się, że mój romans wyjdzie na jaw...

Wolski westchnął. Gdyby Bracka od początku mówiła prawdę, znacznie ułatwiłaby im pracę. I może udałoby się zapobiec śmierci Michaliny? Tymczasem stracili kupę czasu, kręcąc się w kółko.

Policyjna kia pojawiła się zaledwie dziesięć minut później. Spokój Doroty Brackiej zaskoczył Lenę. Sądziła, że żona Chmielnego rozpęta awanturę, będzie krzyczała, że nie mają podstaw, by ją zatrzymać. A ona po prostu wsiadła do radiowozu i odjechała.

Albo miała pewność co do swego alibi i rzeczywiście nie ma nic wspólnego ze śmiercią Michaliny i męża, albo pogodziła się z własną porażką.

Lena obstawiała pierwszą ewentualność. Monitoring to najlepsze zabezpieczenie. Nie do podważenia. A tego Bracka zapewne jest świadoma. Dopóki jednak chłopaki nie sprawdzą monitoringu z Piotrkowskiej i z baru, muszą traktować Bracką jako podejrzaną i pobrać od niej odciski palców.

Policjanci popatrzyli za odjeżdżającym radiowozem. Wolski odwrócił się w stronę komisarz, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo przez parking przybiegła do nich Kalina Michalska.

– Pani komisarz! – zawołała zdyszana.

Rudnicka spojrzała przez ramię, unosząc brwi.

– Czekałam, żeby z panią porozmawiać – dodała Kalina, łapiąc oddech. Poklepała materiał spódnicy i uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Co tu się dzieje? – spytała. – Szefową zabrała policja?

– Rutynowe działania – burknęła Rudnicka.

Pokojówka nie wyglądała na przekonaną, ale najwyraźniej zatrzymanie Brackiej wprawiło ją w dobry humor, bo po chwili namysłu nachyliła się do policjantów.

– Nie wiem, czy powinnam mówić – szepnęła. – Ale wczoraj siedziałam na ławeczce z tyłu hotelu i widziałam Karola Warskiego, naszego dozorcę.

Lena milczała, czekając na więcej.

– Nie było go w pracy – ciągnęła nieco głośniej Kalina. – A potem nagle zakrada się w ogrodzie?

– Zakrada? – podjął Wolski.

– No, nie dosłownie. Powiedziałabym, że uciekał, ale wyglądało tak, jakby nie chciał, żeby ktoś go zobaczył. Pomyślałam, że powinniście wiedzieć.

– Skąd wniosek, że uciekał?

– Był ubrany w czarną kurtkę, a na głowie miał kaptur i prawie biegł. Jak przestępca.

– Biegł czy prawie biegł? – uściśliła Rudnicka.

– Szedł szybszym krokiem – odparła Kalina nieco skonsternowana. Oczekiwała, że komisarz ucieszy ta informacją, ale policjantka wyglądała na obojętną.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie – zaprzeczyła pokojówka. – Wystraszyłam się.

– Czego?

– No, Karola – odparła. – To było dziwne.

– O której godzinie widziała pani Warskiego? – spytał Marcel.

– O dziewiętnastej czterdzieści. Na dworze robiła się szarówka.

Komisarz zmrużyła oczy. Nagłe pojawienie się dozorcę rzeczywiście było podejrzane. Cały dzień nie zjawiał się w pracy i nagle przychodzi wieczorem? Dlaczego? Do kogo?

6

Rudnicka usiadła za biurkiem, wyciągnęła fiolkę z lekami i połknęła dwie pigułki. Czowała, jak tabletki powoli przesuwiają się do żołądka. Jeszcze chwila, pomyślała, a zapewnią przyjemne otepienie.

Mimowolnie dotknęła obolałego brzucha. Rankiem wyglądał znacznie gorzej, niż gdy kładła się spać. Zaczerwienienia zamieniły się w fioletowe plamy, a stłuczone żebra paliły pod skórą. Pomyślała, że niedługo ciało pokryje zgniłozielony kolor, i poczuła obrzydzenie do samej siebie. Ten odstręczający widok będzie jej towarzyszył przez najbliższy tydzień.

Czowała się jak naznaczona.

Zakręciła butelkę pepsi i odstawiła na bok. W jej głowie panował kompletny chaos, jakby wszystkie myśli połączyły się w jeden kłębek różnokolorowych nici.

Poruszyła barkiem. Wystarczyła chwila. Kilka minut i nic nie czowała. Pojawiła się przyjemna obojętność; frustracja uleciała daleko, a na ciało spłynęło cudowne rozluźnienie. Przemknęło jej przez myśl, że wzięła za dużą dawkę naraz, ale było jej tak dobrze, że nie miała zamiaru się tym przejmować.

Wstała i zaparzyła dwie kawy w ogromnych kubkach. Kiedy wyłączyła ekspres, Wolski wszedł do pokoju i zajął miejsce przy biurku. Podała mu kubek i usiadła na blacie.

W milczeniu upił łyk. Wyczuła papierosową woń, która unosiła się wokół Wolskiego niczym podążająca za nim chmura. Zapach papierosów zmieszał się z aromatem mocnych, męskich perfum. Rudnicka rozpoznała nutę kardamonu i bukietu drzewnego. Poczuła coś dziwnego w dole brzucha. Podobał jej się ten zapach, ale zdawało się, że zupełnie nie pasuje do chłopięcego uroku sierżanta. Podobnie jak nie pasował do niego dyndający przy boku pistolet i wybrana profesja. Wolski wyglądał niewinnie, ale w jego twarzy odnajdywała coś urzekającego i charyzmatycznego.

Uniósł głowę i przez chwilę mierzył się wzrokiem.

– Za dużo palisz – stwierdziła.

– A ty za bardzo się denerwujesz.

Wydęła usta. Nie zamierzała polemizować.

– Nie masz nic na swoją obronę? – spytał.

– Pokłady labilności emocjonalnej.
– Niestety, pani psycholog, ale nie mam pojęcia, co to znaczy.
– Najogólniej mówiąc, termin oznacza zmiany nastroju – wyjaśniła. – Łatwe przechodzenie od skrajności do skrajności. Od wesołości do gniewu, i na odwrót. Tak zwana niestabilność emocjonalna.
– Mhm – mruknął. – W takim razie słowo „labilna” idealnie odzwierciedla twój charakter.
– To zaburzenie psychiczne, Marcel.
Odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy.
– W moim przypadku niezdiagnozowane – dodała, nie otwierając powiek.
– To dobrze, bo już zacząłem się martwić.
– Że pracujesz z wariatką?
– Tego akurat jestem pewien.
Mruknęła coś, a gdy ponownie na niego spojrzała, drgnęły kąciki jej ust. Nie przywołała na twarz pełnego uśmiechu, ale w jej oczach dostrzegł rozbawienie. Nie miał pojęcia dlaczego, ale ucieszył go ten fakt.
– Napominam cię, sierżancie.
Ocknął się, potrząsając głową.
– Słucham?
– Zapytałam cię o coś.
– Przepraszam, zamyśliłem się.
– Ciekawe nad czym.
Nie odpowiedział.
– Pytałam, co sądzisz o zniknięciu dozorca.
– Od kiedy moje zdanie ma jakiegokolwiek znaczenie?
– Nie odpowiada się pytaniem na pytanie.
– Sądziłem, że to, co do ciebie mówię, przelatuje przez twoje uszy i wypada z drugiej strony.
– To prawda, ale teraz pytam serio.
Zagryzł wargę.
– Nie wiem – odparł.
Spojrzała na niego spode łba i zeskoczyła z blatu.
– Jesteś beznadziejnym partnerem – oświadczyła.
– Dopiero się uczę.
– I do tego pyskatym – ucięła.
– Biorę przykład z góry.
– Nie radziłabym.

Spodziewał się, że Rudnicka zaraz się roześmieje, ale ona usiadła za biurkiem, potarła ramię i wbiła w niego poważny wzrok.

– Wkurza mnie ten Warski – powiedziała. – Rozmawiałam z Ernestem i znowu nie zastali go w mieszkaniu. Pieprzony odźwierny ewidentnie się przyczaił. Może wysłę za nim list gończy.

Do wysłania listu gończego raczej nie mieli podstaw, ale Rudnicka zdawała się naprawdę rozważać tę możliwość.

– Lena? – Prokurator zjawił się w gabinecie, ściskając w ręce telefon. – Dziennikarze proszą o komentarz w sprawie.

– Wciśnij im coś.

Krzysztof wszedł głębiej, obrzucając Marcela karcącym wzrokiem. Wolski pomyślał, że gdyby byli sami, Nawrocki pewnie splunąłby mu w twarz.

– Przygotowałem się na walkę w obronie wolności dziennikarskiej, którą prowadzimy zawsze, gdy media zaczynają interesować się śledztwem.

– Mam to gdzieś – odparła Rudnicka, uchylając okno.

Krzysztof zmarszczył brwi. Żona rzadko wpuszczała do pomieszczeń świeże powietrze. Po ostatniej sprawie, gdy kula przeszła jej ramię, miewała dziwne lęki związane z przebywaniem w otwartej przestrzeni, i zaczęła zamykać się w ciasnych, dusznych klatkach.

– Możemy porozmawiać? – spytał.

– Jestem zajęta.

– Czym?

Rozejrzał się po pokoju i rozłożył ręce. Chciał wyjaśnić wczorajsze zajście, ale jak na złość w jego dłoni rozdzwonił się telefon. Uśmiechnął się przepaszająco.

– Okej, wpadnę za chwilę – dodał, znikając w korytarzu.

– Kłopoty małżeńskie? – zapytał Wolski niby od niechcienia.

– Nie twój zasrany interes.

Marcel uznał, że najwyższy czas zadać pytanie, które dręczyło go od rana. Odchrząknął.

– Powiedziałaś mu o nas?

– O nas? – Uniosła brwi.

– Wiesz, co mam na myśli.

– To ciekawe – stwierdziła i ciężko opadła na fotel.

– Co jest ciekawe?

– To, że jeszcze wczoraj byłeś gotowy wsadzić mnie w samolot i wysłać do samego Watykanu na umoralniającą katechezę. Albo posłać na pielgrzymkę do Lichenia w celu odkupienia mojej odartej z uczuć duszy, a potem zorganizować

odnowienie przysięgi małżeńskiej. Tymczasem teraz martwisz się, że prokurator w szale zazdrości rozbije ci czaszkę.

Milczał.

– Nie, nie powiedziałam – odparła. – I nie powiem. Mamy ważniejsze sprawy.

Odetchnął. Zbyt głośno, co komisarz skitowała pobłażliwym uśmiechem.

– Sprawą zainteresowały się media – zauważył Marcel, zmieniając niewygodny temat. – Podwójne morderstwo przykuwa uwagę. W lokalnych wiadomościach mówiono już o Chmielnym, a gdy doszła Michalina, temat stał się jeszcze bardziej nośny.

– Nośna to może być ściana, a nie morderstwo. Żurnaliści nadmuchają balon, a my zaraz będziemy się opędząć od przypadkowych świadków morderstwa, gotowych zrobić wszystko, żeby zaistnieć w telewizji. I – upiła łyk pepsi – co gorsza, zaroi się od samozwańczych ekspertów, wypowiadających swoje zakichane teorie w studiach telewizyjnych, niby mimochodem wytykających błędy organów ścigania. A nie daj Boże, żeby wtrącił się jakiś popapraniec zwany prywatnym detektywem. Wtedy dotrzemy na krawędź zjawiska o nazwie kolidowania dwóch przeciwnych biegunów.

– Nie ma takiego zjawiska. W przypadku...

– Kiedyś przyszło mi rywalizować z takim jednym detektywem. Uparty był, przyjął wyzwanie. Zgadnij, kto wygrał ten nierówny wyścig?

– Chyba nie muszę odpowiadać.

– Ten młotek szedł po linii najmniejszego oporu, a i tak nóżka mu się powinęła. Jakim to trzeba być idiotą? Gdyby mnie płacili tysiąka za dzień pracy, przedłużałabym śledztwo w nieskończoność.

– Znając twój charakter, sądzę, że byłoby to niemożliwe.

– Mniejsza z tym. – Machnęła ręką.

– Więc co z mediami?

– Wciśniemy im bajeczkę o prowadzonym dwutorowo śledztwie, rozbieżności tropów, takie tam.

– A może powinnaś powiedzieć im prawdę, że do tej pory nie znaleźliśmy sprawcy?

– Hola, hola. – Pokazała na niego. – Nie zapędzaj się, młody.

Marcel przewrócił oczami.

– Ile dzieli nas stopni policyjnych, sierżancie?

– Nie wiem – odparł. – Parę.

– Sześć. Jak pójdiesz na szkołę oficerską, to pogadamy – powiedziała. – Ale biorąc pod lupę twoją karierę, to szybko nie nastąpi.

– Jedna gwiazda na komendzie wystarczy. Świeci tak jasno, że oślepnąć można.
– Wyczuwam zazdrość, ale to dobrze. Warto mieć idoli. – Westchnęła. – A teraz zabieraj się stąd, bo czeka mnie emocjonująca rozmowa z moim ślubnym.

Marcel oczami wyobraźni zobaczył obrazek niedzielnego poranka w łofcie na Księżym Młynie. Nawrocki i Lena jedzą śniadanie, popijając świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym, i rozmawiają cali w uśmiechach.

– Głuchy jesteś?

Coś w tym obrazku nie grało. Był jakiś element, który nie pasował. Jakaś rysa. Jaka?

Chciał z nią o tym porozmawiać, ale podniósł się z krzesła i z kubkiem kawy w ręce przeszedł na korytarz, w progu mijając się z prokuratorem.

Krzysztof zamknął za sobą drzwi i przez kilka długich minut przyglądał się żonie w milczeniu. Nie znajdował w głowie słów, jakimi mógłby usprawiedliwić swoje wczorajsze zachowanie. Nie ma takich słów, uznał. Nic go nie usprawiedliwiało. Lena powinna dać mu w twarz i wyjść, a po drodze zahaczyć o adwokata, by złożyć pozew rozwodowy.

Mimo to gdy stanęła przed nim, nie wyczuł wrogości, ale rezygnację, jakby już dawno pogodziła się z losem.

– Rano nie mieliśmy okazji porozmawiać – zaczął, zerkając na skaleczenie szpecące jej łuk brwiowy.

Kiwnęła głową. Dokładnie wiedziała, co zaraz usłyszy. Krzysztof zgodnie ze starym zwyczajem będzie zapewniał, że taka sytuacja więcej się nie powtórzy. Powie, że znowu stracił kontrolę, ale bardzo ją kocha i to wszystko jego wina. I za każdym razem sprawiał wrażenie, jakby głęboko wierzył w swoje obietnice. Wyglądało na to, że gdy w jego krwi nie hulały procenty, naprawdę w to wierzył.

– Doszło wczoraj do nieporozumienia – zaczął.

– Delikatnie powiedziane.

– Przepraszam, kochanie. Ta sprzeczka była niepotrzebna.

Sprzeczka, finezyjne określenie idealnie odzwierciedlało sposób rozumowania Krzysztofa. Nawet w myślach nie nazywał sprzeczki biciem własnej żony.

– Nie potrzebuję twoich przeprosin.

– To się już nigdy więcej nie powtórzy.

– Tak, wiem.

Lena pozwoliła sobie na ciche stęknienie. Nie chciała tego słuchać.

– Wczoraj... – zaczął, rozmasowując kark. – Źle zinterpretowałem niektóre fakty...

– Jasne.

Uniósł dłoń, jakby chciał pogłaskać ją po twarzy, ale się zawahał. Lena odchyliła głowę, dając do zrozumienia, że kontakt fizyczny jest źle widziany. Zrezygnowany opuścił rękę.

Na chwilę ogarnęło ją współczucie. Krzysztof nie radził sobie ze swoim problemem, ale za żadne skarby nie chciał zgodzić się na wizytę u specjalisty. Przecież istnieją środki farmakologiczne, które mogłyby mu pomóc, ale on pozostawał głuchy na wszelkie sugestie, jakby wstyd przesłaniał mu logiczne myślenie.

Kiedyś Lena przeczesła internet w poszukiwaniu informacji o problemie Krzysztofa. Przyczyn impotencji może być wiele – bez specjalistycznych badań diagnoza pozostawała w sferze domysłów. Nie potrafiła do niego dotrzeć. A może nie chciała? Może obecna sytuacja wcale jej nie przeszkadzała?

– Ja naprawdę nie chciałem – wyszeptał.

W jego oczach dostrzegła żal.

– Nie chcę o tym rozmawiać – ucięła. – Mów lepiej, o co chodzi z tymi dziennikarzami.

Krzysztof rozpiął guzik marynarki i usiadł na brzegu biurka.

– Wysłałem rzecznik – odparł. – Ale Ostrowski od rana chodzi nabuzowany. Przebąkiwał o powiększeniu zespołu.

– Co? Żartujesz sobie? Ostrowski chce mi wcisnąć jakichś żółtodziobów?

– Twierdzi, że policja powinna przyspieszyć tempo. Wiesz, jaki jest... Najchętniej sam wyszedłby przed kamery i brylował na szklanym ekranie.

Fakt, pomyślała. Naczelnik minął się z powołaniem i zdecydowanie bardziej pasowała do niego rola celebryty aniżeli funkcjonariusza policji.

Istniała jednak uzasadniona obawa, że Ostrowski weźmie sprawy w swoje ręce i wmiesza się w śledztwo, na co Lena nie mogła pozwolić. Naczelnik nadawał się do wypełniania dokumentów, ale nie do pracy w terenie.

– Przekonaj go, żeby dał nam parę dni.

– Spróbuję – zapewnił i dodał: – Rozmawiałem z Tymonem.

– Mów.

– Dorota Bracka nagrała się na monitoringu. Ma alibi.

– Szlag.

– Liz pobrała od niej odciski, więc niedługo powinna przyjść z wynikami.

– Nie pokryją się – zawyrokowała Lena. – Na ciele Michaliny nie znaleźliśmy odcisków, ale skoro Bracka ma alibi na czas śmierci Kowalskiej, to nie ona zamordowała Klemensa.

– Uważasz, że to ten sam sprawca?

– Tak – odparła z przekonaniem.

– Poczekajmy na wyniki.

W niektórych aspektach Krzysztof przypominał Ostrowskiego. Oboje musieli mieć wszystko oficjalnie, na papierze. Nie dopuszczali żadnych domysłów i hipotez, dopóki dana rzecz nie została potwierdzona.

– Znaleźliśmy byłego chłopaka Michaliny – kontynuował. – Pracuje w kasynie przy Piłsudskiego. Nazywa się Igor Bednarczyk. Dziewczyna wyglądała na samotniczkę, nie miała rodziny. Matka zmarła parę lat temu, ojciec nieznany, więc ten chłopak to nasz jedyny trop.

Lena zmrużyła oczy.

– Okej – odparła, wyjmując telefon. – Niech Ernest popyta sąsiadów Michaliny. Może ktoś coś widział.

Krzysztof skinął głową i ruszył do drzwi, zatrzymał się jednak z dłonią zawieszoną nad klamką.

– Zleciłem obserwację mieszkania dozorczy – oznajmił. – Powinniśmy znaleźć go jak najszybciej.

7

Karol Warski zaklął pod nosem i napił się chłodnego piwa. Dorzucił pustą puszkę do pozostałych opróżnionych i odsunął lornetkę od oczu. Wstał z fotela i ruszył do toalety. Moczopędne piwo zaczynało go denerwować. Powinien zejść na dół po flaszkę czystej, ale odłożył zakup na później. Teraz trwało przedstawienie i nie chciał przeoczyć żadnego szczegółu.

Przyłożył lornetkę z powrotem, ale zaczęła się przerwa na reklamy. Obiekt zniknął w pokoju, do którego Karol nie miał dostępu. Cóż. Trzeba uzbroić się w cierpliwość. A tej miał dużo, w końcu czekał wiele miesięcy. Już niedługo, pomyślał.

Otworzył kolejnego harnasia i zerknął pod zawleczkę. Jak pech, to pech, jeszcze nigdy nie udało mu się wygrać darmowego piwa. Ale! Kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma szczęście w miłości!

Jego wzrok spoczął na dokumencie leżącym na małym stoliku. Czuł, że z serca spadł mu wielki kamień, ciągnący go w przepaść. Teraz los się odwróci i ta suka pożałuje swoich czynów. Udaje damę, ale tak naprawdę jest zwykłą puszczałką dziwką. Uśmiechnął się w duchu, że już nie będzie musiał znosić jej pogardliwych spojrzeń. Nie szanowała go, bo był zwykłym dozorcą. Praca w obskurnym hotelu pozbawiła go poczucia własnej wartości, ale to się zmieni. Pieprzona tapeciara! Wyprostował się gwałtownie. Co on wygaduje? Przecież ją kocha. Nie powinno się mówić, a nawet myśleć źle o ukochanej!

Wyjął kupiony na bazarze telefon i sprawdził godzinę. Coś długo jej schodzi, pomyślał. Co ona tyle czasu robi w tym pokoju? Co tam jest? Salon i kuchnię ma od południowej strony, więc pewnie tajemnicze pomieszczenie to jej sypialnia. Może poszła spać? Znowu zerknął na zegarek. Nie. Nigdy nie chodziła spać o tej porze.

Przyłożył lornetkę. Wyszła!

8

Lenie zaburczało w brzuchu. Zdała sobie sprawę, że od kolacji u Milewskich nie miała w ustach nic oprócz tabletek oksykodonu. Skurczony żołądek głośno dopominał się o coś bardziej treściwego.

– Podaj mi batona – poleciła, zatrzymując się na światłach.

Wolski otworzył samochodowy schowek.

– Możesz się poczęstować – dodała.

– Okradłaś sklep? – zapytał na widok stosu snickersów. Doliczył się ze trzydziestu sztuk w różnych wariantach smakowych.

– Mój ulubiony to ten z masłem orzechowym – powiedziała, zajeżdżając drogę srebrnemu fordowi. Kierowca przyhamował w ostatnim momencie.

Marcel odszukał pomarańczowy papierek, odwinął go i podał komisarz, która od razu wsadziła orzechowy kwadracik do ust. Wyglądała jak chomik, który nabrał w policzki za dużo ziarna.

Wolski ugryzł batona i odchylił głowę na zagłówek.

– Skoro Warski nie pojawił się w pracy, sądzisz, że natkniemy się na niego w mieszkaniu? – spytał. – Sąsiadka nie widziała go od kilku tygodni.

– Zobaczymy – mruknęła, uporawszy się z nadmiarem czekolady w ustach. Po chwili włożyła drugi kawałek i szybko pogryzła. – Ale gdzieś musi spać, nie? Więc pomysł z rozstawieniem punktów obserwacyjnych, chociaż wyszedł od Krzysztofa, uznaję za trafiony.

Pierwszy raz Lena wypowiedziała imię męża. Marcel zastanawiał się, jak to interpretować.

– Trudno stwierdzić, czy Warski jest zamieszany w sprawę – dodała. – Ale trzeba przyznać, że jego zachowanie jest co najmniej podejrzane.

Lena była pewna, że wszyscy policjanci z drogówki znają jej samochód, albo wierzyła, że policyjna legitymacja uchroni ją przed mandatem. Trąbiąc na przechodniów, wjechała na chodnik i zaparkowała przed wejściem do kasyna. Matka pchająca przed sobą dziecięcy wózek posłała jej oburzone spojrzenie.

– Ach, te mamuśki – burknęła Lena i stanęła przed Marcelem z wyciągniętą ręką. Od razu się domyślił, o co chodzi, i podał jej paczkę westów.

– Nie chcę być odpowiedzialny za twój powrót do nałogu – powiedział, przypalając jej papierosa.

– Za późno – skwitowała i kolejny raz obiecała sobie, że po zakończeniu śledztwa nie sięgnie po nikotynę.

Wypaliwszy papierosy, skierowali się do kasyna. Powitał ich atletyczny mężczyzna o naburmuszonej twarzy. Policyjna legitymacja nie zrobiła na nim wrażenia. Stał na szeroko rozstawionych nogach, a dzięki swoim potężnym barkom wyglądał jak zawodnik wagi ciężkiej.

– Szukam Igora Bednarczyka – odezwała się komisarz.

Mężczyzna dokonał szybkiej analizy sytuacji i równie szybko doszedł do wniosku, że wchodzenie w jakąkolwiek polemikę nie ma sensu. Zszedł im z drogi.

Za dnia w kasynie niewiele się zmieniło. Lena zauważyła jedynie, że niektóre światła migocą mniej jasno niż ostatnim razem, mniej było też kelnerów roznoszących kolorowe drinki. Pomimo tego znalazła się grupa zapalonych graczy, siedzących przy maszynach. Pomieszczenie wypełniał specyficzny dźwięk automatów do gier, a głośne plink-plink zdawało się dochodzić z każdej strony.

– Bednar, ktoś do ciebie! – zawołał ochroniarz, zostawiwszy policjantów przy barze.

Marcel rozejrzał się dookoła i nabrał ochoty na szybką grę. Może znowu dopisze mu szczęście? Zwalczył jednak pokusę i usiadł na barowym stołku.

– Patrycja? Co tutaj robisz?

Lena odwróciła się, zgarniając zaskoczone spojrzenie Wolskiego. Były Michaliny Kowalskiej okazał się ochroniarzem, z którym komisarz rozmawiała minionej nocy. Uśmiechnęła się do niego, na co Marcel zmarszczył brwi.

– Cześć – rzuciła. – Musimy pogadać.

– No jasne – odparł Igor. – O czym?

Wydawał się jeszcze potężniej zbudowany niż jego kolega. Ważył ze sto kilo i zapewne cały swój wolny czas spędzał na siłowni; rękawy krótkiego podkoszulka ciasno opinały okazałe bicepsy.

– Michalina Kowalska.

– Michalina? Nie rozumiem. Co z nią?

– Nie żyje.

– Michalina nie żyje? – Bednarczyk z niedowierzaniem zmrużył oczy.

– Została zamordowana – dodała Rudnicka.

– Czeka, czekaj. – Igor wystawił dłonie. – Kim ty jesteś?

– Odpowiedź może ci się nie spodobać.

– Policja, Wydział Kryminalny – poinformował Marcel, wstając ze stołka. Potężna sylwetka ochroniarza górowała nad nim, co wprawiało go w zakłopotanie.

– To jakiś żart? – warknął Igor – To dlatego o nią wypytywałaś?

– Nie pochwaliłeś się, że to twoja była.

– Nie pytałaś!

– Muszę dowiedzieć się o niej czegoś więcej – powiedziała Rudnicka. – Prowadzę tę sprawę i...

– Rozstaliśmy się, bo spiknęła się z księgowym.

– Nie spodobało ci się to, co?

– Że mnie zostawiła dla jakiegoś lamusa? No, nie bardzo.

– Mhm – znacząco mruknęła Rudnicka.

Ochroniarz zbladł. Podrapał się w skroń, jakby trybiki w jego umyśle obracały się jak oszalałe, próbując połączyć fakty.

– Co wy sugerujecie? – zapytał niepewnie. – Że ich zabiłem? Powariowaliście?

– Niczego nie sugeruję – zaoponowała komisarz.

– Co pan robił wczoraj około godziny dwudziestej drugiej? – podjął Marcel, poprawiając kurtkę. Zdawało się, że informacja o śmieci byłej dziewczyny zbiła ochroniarza z tropu, dzięki czemu Wolski poczuł się pewniej.

– Byłem w pracy – odparł. – Jak wiecie, mamy monitoring, więc możecie sprawdzić. Kamery rejestrują każdy ruch, więc przestańcie mnie oskarżać.

– Nikt cię nie oskarża...

– A dwa dni temu? – wtrącił Marcel.

– Też. W tym tygodniu mam nocne zmiany. – Z westchnieniem potarł dłonią podbródek. – Nie wierzę, że pomyśleliście, że mógłbym zamordować Michalinę.

Usiadł na stołku, oparł łokcie na blacie, twarz ukrył w dłoniach. Sapnął głośno, jakby wiadomość o śmieci Michaliny dopiero do niego dotarła.

– O nic cię nie oskarżamy – uspokoiła go Rudnicka. – To rutynowe pytania, więc jeśli będziesz na nagraniu, nie masz czym się martwić.

– Jak to się stało? – zapytał Igor, wbijając wzrok w podłogę.

– Nie udzielamy takich informacji, ale możesz nam pomóc znaleźć tego, kto jej to zrobił.

– Pytajcie. Zrobię, co w mojej mocy...

– Opowiedz nam o Michalinie.

– Była skryta – rzekł. – Mało o sobie mówiła. Nie miała żadnej rodziny, bo jej matka zmarła na raka.

- Rodzeństwo? – podsunął Marcel.
- Była jedynaczką. Ojciec ulotnił się, zanim się urodziła, nigdy go nie poznała. Żyły z matką we dwie i nie miały nikogo poza sobą.
- Długo tu pracowała?
- Około roku – odparł Bednarczyk łamiącym się głosem. Przetarł zaszklone oczy i ciągnął: – Byliśmy parą, ale taką... nie do końca. Zresztą, nasz związek trwał raptem dwa miesiące.
- Co to znaczy być parą „nie do końca”?
- Uchodziliśmy za parę, ale Michalina żyła osobno. Nie dzieliła się swoimi sprawami ani problemami. Kryła w sobie jakieś sekrety, o które bałem się zapytać. Nie chciałem jej spłoszyć... Była bardzo delikatna. Myślę, że dobijała ją samotność. Czasem tryskała humorem, a zaraz chodziła przybita.
- Zmieniła się, kiedy poznała Klemensa? – spytała Lena.
- Igor w zamyśleniu skubał zarost. Słuchali odgłosu automatów do gry i pomruków mniej lub bardziej zadowolonych klientów.
- Nie wiem – przyznał w końcu. – Poznali się któregoś wieczoru, kiedy Michalina roznosiła drinki. Rozmawiali, potem gość zaczął przychodzić częściej, ale rzadko grał. Jego kumpel przegrywał kasę, a księgowy siedział i sączył whisky. Wkurzało mnie to, bo wyczałem, że przyłazi popatrzeć na Michalinę. Zauważyłem te ich uśmieszki i spojrzenia.
- Kiedy dowiedziałeś się o ich związku?
- Byliśmy ze sobą dwa miesiące, kiedy Michalina ze mną zerwała. Nie podała powodu.
- Zerwała przez przyczyny?
- Ochroniarz zaśmiał się gorzko.
- Oznajmiła, że nie pasujemy do siebie, ale wiedziałem, że to wina tamtego gnoja.
- Wkurzyło cię to?
- A nie? – spytał. – Każdy by się zdenerwował. Któregoś wieczoru jego kumpel grał, a księgowy wyszedł na zewnątrz, więc poszedłem za nim i trochę się pokłóciliśmy.
- Lena przyjrzała się Igorowi. Przypominał wielkiego niedźwiedzia o gołębim sercu. W rzeczywistości za fasadą twardych mięśni krył się dobry człowiek.
- Kazałem mu odczepić się od mojej dziewczyny – ciągnął. – Mówiłem, żeby się tu więcej nie pokazywał, ale nie posłuchał.
- Groziłeś mu? – spytała Rudnicka.
- Nie... No... Nie.

– Czyli groziłeś.

– Zagroziłem, że go uszkodzę, jeśli się od niej nie odczepi, ale i tak przyłąził do kasyna, a Michalina skakała koło niego jak nastolatka. Nic mu nie zrobiłem. Odsiedziałem swoje za młodu i nie miałem zamiaru wracać do pierdła.

– Kiedy ostatni raz widziałeś Michalinę?

– Dawno. Krótco po tym, jak poznała księgowego, odeszła z pracy. Spotkaliśmy się przypadkiem na ulicy. Była już w zaawansowanej ciąży. Może trzy albo cztery miesiące temu, nie wiem, trudno powiedzieć.

– Jak się poczułeś, gdy zobaczyłeś ją z brzuchem?

– Normalnie. – Bednarczyk wzruszył ramionami.

– Nie ruszyło cię to?

– Nie – odparł. – Nasza historia się skończyła. Zostawiła mnie dla tamtego, więc co mogłem zrobić? Błagać, by wróciła? Mam swój honor.

Rudnicka zeskoczyła z barowego stołka i obeszła ochroniarza dookoła. Zawiść i niechęć do byłej dziewczyny i jej kochanka były dobrym motywem, ale nagrania z monitoringu zapewne potwierdzą alibi Igora. Należało więc go wykluczyć.

– Jakie oceniasz relacje Michaliny z innymi pracownikami? – zapytał Marcel.

Lena posłała sierżantowi pełne aprobaty spojrzenie.

– Pracuje u nas pięć dziewczyn, ale z żadną Michalina się nie kolegowała. Przychodziła do roboty, robiła, co do niej należało, i wychodziła. Poza pracą spotykała się tylko ze mną.

– A może pokłóciła się z kimś?

– Nie sędzę – odparł. – Raczej bym wiedział. Stanowimy zgraną paczkę. Po pracy czasem spotykamy się na grillu albo w barze, ale Michalina nigdy do nas nie dołączyła.

Lena przywołała w pamięci obraz Michaliny Kowalskiej. Czyżby dziewczyna była tak zakochana w Chmielnym, że porzuciła dla niego wszystkich znajomych? A może była samotniczką, która nie potrzebowała towarzystwa.

– Chociaż – zaczął Igor. – Jest coś... Nie wiem, czy to ważne, ale...

Marcel porozumiewawczo zerknął na komisarz.

– Tak? – ponagliła go z ożywieniem.

– Któregoś wieczoru była tu jedna kobieta – powiedział, rozglądając się na boki. Barman wniósł skrzynkę z alkoholem, postawił na ladzie, a potem zniknął na zapleczu. – Paliłem papierosa przed kasynem, a ona podeszła, jakby na mnie czekała. Zagadała o pogodzie, a potem zapytała, czy Michalina wciąż tu pracuje. Zaprzeczyłem, a wtedy poprosiła o jej adres.

– Podałś go?

– Tak – przyznał. – Twierdziła, że jest przyjaciółką Michaliny, mieszka w Szwecji i przyjechała na chwilę do Łodzi, żeby zrobić Michalinie niespodziankę.

– Michalina od dziecka mieszka w tym samym miejscu, a ciebie nie zdziwiło, że jej przyjaciółka nie zna adresu? – Lena zacisnęła usta. Niektórych łatwo podejść. Wystarczy wcisnąć im ckiwają bajeczkę, łykają wszystko.

– Cholera. – Igor zasępił się. – Myślałem, że to naprawdę jej przyjaciółka. Michalina nigdy o niej nie opowiadała, ale była skryta, więc... Jezu... Co ja narobiłem?

– Spokojnie. Nie wiadomo, czy wizyta tej kobiety ma związek ze sprawą. Jak się nazywała ta przyjaciółka?

– Agnieszka. Nazwiska nie podała.

Agnieszka Mizerna? Dlaczego recepcjonistka miałaby szukać Michaliny?

– Jak wyglądała? – spytał Marcel.

– Stylowo, tak bym to określił – odparł ochroniarz. – Płaszcz, buty na obcasie.

– A kolor włosów?

– Włosy miała schowane pod czapką, a na nosie okulary przeciwsłoneczne, choć wcale nie było słońca. Ta czapka miała wielki pompon i nie pasowała do stroju.

– Wysoka? – spytała Lena.

– Czy ja wiem...

– Ile masz wzrostu?

– Metr dziewięćdziesiąt. Ona była niższa.

– Ile według ciebie mogła mieć wzrostu?

– Nie wiem...

– W przybliżeniu.

– Z metr sześćdziesiąt siedem, maksymalnie siedemdziesiąt.

Agnieszka Mizerna była znacznie wyższa. Albo kobieta podszyła się pod recepcjonistkę, albo kogoś przegapili.

– Gruba czy szczupła?

– Otyłą bym jej nie nazwał – stwierdził Igor. – Normalna.

Lena zastanowiła się, prz gryzając wargę. Czuła, że coś jej umknęło. Jakies pytanie, które powinna zadać, a które przycupnęło gdzieś na końcu bałaganu, jaki miała w umyśle.

Z zamyślenia wyrwał ją sygnał telefonu.

9

Czarny jaguar wjechał na drogę prowadzącą na przedmieścia. Dookoła rozpościerały się pola i poutykane gdzieśgdzie ceglane domki. Ta część Łodzi przypominała Marcelowi wieś, na której bawił się jako dziecko. Kiedy miał pięć lat, rodzice zajmowali przybudówkę na podwórku babci. Wciąż pamiętał, jaką frajdę sprawiało mu bieganie po okolicznych łąkach, zbieranie w lesie patyków i kopanie piłki na klepisku. Czasem miał ochotę cofnąć się w czasie choć na jeden dzień.

Lena zatrzymała samochód obok niewielkiego sklepu spożywczo-monopolowego. Chociaż, sądząc po zapachu, pawilon był bardziej monopolowy niż spożywczy. Roztaczał wokół woń zwiędzłego alkoholu, a z metalowego kontenera pod płótnem wystawały butelki po rozmaitych trunkach.

Minęli klatkę z butlami gazowymi i dziurawym chodnikiem i przeszli na tyły budynku, który pamiętał czasy PRL-u. Ze ścian sypał się tynk nieokreślonego koloru, a prowizoryczny ogródek służył jako miejsce spotkań lokalnych pijaczków. Rozpostarty parasol z logo browaru dawał schronienie dwóm olchowym ławeczkom i wysłużonemu stołowi z kilkoma wypełnionymi po brzegi popielniczkami na blacie.

Przybycie policjantów wywołało pomruk niezadowolenia zrelaksowanych pijusów. Tymon przywołał gestem jednego z nich.

Na oko dwudziestopięcioletni młodzik podniósł się z ociąganiem i podszedł do policjantów, powłócząc nogami. Spuchnięta, czerwona twarz mówiła, że wlewanie w siebie wątpliwego pochodzenia drinków należy do jego ulubionych form spędzania czasu. Ubrudzona ziemią kurtka zwisała z patykowatej sylwetki, a kościste dłonie drżały, jakby dopominały się o uzupełnienie niedoboru procentowego paliwa w organizmie.

Marcel wciągnął powietrze. Alkoholowa woń snuła się za chłopakiem niczym ruchomy obłok.

– Tankujesz cały czas czy robisz sobie jakieś przerwy? – zagadnęła Lena.

Chłopak posłał jej obojętne spojrzenie, wyjął skręta własnej roboty i wsunął między żółte zęby.

Rudnicka szturchnęła Marcela. Zaskoczył dopiero po kilku sekundach, wyciągnął westy i podał komisarz.

– Robię – wychrypiał pijaczek. Zacharczał, wypluł ślinę i wskazał na beczkowóz zaparkowany przy drodze. – Na szambiarce – wyjaśnił. – Więc do szesnastej nie piję, ale jak nie mam roboty, to posiedzę z chłopakami.

Marcel uświadomił sobie, że mężczyzna jest niemalże w jego wieku, ale jego twarz była tak zniszczona przez alkohol, że wyglądał na sporo starszego.

– Dobra – podjęła Rudnicka, strącając popiół. – Podobno widziałeś coś ciekawego.

– No – przyznał chłopak. – Ale mówiłem to już tamtym.

Kiwnął głową na Ernesta i Tymona, którzy zniknęli w sklepie.

– Powiedz jeszcze raz.

– No, wracałem wieczorem – zaczął. – U kolegi piliśmy, u Jacka, ale już po dziewiątej się zwinąłem, bo miałem robotę na rano. U Stasiaków szambo wylało. Musiałem wytrzeźwieć do tej szóstej i poszedłem do domu, ale trochę mnie na boki zносиło, wicie. Pomyślałem, że odpocznę na przystanku. Usiadłem na ławce i zapaliłem papierosa. Nie wiem, ile siedziałem, bo trochę mnie zmogło... Ale niedługo, góra piętnaście minut. No, i zobaczyłem tę kobietę.

– Jaką kobietę?

– No, opętana – wymamrotał. – Kurwa, przestraszyłem się jej.

– Co widziałeś?

– No, siedzę na tej ławce i idzie ona. Myślę sobie, niech idzie, co mnie to obchodzi? Ale ona gadała coś pod nosem, do siebie, rozumiecie? Lazła w sukience i letnich butach. Ja rozumiem, że wiosna, ale nocki wciąż zimne są. Niby miała palto, ale od stóp można się zaziębić. Moja babcia zawsze mówiła, że...

– Do rzeczy.

– A, no tak – bąknął. – No więc dziwna była. Siedziałem cicho, żeby mnie nie zobaczyła, ale wtedy na mnie spojrzała. Przeszła na drugą stronę ulicy... Jezu, wyglądała jak wariatka. Włosy miała takie jakieś...

– Jakie?

– Powykręcane. Jak wiedźma. No, i mnie pyta, czy widziałem jakiegoś Klemensa, bo nie przyjechał na obiad. Mówię, że nie znam żadnego Klemensa, a ta oczy wybałuszyła i wrzeszczy, że go zabiłem. Proszę państwa – wystawił dłonie – ja nikogo nie zabiłem, przysięgam.

– Co było dalej?

– Tłumaczyłem jej, że go nie znam, ale wyzywała mnie od morderców i ludobójców. No, stara była, więc dałem w długą. Polazła za mną, ale ją zgubiłem.

– Kogoś zaniepokoiły jej krzyki? – podjął Wolski.

– Przystanek jest na końcu drogi, a tam mieszka tylko Agata Skrzypczyńska, ale ona za granicę wyjechała, do pracy, więc dom stoi pusty.

– Wie pan, gdzie poszła ta kobieta?

– Nie i nie chcę wiedzieć – odparł chłopak, obracając w palcach wilgotnego od śliny papierosa. – Ale słyszałem o tej dziewczynie. Kowalska, tak? Straszna tragedia... Ja wam powiem, że nie zdziwiłbym się, gdyby ta wariatka jej coś zrobiła.

Rudnicka strzeliła petem w pobliskie zarośla.

– Kim była ta kobieta? – spytała. – Mieszka gdzieś w okolicy?

– Mieszkam tu od dziecka, wszyscy się znają, ale jej nie kojarzę. No i bardzo dobrze. Jeszcze wariatki nam tu brakuje.

– Okej, dzięki – powiedziała. – Gdyby przypomniało ci się cokolwiek, dzwoń.

Chłopak kiwnął głową i z nieskrywaną ulgą ulotnił się do kolegów. Na powitanie kompani unieśli butelki w górę.

Rudnicka przygryzła wargę i odgarnęła dłonią włosy. Spojrzała na Marcela z nadzieją, że przedstawi jakieś wnioski, ale ten w milczeniu usiadł ciężko na masce jaguara.

– Zabieraj stąd swoje cztery litery – warknęła, mrużąc oczy. – To nie jest, kurwa, krzesło.

– Chcecie pączka? – Tymon uniósł do góry papierową torbę.

– Wiecie, ile to kalorii? – zauważył Ernest.

Lena wzięła ciastko w dwa palce i usiadła obok Marcela, wbijając wzrok w otaczające drogę pola. Zruszone czarnoziemy ciągnęły się po horyzont.

– Nie wierzę – powiedziała. – Szalona babcia grasuje po przedmieściach Łodzi i morduje ludzi? Co to, kurwa, ma być?

– Jediną babcią, jaka pojawia się w tej sprawie, jest matka Chmielnego – stwierdził Tymon.

– Rozmawiałam z nią. Zachowywała się normalnie i nie wyglądała na psychopatkę.

– Może ześwirowała?

Rudnicka prychnęła. Choroba psychiczna nie pojawia się z dnia na dzień.

– Różne rzeczy się zdarzają – dodał Ernest. – To trochę dziwne, że tamta kobieta pytała akurat o Chmielnego.

– Stop. – Lena uniosła rękę. – Próbujecie mi wmówić, że matka Klemensa to psychopatka, która zamordowała własnego syna, zgłosiła jego zaginięcie, potem zamordowała kochankę, a teraz chodzi po ulicy i wypytuje, dlaczego jej syn nie przyszedł na obiad?

Marcel zastanowił się nad tą teorią. Może matka Klemensa faktycznie ma nierówno pod sufitem?

– Przyjmijmy wersję roboczą, że to Chmielna zamordowała tę dwójkę – zaproponowała Rudnicka. – Po pierwsze: dlaczego zabiła własnego syna?

– Bo jest stuknięta – odparł Ernest, popijając bezcukrowy jogurt o zerowej zawartości tłuszczu.

– Okej. Dwa: jakim cudem staruszka przeciągnęła ciało w zarośla?

– Może ktoś jej pomógł?

– Kto? Mąż?

Niemożliwe, pomyślała.

– Relacje seniora z synem były raczej chłodne – przypomniał Tymon.

– Nie wszystkie rodziny są idealne – zaproponowała komisarz. – Czasem dzieci nie dogadują się z rodzicami, ale to nie powód do morderstwa. Senior jest emerytowanym żołnierzem, więc dam sobie rękę uciąć, że dla niego honor i prawość są w czołówce życiowych priorytetów.

– No właśnie – wtrącił Marcel. – Może o to chodzi? Klemens junior zrobił coś, co według seniora godziło w honor rodziny, jak na przykład zdrada żony i dziecko z inną kobietą.

Rudnicka spojrzała na niego zaintrygowana. Ta śmiała koncepcja brzmiała wiarygodnie i nie spodziewała się, że wysnuje ją właśnie Wolski. Pojętny z ciebie uczeń, chciała go pochwalić, ale ugryzła się w język.

– Doceniam, sierżancie – odparła. – Ale takie rozumowanie wskazuje na winę seniora, a nie Władysławy.

– Może senior steruje żoną i...

– Marcel – przerwała. – Odpływasz na zbyt dalekie wody.

– Ale to jest logiczne, posłuchaj: zabił Michalinę w odwecie, ponieważ sprowadziła wstyd na rodzinę i...

– Marcel! To nie jest brazylijski tasiemiec.

Wolski wyduł policzki. Trop wydawał mu się słuszny.

– Jest jeszcze jedna sprawa – zwróciła się do Tymona. – Eks Michaliny zeznał, że jakaś kobieta wypytывała go o Kowalską. Gdzie mieszkała i takie tam, ochroniarz dał jej adres, ale opis tamtej kobiety nie pasuje do babci. – Znacząco spojrzała na Marcela. Wzruszył ramionami.

– Wciąż nie mamy potwierdzenia, że obu morderstw dokonała ta sama osoba – stwierdził Wolski obrażonym tonem. Wyglądał jak nadąsany chłopiec, żądny pochwały starszych kolegów.

– Ja uważam, że dokonała.

– Z całym szacunkiem, pani komisarz, ale poczekajmy na wyniki od patologa.

Rudnicka obróciła się gwałtownie. Prowokacyjny ton zabrzmiał jak wyzwanie.

– Z całym szacunkiem, panie sierżancie, ale teza o szalonej babci do mnie nie przemawia – odparowała.

Wolski skrzyżował ramiona na piersi i stanął naprzeciwko.

– To jak wyjaśnisz fakt, że babcia kręciła się po okolicy w dzień morderstwa Michaliny? Babcia, która wypytywała akurat o Klemensa. Trochę niepokojący zbieg okoliczności.

– Co w dalszym ciągu nie stanowi potwierdzenia, że babcią jest matka Chmielnego.

– Najprawdopodobniej jest.

– Nie neguję – odparła. – Ale interesują mnie fakty, a dopóki nie potwierdzimy, że to była ona, nie wyciągamy pochopnych wniosków.

– Jak chcesz – mruknął.

Przypuszczał, że Lena również zakłada, iż tajemniczą starszą kobietą była matka Chmielnego, ale celowo wchodzi w polemikę, by zagrać mu na nosie.

Tymon odchrząknął.

– Co z pracownikami hotelu? – spytał.

– Jedna z pokojówek spodziewa się dziecka Klemensa – szybko odparł Marcel, nie dając komisarz dojść do słowa. – A ta druga nie darzyła denata sympatią.

– Nie lubili się? – upewnił się Ernest.

– Tak twierdziła pokojówka.

– To, że kogoś nie lubisz, nie oznacza, że musisz go zabić – odezwała się Lena.

– Ja na przykład nie mam zamiaru cię zamordować.

Wolski zerknął spod oka.

– Zostaje recepcjonistka i dozorca – ciągnął. – Warski jest pod obserwacją, więc jeśli pojawi się w mieszkaniu, pogadamy sobie z nim.

– Dziękujemy za to krótkie streszczenie – rzuciła Lena. – Ale jeśli będziemy tak stać i rozprawiać, nic nie zdziałamy. Dlatego wy dwaj – wskazała Ernesta i Tymona – zaraz odwiedźcie Chmielnych.

11

Jaśmina wyszła z hotelu. Powinnam się wybrać do fryzjera, pomyślała, odrzucając czerwony kosmyk włosów. Nosiła tę fryzurę ponad dwa miesiące, czerwień nieco wyblakła i trochę się jej znudziła. Może tym razem wybierze odcień błękitu? Niebieskie włosy dopiero zwracają uwagę!

Spojrzała na krótkie paznokcie. Przypominały drewniane pałki do ubijania ziemniaków. Chciałaby mieć piękne, hybrydowe paznokcie jak modelki z Instagrama, ale w pracy mogła o nich zapomnieć. Szorowanie kibli wyklucza elegancję, westchnęła w duchu.

Mimowolnie pomyślała o Dorocie Brackiej. Ta kobieta została obdarzona nie tylko ponętными kobiecymi kształtami. Właścicielka Retro kołysała krągłymi biodrami, jakby chciała pokazać Jaśminie, że ona nigdy nie będzie mogła pochwalić się taką sylwetką. Swoim bujnym biustem i chłopięcą figurą wpędzała Jaśminę w kompleksy. Ale Kwiatkowska nie tylko z tego powodu czuła się gorsza. Szefowa emanowała pewnością siebie, której Jaśminie brakowało. Sprawiała wrażenie, jakby cały świat leżał u jej stóp. Jaśmina marzyła o innym życiu, ale na razie jedyne, co jej wychodziło, to maczanie szczotki klozetowej w toalecie.

Zaklęła cicho i weszła na prowadzącą do skrzyżowania wąską drogę, wzdłuż której z obu stron rosły wysokie dęby. Od najbliższego przystanku dzielił ją dziesięciominutowy spacer, ale pogoda dopisywała, więc tym razem przechadzka sprawiała Jaśminie przyjemność.

Zapaliła papierosa, zaciągnęła się i głośno wypuściła dym z ust. Żałowała, że nie wzięła ze sobą wody, bo papieros podrażnił suchy przełyk. Odchrząknęła, postanawiając, że zanim wróci do mieszkania, wybierze się do apteki. Gardło pobołowało ją od kilku dni. Skutki częstego wyskakiwania na dymka.

Obejrzała się przez ramię. Miała wrażenie, że słyszy kroki, ale na drodze nikogo nie zauważyła. Przesłyszałam się, pomyślała i wciągnęła do płuc kolejną porcję dymu. Gęsta chmura wymieszała się z powietrzem. Aż się wzdrygnęła, gdy po chwili usłyszała trzask łamanej gałązki. Wyteżyła wzrok, próbując dojrzeć coś w zaroślach. Może to dziki? Ostatnio coraz częściej podchodzą do zabudowań.

Ludzie dokarmiają dzikie zwierzęta, a potem kręcą nosem na niezapowiedziane wizyty. Z krzaków jednak nie dobiegało charakterystyczne chrumkanie.

Zaczęła wpadać w panikę. Miała wrażenie, że ktoś na nią patrzy. Ktoś, nie coś. Czuła na sobie czyjś wzrok, chociaż nikogo nie widziała. Wyrzuciła niedopałek i przyspieszyła kroku. Powinnam w końcu wybrać się na fitness, pomyślała, bo już po kilkunastu metrach dostała zadyszki, nie zwolniła jednak tempa. Odetchnęła z ulgą, gdy dotarła na skrzyżowanie. Tu była bezpieczna.

Obróciła się, by spojrzeć na drogę, i zamarła. Ciemna postać stała na środku jezdni. Serce jej przyspieszyło. Miała ochotę zapalić kolejnego papierosa, ale w oddali zobaczyła nadjeżdżający autobus.

Postać stała nieruchomo, jakby czekała, aż Jaśmina wsiądzie i odjedzie. Nie widziała twarzy, ale sylwetka wydawała się jej znajoma. Dopiero gdy skasowała bilet, uświadomiła sobie, kto ją tak przeraził.

12

Felicjan Bania na widok dwóch policjantów z uśmiechem rozłożył szeroko ramiona. Skojarzył się Marcelowi z dobrym wujkiem, którego spotyka się tylko na uroczystościach rodzinnych, i który za każdym razem pyta: „Kiedy zatańczę na twoim weselu, kawalerze?”.

Patolog wsunął dłonie do kieszeni fartucha.

– Ostatnio przysyłacie sporo klientów – stwierdził z rozbawieniem. – To już drugi w ciągu kilku dni.

– Nie wyglądasz na szczególnie zmartwionego – skwitowała Rudnicka.

– Śmierć to straszny stan, ale nie musi oznaczać końca – rzekł lekarz. Brakowało mu długiej, siwej brody i żarzącego się w tle kominka, a wyglądałby jak mędrzec z ludowych podań.

Rudnicka obeszła stół sekcyjny i powiodła wzrokiem po wpółzakrytych zwłokach Michaliny Kowalskiej. Na widok bladej, bezkrwistej twarzy okolonej kruczoczarnymi lokami przeszył ją lodowaty dreszcz.

Kobieta miała około trzydziestu lat i całe życie przed sobą, które ktoś przerwał jednym pchnięciem noża. Osierocony syn do końca życia, każdego dnia, będzie dźwigał brzemie świadomości, że oboje jego rodziców zostało brutalnie zamordowanych.

Lena potrząsnęła głową.

– Najciekawsze jest to, co spotyka nas po zatrzymaniu funkcji życiowych – ciągnął patolog.

– Jeżeli zamierzasz wygłosić homilię dotyczącą nieba i piekła, ostrzegam cię...

– To metafizyka – przerwał jej. – Wiem, że jesteś sceptykiem, ale polecałbym lekturę Michaela Newtona.

– *Wędrowka dusz*, czytałam.

– O! – Klasnął w dłonie. – Jakieś przemyślenia?

– Co to za książka? – zapytał Marcel.

Bania uniósł głowę i rozprostował plecy, jakby przygotowywał się do wykładu na wyższej uczelni.

– Doktor Newton to hipnoterapeuta – wyjaśnił uroczystym tonem. – Wprowadzał pacjentów w stan hipnozy, podczas której przypominali sobie

poprzednie wcielenia. Wspaniała lektura! Dwadzieścia dziewięć osób opisało, gdzie przebywali między kolejnymi żywotami na Ziemi. Jego badania potwierdziły tezę o reinkarnacji. Ty jesteś duszą, a ciało twoim opakowaniem, które po zużyciu będziesz zobligowany zmienić.

– Nie wierzę w te brednie – mruknęła komisarz.

– Wystarczy zajrzeć do wspomnień osób, które doświadczyły śmierci klinicznej. To nie przypadek, że każda z nich opisuje otaczające ją białe światło i mówi o niewidzialnej sile, która przyciąga ją w otchłań. Wszyscy określają to jako cudowne uczucie.

– Ja doznam cudownego uczucia, kiedy przestaniesz wciskać te banialuki.

– Podobno twój mózg przyjmuje jedynie naukowe dowody. Dowód na istnienie życia po śmierci również powinien zaakceptować.

– My się chyba nie spotkamy po śmierci – zauważył Marcel, spoglądając na Lenę. – Trafimy na dwa inne poziomy. Ciebie przydzielą na dół, a mnie na górę.

Rudnicka przewróciła oczami.

– Preferuję odwrotną konfigurację.

Na policzki Marcela wypłynął lekki rumieniec. Odwrócił się do okna, by ukryć zmieszanie.

– No, ale! – zawołał Bania, składając dłonie jak do modlitwy. – Najwyższy czas zająć się naszą panią.

– Mów, co masz – ponagliła go Lena.

– Czas zgonu określiłbym pomiędzy dwudziestą pierwszą a drugą w nocy. Oczywiście, zważywszy na fakt, że trafiła do mnie dzisiaj, to dość wstępne założenie, ale sądzę, że prawidłowe. Jeden skuteczny cios, który uszkodził lewą komorę serca.

– Ułożenie ciała wskazywało, że próbowała się czołgać.

– Tak, ale zgon nastąpił najwyżej kilkanaście sekund po uderzeniu. W przeciwieństwie do poprzedniego klienta nie wykrwawiała się za życia. Ze śladów na ciele wnioskuję, że nie walczyła. Najprawdopodobniej sprawca ją zaskoczył, a cios spadł na nią znienacka.

– Żadnych śladów walki?

– Żadnych – potwierdził. – Jedyne otarcia brzucha, zapewne od czołgania się po deskach.

– Narzędzie zbrodni?

– Charakter rany wskazuje na nóż, taki sam jak u poprzedniej ofiary. Ta sama długość i szerokość cięcia.

– Mówiłam – powiedziała Lena, zwracając się do Marcela.

Wolski zmarszczył brwi.

– Jest pan w stu procentach pewien, że to ten sam sprawca? – spytał.

– Chłopcze, w stu procentach to jestem pewien, że cała nasza trójka trafi kiedyś do piachu, oby nie obok siebie. A teraz mogę powiedzieć tylko, że narzędzie zbrodni miało podobne wymiary.

– Takich noży mogą być setki.

– Marcel, proszę cię – zachnęła się Rudnicka.

Sierżant Wolski przejawiał dziś wyjątkowe upodobanie do wchodzenia w zbędną, jej zdaniem, polemikę.

– To może być zbieg okoliczności – dodał.

– Przestań pieprzyć.

Wolski zasznurował wargi. Teoria o takim samym i jednocześnie innym nożu zdawała się naciągana, ale niekoniecznie niemożliwa.

13

Agnieszka Mizerna wsunęła dokumenty do plastikowej koszulki, znalazła miejsce w segregatorze i wpięła koszulkę, zacisnąwszy metalowe szczypcy. Zamknęła segregator, odłożyła go na regał i zajęła się przeglądaniem najbliższych rezerwacji w hotelu. Niemal wszystkie pokoje zajęli turyści z zepsutego autokaru, ale już jutro w hotelu znów zapanują cisza i spokój. Agnieszka przyzwyczaiła się do takiego stanu i tłum na korytarzach zaczynał ją irytować. Oczywiście, dla Retro to lepszy zarobek, ale dopóki na jej konto wpływała comiesięczna pensja, Agnieszka nie przejmowała się długami hotelu. Niech szefowa się martwi. Jeśli splajtuję, trudno. Ona znajdzie sobie inną pracę. W Łodzi nie brakuje hoteli i hosteli, w którymś z nich na pewno znajdzie się miejsce dla niej.

Odetchnęła, popijając kawę. Cierpki smak arabiki dotarł do kubków smakowych, wywołując przyjemne uczucie odprężenia. Agnieszka mimowolnie wróciła myślami do morderstwa Klemensa Chmielnego. W palcach miętoszyła karteczkę z numerem policjantki, która prowadziła śledztwo. Zastanowiła się, czy nie powinna do niej zadzwonić. Wprawdzie Rudnicka była wobec niej nieuprzejma, ale może to, co Agnieszka widziała, pozwoli złapać mordercę?

Ale jeśli to nie ma związku? Zadzwoni i tylko się wygłupi, narazi na kolejne kpiny z jej wysokiego wzrostu i nazwiska. Agnieszkę do żywego dotknęły szyderstwa Rudnickiej. Była głupia, że jej na to pozwoliła. Następnym razem tak odpowie tej komisarz, że tamtej w pięty pójdzie.

Odchyliła głowę na oparcie. A może powinna zadzwonić?

14

Klemens senior siedział na krześle wyprostowany jak struna, z dłońmi splecionymi na kolanach patrzył na policjantów zimnym, surowym wzrokiem, jakby miał przed sobą dwóch podrzędnych szeregowych, czekających na solidną burę od przełożonego.

– Dlaczego znowu nas nachodzicie? – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Jak już wspomniałem, interesuje nas, czy mówi panu coś nazwisko Michalina Kowalska? – odezwał się Ernest.

Zasuszona dłoń seniora powędrowała na stół. Uniósł filiżankę z kawą, upił powolny łyk i niemal bezdźwięcznie odstawił naczynie na spodek.

– Nie – odparł.

– Dzisiejszego poranka znaleźliśmy ciało Michaliny – poinformował Tymon. – Została zamordowana we własnym domu.

Tymon liczył, że wiadomość zrobi na seniorze wrażenie, ale staruszek ściągnął jedynie brwi, jakby zastanawiał się, czy wyprosić policjantów natychmiast, czy dać im jeszcze kilka minut.

– Słyszałem w telewizji – powiedział. – Jaki to ma związek ze mną?

– Uzyskaliśmy informacje, że pański syn utrzymywał bliskie stosunki z Michaliną Kowalską.

– Jakie stosunki?

– Bliskie.

– Nie miałem o tym pojęcia.

– W domu Michaliny znaleźliśmy niemowlaka – ciągnął Tymon. – Czy pański syn mógł być ojcem dziecka?

Mięśnie na twarzy seniora drgnęły.

– Dlaczego miałyby być ojcem tego dziecka?

– Panie Chmielny, proszę posłuchać. Wykonamy testy DNA celem ustalenia pokrewieństwa, ale jeśli posiada pan jakiegokolwiek informacje na ten temat, mógłby nam pan pomóc w znalezieniu mordercy...

– Nie rozumiem – przerwał mu Chmielny. – Skąd przypuszczenie, że Klemens jest ojcem dziecka tej kobiety?

– Jeden ze świadków zeznał...

– Dorota wie?

Tymon wciągnął powietrze, a jego nozdrza wypełnił zapach gotowanej kapusty i grzybów. Żona Chmielnego nie wyszła policjantom na spotkanie, ale nic nie wskazywało na to, by się ukrywała. Krzątała się po kuchni, gdzie szykowała posiłek, czego potwierdzeniem był dźwięk obijanych talerzy i sztućców.

– Tak – odparł Ernest. – Pańska synowa wiedziała o nieślubnym dziecku męża.

– Pytam, czy wie o śmierci tej Michaliny?

Ciekawe, że akurat ten fakt najbardziej zainteresował seniora.

– Dlaczego pan pyta?

Klemens wzruszył ramionami i sięgnął po filiżankę. Ten beztroski gest nie pasował do jego surowego wizerunku. Zdawało się, że był mimowolny, jakby senior na ułamek sekundy stracił kontrolę nad własnym ciałem.

– Czyli utrzymuje pan, że nie znał Michaliny Kowalskiej? – podjął Tymon.

– Nie znałem żadnej Michaliny.

– W takim razie, czy syn wspominał kiedykolwiek o drugiej kobiecie?

– Nie rozmawiałem z moim synem na takie tematy – uciął Chmielny ostro. – Nie zwierzał mi się.

– Rozumiem.

– Prezentowaliśmy różne poglądy.

Tymon pomyślał, że emerytowany żołnierz zapewne wychowywał syna twardą ręką. Wyglądał na osobę, która nie stroniła od argumentów siłowych.

– Więc syn nie wspominał o relacji z Michaliną? – spytał.

– Nie.

– A czy kiedykolwiek mówił o stosunkach z pokojówką?

– Pokojówką? – Senior upił łyk kawy i mlasnął przeciągle, oblizując wargi. – Jaką pokojówką?

– Z hotelu pańskiej synowej.

– Jak wspominałem, moje relacje z synem nie należały do bliskich.

Czyli nie.

Tymon rozejrzał się po salonie. Nad narożną kanapą wisiało duże rodzinne zdjęcie przedstawiające Władysławę, seniora i ich syna. Pomimo iż cała trójka uśmiechała się do fotografa, zdawało się, że tylko uśmiech Władysławy był naprawdę szczery.

– Czy moglibyśmy porozmawiać z pańską żoną? – zapytał Ernest.

– Nie – odparł gniewnie Klemens, a po jego twarzy przemknął cień niepokoju.

– Nalegam.

– Żona bardzo przeżywa śmierć naszego syna. Źle się czuje, więc wolałbym, by panowie oszczędzili jej kolejnych wstrząsów.

– Rozumiemy państwa sytuację, obiecuję, że zajmiemy tylko chwilę.

Klemens zawahał się, ale zdawał sobie sprawę, że policjanci zapytali go o zgodę jedynie dla formalności. Kiwnął więc głową w kierunku kuchni.

Funkcjonariusze ruszyli korytarzem, a kwaśny zapach kapusty z każdym krokiem stawał się coraz intensywniejszy.

W kuchni panował rozgardiasz. Na gazie bulgotały dwa wielkie garnki, z których ulatywała gęsta para; na oprószonym mąką blacie leżały dwie kule ciasta, a obok nich ceramiczna misa z kopcem grzybów.

– Pani Władysławo?

Chmielna kołysała się na boki, jakby przygrywała jej muzyka, której nie słyszy nikt oprócz niej. Odwróciła się powoli, obrzucając gości zamglonym wzrokiem. Wykrzywiła usta w grymasie, ale potem kąciki jej ust drgnęły, a wymizerowana twarz pojaśniała. Kościstą dłonią poklepała miejsce przy stole, nie spuszczać Tymona z oczu.

Poczuł się niezręcznie, ale posłusznie usiadł na krześle.

– Pani Władysławo, chcielibyśmy zamienić z panią kilka słów – zaczął niepewnie.

Spojrzała półprzytomnie, poprawiając dłonią siwe włosy, posklejane w strąki. Proste pasma skołtuniły się w kilku miejscach, tworząc uwypuklenia, jakby skrywały ziarna grochu.

– Z kolegą przyszedłeś? – zapytała, stawiając na stole dwa talerze.

– Słucham?

– Dobrze – powiedziała z uśmiechem. – Starczy dla was obu.

– Pani Władysławo...

– Zrobiłam pierogi z kapustką i grzybkami, takie jak lubisz.

Ernest zerknął na Tymona z powątpiewaniem, a w głowie pojawiła się myśl o staruszce, o której mówił pijacek spod sklepu. Każda minuta spędzona w towarzystwie Władysławy utwierdzała ich w przekonaniu, że szaloną kobietą okaże się matka denata.

– Dlaczego wczoraj nie przyszedłeś na obiad? – spytała, wrzucając pierogi do wrzątku. Zamieszała kilka razy i odłożyła łyżkę. – Szukałam cię.

Tymon przełknął ślinę. Władysława najwyraźniej sądziła, że jest jej zmarłym synem. Zastanowił się, co jest bardziej przerażające – to, że Władysława uznała go za nieżyjącego Klemensa, czy to, że najprawdopodobniej kręciła się wczoraj w okolicy domu Michaliny, a co za tym idzie, była potencjalną morderczynią.

Ernest pospieszył mu z pomocą.

– Chcielibyśmy porozmawiać o pani synu – powiedział.

– Porozmawiajmy – odparła, wkładając palec do bulgoczącego garnka. Wysoka temperatura nie wywarła na niej żadnego wrażenia.

– Zna pani Michalinę Kowalską?

– Kogo? – spytała. – Nie, a kto to jest?

– Czy Klemens wspominał kiedyś o Michalinie?

– Czy Klemens wspominał o Michalinie? Chyba tak.

– Chyba tak?

Policjanci wymienili spojrzenia.

– Sama nie wiem. – Objęła się ramieniem. – Coś mi świta, ale nie wiem gdzie.

Wydaje mi się, że słyszałam to imię.

– Proszę się zastanowić – podjął Tymon. – To bardzo ważne.

– Synku, chcesz z omastą? – zapytała. – Zrobię ci skwareczki ze słoninki.

Tymon poczuł, jakby po plecach przewędrowało mu stado mrówek. Chmielna naprawdę nie zdawała sobie sprawy, z kim rozmawia.

– To zrobię – zdecydowała, wyjmując słoninę z lodówki.

– Pani Władysławo, nie jestem pani synem – powiedział.

Staruszka ukroiła plaster i obróciła się z kuchennym nożem w dłoni. Milewski mimowolnie pomyślał, że rany ofiarom zadano innym ostrzem.

Zarzęziła przesywającym śmiechem, który podrażnił jej gardło, bo zaraz rozkasłała się, zakrywając usta.

– Wszystko w porządku?

– Tak, synku – odparła. – Wczoraj w nocy trochę się przeziębiam. Powinnam iść do lekarza, ale zapomniałam gdzieś numer. Może umówisz mi wizytę na jutro?

– Wczoraj w nocy? – podjął Tymon.

Władysława otarła ręce w podomkę i nieznacznie pokiwała głową.

– Tak, szukałam cię. Oj, przecież mówiłam już. Powinieneś uważniej słuchać starej matki.

– Gdzie? – szybko zapytał Ernest w obawie, że staruszka znowu zmieni temat.

Zastygła w bezruchu i spojrzała na policjantów. Pomachała nożem, jakby namyślała się, którego z nich zabić najpierw. Ostatecznie wbiła czubek w kawałek tłuszczu i uniosła go jak zdobyte trofeum.

– W lesie – odparła.

Tymon poczuł, że krew szybciej krąży mu w żyłach. Domek Michaliny Kowalskiej znajdował się właśnie pod lasem.

– W którym lesie?

– Tamtym.

– Pani Władysławo proszę sobie przypomnieć, w którym lesie pani była. To naprawdę bardzo ważne.

– Tak, w tamtym – odparła. Wyjęła chochlą pierogi, odlała wodę do zlewu i nałożyła porcję Tymonowi. – Smacznego, synku.

Milewski zerknął na talerz. Białe, rozmiękłe ciasto rozkleiło się na bokach, tworząc dziwną, mączną breję. Władysława zapomniała dodać farszu.

– No jedz, jedz – ponagliła. – Zapakuję trochę w pojemnik, zawieziesz Dorotce.

Tymon patrzył w talerz, próbując ukryć obrzydzenie. Nie chciał zrobić kobiecie przykrości, ale nie miał zamiaru tego jeść.

– W którym lesie pani była? – naciskał Ernest.

– W tamtym! – krzyknęła, rzucając łyżkę na podłogę.

Metalowa chochla spadła z dźwiękiem na kafelki i zatoczyła się pod stół.

– Spokojnie, ja tylko...

– Ty nie jesteś moim synem, oszuście! – zawyła, wymierzając palec w Tymona.

– Kim jesteś?!

– Proszę się uspokoić... – Ernest wstał od stołu.

Władysława błyskawicznie sięgnęła po nóż i wymierzyła go w aspiranta, jakby stare ciało nagle odzyskało młodzieńczy wigor.

Ernest uniósł dłonie w uspokajającym geście, na co Chmielna cofnęła się o krok i wpadła na kuchenny blat.

– Oszust! – zawołała. – Kłamca! Chcecie mnie zabić? Zabiliście Klemensa, a teraz przyszliście po mnie?!

Tymon dojrzał w jej oczach obłęd. Był przekonany, że jeśli Ernest zrobi krok, kobieta bez wahania wbije w niego kuchenny nóż.

– Nie dam się zabić! O nie!

– No i coście narobili?! – krzyknął senior, wchodząc do pomieszczenia.

– Klemciu, co tu się dzieje?!

Przerażona Chmielna szukała pomocy u męża.

– Władka, uspokój się i odłóż ten nóż – polecił.

– Ludobójcy!

Uniosła wyżej ostrze, gotowa odeprzeć ewentualny atak. Chmielny podszedł do żony, zabrał jej nóż i wrzucił go do zlewu, po czym objął żonę i wyprowadził na korytarz.

– Niech panowie idą – rzucił przez ramię. – Proszę poczekać przed wejściem.

Policjanci obserwowali sytuację z coraz większą dezorientacją. Co powinni zrobić? Prawdopodobnie to Chmielna kręciła się przy domu Michaliny, ale czy

założenie, że ją zabiła, jest słuszne?

Stanęli na podjeździe. Milewski wyjął paczkę cameli i pytająco spojrzął na Ernesta, ale ten pokręcił głową.

Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

– Wariatka – skwitował Ernest.

– Następnym razem niech Rudnicka sama z nią rozmawia – powiedział Tymon.

– Moja noga więcej w tym domu nie postanie.

– Przestraszyłeś się babci? – Ernest trącił go łokciem w bok. – Nie żartuj.

– Stary, to wcale nie było śmieszne.

Tymon otarł z czoła kropelki potu. Przestraszył się, ale starannie to ukrywał, bo nie chciał się stać obiektem żartów całej komendy.

– Sądzisz, że Chmielna mówiła o lesie przy domu Michaliny? – spytał aspirant.

– A wytłumaczysz to jakoś inaczej?

Wniosek nasuwał się sam, ale matka Klemensa nie miała żadnego motywu, by zabić Michalinę, a tym bardziej własnego syna.

– Ktoś musi porozmawiać z nią jeszcze raz – stwierdził Milewski. – Kiedy się uspokoi.

Ernest podchwycił wcześniejszą myśl Marcela. Może senior miał swój wkład w morderstwa, a zachowanie żony stanowi dla niego idealną zasłonę.

– Najlepiej w obecności psychologa – dodał.

Klemens senior wyszedł na podjazd. Zdawał się mniejszy niż kilkanaście minut temu. Głowę wciąż trzymał wysoko, ale twarz mu poszarzała, a pomarszczone dłonie drżały.

– Poczęstuje pan? – spytał, wskazując na papierosa. Milewski wyjął paczkę i podał Chmielnemu. Ten zaciągnął się i wypuścił dym z westchnieniem. Wyglądał na zmęczonego i zrezygnowanego, jakby w ciągu chwili stał się zupełnie innym człowiekiem. – Rzuciłem dziesięć lat temu, ale teraz co za różnica, skoro i tak niedługo umrę.

– Co się dzieje z pańską żoną? – zapytał Ernest.

– Od śmierci Klemensa zachowuje się tak cały czas – odparł Chmielny. – Bardzo to przeżyła. Klemens był naszym jedynym dzieckiem, sami rozumiecie.

Tymon zacisnął usta, przeszedł do samochodu, wyjął bloczek i zapisał na karteczce numer. Wróciwszy, podał ją Chmielnemu.

– Kontakt do policyjnej psycholog – powiedział. – Uważam, że pańska żona powinna z nią porozmawiać.

– Wątpię, czy Władka się zgodzi – odrzekł senior, miętosząc w dłoniach kartkę. – Jest uparta.

– Warto spróbować.
– Chyba macie rację. – Pokiwał głową.
– Pani Władysława wspomniała coś o lesie – podjął Ernest. – Wie pan o co jej chodzi?

– Nie – odparł. – Nie mam pojęcia, o czym ona mówi. Wczoraj spędziłem cały dzień w garażu, polerując meble. Robię to, żeby czymś się zająć i nie myśleć o śmierci Klemensa. – Westchnął. – Wyszedłem około północy, a Władki nie było w domu. Obszukałem wszystkie pomieszczenia, ale jej nie znalazłem. Nie wiem, gdzie poszła, a gdy spytałem ją rano, odpowiedziała, że szukała Klemensa.

– Nie zaniepokoiła pana nieobecność żony?
– Pomyślałem, że siedzi w ogrodzie.
– Nocą jest zimno, dlaczego miałyby wychodzić do ogrodu w środku nocy?
– Nie wiem – uciął Chmielny. – Tak pomyślałem. Wiem, że powinienem jej poszukać, ale nie zrobiłem tego.

– Dlaczego?

Senior spojrział na ogród, sugerując, że nie ma dla siebie żadnego usprawiedliwienia.

– Żona powiedziała panu, gdzie była?
– To samo, co wam – odparł. – Że poszła do lasu.
– Czy w okolicy jest las, do którego mogła się udać?
– Dwa kilometry stąd jest mały lasek, właściwie park, ale nie ma tam ławek ani placu zabaw, rozumiecie. Kilka drzew i krzaków ze ścieżkami do spacerowania.
– Rozumiem – odparł Ernest. – Będziemy zmuszeni jeszcze raz porozmawiać z panią Władysławą.

– Po co? – burknął Chmielny. – Dość już ją zdenerwowaliście. Nie pozbiera się do końca dnia. Dajcie nam spokój i zajmijcie się szukaniem mordercy.

– Gdyby zdradziła coś więcej na temat swojej tajemniczej wyprawy, proszę się odezwać – powiedział Tymon. – Na kartce zapisałem numer do siebie, może pan dzwonić o każdej porze dnia.

Senior złożył karteczkę i wsunął do kieszeni.

– Dobra – rzucił. – Ale proszę, niech ta policjantka trzyma się od nas z daleka. Baba w mundurze to samo utrapienie.

Po powrocie od patologa odesłała Wolskiego do domu, zamknęła się w gabinecie, gdzie spędziła kilka godzin na analizowaniu wszystkich faktów i niejasności. Sprawa Klemensa i Michaliny przypominała obraz, na którym widniało zbyt wiele czarnych plam, jakby ktoś z premedytacją zamazał najważniejsze szczegóły.

Lena była wściekła.

Rozpisała na tablicy wszystkie nazwiska, które przewinęły się w toku śledztwa. Jej umysł, głodny informacji, szukał brakujących elementów układanki. Przerzucała notatki, wykreślała, robiła kolejne. Czasem zdawało się, że jej badawcze podejście przesłania racjonalną ocenę sytuacji. Doszukiwała się szczegółów i związków przyczynowo-skutkowych, odrzucając przy tym najprostsze rozwiązania. Zawsze obierała najbardziej zawiłą i wyboistą ścieżkę. W śledztwie o morderstwo nie ma drogowskazów ani dróg na skróty. Są za to serpentyny, na których pozostawione są ukryte wskazówki i ślady.

Dzięki ustaleniu przebiegu wydarzeń można poznać prawdziwy przebieg zbrodni. Przypominało to układanie różnokolorowych klocków, które należy połączyć w jedną całość. Czasem jednak warto zburzyć postawioną wieżę i staranniej dobrać elementy, a następnie wznieść budowlę od samego początku.

Tak też zrobiła.

Snucie teorii i analizowanie różnych scenariuszy bywało przydatne, ale nie na tym etapie. Zgadywanie nie wchodziło w grę. Teraz najważniejsze było wysnucie odpowiednich wniosków na podstawie informacji, jakie posiadali. A chociaż zdawało się, że informacji jest dużo, wysupłanie tej jednej graniczyło z cudem.

Dla Rudnickiej najważniejsze były fakty.

Dwójka podejrzanych okazała się niewinna. Odciski Doroty Brackiej nie pokryły się z tymi, które znaleźli na ciele Klemensa. Została oficjalnie wykluczona z kręgu podejrzanych.

Punkt po punkcie Lena stworzyła charakterystykę Klemensa i Michaliny, a także łączącej ich relacji. Analizowała ich życie z dziwnym poczuciem, że wciąż jest coś, jakiś nieuchwytny drobiazg, który uniemożliwia dotarcie do sedna.

Zbudowała fundamenty, powoli i mozolnie układała pojedyncze cegły, ale w ścianie, do której doszła, było więcej dziur, niż się spodziewała.

Zapisała w głowie dwa nazwiska. Potrzebowała jeszcze jednego dnia, kilku rozmów. Wystarczyłby mały krok we właściwą stronę, by rozwiązać tę zagadkę.

Gdy po czterech godzinach wyszła z gabinetu, było już po dwudziestej pierwszej. Pojechała do mieszkania i weszła pod prysznic, a wtedy otumaniony lekami umysł eksplodował wyrzutami sumienia. Zacisnęły się wokół niej, jakby obolałe ciało nie było wystarczającym zmartwieniem. Teraz doszedł inny ból, który tlił się gdzieś w środku.

Starła się odgonić natrętne myśli, skupić na czymś innym, ale przekonanie, że jest winna śmierci Michaliny, rosło z każdą sekundą. Nie mogła sobie darować, że dopuściła do splotu wydarzeń, w wyniku którego młoda kobieta straciła życie. Gdyby dotarła do niej wcześniej, Michalina by żyła. Lena czuła się winna, jakby to ona trzymała rękojeść noża i zatopiła ostrze w ciele Michaliny Kowalskiej.

Jeden cios. Jedno życie.

Nasmarowała ciało maścią na stłuczenia, wysuszyła włosy, naciągnęła wielki sweter i przeszła do kuchni, gdzie Krzysztof przygotowywał się do jutrzejszej rozprawy. Na kuchennym stole rozłożył dokumenty i skrupulatnie je przeglądał. Przypominał szalonego naukowca, opracowującego nowe równanie, które ma zmienić świat.

Zazwyczaj przedłużała wyjście z komendy do późnych godzin nocnych, ale dzisiejszy wieczór najprawdopodobniej spędzi z mężem w domu. Tak sądziła, dopóki nie zadzwonił jej telefon. Po krótkiej rozmowie wyszła na parking bez słowa wyjaśnienia.

Niespełna osiem minut później dotarła na stację benzynową przy Kopcińskiego. Prawie tyle samo czasu zajęła jej rozmowa z Dariuszem Brzozowskim, który prosił o spotkanie na neutralnym gruncie, twierdząc, że ma informacje pomocne w śledztwie. I miał. Informacje, jakich jej dostarczył, postawiły śledztwo w zupełnie innym świetle.

Niewiele myśląc, wyjechała na drogę, i skierowała się w jedyne słuszne, jej zdaniem, miejsce. Przejechała skrzyżowanie Kopcińskiego z Narutowicza, skręciła w Jaracza, minęła park Staszica, po czym stanęła na światłach przy Uniwersyteckiej. Wyrzała przez szybę. Przez pasy maszerowała grupka studentów. Dwóch chłopaków w kraciastych koszulkach w towarzystwie dwóch dziewczyn w kusych sukienkach, wysokich szpilkach i z butelkami soku pomarańczowego w ręce. Tyle że w butelkach nie było soku. Lena była pewna, że zabarwiona na pomarańczowo wódka zaszumi dzieciakom w głowie, zanim dotrą

do celu. Zaśmiała się w duchu, choć wcale nie było jej do śmiechu. Najlepszą receptą na ubogą studencką kieszeń i drogie drinki w klubach było zaprawienie się przed wejściem. Sama stosowała tę metodę przez kilka lat studiów na uniwersytecie. Zawsze się sprawdzała.

Ruszyła wzdłuż Narutowicza, ignorując czerwone światła przy filharmonii, i przecięła Piotrkowską. Zaparkowawszy z tyłu woownerfu przy 6 Sierpnia, liczyła, że patrolującym okolicę policjantem nie okaże się jakiś młodzik, który wrzuci za samochodową wycieraczkę mandat albo założy blokadę na koła. Wprowadzony niedawno zakaz parkowania uniemożliwił pozostawienie jaguara w tym miejscu. Oczywiście teoretycznie.

Przeszła przez bramę kamienicy i wpisała w domofonie kod, który podpatrzyła parę dni temu, gdy zawiany Marcel walczył z liczbami na klawiaturze. Weszła na klatkę schodową i wcisnęła dzwonek.

Odczekawszy kilka sekund, zadudniła pięścią w drzwi.

Marcel stanął w progu z miną więcej niż zdziwioną. Jediną osobą, którą podejrzewałby o wizytę o tak późnej porze, był jego ojciec. Przyniósłby butelkę wódki, postawił na stole i poprawiwszy okulary, oznajmił, że wpadł mimochodem, sprawdzić, co słyhać u jedynego syna. W rzeczywistości starałby się nakłonić Marcela do zwierzeń na temat nowej pracy i postępów w śledztwie.

W drzwiach zamiast ojca stała Lena Rudnicka. W czarnym za dużym swetrze, z rozwichrzonymi wiatrem włosami i błyszczącymi oczami. W luźnych džinsach z podwiniętymi nogawkami wyglądała bardzo młodo. Jak studentka, która wybiera się na piwo ze znajomymi, a nie jak poważna pani komisarz. Wparowała do środka, nie czekając na zaproszenie. Zakręciła się po pokoju, jakby zastanawiała się, czy na pewno dobrze trafiła, po czym rozłożyła ręce z bezradną miną.

– Kurwa, posprzątałbyś tu – powiedziała.

Marcel zamknął drzwi na zasuwę, przeszedł do kuchni, zamieszał dziwną breję bulgoczącą na patelni i upił łyk chłodnego piwa.

– Pijesz w samotności? – zapytała. – To pierwsza oznaka choroby alkoholowej.

– Nie jestem alkoholikiem – odparł, przechylając puszkę. Opróżnił do końca i pociągnął zawleczkę następnej.

– Każdy alkoholik wypiera swój nałóg.

– Napijesz się?

Potrząsnęła głową w geście odmowy. Zapach sosu pomidorowego unoszącego się znad patelni przyćmiła woń kokosowego szamponu. Omiotła wzrokiem

poukładane pod ścianą pudła i stos ubrań na krześle. Wolski szybko ściągnął garderobę i wrzucił do walizki.

– Nie zdążyłem się urządzić – wyjaśnił.

– I pewnie nie zdążysz przez najbliższy miesiąc.

Nie wiedział, czy chodzi jej o ilość pracy, jaką dla niego przyszykowała, czy o wrodzone bałaganiarstwo, i skupił się na mieszaniu sosu.

– Zjesz? – spytał.

– Twoje górą – zakomunikowała, podpierając się pod boki.

– To znaczy?

– Rozmawiałam z Brzozowskim.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

– Mogłaś zadzwonić. Przyjechałbym.

– Nie było potrzeby. – Machnęła ręką. – Ale nie uwierzysz, jakie rewelacje mi sprzedał.

– Słucham.

Lena obserwowała przez chwilę, jak Marcel wyjmuje talerze, usypuje na nich dwa kopce makaronu, polewa sosem i stawia na blacie, po czym wyciąga szklankę i napełnia ją mrożoną herbatą. Gestem zaprosił ją do stołu, a Rudnickiej przyszło do głowy, że nie powinna była przychodzić. Gdy Krzysztof przygotował dzisiaj mule w winie, wykręciła się brakiem apetytu, tymczasem teraz stał przed nią kopic najtańszego makaronu z pomidorową warstwą pulpecików ze słoika, a ona wcale nie miała zamiaru odmawiać.

Usiadła naprzeciwko i streściła rozmowę z Brzozowskim. Oczekiwała, że Wolski natychmiast zacznie się puszyć, dumny ze swojej przenikliwości, ale on milczał, nabijając na widelec kolejne kawałki przetworzonego mięsa. Nie odezwał się, dopóki nie opróżnił talerza, po czym wstał i wsunął papierosa do ust.

Rudnicka zaczynała się niecierpliwić.

– No? – ponagliła i przełknęła porządną porcję makaronu, którą popiła cytrynową herbatą.

– Nie powinnaś spotykać się z nim sama.

Uniosła brwi.

– Nie wiem, dokąd płyniesz, ale zawróć swą łódź.

– Przecież to niebezpieczne – zaoponował. – Gdyby zaproponował spotkanie o północy pod jakimś pieprzonym mostem, też byś się zgodziła?

– Zmień kurs, marynarzu.

– Mówię poważnie, Lena.

Mówił, co było równie niepokojące, jak fakt, że się o nią martwił. Solidna dawka oksykodonu skutecznie zgasiła czerwoną lampkę w jej głowie.

– Dobra – rzuciła. – Zrzuć zbroję rycerza i pomyśl o tym, co przed chwilą powiedziałam.

Marcel zapalił papierosa, otworzył na oścież okno i wydmuchał dym. Świeże powietrze wymieszane z tytoniową nutą wypełniło kawalerkę. Rudnicka wyjęła z paczki westa i dołączyła do Wolskiego.

– Czyli senior wiedział o Michalinie – mruknął.

– Tak, i co ciekawsze, składał jej wizyty, podczas których namawiał ją, by zrzekła się praw do dziecka na rzecz Klemensa.

– Chciał przedstawić syna Michaliny jako syna Klemensa i Doroty?

– Dokładnie. – Kiwnęła głową. – Brzozowski twierdzi, że Klemens pokłócił się z ojcem, a ten go wyklął. Zakazał synowi wstępu do rodzinnego domu, gdy nasz denat sprzeciwił się przekazaniu pieniędzy Michalinie.

– Dlaczego więc, gdy Ernest i Tymon bawili z wizytą u Chmielnych, senior utrzymywał, że nie znał Michaliny? – spytał, pocierając podbródek.

Zdziwiła się. Tymon streścił jej przebieg spotkania zaraz po wyjściu od Chmielnych, ale nie sądziła, że również Marcela poinformuje o postępach w śledztwie. Uznała jednak, że powinna się cieszyć. Przepływ informacji to w zespole podstawa, pomyślała.

– No i jak senior dowiedział się o Michalinie? – dodał Wolski.

– Nie sądzę, aby Klemens pochwalił się ojcu swoimi wyczynami – odparła, strząsając popiół do słoika na parapecie. – Jak zdążyliśmy się dowiedzieć, ich kontakty nie należały do najlepszych. Zresztą, nie to jest najistotniejsze. Senior skłamał, że nie zna Michaliny. I co więcej, uznał, że Klemens okrył rodzinę hańbą, robiąc dzieciaka na boku. Dlatego chciał odkupić syna Michaliny i przedstawić go jako swojego pierwotnego wnuka.

Marcel zastanowił się nad tymi słowami. Jego ojciec również wyznawał konserwatywne poglądy. Wspólne mieszkanie przed ślubem uważał za wybryki rozkapryszonych dzieciaków, niezdolnych do stworzenia prawdziwej rodziny. Co zrobiłby Andrzej Wolski, gdyby okazało się, że Marcel będzie miał nieślubne dziecko? Zapewne przymusiłby syna, by stanął na ślubnym kobiercu, i siłą wcisnęłby mu obrączkę na palec.

– Halo?

Wolski potrząsnął głową.

– Przepraszam, zamyśliłem się.

– Nie pierwszy raz – odburknęła.

- Władysława wiedziała o wnuku?
- Brzozowski twierdzi, że nie.
- Wierzymy mu?

Rudnicka zauważyła, że Marcel użył liczby mnogiej, ale postanowiła tego nie komentować.

– Wychodzi na to, że Brzozowski faktycznie nie ma związku ze śmiercią Klemensa – powiedziała. – Wziął od niego pieniądze i poszedł do domu. Uważa, że nie wie, czy Klemens faktycznie spotkał się z Michaliną w parku, ale niechęć seniora do syna i jego kochanki nasuwa kilka dodatkowych pytań.

Które zamieszła zgłębić już jutro, wybierając się do domu Chmielnych.

– Sądysz, że Klemens i Michalina rozmyślili się co do transakcji, a senior postanowił ich zabić?

– Są ludzie, dla których poważanie i dobra opinia sąsiadów mają nadrzędne znaczenie – odparła. – Ale nie sądzę, by senior był zdolny do morderstwa. Przez lata służył krajowi, narażając życie, a teraz miałyby zabijać ludzi?

– Wielu wojskowych ma nierówno pod sufitem.

– Oprócz wewnętrznej dyscypliny nie odnajduję u seniora oznak zespołu stresu pourazowego.

– Weź pod uwagę wstyd zasłużonego żołnierza, którego syn zdradzał żonę i zrobił dziecko innej kobiecie. I ten wstyd mógł doprowadzić do tragedii.

Lena zacisnęła usta.

– A matka? – podjął Wolski, wrzucając papierosa do słoika z wodą. – Jak wytłumaczysz jej zachowanie? Jestem przekonany, że szalona staruszka, która kręciła się wokół domu Michaliny, to właśnie Władysława.

Rudnicka nie znalazła przekonującego argumentu. I nawet nie chciała go znaleźć. Była skłonna przyznać Marcelowi rację.

– Pojedziemy do nich jutro i zadamy im kilka pytań – zdecydowała.

– Okej. – Wychylił do dna puszkę zielonego lecha i odstawił na stół. – Jednak nie odchodziłbym zbyt daleko od seniora. Jest podejrzany.

– Kręci. Nienawidzę krętaczy.

Marcel kiwnął głową, przeczesując ręką włosy, i obrócił się do komisarz. Przesunął wzrokiem po jej twarzy, a potem wbił spojrzenie w obojczyk.

Zbyt luźny sweter odsłonił bliznę. Rudnicka błyskawicznie naciągnęła go z powrotem, ale było już za późno. Spojrzała na Marcela, a w jego oczach zobaczyła współczucie.

Wiedział.

Zmrużyła oczy, czując wzbierającą złość.

– Ty pieprzony pleciugo! – zawołała, popychając go do tyłu.

Wpadł na ścianę, unosząc obie dłonie.

– Kto ci powiedział? – warknęła.

Zasznurował usta. Ojciec, chciał powiedzieć, ale mina komisarz kazała sądzić, że doskonale zna odpowiedź.

– Ty cholerny obgadywaczu!

Dostrzegł bliznę już wcześniej, gdy cienka bluzka wysunęła się spod marynarki. Słowem się wtedy nie odezwał, ale podpytał ojca. Teraz poczuł się podle, jakby złamał niepisaną umowę, zobowiązującą ich do wzajemnej lojalności. Chociaż, zważywszy na fakt, że to Lena zataiła przed nim informację o swoim małżeństwie, nie powinien się tak czuć. A jednak.

– Posłuchaj... – zaczął.

– To ty posłuchaj – odparowała. – Mogłeś zapytać u źródła, a nie lecieć do tatulka! Wiesz, jak to się nazywa? Obmawianie za plecami, zdrajco.

– Daj spokój, przecież...

– Wal się.

Spodziewał się, że wyjdzie, trzaskając głośno drzwiami, ale ona oparła się o stół i zapaliła papierosa. Oddychała ciężko, jakby każdy oddech był na wagę złota.

– Słucham – powiedziała, rozkładając ręce. – Mów.

– Co mam mówić? – zapytał niewyraźnie, bo głos uwiązł mu w gardle.

– To, co myślisz.

Niewiarygodne, że zaczęło ją to interesować.

– Myślę, że nie powinnaś się tak denerwować – odparł.

– A ja myślę, że jesteś kolaborantem spiskującym przeciwko mnie.

Uśmiechnął się blado.

– To dlatego musisz chodzić do Karnowskiej, prawda?

W środowisku policjantów stereotyp, że funkcjonariusz, który chodzi do psychologa, to słabeusz, było wciąż żywe. Zważając na charakter Rudnickiej, jej niechęć do wizyt u Beaty Karnowskiej zdawała się uzasadniona, ale powinna zdawać sobie sprawę, że jest narażona na PTSD. Zespół stresu pourazowego dotykał nie tylko żołnierzy, ale coraz częściej również policjantów. Lena była tego świadoma, ale okazanie słabości odbierała jako przyznanie się do błędu. A do błędów przyznawała się tylko przed sobą.

Zapadło ciężkie milczenie, a Marcel nabrał ochoty, by zawinąć się w koc i zostać tam na zawsze. Napięcie rosło z każdą sekundą.

– To nie była twoja wina – powiedział w końcu.

– Moja.

Wolski odnotował mały sukces. Lena odpowiadała, co dawało nadzieję na normalną rozmowę.

– Nie, nie twoja – odparł. – Niepotrzebnie się zadręczasz.

– Przestań pieprzyć.

Zastanowiła się, dlaczego w ogóle prowadzi tę dyskusję. Spodziewała się, że Marcel zaraz zaleje ją falą pytań, na które nie chciała odpowiadać. Od sześciu miesięcy nie rozmawiała z nikim o tej sprawie, wyłączając oczywiście funkcjonariuszy Biura Spraw Wewnętrznych Policji. Krzysztof podejmował kilka prób, za każdym razem zbywała go zdawkowymi odpowiedziami – że czuje się dobrze i wszystko jest w porządku, a to, co się stało, należy do wątpliwych uroków pracy w policji. Tylko to ostatnie było bliskie prawdy.

– Próbowalaś ją uratować – powiedział Marcel, zaciskając usta.

Zobaczył w jej oczach wstyd, ale mimo to nie spuściła głowy. Ktoś i tak by zginął. Być może ona.

Przymknęła oczy, a pod powiekami zobaczyła ogromny magazyn. Deszcz bębnił w metalowy dach, a wokół unosił się zapach wilgoci. Pośrodku stały trzy osoby i ona. Ta, z którą porywacz nawiązał bezpośredni kontakt.

Chory psychicznie mężczyzna przetrzymywał dwie trzynastolatki – Łucję i Anastazję. Ich przerażone, piegowate buzie dryfowały w pamięci niczym dwie chmury, przypominające o porażce, jaką poniosła. Rozkazał, by przyszła sama. Bez kolegów, bez ukrytych w krzakach antyterrorystów. Sama. Tylko ona, on i dwie dziewczynki.

Poszła. Nie miała wyjścia. A może miała, ale nie brała go pod uwagę? Józef Bartoszak był psychopatą zdolnym do najgorszego. Gdyby postanowił zabić, zrobiłby to bez mrugnięcia okiem.

Weszła do hangaru. Pod butami chrzęściły drobinki skutego betonu. Jej skóra pokryła się lepkiem potem, a głowę wypełniało tysiąc myśli.

Czy powinna podbiec do dziewczynki stojącej na środku hangaru? Łucja nie ruszała się. Bartoszak sterował nią jak lalką. Nie musiała patrzeć w bok, by się o tym przekonać. Dziewczynkę sparaliżował strach. Zdawało się, że nawet nie oddycha, a jej zielone tęczówki wpatrywały się ufnie w policjantkę.

Anastazja stała parę metrów dalej. Jej skroni dotykała zimna lufa pistoletu. Ciekawe, co czuła? Co myślała?

„Wybieraj”, powiedział. „Ta czy ta? Którą zabijemy?” Wtedy zrozumiała, na czym polegało jej zadanie. Ona miała zabić. Dać porywaczowi satysfakcję. Nie zrobiła tego i nie rzuciła broni, choć jej kazał. Lufę glocka wycelowała w Bartoszaka. Śmiał się w głos. Przeszywający śmiech wypełniał uszy, objął się

o blaszane ściany hangaru. Psychol rozpoczął odliczanie. Na jeden zabije Anastazję. Postanowiła więc go uprzedzić, ale popełniła błąd. Powinna ugrać więcej czasu, ale była zbyt pewna siebie, by to zrobić.

Strzeliła. Trafiłaby, gdyby Józef nie obrócił dziewczynki. Kula wbiła się w czaszkę trzynastolatki. Jeden strzał, jedna ofiara.

Miała najwyżej dwie sekundy na decyzję, ale Józef zdążył ją ubiec.

Drugi strzał przeszył jej bark.

Trzecia kula błyskawicznie przecięła powietrze i trafiła porywacza w klatkę piersiową. Wytrwałe treningi na strzelnicy przyniosły owoce, wymierzyła idealnie. Szkoda, że za drugim razem.

Upadł, a w uszach rozbrzmiewało jedno zdanie: „Jednak wybrałaś”.

– Nie twoja sprawa – powiedziała, ruszając do wyjścia.

Marcel zastąpił jej drogę, a alkoholowo-papierosowa woń stała się mocniej wyczuwalna. Stali blisko siebie, ale wydawało się, że ta bliskość dla żadnego z nich nie jest kłopotliwa.

– Przepraszam – odezwał się. – Masz rację, nie powinienem rozmawiać o tobie z ojcem.

To bez znaczenia, pomyślała. Prędzej czy później dowiedziałyby się o jej przeszłości, ale to ona powinna była mu o niej powiedzieć.

– Przepraszam – dodał cicho.

Popatrzyła na niego, nie wiedząc, co powiedzieć. Mogła obrzucić go wyzwiskami, błysnąć żartem na rozładowanie atmosfery lub wyminąć go i pojechać do domu. Albo wreszcie z kimś porozmawiać.

– Powinnam wezwać wsparcie – powiedziała.

Powiadomić szefa, ustawić na dachach antyterrorystów, zrobić cokolwiek, by nie iść do hangaru sama. Przeświadczenie o własnej nieomyślności sprawiło, że nie zrobiła żadnej z tych rzeczy.

– Myślę, że rozmowa z Karnowską pomoże ci uporać się ze wspomnieniami – odparł. – Zrzucisz z siebie ciężar i wreszcie pójdziesz dalej.

– Już dawno poszłam.

Kłamała, a Marcel był tego świadom.

Zajrzał jej w oczy. Zielone tęczęwki stały się blade, jakby przysłonięte mgłą dramatycznego wspomnienia.

– Nie poszłaś – powiedział. – Obwiniasz się o śmierć tej dziewczynki.

– Bo to jest moja wina, Marcel.

Po jej twarzy przeszedł cień żalu. Pomimo zaciętej miny Lena nagle wydała mu się krucha. Gdyby zrzuciła na chwilę maskę, mogłaby już nigdy jej nie podnieść.

Chciał jej pomóc. Na przykład wywieźć daleko, aby już nigdy nie zadreęczała się przeszłością. Uniósł dłoń i przesunął materiał jej swetra, odsłaniając ramię. Lena mimowolnie się cofnęła, ale nie straciła ręki, choć umysł podpowiadał, by to zrobiła. Ciało odcięło się od głowy i zastygło w bezruchu.

Dotknął blizny. Delikatnie, niemalże niezauważalnie musnął kciukiem. Spojrzała na niego przestraszona. Nie wiedziała, czy bardziej zatrwożyło ją to, że Wolski dotyka tego zakazanego miejsca, czy to, że ona mu na to pozwala.

I pozwoliła mu na jeszcze więcej, gdy przesunął dłonią po szyi i wsunął palce w jej gęste włosy. W głowie zamigotała czerwona lampka. Alarm rozbłysnął czerwonym światłem stopu. Powinna to przerwać i wyjść. Trzasnąć drzwiami i opieprzyć sierżanta za zbyt dużą poufałość, ale bariera, jaka ich dzieliła, już dawno została przekroczona. Poznali swoje ciała i oboje pragnęli poznać je dogłębniej. Lena była spragniona bliskości, której nigdy nie zaznała i której, jak sądziła, nigdy nie pragnęła. Marcel jednym dotknięciem sprawił, że zakopane głęboko emocje powoli wysuwały się z krainy cieni.

Uniósł drugą rękę i przesunął wierzchem dłoni po policzku Leny. Jej skóra była gładka i zaróżowiona. Bezwiednie rozchyliła usta. Nie kontrolowała tego ruchu. Ciało zareagowało instynktownie, zignorowało protesty rozumu. Marcel spojrzał na wargi komisarz. Jej oddech stał się płytki, a oczy nagle pociemniały.

Gdy ich twarze dzieliły milimetry, do Leny jak przez mgłę dotarła myśl o niespodziance, jaka czekała Marcela, gdyby zsunął z niej sweter. Fioletowe siniaki i obita skóra wryłyby mu się głęboko w pamięć i już nigdy nie spojrzałby na nią tak samo.

Odepchnęła Marcela i zakręciła się wokół własnej osi, poprawiając dłonią włosy. Serce biło jej szybko jak u nastolatki czekającej na pierwszy pocałunek.

Jak mogła mu na to pozwolić? Zrobiła z siebie kompletną idiotkę.

Patrzył na nią skonsternowany, przelękając ślinę.

– Ja... – zaczął, ale głos miał zachrypnięty, jakby umysł wciąż nie otrząsnął się z szoku.

– Nie pozwalaj sobie – warknęła, upychając telefon do kieszeni.

– Lena...

Musiała stąd wyjść. Mimo uchylonego okna atmosfera w pokoju stała się ciężka i przytłaczająca. Jeszcze chwila, a Wolski poznałby jej największy sekret.

– Przepraszam – powiedział, łapiąc ją za rękaw.

– Nie pozwalaj sobie – powtórzyła.

Mierzyli się wzrokiem jak dwoje ludzi, którzy uniknęli katastrofy. Po chwili Lena wyszła, a Marcel został sam na sam ze swoimi ponurymi myślami.

Rozdział IV

1

Budynek pogotowia opiekuńczego przypomniał Dorocie licealne czasy. Wszystkie placówki wyglądały tak samo. Długie, najczęściej dwupiętrowe budynki z wychodzącymi na podwórze piwnicznymi okienkami, z których około godziny dwunastej unosił się zapach obiadu. Dorota wciąż pamiętała tę charakterystyczną stołówkową woń. Podobnie jak pamiętała zgiełk na korytarzach, wrzaski dzieci i zdecydowane głosy nauczycieli, przywołujących do porządku niesfornych uczniów.

W tym miejscu panowała przytłaczająca cisza. Nie słychać było gwaru dziecięcych rozmów, a wymalowane na ścianach stwory z kreskówek emanowały smutkiem, jakby miejsce dopasowało się do sytuacji mieszkańców i pogrążyło w letargu.

– Dzień dobry, pani kogoś szuka?

Odwróciła się gwałtownie. Zacisnęła poły grafitowego płaszcza i wbiła wzrok w ziemię, jakby stojąca przed nią pulchna kobieta przyłapała ją na gorącym uczynku.

– Nie, nie – odparła. – Dziękuję.

Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie. Rzadkie, ostrzyżone do ramion włosy stanowiły obramowanie okrągłej twarzy. Dorota zauważyła jej niedbały ubiór i pomyślała, że kobiecie oprócz wizyty u fryzjera przydałoby się również kilka porad stylisty.

– Pracuję tutaj – powiedziała, wskazując na budynek.

Bracka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Właściwie nie wiedziała nawet, po co tutaj przyszła.

– Są u nas dzieci z różnych środowisk – mówiła kobieta. – Z rodzin alkoholowych, osierocone albo ofiary przemocy domowej. Naszym celem jest znalezienie odpowiedniego miejsca dla takiego dziecka. Nowy dom to marzenie. Dzieciaki trafiają najczęściej do ośrodków adopcyjnych albo innych placówek wychowawczych.

Dorota poczuła nagłą sympatię do tej kobiety. Miała ochotę zaprosić ją na kawę i porozmawiać jak ze starą przyjaciółką.

– Ja... Mam pytanie – powiedziała. – To znaczy... Wczoraj przywieziono tu niemowlaka. Jego matka została zamordowana... ale nie wiem, czy dobrze trafiłam...

– Tak, chłopczyk jest u nas. Ale tylko na chwilę. Nie przyjmujemy aż tak małych dzieci. W ciągu kilku dni zostanie odwieziony do najbliższego ośrodka preadopcyjnego i najprawdopodobniej trafi do adopcji, jeśli nie znajdziemy jego rodziny.

Dorota spodziewała się takiego obrotu spraw, ale nie sądziła, że wzbudzi to w niej jakieś emocje. A jednak poczuła w środku dziwne ukłucie.

– Rozumiem – wymamrotała. – Ale... Może mogłabym pomóc?

– To znaczy?

Kobieta przekrzywiła głowę w oczekiwaniu.

– Mój mąż jest ojcem dziecka – powiedziała Bracka cicho. – Klemens Chmielny.

Pracownica ośrodka westchnęła. Pewnie zdążyła się dowiedzieć, że ojciec dziecka, podobnie jak matka, został zamordowany. Teraz w jej oczach pojawił się promyk nadziei.

– Chce pani zobaczyć Michałka? To prześliczny chłopczyk.

– Nie wiem. Chyba nie powinnam.

– Zapraszam.

Pociągnęła Dorotę za ramię. Odwiedziny macochy nie były do końca zgodne z prawem, ale pracownica ośrodka miała nadzieję, że serce tej eleganckiej kobiety zmięknie i chociaż jedno z ich podopiecznych dostanie szansę na dom.

Bracka, chwiejąc się na wysokich szpilkach, ruszyła nierówną ścieżką. Czowała, jak zimny pot spływa jej po plecach. Przecież niemowlę nie będzie pamiętało mojej wizyty, pomyślała. Nic nie stoi na przeszkodzie, by chociaż zerknęła na syna własnego męża.

2

Kalina Michalska usiadła na dębowej ławeczce przed hotelem. Twarde deski piły w kręgosłup, a delikatny wiatr chłodził zaróżowione policzki. Od szorowania brudnej restauracyjnej posadzki bolały ją plecy, a na kolanach pojawiły się szpetne wgniecenia, jakby skóra przybierała fakturę ohydnych rombów mozaiki podłogowej. Odetchnęła głęboko, wtlaczając do płuc haust rzeńskiego powietrza. Pachniało lasem i igliwiem.

Bliskość przyrody to jedyny atut pracy w tym miejscu. Kołyszące się na wietrze drzewa i szum liści napawały Kalinę spokojem.

Przez chwilę pożałowała, że rezygnuje z pracy w hotelu. Oprócz nieprzyjemności ze strony szefowej spotkało ją tu wiele dobrego. Poznała Klemensa, który był największym darem, jaki dostała od życia.

Nie umiała pogodzić się z jego odejściem. Był dobrym i rozsądnym człowiekiem, dlaczego więc wdał się w znajomości, które sprowadziły na niego śmierć? Poczowała spływającą po policzku łzę. Jedną jedyną, bo nie miała siły już płakać. Łzy przyniosły ukojenie, ale nie zmywały cierpienia i nie wypełniały pustki w sercu. Pustka – to idealne określenie stanu, w jakim tkwiła Kalina. Piękna na zewnątrz, ale pozbawiona wnętrza. Nijaka i zobojętniała.

Wyciągnęła papierosa i wbiła wzrok w białą gąbkę filtra. Palenie szkodzi płodowi, pomyślała, ale długoletni nałóg nie dawał o sobie zapomnieć. Przecież jeden niewinny dymek nie zaszkodzi dzidziusiowi. Tylko jeden, zastrzegła w myślach. Zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym. Naprędce wtlaczała w siebie nikotynę, jakby wewnętrzny potwór wybudził się ze snu, domagając się więcej i więcej. Szybko odpaliła kolejnego, ale nagle stwór osłabł, zepchnięty w kąt przez wyrzuty sumienia.

Z odrazą wyrzuciła niedopałek. Co ona wyrabia? Przeczesała setki stron w internecie na temat palenia w ciąży. Papierosy szkodzą płodowi. Nie wyobrażała sobie, by mogła urodzić chore dziecko. To niemożliwe. Jej dzidzius będzie idealny jak jego ojciec, a choroba nie wchodziła w grę.

Wstała gwałtownie i weszła na schody. Zdawało się jej, że coś usłyszała, więc odwróciła się. To pewnie tylko szelest drzew, pomyślała. W ciąży wyostrzył się nie tylko zmysł węchu, ale i słuchu. Postawiła stopę na kolejnym stopniu, ale

znów usłyszała ten dziwny dźwięk. Obejrzała się i nagle poczuła, że jej ciało leci na zimną posadzkę. Ręce bezskutecznie próbowały złapać się poręczy. Brzuchem uderzyła o kant schodka. Głowa aż odskoczyła przy zderzeniu z twardą powierzchnią. Z jękiem spróbowała się podnieść. Prawe ramię przeszył ból, a naciągnięte ścięgna zapiekły. Zaklęła, spoglądając na rękę, na której niedługo zakwitną paskudne siniaki. Ale to nieważne. Spojrzała na swój brzuch. Był płaski, ale Kalina czuła, że dzidzius na znak protestu wierzgnął kończynami. Nagle ogarnął ją zimny strach. A jeśli małemu coś się stało? Poczowała napływające do oczu łzy. Co ona narobiła? Zerknęła w niebo. To kara, pomyślała. Kara od Boga, że truje własne dziecko. Jak mogła być tak nieostrożna? Rozpłakała się z bezsilności.

3

Poranna odprawa zaczęła się kilka minut po dziewiątej i trwała nadzwyczaj krótko. Nie było miejsca na spekulacje. Lena Rudnicka rozdysponowała zadania i szybko się ulotniła.

Ponieważ dozorca Karol Warski wciąż nie zjawił się w swoim mieszkaniu, a obserwacja nie przyniosła żadnych skutków, Tymon z Ernestem wybrali się do jego matki.

Krystyna Warska mieszkała na Andrzejowie, dawnej podłódzkiej wsi, która teraz stanowiła część Widzewa. Betonowy domek, wetknięty gdzieś na końcu uliczki odchodzącej od Rokicińskiej, nie zachęcał do składania wizyt.

Milewski pchnął drewnianą furtkę. Zardzewiałe zawiasy skrzypnęły przeciągle, a w nozdrza uderzył wchodzących zapach odchodów i obory. Przez uchylone drzwi komórki dochodziło chrumkanie świń. Gdyby nie prowizoryczne zabezpieczenie w postaci dostawionej siatki, różowe warchlaki wbiegłyby na posesję. Przez ścieżkę prowadzącą do domu przebiegło kilka rudych kur. Tymon skrzywił się na bałagan panujący w obejściu. Połamane beczki rzucone pod płotem, duży fiat bez kół i sterta złomu na środku. Wyglądało na to, że leży tu od dawna i nikt się nie pokwapił, by usunąć tę wątpliwą ozdobę.

Omijając odchody pozostawione przez biegające wszędzie kurczaki, weszli na ganek. Ernest zapukał, odsunąwszy się z obrzydzeniem na odległość dwóch kroków. Plastikowe wiaderka wypełnione gotowanymi ziemniakami i płynem o dziwnej konsystencji przyprawiły aspiranta o odruch wymiotny.

Drzwi uchyliła starsza kobieta. Zsunęta do połowy głowy chustka odsłaniała niemalże białe włosy. Popatrzyła wrogo na gości i skryła pomarszczone dłonie, wsuwając je do kieszeni wełnianego swetra.

- Dzień dobry, jesteśmy z policji – powiedział Tymon, prostując plecy.
- O co chodzi? – zapytała kobieta, marszcząc bezwłose brwi. Poorana bruzdami twarz nie wyrażała żadnych emocji.
- Szukamy pani syna, Karola Warskiego.
- Coś przeskrobał?
- Moglibyśmy porozmawiać?
- Tja – odburknęła. – Wejdźcie, ale nie przestraszcie się bałaganu.

Ernest nabrał tchu. Upodobanie do czystości powstrzymywało go przed wchodzeniem w takie miejsca, ale zawód policjanta wymaga wielu poświęceń.

Przeszli do niewielkiej kuchni, gdzie wisiało zatęchłe powietrze, jakby nie wietrzono tutaj od kilku lat. Paskudny zapach potu i starości. Tymon ocenił, że bałagan w środku niczym nie różni się od rozgardiaszu na podwórku. Kuchenne szafki pod ścianą pamiętały czasy sprzed Okrągłego Stołu, a poszarzała z brudu okleina lepiała się od dryfującego w powietrzu kurzu.

Staruszka zgarnęła z krzesła stos ulotek i gazet, nalała wody i postawiła czajnik na polowej kuchni.

– Zrobię herbatki – powiedziała i wyjęła trzy szklanki. Drzwiczki zaskrzypiały przeraźliwie, kiedy otwierała i zamykała szafkę.

Ernest wzdrygnął się na widok niedomytych szklanek, które kobieta umieściła w czerwonych koszyczkach.

– Kiedy ostatnio syn kontaktował się z panią? – zapytał.

– Spocznijcie, panowie. Nie będziemy rozmawiać na stojąco.

Policjanci spojrzeli na brudne obicia krzeseł. Czarna plama po tłustej cieczy wżarła się w materiał. Ernest przełknął ślinę i przycupnął na skraju.

Krystyna Warska zalała herbaty, wyjęła torebki na spodeczek i odstawiła na bok.

– Nie marnuję niczego – oznajmiła. – Z tych torebek zaparzę jeszcze z dziesięć herbat.

Postawiła szklanki na blacie i siadła naprzeciw gości.

– Kiedy ostatni raz widziała pani syna? – zapytał Ernest.

– Z tydzień temu – odparła. Jej głos był zdławiony i niewyraźny. – Przyszedł pomóc ze świniami. Głupie warchlaki wyleciały na obejście, a ja stara jestem i nie dałam rady ich złapać. Szybkie są, skubańce. Karol zrobił lepsze zabezpieczenie z siatki i przypiął gwoździem przy murze, więc może już nie wylecą. Oby, bo bałaganu narobiły straszne. Biegały jak dzikie.

Ernest wyobraził sobie, jak mógłby wyglądać bałagan zrobiony przez biegające świnię. Czy podwórko mogło wyglądać jeszcze gorzej?

– A wiecie, panowie, uchylam im te drzwi, żeby powietrza nałapały – ciągnęła.

– Szkoda mi tych prosiaków, ale cóż zrobić? I tak kiedyś będę musiała je ubić.

– Czyli nie widziała pani syna od tygodnia?

– No nie. Karolek mieszka w bloku... Gdzieś tam, zapomniałam ulicy. Osiemdziesiąt cztery lata na karku, mam prawo zapominać.

– A potem syn kontaktował się z panią?

– Nie. Nie rozgaduję się przez te telefony. Słabo słyszę, więc jeśli dzwonię, to szybko załatwiam sprawę i do widzenia. Jak Karol coś chce od starej matki, po prostu przyjeżdża. A dlaczego go szukacie?

– Słyszała pani o morderstwie Klemensa Chmielnego?

– Tak – odparła. – I tej dziewczyny. Słyszałam w radiu. Ale że co? Karol jest o coś podejrzany?

Ku swemu zaskoczeniu policjanci w głosie staruszki nie usłyszeli strachu, jakby uznała za normalne, że syn może być podejrzewany o zabójstwo.

– Nie – zaoponował Ernest. – Chcemy z nim porozmawiać, ponieważ pracował z Klemensem Chmielnym.

– No tak – przyznała kobieta. – W hotelu robił. – Zamyśliła się, upijając łyk herbaty. – Zapomniałam nazwy.

– Retro.

– No tak, no tak. Ale Karolka nie widziałam i nie wiem, co się z nim dzieje.

– Nie pojawia się w pracy, nie zastaliśmy go w mieszkaniu, a jego telefon jest nieaktywny. Próbujemy go odnaleźć.

Kobieta wzięła oddech, jakby chciała coś powiedzieć, ale po chwili zamknęła usta. Co to było? Zastanowiła się. No trudno, wzruszyła ramionami, pamięć już nie ta.

– Czy syn wspominał o Klemensie Chmielnym? – spytał Milewski. – Podobno nie darzyli się sympatią.

– A ja nie wiem, panie! – odparła kobieta, wyraźnie ożywiona. – Mój syn ma ponad czterdzieści lat, a pan myśli, że opowiada o swoich problemach? Stara matka nie obchodzi go nic a nic. Ciężko doprosić się, żeby przyszedł naprawić cokolwiek w domu, a co dopiero zmusić do rozmowy.

– Mówiła pani, że przyjeżdża...

– No przyjeżdża – przerwała. – Ale nie zwierza się, co pan! Do tej pory nie poznałam jego dziewczyny!

– Karol miał dziewczynę?

Policjanci wymienili spojrzenia.

– Pana to dziwi? W takim wieku to już powinien mieć żonę i gromadkę dzieci! Całe życie pieniądze na wesele składałam i co mi z tego? Dałam synowi, żeby na konto wpłacił, bo i tak niedługo umrę.

Do tej pory informacja o dziewczynie Karola Warskiego ani razu się nie przewinęła. Czyżby zamieszkał z partnerką i dlatego nie pojawiał się w swoim mieszkaniu?

– Jak nazywa się ta dziewczyna? – podjął Ernest.

– Nie mówił – odparła Warska. – Taki gburowaty się zrobił, że nic nie mogę z niego wyciągnąć. Ale jestem jego matką, wyczuwam takie rzeczy. Kiedyś widziałam w jego komórce. Miał ją na obrazku powitalnym czy jakoś tak...

– Na tapecie?

– Może na tapecie. Nie znam się na tym, ale tak szybko schował, że nawet twarzy nie zobaczyłam. Chociaż w tym wieku wygląd nie jest ważny! Byleby znalazł sobie kogoś, bo zostanie sam na stare lata. Mówiłam mu, żeby żony szukał. Samotność jest straszna, dobrze to wiem. Mój mąż zmarł dwadzieścia lat temu i zostałam sama na gospodarstwie. Ciężko tak żyć. Nawet nie ma do kogo gęby otworzyć.

– Pamięta pani, jak wyglądała tamta kobieta?

– Włosy jasne miała, tyle zdążyłam dojrzeć.

– Długie, krótkie?

– Panie, ja ledwie widzę. – Warska westchnęła i siorbnęła herbaty. – Żeby dostrzec coś na tym dziadostwie, muszę okulary wkładać, bo w oczach się mieni.

– A ma pani jakieś przypuszczenia, gdzie może być syn? – podjął Milewski. – Może ma domek za miastem albo mówił, że gdzieś wyjeżdża?

– Nie ma domku za miastem.

– Wspomniał coś planowanym wyjeździe? – upewnił się Ernest.

– Nie. O niczym mi nie powiedział.

Tymon zerknął na aspiranta, który wyglądał, jakby był gotów wybiec z domu i pod najbliższym prysznicem zmyć z siebie smród mieszkania. I właściwie nic nie stało na przeszkodzie, by zakończyć rozmowę, bo staruszka najwyraźniej nie wiedziała nic więcej ponad to, czym zdążyła się z nimi podzielić.

Sprawdzą też trop potencjalnej dziewczyny Warskiego, chociaż mogła nie mieć związku ze sprawą. Rudnicka na pewno stanie na głowie, by ją odnaleźć.

Kobieta odprowadziła ich do drzwi i zatrzasnęła je z hukiem, zadowolona, że pozbyła się natrętnych gości. W milczeniu przeszli przez podwórko i wsiedli do samochodu. Tymon wyjął z paczki papierosa, ale zawahał się, spoglądając na Ernesta. Ten machnął ręką w niemym przyzwoleniu na szybkiego dymka. Nie zdążył jednak wyjąć zapalniczki, gdy drzwi trzasnęły po raz drugi, a przez podwórko gnała Krystyna Warska.

Jej ruchy były nieporadne, ale trzeba przyznać, że szybkość, z jaką pokonywała kolejne metry, była imponująca. Rude kury odskoczyły na bok, zdumione nagłą żywotnością właścicielki.

– Panowie! – zawołała.

Tymon wysiadł i obszedł samochód.

– Tak?

– Przypomniało mi się – powiedziała, z wysiłkiem łapiąc oddech. Naciągnęła na głowę chustkę i wręczyła im kartkę. – Karolek zmienił numer. Dał mi go podczas ostatniej wizyty. Na stary skończyła się umowa, więc kazał dzwonić na ten, jeśli będę czegoś potrzebowała.

Tymon spojrzał na wielkie cyfry zapisane na kartce w trzy linie.

– Ale proszę przepisać, bo kartki nie oddam – dodała.

6

Droga do domu Chmielnych minęła w krępującym dla Marcela milczeniu. Na odprawie Lena nie odezwała się do niego ani słowem i wyglądało na to, że nadal nie zamierza.

Wyskoczyła z samochodu i pomaszzerowała na ganek, wspominając ostatnią rozmowę z Władysławą Chmielną, która zachowywała się jak osoba niecałkowicie zrównoważona psychicznie. Ta nagła zmiana wydawała się co najmniej podejrzana. Oczywiście, można ją przypisać żałobie – każdy inaczej przeżywa śmierć bliskich i każdy inaczej radzi sobie ze stratą, ale nikt nie zmieniał się z dnia na dzień w wariata.

Klemens senior przywitał policjantów z nieskrywaną niechęcią. Komisarz zaszczyił pogardliwym spojrzeniem i przeniósł wzrok na sierżanta.

– Czego chcecie? – burknął. – Niedawno nas przesłuchiowano. Czego jeszcze chcecie?

– Pogadać – rzuciła Rudnicka, wychodząc przed Wolskiego.

Senior wciąż patrzył tylko na Marcela.

– Wasi koledzy odwiedzili nas wczoraj, a dzisiaj znowu wy – powiedział. – To zwykłe nachodzenie. Powiedzieliśmy wszystko w sprawie śmierci naszego syna.

– Nie sądzę.

Senior ściągnął brwi, zastawiając ciałem wejście do domu.

– Porozmawiamy w środku czy mam pana przymknąć za mataczenie w śledztwie? – zapytała Rudnicka.

Klemens westchnął, tocząc wewnętrzny bój ze sobą. Cały jego umysł protestował przed ustąpieniem tej kobiecie, ale wyglądała na taką, co bez mrugnięcia okiem zabrałaby go na komendę. Co powiedzieliby sąsiedzi? pomyślał.

Uchylił drzwi i zaprowadził funkcjonariuszy do środka.

– Żona jest zmęczona – zastrzegł. – Nie będzie mogła z wami porozmawiać.

– Dlaczego? – spytał Wolski. – Coś się stało?

– Źle się czuje.

– Przewiało ją na nocnym spacerze? – zaatakowała komisarz. – Gdybym chodziła w klapkach w połowie marca, też nie czułabym się najlepiej.

Senior zeszywniał, zaciskając spierzchnięte wargi.

– Co się dzieje z pańską żoną? – podjął Marcel.

– Zabito nam syna – odburknął senior. – Jak pani sądzi, co się dzieje z moją żoną?

– Koledzy twierdzą, że zachowywała się dziwnie.

Klemens oparł się dłońmi o blat, wpatrując się w okno. Po kilku długich minutach odwrócił się w stronę policjantów.

– Władka choruje od dawna – powiedział. – Lekarze nazywają to zaburzeniami świadomości i postrzegania.

Lena uniosła brwi. Schizofrenia? Niemożliwe.

– Od niedawna trafiliśmy na idealny lek, dopasowany do jej wieku – ciągnął. – Długo szukaliśmy, ale się udało. Już kilka miesięcy nie miała żadnych omamów ani halucynacji...

– Chwila, chwila – zaoponowała Rudnicka. – Twierdzi pan, że żona choruje na schizofrenię?

– Zaczęło się niewinnie. – Senior westchnął ciężko. – Zauważyłem, że mówi do siebie, opowiada o rzeczach, które nie miały miejsca albo wydarzyły się trzydzieści lat temu, a Władka sądziła, że wczoraj. Widziała rzeczy, których nie było. Kiedyś obudziła mnie w nocy krzykiem, że nasz dom stoi w płomieniach. Oczywiście, nic takiego się nie stało. – Westchnął. – Miała zaburzone postrzeganie rzeczywistości. W zimie zakładała letnią sukienkę, nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, nie czuła bólu. Maczała ręce we wrzątku, wchodziła pod jadące samochody... Rozpoczęliśmy terapię u psychiatry. Naprawdę czuła się już lepiej, ale śmierć Klemensa poruszyła coś w jej mózgu. Nie wiem. Znowu dziwnie się zachowuje i oskarża wszystkich o morderstwo, a w każdym napotkanym młodym mężczyźnie widzi naszego syna.

Marcel wytarł spocone dłonie o spodnie.

– Czy pańska żona stanowi zagrożenie dla innych? – zapytał.

– Co pan sugeruje?

– Najprawdopodobniej była widziana w dniu morderstwa w pobliżu domu Michaliny – włączyła się Lena.

– Sugeruje pan, że Władka zamordowała naszego syna i tę dziewczynę? – prychnął Klemens. – To absurd, Władka nie jest zagrożeniem dla nikogo, oprócz siebie samej.

Lena pomyślała, że jeżeli Chmielny mówi prawdę, Władysława mogła nie zdawać sobie sprawy, co robi. Chorzy na schizofrenię myślą halucynacje z rzeczywistością. Wyparcie nieprzyjemnych wspomnień lub uczuć jest

elementem zaburzeń psychicznych. Nagle w kuchennej witrynie dostrzegła coś dziwnego. Szybko odwróciła wzrok.

– Chcę z nią porozmawiać – powiedziała.

– To niemożliwe, w ostatnich dniach doświadczyła zbyt wiele stresu...

– Zadzwońię po policyjną psycholog – przerwała. – To konieczne.

Senior zacisnął dłonie w pięści, jakby chciał wymierzyć policjantce cios, ale zamiast tego usiadł przy stole i przeciągle westchnął.

– Psycholog przyjedzie za dwadzieścia minut – odezwała się Lena, chowając komórkę. – W takim razie mamy chwilę czasu, aby uciąć sobie pogawędkę.

Klemens nastawił wodę na herbatę i wyjął z szafki jedną filiżankę, dając policjantom do zrozumienia, że wolałby, aby poczekali na psycholog przed domem.

– Michalina Kowalska nie była panu taka obca, jak pan utrzymywał, co? – zagadnęła.

– Nie rozumiem.

– Doskonale pan rozumie.

– Powiedziałem tamtym policjantom wszystko, co wiedziałem.

– Bujda – skwitowała Lena. – Oprócz tego, że znał pan Michalinę, składał jej pan wizyty i kilkakrotnie kontaktował się z nią telefonicznie.

Marcel odchrząknął. Najwyraźniej przejrano billingi z komórki Michaliny, ale Rudnicka nie pokwapiła się, by go o tym poinformować.

– Syn splamił honor żołnierza, co? – ciągnęła.

Liczyła, że sprowokuje seniora do wyjawienia prawdy. Nie miała ochoty słuchać kolejnych kłamstw i wykrętów. Ten jednak stał nieruchomo ze wzrokiem wbitym w przestrzeń ponad jej głową.

– Nie do pomyślenia, że w dwudziestym pierwszym wieku ktoś mógłby wziąć rozwód albo, nie daj Bóg, zdradzać żonę. Skandal! Co ludzie by powiedzieli?

– Nic nie wiem – warknął.

– Ale ja wiem – odparowała. – Że namawiał pan syna, by przekazał Michalinie pieniądze. Naprawdę aż tak nienawidził pan Klemensa? Nieudane dziecko, co? Marzył pan, by zostać żołnierzem, a jemu w głowie cyferki. No i do tego zdradzał żonę!

– Uważa pani, że to normalne? – spytał rozeźlony senior. – Złożył przysięgę przed Bogiem, więc powinien dotrzymywać obietnic. Ślubował miłość, wierność...

– I że jej nie opuści aż do śmierci – dokończyła Lena. – Właściwie tego jednego się trzymał, bo do rozwodu jeszcze nie doszło.

– Mój syn popełnił błąd, a ja chciałem wszystko naprawić.
– No jasne – zachnęła się Rudnicka. – Za handlowanie dziećmi można iść siedzieć, proszę pana.
– Do transakcji nie doszło.
– Skąd pan wie? – zapytał Marcel.
– Rozmawiałem z tą dziewczyną.
– Kiedy?
– Po śmierci Klemensa. Umówiła się z nim w tym cholernym parku, ale nie przyszła. Powiedziała, że się rozmyśliła. Głupia idiotka.
– Mówi pan o zmarłej – zauważył Wolski.
Senior poczerwieniał.
– Nie – zaprotestował. – Mówię o kobiecie, która ukradła cudzego męża! Kiedy do niej poszedłem za pierwszym razem, w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać!
– Wcale mnie to nie dziwi. – Lena przewróciła oczami.
Pomysł odkupienia od Michaliny dziecka brzmiał naprawdę absurdalnie.
– Jak ona zamierzała wychować to dziecko!?! – krzyknął senior. – W tej ruderze? Wystarczy jeden podmuch wiatru, a ten dom zasili okoliczne tartaki! Skąd wzięłaby pieniądze? Z kręcenia tyłkiem w kasynie? Chciałem dobrze dla dziecka! Dorota i Klemens daliby mu pełnowartościowe życie, a nie biedowanie od pierwszego do pierwszego. Chciałem, by odczepiła się od Klemensa i zrzekła praw do dziecka. To było najlepsze wyjście, dla niej i dla chłopca. Klemens i Dorota zapewniliby mu godny byt.
– Żona Klemensa twierdzi, że nie chciała potomstwa – zauważył Marcel.
– Nie chciała, nie chciała. – Senior uderzył dłonią w blat. – Bała się, jak każda kobieta! Gdyby pojawiło się dziecko, wątpliwości by znikły!
– Więc uważa pan, że nie doszło do spotkania w parku, ponieważ Michalina zmieniła zdanie – powiedziała Rudnicka. – W takim razie, czy ma pan jakieś podejrzenie, kto mógłby zabić pańskiego syna?
– Nie.
– Oprócz pana.
– Mnie?!
– Nawet w tej chwili, gdy pański syn leży w lodówce u patologa, pan zionie do niego nienawiścią.
– Słucham!?! Żartuje pani?!
– Bynajmniej.
Senior przeszedł się po kuchni i ze złością wyłączył wrzącą wodę. Zalał herbatę i upił długi łyk, jakby gorący napar miał uspokoić skołatane nerwy.

– Nie zabiłem Klemensa – powiedział, odstawiając filiżankę na spodeczek.
– Czy żona mówiła, gdzie spacerowała przedwczoraj w nocy? – zapytała Rudnicka.

Wiekowe kości zaskrzypiały, kiedy senior siadał przy stole. Oparł łokcie na blacie, nie patrząc na policjantów.

– Nie mam pojęcia – odparł cicho.
– Około dwudziestej drugiej była w domu?
– Nie wiem, wyszedłem z piwnicy około północy.
– Czyli nie może pan potwierdzić, że do północy była w mieszkaniu lub opuściła dom chwilę przed pana wyjściem z garażu?
– Nie.

Rudnicka pokiwała głową, wyglądając przez okno. Czerwony citroën zaparkował przed bramą. Beata Karnowska uwinęła się szybciej, niż Lena się spodziewała.

Gdy do kuchni weszła szczupła kobieta około pięćdziesiątki, napięta atmosfera wyparowała, jakby spokój bijący od Karnowskiej zepchnął w kąt złe emocje. Uśmiechała się szeroko, odsłaniając równe zęby. Jej ruchy były rozluźnione i pełne łagodności. Marcelowi przyszło do głowy, że kobieta wygląda jak modelowa pani psycholog. Zerknął na stojącą obok komisarz, rozdrażnioną i pełną gniewu. Gdyby ktoś kazał jej usiąść i przez godzinę wysłuchiwać problemów innych ludzi, zapewne skróciłaby własne męki i wyrzuciła marudnego pacjenta za drzwi.

Psycholog przywitała się z zebranymi, poprawiła okulary w grubych oprawkach i zerknęła na Rudnicką.

– Gdzie pacjentka? – zapytała.
– W pokoju – rzuciła Lena i ruszyła korytarzem. W drodze błyskawicznie nakreśliła problem.

Chmielna bujała się na krześle, w przód i w tył. Nie przerwała, nawet kiedy cała trójka usiadła naprzeciwko niej.

– Pani Władysławo – zaczęła psycholog. – Nazywam się Beata Karnowska, jestem psychologiem. Mogłybyśmy porozmawiać?

Kobieta obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Klemens? To ty? – zwróciła się do Marcela.

Wolski zmarszczył brwi i przełknął ślinę. Szkliste oczy staruszki pojaśniały. Rudnicka szturchnęła sierżanta w bok. Marcel zrozumiał niewerbalne polecenie, ale wcale nie miał ochoty go spełnić.

– Tak – skłamał.

- Gdzie byłeś? Nie przyszedłeś na obiad.
- Byłem...
- Mieliśmy dużo spraw do załatwienia – wtrąciła Lena.
- Dorotka? – Władysława przeniosła wzrok na komisarz. Na pomarszczonej twarzy zakwitł szeroki uśmiech. – Dawnośmy się nie widziały. Pięknie wyglądasz, kwitnąco. Taka ładna z was para.
- Wolski najchętniej zapadłby się pod ziemię.
- Pani Władysławo – spróbowała Karnowska. – Jak się pani czuje?
- Dobrze – odparła cicho staruszka. – Nawet dobrze. – Machnęła ręką. – Kołuje mi się w głowie, ale dobrze.
- Jest pani w stanie z nami porozmawiać?
- Wreszcie przyszedł mój synek... Dawno cię nie było.
- Wolski popatrzył na Lenę, której noga nerwowo drgała pod stołem. Komisarz wyglądała, jakby była gotowa zrobić wszystko, by wyciągnąć informacje od staruszki. Nawet siłą.
- Pani Władysławo, pamięta pani, co robiła przedwczoraj w nocy? – zapytała Karnowska.
- Jak to? – Chmielna wbiła wzrok w psycholog.
- Spojrzenie miała półprzymknięte, jak gdyby nie wiedziała, czy osoby siedzące naprzeciwko są realne, czy wyobrażenia znów płata jej figla.
- Pamięta pani tamten dzień?
- Czekałam na Klemensa – odparła. – Dobrze, że już jesteś, synku. – Pogładziła go dłonią po kolanie.
- Klemens nie przyszedł?
- Nie. Ale przyszedł dzisiaj. Jest tutaj. – Pokazała na Marcela, który poruszył się nerwowo.
- Co pani zrobiła, kiedy syn się nie pojawił? – zapytała Karnowska.
- Chodziłam po ogrodzie. Idzie wiosna, powietrze świeże. – Staruszka się uśmiechnęła.
- A potem? – wtrąciła Rudnicka nazbyt gwałtownie. Chmielna aż się skuliła. Psycholog posłała komisarz karcące spojrzenie.
- Co robiła pani, kiedy syn nie przyjechał? – zapytała kojącym głosem.
- Chodziłam po ogrodzie, a potem... Nie pamiętam.
- Pamięta pani w takim razie, co robiła wieczorem?
- Staruszka pokiwała głową.
- Tak, pamiętam. Byłam w domu. Tutaj siedziałam.
- Cały wieczór?

– Tak.

– A może wybrała się pani na spacer? Wieczory są ciepłe i...

– Poszłam na spacer, no właśnie – przerwała jej Chmielna. – Poszłam na spacer, tak.

– Dokąd? Pamięta pani?

– Poszłam... Jechałam autobusem.

– Pamięta pani numer?

– Nie patrzyłam. – Starsza pani wzruszyła ramionami i potarła kościste dłonie. Nagle nachyliła się do stołu. – Jechałam na gapę – szepnęła.

– Nic się nie stało.

– Powinnam kupić bilet.

– Dokąd pani pojechała autobusem?

– Nie wiem.

– Pamięta pani, co robiła, kiedy już wysiadła?

– Tak. Szłam drogą – przyznała cicho Chmielna, powracając do bujania ciałem.

– Dokąd się pani wybrała?

– Do... Nie wiem.

Rudnicka najchętniej plasnęłaby się otwartą dłonią w czoło.

– Michalina Kowalska, znała ją pani? – zapytała.

Starła się mówić spokojnie, by nie spłoszyć staruszki. Chyba się udało, bo kobieta spojrzała na nią, a Rudnicka odniosła wrażenie, że dostrzegła w jej oczach przeblysłk świadomości.

– Tak, ale nie osobiście.

– Odwiedzała pani Michalinę w jej domu? – podjęła Karnowska.

– Nie.

– A czy była pani przedwczoraj w okolicy jej domu?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Skąd pani zna Michalinę? – zapytała Rudnicka.

– Znam ją... Znam... – Zamyśliła się. – Nie wiem.

Lena zacisnęła usta, wątpiąc w sens tej rozmowy. Stuknęła Marcela nogą i wstała z krzesła. Wolski pomaszzerował za nią, zostawiwszy Karnowską sam na sam ze staruszką.

Kiedy wyszli na podjazd, Lena odbyła krótką rozmowę przez telefon, wyjęła Marcelowi paczkę westów z ręki i zapaliła papierosa.

– Zadzwoiłam po mundurowych – powiedziała. – Zabiorą seniora na komendę. Musi złożyć zeznania.

Wolski skinął głową.

– Co o tym myślisz? – spytał.

– Ściema.

Oczekiwał, że rozwinie temat, ale Lena milczała, przemierzając krótki odcinek pomiędzy nim a samochodem, a potem z powrotem.

Na widok nadchodzącej psycholog nagle się ożywiła.

– Beata, ona nie ma schizofrenii – oznajmiła pewnym głosem.

– Skąd to przypuszczenie? – Karnowska splótła dłonie na brzuchu.

– Stary szprycuje ją lekami albo jakimś innym gównem – oświadczyła Lena, wypuszczając dym. – W kuchennej szafce widziałam diazepam. Nie jestem psychiatrą, ale mogę śmiało stwierdzić, że to nie jest lek na schizofrenię. Chłopaki zaraz przyjadą i przeszukają dom.

– Załatwiał lewe recepty?

– Na co jest diazepam? – wtrącił Marcel.

– Valium, mówi ci to coś? – spytała Lena.

Wolski przecesał zakamarki pamięci. Nazwa brzmiała znajomo, ale nie przypominał sobie żadnego szczegółu dotyczącego leku.

– Narkotyki na receptę – skwitowała. – Stosowane przy depresji, stanach lękowych, takie tam. Na zdrowego człowieka działają jak zwykłe prochy.

– Czasem zaleca się valium w leczeniu psychoz – zauważyła psycholog.

– Valium? – Lena zmarszczyła czoło. – O ile mi wiadomo, w Polsce jest niedostępny. U nas nazywa się to relanium albo jakoś tak. Co potwierdza tezę o czarnym rynku.

Psycholog skomentowała swoją pomyłkę cichym westchnieniem.

– Nieważne – kontynuowała Rudnicka. – Weźmiecie babcię na płukanie żołądka, badanie krwi czy co tam robicie. Zobaczymy, czy faktycznie przyjmowała leki na schizofrenię.

– Uważasz, że senior wymyślił bajeczkę o chorobie? – spytał Wolski.

– Kiedy rozmawiałam z nią po raz pierwszy, była normalna – odparła. – Poza tym, odniosłam wrażenie, że jest zastraszana przez męża. Kiedy przyszli na komendę, Klemens traktował mnie jak trędowatą tylko dlatego, że nie mam węgorza między nogami. Podczas drugiego spotkania też okazywał mi pogardę, więc sądzę, że trzyma żonę na krótkiej smyczy. Okej, rozumiem załamanie po stracie syna, ale teoria o szalonej babci jest co najmniej podejrzana. – Odetchnęła. – Pobierzemy odciski od obojga. Najbardziej interesuje mnie senior. Według mnie to z nim jest coś nie tak, a nie z Władysławą. Pogadaj z nim – zwróciła się do Karnowskiej. – Może ma nierówno pod sufitem i karmił żonę lekami, żeby się nią opiekować. Kiedyś słyszałam o podobnym przypadku. Matka wpychała leki

w dziecko, aby miało gorączkę i chorowało, a ona, niczym siostra miłosierdzia, skakała wokół niego szczęśliwa, że tak wspaniale potrafi zatroszczyć o swoją pociechę.

– Porozmawiam – zapewniła Karnowska.

Zapadło milczenie. Lena wyrzuciła niedopałek, przydepnęła butem i spojrzała na Marcela.

– Wiem, że teoria o morderczej Władysławie bardzo przypadła ci do gustu – powiedziała. – Może się mylę i babcia faktycznie oszalała i zabiła naszą dwójkę.

– Ty i pomyłka?

– Rzadko się mylę, co nie oznacza, że jestem nieomylna.

– Mamy podejrzenie, więc możemy pobrać od nich odciski.

– Tak – przyznała, obchodząc samochód. Otworzyła drzwi i dodała: – Zawężenie kręgu podejrzanych w tej sprawie graniczy z cudem.

– Lena? – zagadnęła Karnowska.

Lena wiedziała, że zaraz padnie pytanie, którego nie chciała usłyszeć.

– Kiedy do mnie przyjdiesz?

Komisarz trzasnęła drzwiami.

7

Pulchne rączki, pyzata buzia i oczy tak ciemne, że Dorota poczuła ucisk w brzuchu. Wciąż pamiętała miękką skórę Michałka. I zapach. Delikatny, niemowlęcy i niewinny.

Maleńki i smutny chłopczyk sprawiał wrażenie, jakby był świadomy, że spotkała go wielka tragedia. Nie miał nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować. Uzależniony od decyzji urzędników i skazany na łaskę i niełaskę oficjeli z ośrodka. Tamta kobieta powiedziała, że priorytetem jest dobro dziecka, ale Dorota w to nie wierzyła. Znała urzędników na tyle dobrze, by wiedzieć, że dla nich priorytetem są dokumenty. Musieli mieć papier na wszystko. Dobro dziecka schodziło na drugi plan.

Dorota zrzuciła szpilki w swoim apartamencie i przebrała się w wygodny dres. Tak dawno go nie nosiła, że zapomniała już, jaką daje swobodę ruchów. Przy Klemensie zawsze starała się wyglądać perfekcyjnie, ale teraz mogła pozwolić sobie na odrobinę luzu. Rozpięła ciasny kok, wyjęła uciskające wsuwki i rozplotła włosy. Nalała wina do kieliszka i usiadła wygodnie na sofie. W tle leciał program informacyjny TVN24, ale Dorota nie słyszała żadnego słowa wypowiedzanego przez dziennikarkę. Myślami była przy Michałku.

Może nie byłaby taką złą matką? Może los właśnie w taki sposób chciał obdarzyć ją dzieckiem?

Zaśmiała się. Który Bóg odbiera życie dwóm osobom, aby sprezentować potomstwo zgorzkniałej bizneswoman?

Śmierć męża i jego kochanki pozostawiła ją obojętną, ale los małego chłopczyka skłonił Dorotę do refleksji. Nie chciała, by Michałek trafił do złych ludzi. Już dość zła doświadczył w swoim krótkim życiu.

Nie kochała męża. Czy byłaby więc w stanie pokochać jego dziecko? Upiła łyk wina. Po ciele rozlało się błogie ciepło. Chociaż alkohol nie dawał odpowiedzi na pytanie kotłujące się w jej głowie, zapewniał przyjemne uczucie odprężenia.

Po następnym kieliszku Dorota pomyślała, że przecież wiele kobiet zostaje matkami bez przygotowania. Nie są gotowe na macierzyństwo, a jednak sobie radzą. Może i ona by sobie poradziła?

8

Kalina Michalska wyszła z poradni ginekologicznej. Na ulicy Lutomierskiej utworzył się mały korek. Spowolniony ruch uniemożliwiał kierowcom wrzucenie drugiego biegu, samochody toczyły się w ślimaczym tempie. Kilku niecierpliwców wyrażało swoją frustrację głośnym trąbieniem.

Poczuła, że do jej oczu napływają łzy. Przed lekarzem udawała opanowaną, ale teraz dała im upust, spływały, pozostawiając wilgotne ślady. Słone krople wyrażały jej cierpienie i rozpacz. Rękawem płaszcza otarła twarz, oddychając ciężko. Dlaczego akurat ją spotkała taka tragedia? To kara boska, pomyślała. Bóg pokarał ją za to, że truła własne dziecko. Powinna cierpieć razem z nienarodzonym synem albo córką. Po tym, co zrobiła, nie miała prawa chodzić po tej ziemi. Nie miała prawa żyć.

Nie jest w ciąży. Dziecka nie ma.

Przysiadła na betonowym murku i rozplakała się głośno. Jej serce rozsypało się na miliony kawałków. Jej dusza została zdeptana i wyrzucona na śmietnik. Już nigdy nie będzie tą samą osobą. Nigdy. Nikt nie zrozumie jej bólu. Znowu jest sama. Nie ma nikogo. Wcześniej był Klemens, potem jego potomek, który wypełnił pustkę w jej życiu i dawał nadzieję na lepsze jutro. Ale teraz ich nie ma. Przepęniało ją dojmujące poczucie osamotnienia.

Ze złością pomyślała o lekarzu. Jak on śmiał potraktować ją tak lekceważąco? Nie wiedział, co to dla niej znaczy? „Nie ma dziecka, nie ma dziecka”. Nie wybaczysz mu do końca życia.

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk telefonu, otarła łzy i wyjęła komórkę, ale nie zdążyła odebrać. Patrzyła tępo w ekran, piksele rozmazywały się, tworząc rozlany bohomas. Podskoczyła, kiedy dzwonek oznajmił nadejście nowej wiadomości. Kliknęła w kopertę. Agnieszka Mizerna napisała, by Kalina jak najszybciej pojawiła się w pracy.

Westchnęła. No cóż. Musi żyć dalej, jak gdyby nigdy nic. Wstała i ruszyła na najbliższy przystanek.

9

Karol Warski skręcił w ulicę prowadzącą do wynajętego mieszkania. Czarny kundel przebiegł przez parking, machając puszystym ogonem, który przypominał pióropusz. Długie, proste pasma sierści wyglądały jak spod ręki najlepszego fryzjera w mieście. Pies obwąchał opony zaparkowanego samochodu, uniósł nogę i obsikał oponę. W jego kasztanowych oczach dozorca zobaczył dumę. Wysoko unosił patykowate łapy, jakby dawał do zrozumienia, że jest stworzony do wyższych celów niż spacer po zapyziałym blokowisku. Karol uśmiechnął się i przywołał go gestem. Pies ruszył biegiem, minął go i przywitał się z czworonożnym kumplem. Dozorcy zrobiło się przykro. Przez chwilę chciał przygarnąć bezdomnego zwierzaka. Ze złością kopnął kamień, który potoczył się wprost pod koła nadjeżdżającego samochodu.

Wszedł w alejkę i poklepał się po kieszeni. Najpierw tej pod kurtką, by sprawdzić, czy butelka żubrówki jest na swoim miejscu, a potem sięgnął do spodni. Zaklął, karcąc się za własną głupotę. Zapominanie telefonu niedługo wejdzie mu w krew. Miał nadzieję, że podczas krótkiej wyprawy do sklepu nikt nie próbował się z nim skontaktować.

A któż by próbował? pomyślał.

Spojrzał przed siebie, żeby sprawdzić, ile klatek pozostało do przejścia, i zamarł. Przełknął ślinę i zaczął się powoli wycofywać. Serce biło mu jak oszalałe, a plecy oblał zimny pot. Odwrócił się, schował twarz pod kołnierzem wiatrówki i przyspieszył kroku. Spokojnie, nie uciekaj, powtarzał w myślach. Panika natychmiast wzbudzi podejrzenia. Rozpoznał policjantów, tak jak oni rozpoznaliby jego. Głupie psy nie pomyślały nawet o tym, żeby ukryć broń. Krok za krokiem, stopa za stopą, jak gdyby nigdy nic.

Zboczył w zaułek i puścił się pędem przed siebie. Wskoczył do autobusu, który właśnie stanął w zatoczce. Zajął miejsce na końcu, oddychając ciężko. Autobus ruszył. Młoda blondynka próbowała uspokoić nieznośnego pięciolatka, który wściekle kopał w żółty drążek, starsza kobieta spojrzała na niego wymownie. Karol po chwili zorientował się, że w autobusie nie ma wolnych miejsc siedzących. Siwowłosa oczekiwała, że ustąpi jej miejsca, ale nie miał takiego zamiaru. Rozparł się i założył dłoń na oparcie.

Zerknął na numer autobusu i zastanowił się nad planem awaryjnym. Nie przewidział, że odnajdzie go policja. Wyniósł się ze starego mieszkania i wynajął inne na fałszywe nazwisko. Właściciel nie oponował, kiedy Karol poprosił, by nie spisywali umowy. Zapłacił z góry za pół roku, a gotówka stanowiła wystarczającą zachętę. I tak nie zamierzał mieszkać tam dłużej. W tym czasie znaleźliby sobie coś wspólnie, z ukochaną. Ale teraz już nie będzie tak blisko niej. W oku zakręciła mu się łza. Poradzimy sobie, przetrwamy krótką rozłąkę i znowu będziemy razem, pomyślał.

Wysiadł, środek komunikacji zmienił na tramwaj. Do celu miał dziesięć minut, które spędził na rozmyślaniu, co poradzić na nieoczekiwany zwrot akcji. Kłamstwo zawsze przychodziło mu łatwo, dzisiaj też sobie poradzi. Chodzi raptem o parę nocy.

Stanął przed właściwą klatką. Nie znał kodu do domofonu, ale znalazł na to sposób. Przytrzymał drzwi kobiecie wyprowadzającej na spacer dwa dalmatyńczyki i schodami dostał się na szóste piętro.

Zapukał do drzwi, przestępując z nogi na nogę. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Dwa piętra wyżej usłyszał jakieś głosy. Dwie dziewczyny, zbiegając na dół, rozmawiały o nowej drogerii. Podniósł rękę, aby jeszcze raz zastukać, gdy w progu stanęła Jaśmina Kwiatkowska. Dziewczyna nie kryła zdumienia. Chciała coś powiedzieć, ale Karol ominął ją i wszedł do niewielkiego mieszkania. Uderzył go zapach kadzidełek i drażniąca woń środków chemicznych. Zerknął na stół. Lakiery do paznokci, dziwne przyrządy i świecąca się lampa.

– Karol?! – zawołała. – Co ty tu robisz?

– Mogę u ciebie przenocować? – zapytał.

– Co? Żartujesz sobie?

Podparła się pod boki i patrzyła na niego z niedowierzaniem. Była pewna, że Karol upadł na głowę, skoro przyszedł do niej i poprosił o nocleg. Znali się tylko z pracy w hotelu.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

– To nieważne – odparł. – Mogę u ciebie zostać?

– Ważne, Karol. Co się stało?! Wpadasz tutaj, jak gdyby... – Zawiesiła głos. Dozorca ściągnął brwi, a przez jego twarz przemknął mroczny cień. Jaśminę przeszył zimny dreszcz. Wystraszyła się. – Oczywiście, możesz zostać – powiedziała. – Przepraszam cię na chwilę, muszę do łazienki.

Chciała jak najszybciej zamknąć się w czterech ścianach i zadzwonić do komisarz Rudnickiej. Upuściła telefon na posadzkę. Cholera, gdzie się podziała ta

karteczka?! Wygrzebała w koszu ubranie, które miała ostatnio w pracy, i odnalazła wizytówkę. Już miała wcisnąć pierwszą cyfrę, kiedy Warski zastukał do drzwi łazienki.

10

Ernest kopnął pustą puszkę po harnasiu i rozejrzył się po mieszkaniu. Dwudziestoparometrowa kawalerka świeciła pustkami. Gołe białe ściany, puste szafki bez ubrań, łazienka opróżniona z kosmetyków. Mieszkanie wyglądałoby na niezamieszkane, gdyby nie jeden szczegół: zielony welurowy fotel, jakby wyjęty z serialu o najstłynniejszym polskim alkoholiku, a na podłodze walające się puszki po piwie i butelki po wódce. Właściciel gustował w czystych wysokoprocentowych trunkach, nie było mowy o żadnych lżejszych odpowiednikach. Wyjątek stanowił jabłkowy radler pod oknem, służący zapewne do przepijania wódki.

– Zobacz. – Tymon wskazał lornetkę na parapecie. – Stalker, kurwa, czy co?

Po sprawdzeniu numeru telefonu podanego przez matkę dozorczy szybko ustalili miejsce pobytu Karola Warskiego. Milewski spodziewał się mieszkania wynajętego wspólnie z potencjalną dziewczyną, tymczasem to przypominało melinę. Śmierdziało przetrawionymi procentami, a na parkiecie widniały plamy po rozlanych trunkach niekoniecznie legalnej produkcji.

– Podglądał kogoś? – spytał Ernest, podchodząc do okna. – Trzeba sprawdzić, kto mieszka naprzeciwko.

Przeczesywanie bazy mieszkańców byłoby stratą czasu. W studenckim mieście wielu właścicieli, aby uniknąć dodatkowych kosztów, wynajmowało mieszkania bez umowy. Jedenastopiętrowy wieżowiec nie zachęcał do sprawdzania każdego lokalu z osobna, ale jeśli zajdzie potrzeba, zlecą to zadanie młodym policjantom. Tacy zawsze rwą się do roboty. Warto spróbować, może nawinie się znajome nazwisko.

– Mamy telefon – powiedział Tymon. Założył lateksową rękawiczkę i wsunął aparat do przezroczystej torebki.

– Mieszkanie wynajął na lewo – zauważył Ernest. – Karta zarejestrowana na słupa, dziw, że nie zabezpieczył się przed własną matką.

– Pewnie zapomniała, że synalek prosił o dyskrecję.

Policjanci rozejrzeli się po pokoju. Ernest dostrzegł coś pod fotelem. Przesunął mebel i podniósł kartkę. Przeleciał wzrokiem i podał Milewskiemu.

– No proszę – powiedział Tymon. – Trzeba zadzwonić do Leny.

- Najpierw ustalmy, jak wytłumaczymy bezprawne wejście do mieszkania?
- Daj spokój. Rudnicka coś wymyśli. – Tymon machnął ręką. – Przecież wcale nas tu nie było, prawda?

11

Komisarz Rudnicka nie lubiła tracić kontroli; nie lubiła, gdy omijały ją ważne wydarzenia, a własnej bezradności, zarówno w sprawach prywatnych, jak i zawodowych, wręcz nienawidziła. Być może właśnie to stanowiło przyczynę jej chwiejnych nastrojów. Panowanie nad sobą traciła błyskawicznie, a potem równie szybko wracały spokój i opanowanie. Jakby w jej wnętrzu mieszkały dwie różne osoby.

W tym przypadku irytowało ją czekanie na wiadomości ze szpitala w sprawie Chmielnej. Najchętniej przycisnęłaby lekarzy, aby zrobili badania w trybie natychmiastowym, popędziła laborantów, by otrzymać wyniki jeszcze w tej samej godzinie.

– Nie zadzwonią tak szybko – odezwał się Marcel, gdy Lena po raz kolejny nerwowo zerknęła na komórkę.

– Do szału doprowadza mnie to czekanie.

Marcel przed oczami miał Władysławę Chmielną prowadzoną do samochodu. Nie krzyczała, nie szarpała się, po prostu wsiadła i odjechała, nieświadoma, dokąd ją zawiozą.

– Konowały niby robią wszystko dla dobra pacjenta, a przedłużają w nieskończoność czynności, które powinny trwać chwilę – dodała Lena.

Lista znienawidzonych przez Rudnicką zawodów była coraz dłuższa. Marcel wpisał już na nią dziennikarzy, detektywów oraz psychologów. Teraz doszli przedstawiciele służby zdrowia.

– Nie wszyscy są kapani w gorącej wodzie tak jak ty – zauważył.

– Bo nie wszyscy mają na łbie miauczącego prokuratora i zasranego naczelnika, czyhającego na każde moje potknięcie. Ostrowski już zaciera ręce, żeby oddać tę sprawę komuś innemu. Nie zdziwiłabym się, gdyby specjalnie podkładał mi świnie.

– Prywatne sprawy nie powinny mieć wpływu na śledztwo.

– Co ty nie powiesz? – burknęła.

Naiwność Marcela bywała zatrwajająca. Gdyby zobaczyła go na ulicy, nigdy by się nie domyśliła, że jest policjantem.

Zaparkowała przed hotelem, wyskoczyła z samochodu i przemierzyła parking w błyskawicznym tempie.

– Cześć – rzuciła stojącej za ladą recepcjonistce i ruszyła do apartamentu Doroty Brackiej, oszczędziwszy sobie zbędnych uprzejmości.

– Przepraszam! – zawołała Mizerna i podbiegła kawałek, tupiąc obcasami o posadzkę.

Komisarz wyhamowała i kobiety niemal się zderzyły. Mizerna wygładziła dłonią ubranie z przepaszającym uśmiechem.

– Tak? – ponagliła Lena.

– Chciałam... nie wiem, czy powinnam...

Rudnicka zmrużyła oczy. Słyszała tę formułkę już wiele razy, doprowadzała ją do szału. Podwójna dawka oksykodonu, którą sobie zaaplikowała, również nie poprawiała sytuacji. Mózg nie pozwalał się jej skupić.

– Widziałam dzisiaj Karola – wyszeptała recepcjonistka, strzelając oczami na boki, czy żadne niepożądane ucho nie usłyszy, że donosi na kolegę z pracy.

Policjanci wymienili zdawkowe uśmiechy. Agnieszka to druga osoba, która widziała dozorcę. Robiło się coraz ciekawiej.

– Gdzie go widziałaś? – zapytała Lena.

– Kręcił się przy hotelu.

– Co to znaczy, że kręcił się przy hotelu?

– Czaił się, jakby nie chciał, żeby ktoś go zauważył.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie – odparła Agnieszka. – Widziałam go przez okno.

Rudnicka spojrzała na szybę przy recepcji. Idealny widok na parking i las.

– O której go widziałaś?

– Z samego rana, może około ósmej.

– I co potem? Wszedł do hotelu?

– Nie. – Mizerna zamyśliła się, podpierając palcem podbródek. Na kciuku pozostał jasny ślad pudru, wytarła go drugą dłonią i dodała: – Potem zajęłam się papierkowymi sprawami i straciłam go z oczu, ale nie wszedł do hotelu.

– Nie wszedł głównym wejściem, ale mógł wejść tylnym, prawda?

– No tak – przyznała recepcjonistka. – Mógł wejść od strony ogrodu.

– Okej, dziękuję.

Mizerna skinęła głową, wyraźnie z siebie zadowolona. Może donoszenie na kolegę nie było w dobrym tonie, ale skoro Karola szuka policja, to czuła, że powinna poinformować o tym, co widziała.

Na półpiętrze zadzwonił telefon Rudnickiej. Komisarz zbyt gwałtownie sięgnęła do kieszeni i zachwiała się na schodku. Marcel podtrzymał ją w ostatniej chwili, ratując od upadku. Odepchnęła go, zawstydzona własną nieporadnością, i spojrzała na ekran, z żalem stwierdzając, że to nie Karnowska dzwoni.

Wspinała się po stopniach, słuchając z uwagą, po czym wydała polecenie, by zwołano grupkę mundurowych oddelegowanych do sporządzenia listy mieszkańców wieżowca z naprzeciwka. Ta żmudna praca, która nie gwarantowała sukcesu, ale musieli ją wykonać dla pewności, że nie przeoczyli żadnego tropu. Karol Warski ewidentnie kogoś obserwował, a Lena chciała się dowiedzieć, kto był tym szczęśliwcem.

– I co? – zapytał Marcel, kiedy odsunęła telefon od ucha i schowała go w kieszeni.

Rudnicka naprędce streściła relację Tymona.

– Chłopaki znaleźli też wypowiedzenie umowy o pracę – dodała.

Wolski przystanął na środku pustego korytarza.

– Zrezygnował z pracy? – spytał. – Dlaczego Bracka nas o tym nie poinformowała?

– Dobre pytanie. – Pstryknęła palcami. – Właśnie chcę się tego dowiedzieć.

– Ciekawe, kiedy przyniósł wypowiedzenie – wymamrotał Wolski. – Mamy dwóch świadków, którzy widzieli, jak dozorca kręci się w okolicy hotelu.

Pierwsza widziała Karola Kalina, chwilę przed dwudziestą, w dniu, w którym zabito Michalinę Kowalską. Teraz zjawił się rano. Może przyszedł po rzeczy? W końcu pracował w hotelu wystarczająco długo, by zgromadzić sporo szpargałów, ale dlaczego się zakradał? Gdyby nie miał nic na sumieniu, wszedłby normalnie, zabrał swoją własność i zniknął.

– Znaleźli także telefon – dodała Rudnicka. – Karta zapewne kupiona w internecie na fałszywe nazwisko. Tymon dotarł do właściciela mieszkania, Warski zapłacił z góry bez podpisywania umowy.

Dozorca okazał się wprawnym graczem, pomyślał Marcel.

– Ale mam jeszcze lepszy hit – oznajmiła. – Warski urządził sobie punkt obserwacyjny. – Wolski posłał jej pytające spojrzenie, więc pospieszyła z wyjaśnieniem: – Fotel przy oknie plus lornetka.

– Lornetka? Co to znaczy? – spytał i natychmiast skarcił się w duchu za bezmyślne pytanie.

– A jak myślisz, Watsonie? – mruknęła Rudnicka, ruszając przed siebie. Stała przed drzwiami apartamentu, zapukała i dodała ściszym głosem: – Nasz dozorca był podglądaczem. Kto wie, może nawet jakimś zbokiem.

Gdy stanęli w progu, poczuli intensywną woń alkoholu. Żona Chmielnego wyglądała jak półtora nieszczęścia, potargana, ubrana w zaplamiony winem dres. Zamiast twardej bizneswoman mieli przed sobą zmęczoną życiem kobietę z flaszką wina w ręku.

– Przepraszam, nie spodziewałam się gości – wymamrotała. – Odwróciła się i chwiejnym krokiem przeszła do salonu, po czym klapnęła na kanapę i zaproponowała: – Napijcie się?

– Nie, dziękujemy – odparł Marcel. – Jesteśmy na służbie.

Rudnicka chętnie napiłaby się czegoś na rozluźnienie. Nie przepadała za winem, ale gdyby Bracka zaproponowała by szklaneczkę ginu, komisarz z pewnością by nie odmówił.

– Przepraszam za strój – dodała Dorota. – Jestem w kiepskiej formie.

Marcel skinął głową i rozejrzał się po salonie. Na pierwszy rzut oka od poprzedniej wizyty nic się nie zmieniło, oprócz rozlanego na stoliku wina i otwartego laptopa. Spostrzegł, że na otwartej stronie widnieje artykuł dotyczący wychowywania dzieci. Dyskretnie odwrócił głowę, ale Rudnicka najwyraźniej zwęszyła temat.

– A to co? – Wskazała na ekran. – Szykujesz się do macierzyństwa?

Bracka w odpowiedzi przechyliła butelkę, by dopełnić kieliszek czerwonym trunkiem. Zamieszała i upiła łyk.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? – zapytała.

– Ile lat byłaś żoną Klemensa? – podjęła komisarz.

– Pięć.

– Okej, więc zapewne posiadasz wystarczającą wiedzę na temat teściowej. Czy Władysława choruje na schizofrenię?

Dorota parsknęła śmiechem.

– Nie – odparła rozbawiona. – Skąd ten pomysł?

– Bo prawdopodobnie wyląduje na oddziale psychiatrycznym.

– Słucham? – Bracka potrząsnęła głową, jakby próbowała pozbyć się alkoholowego otępienia.

Szkoda czasu na tłumaczenie całej sprawy, uznała Lena. Postanowiła iść dalej.

– Dowiedzieliśmy się, że twój teść namawiał Michalinę, by zrzekła się praw na rzecz Klemensa – powiedziała. – Wiedziałaś, że ją nachodził?

– Nie. Klemens nie utrzymywał dobrych kontaktów z ojcem, więc sądziłam, że nie podzielił się z nim tą informacją.

– Czy rozmawiałaś z Michaliną po śmierci męża?

Bracka zaprzeczyła.

– Michalina nie przyszła na umówione spotkanie, nie próbowałaś się dowiedzieć, gdzie podziały się pieniądze, które wypłacił Klemens?

– U Dariusza.

Widocznie kochanek nie pochwalił się Dorocie, że przegrał całą sumę już następnego dnia. Rudnicka nie zamierzała jej tego uświadamiać.

– Czy Władysława czasami zachowywała się dziwnie? – wtrącił Marcel.

Być może małżonkowie ukrywali chorobę Władysławy, co zdawało się mało realne, skoro Klemens był jej synem i prędzej czy później odkryłby problemy rodziców.

– Nie była chora psychicznie – powtórzyła Bracka i upiła łyk. – A co się stało? Coś poważnego?

– Oprócz tego, że senior truł ją psychotropami, to wszystko w porządku – odparowała Lena. – Pani teściowa trochę odleciała.

Na twarzy Brackiej malowało się zdumienie. Wyprostowała się, wzrok wbiła w policjantów.

– Czy to prawda, że Karol Warski złożył wypowiedzenie? – spytał Wolski.

– Tak – przyznała. – Ale proszę powiedzieć, co z Władysławą?

– Cudownie! – zawołała Rudnicka. – A ty zapomniałaś nas o tym poinformować?

Dorota opróżniła kieliszek i odstawiła na stolik, a po chwili namysłu napełniła go ponownie.

– Zapomniałam – powiedziała.

– Kurwa.

– Przepraszam – bąknęła zmieszana Bracka, skubiąc materiał spodni. Momentalnie wytrzeźwiała i właśnie uświadomiła sobie, że popełniła duży błąd. Powinna poinformować policję o wizycie Karola, a nawet o tym nie pomyślała.

– O której był dozorca, co?

– Wieczorem, około dwudziestej.

To prawdopodobnie wtedy Warskiego zobaczyła Kalina, dodała w duchu Rudnicka.

– A dzisiaj był? – spytała.

– Nie, a po co?

– Pytam, bo twój globus kręci się nie w tę stronę, co trzeba.

– Globus?

– Był czy nie? – warknęła Rudnicka.

– Dzisiaj go nie widziałam.

Dorota dopiła wino, spoglądając tęsknie w kierunku barku. Ma nastrój do picia, ciekawe, czym spowodowany? pomyślała komisarz i zadała pytanie na głos.

Odpowiedziało jej milczenie.

– Dotarło do ciebie wreszcie, że twój mąż został zamordowany?

– Nie, byłam...

– Albo nie, zmieniam zdanie. – Rudnicka uniosła dłoń. – Nie obchodzi mnie to.

– Coś się stało? – zaniepokoił się Wolski.

Lena z westchnieniem siadła w fotelu i założyła nogę na nogę. Przez chwilę przypominała poważną panią psycholog gotową do rozmowy o problemach pacjenta.

– Byłam w ośrodku i poznałam Michałka – zaczęła Bracka drżącym głosem. – Nie powinnam tam iść, ale coś mnie tknęło i... sama nie wiem.

– Nagłe olśnienie czy przebłysk człowieczeństwa? – bąknęła komisarz.

– Chciałam go zobaczyć.

Rudnicka spojrzała na żonę Chmielnego i do głowy przyszła jej kolejna kąśliwa myśl, ale w porę ugryzła się w język. Zniknęła maska, w której Bracka pokazywała się publicznie. Lena przypomniała sobie niemowlaka z chatki pod lasem i choć sama nie chciała mieć dzieci, los osieroconych maluchów nie był jej obojętny. Jeśli Bracka zastanawia się nad adopcją syna Michaliny i Klemensa, Lena postanowiła nie gasić jej zapału zgryźliwym komentarzem.

– Pomyślałam, że... – zająknęła się Bracka, obracając w dłoniach butelkę wina.

– Że Michałek nie jest niczemu winny, nie powinien płacić za błędy swoich nieodpowiedzialnych rodziców... Został całkiem sam... Myśli pani, że powinnam mu pomóc?

Dorota rzeczywiście rozważała adopcję chłopca. Niesamowite, bo jeszcze parę dni temu twierdziła, że nienawidzi dzieci i wszystkiego, co z nimi związane.

– Uważam, że to poważna decyzja i zanim poweźmie pani jakieś kroki, należy dogłębnie przemyśleć sprawę – rzekł Marcel. – Ale jeżeli tak pani czuje, z pewnością będzie pani dobrą matką.

– Naprawdę? – Bracka ufnie spojrzała na Wolskiego. Zdawało się, że właśnie to chciała usłyszeć. Kilka słów pokrzepienia, które wprowadzą ją na właściwą drogę.

Komórka Rudnickiej zadzwoniła w idealnym momencie. Rozmowa schodziła na niebezpieczne tory. Dyskusja o dzieciach przypominała jej poruszanie się po zbyt cienkiej i chybotałej linii. Jeden niewłaściwy krok i można runąć w przepaść. Wyjęła telefon i wyszła na korytarz.

– Rudnicka, słucham.

– Pani komisarz... – W słuchawce rozległ się szept i trzask. – Mówi Jaśmina.

– Tak?

– Karol tu jest. On... boję się go.

Lena poczuła, jakby ktoś wstrzyknął jej nową porcję energii, a w żyłach buzowała ekscytacja.

– Czekaj – powiedziała, siląc się na spokój. – Zaraz kogoś wyślę.

12

Marcel napił się kawy i zarzucił rękę na oparcie krzesła. Przyglądał się Rudnickiej, która siedziała naprzeciwko ze splecionymi na brzuchu dłońmi i przymkniętymi oczami. Jej spokój był udawany. Zaróżowione policzki i płytki oddech zdradzały emocje, jakie skrywały się w środku. Wreszcie dopadli Warskiego! Dozorca siedział w pokoju przesłuchań i czekał na policjantów.

Telefon Kwiatkowskiej był dla nich zaskoczeniem. Warski albo nie przemyślał konsekwencji swojej wizyty u Jaśminy, albo nie miał innego wyjścia. Do tej pory dobrze się zabezpieczał, ale wreszcie popełnił błąd. W mieszkaniu pokojówki zjawiał się wyraźnie podenerwowany, co wystarczyło, by uznała jego zachowanie za podejrzanе. Wezwała na pomoc Rudnicką i komisarz spisała się idealnie. Marcel przypuszczał, że sama chciała puścić się pędem przez miasto, by ująć dozorcę, ale poszła po rozum do głowy i wysłała do mieszkania Jaśminy najbliższy patrol.

Funkcjonariusze zapukali do drzwi Kwiatkowskiej już trzy minuty później. Marcel pomyślał, że gdyby zjawiali się równie szybko na wszystkie wezwania, obywatele przestaliby narzekać na opieszałość stróżów prawa.

Zatrzymali dozorcę, a Jaśminę przywieźli na komendę, by złożyła zeznania. Informacje od pokojówki mogły okazać się kluczowe dla śledztwa, ale Kwiatkowska poprosiła o chwilę oddechu. Wyglądała na zestresowaną całą sytuacją i Marcel wcale się jej nie dziwił.

– Dzisiaj trochę posiedzimy – zapowiedziała Lena. Wolski zająknął się, by odpowiedzieć, ale komisarz nie pozwoliła mu dojść do słowa. – W tej Warszawie pewnie pierdziałeś w stołek przez osiem godzin, co? Wybiła piętnasta trzydzieści i fajrant? Jeśli liczysz na grube miliony za nadgodziny, to mam złe wieści, nie dostaniesz złamanego grosza. Jedyne, co dostaniesz, to „czas wolny” – tu wstawiła palcami cudzysłów – który wykorzystasz na wypełnianie dokumentów. Pamiętaj, że sześćdziesiąt procent pracy policjanta to pisanie druczków.

– Gdybym liczył na grube miliony, zostałbym prawnikiem – odparł. – I nie pchał się do roboty, która nie jest ani bezpieczna, ani opłacalna.

– O! – Lena uniosła palec. – To jedyna słuszna uwaga, jaką usłyszałam z twoich ust, ale przyznaję, że nie widzę cię w todze. Papuga musi mieć gadane, a ty jesteś

wyjatkowym borsukiem. Przegadałby cię nawet aplikant.

Marcel przyznał jej rację. Sam również nie widział siebie na sali sądowej.

– Więc oboje nie trafiliśmy z wyborem studiów – zauważył. – Bo ciebie też nie widzę za biurkiem w gabinecie psychologa, wysłuchującą problemów małżeńskich.

– Oho, wstrzymaj wodze fantazji! – zaoponowała, a po jej twarzy przemknął skąpy uśmiech. – Zrobiłam specjalizację z psychologii klinicznej, więc śmiało mogę postawić diagnozę co do twoich zaburzeń osobowości, które – swoją drogą – są zauważalne, udzielić emocjonalnego wsparcia albo stworzyć twój psychologiczny portret, ale rozwiązywanie małżeńskich problemów to ostatnie, co chciałabym robić.

Najpierw musiałabym rozwiązać problemy we własnym małżeństwie, dodała w myślach.

Marcel przekrzywił głowę i przyglądał się jej chwilę.

– Mogłaś zostać profilerką – powiedział.

– Mogłam, ale nie jesteśmy w Nowym Jorku ani w żadnym FBI, a zanim rozwinie się w Polsce profilowanie kryminalne, dobiję siedemdziesiątki. Poza tym, to wciąż siedzenie w papierowym bajorze i kontemplowanie szczegółów. To nie dla mnie, bo ja wszystko mam tutaj. – Postukała się w skroń. – No i lubię sobie postrzelać.

– Niedługo dowiem się, że zostałam gliną, bo masz misję.

– No – bąknęła, upijając łyk kawy. – Bo mam, ale to temat na długie zimowe wieczory przy kominku, których z pewnością nie będziemy spędzać razem.

– Nie posądzałbym cię o taki romantyzm.

– Ja siebie też nie – odparła. – Ale do kominków mam słabość. To jedyne odstępstwo od mojej antyromantycznej natury, a mówię ci to tylko dlatego, żebyś nie wpadł kiedyś na durny pomysł z kupowaniem mi kwiatów. Sugerowałabym, byś wydał swoje ciężko zarobione pieniądze na zapas czekolady. Najlepiej z orzechami.

Marcel potarł podbródek i zadumał się nad jej wyznaniem.

– Naprawdę umiałabyś stworzyć mój portret psychologiczny? – zapytał po chwili.

– Aha. – Komisarz kiwnęła głową. Zdawało się, że myślami zawędrowała już do zupełnie innej galaktyki.

– No to słucham.

Uniosła lekko nieobecny wzrok, wyduła policzki, a jej zielone tęczęwki lekko się zwęziły.

Odchrząknęła.

– Kojarzysz *Cierpienia młodego Wertera* Goethego? – spytała.

Wolski skinął głową.

– Brakuje ci żółtej kamizelki i niebieskiego fraka, jakie nosił główny bohater. Swoją drogą, niesamowicie, że kiedy wydano tę powieść, zaroilo się od zwolenników werterowskiej ideologii. Wszyscy nosili się jak Werter, a przez Niemcy przelała się fala samobójstw.

– Nie bardzo rozumiem.

– Chodzi o to, że ty prezentujesz romantyczną postawę życiową – oświadczyła.

– Jak Werter. Jesteś nadwrażliwy, cechuje cię nadmierna emocjonalność i idealizm. Dziwisz się ludziom, że postępują tak, jak postępują; a sam kierujesz się własnym, wewnętrznym dekalogiem, którego chyba nie chcesz poznawać. Postrzegam cię jako typowego myśliciela, który rozważa każde „za” i „przeciw”, nosisz w sobie zwątpienie i masz zaburzoną pewność siebie, wynikającą z wymagań ojca wobec ciebie. Starasz się mu dorównać i na każdym kroku udowadniasz, że jesteś równie wartościowy jak on.

Marcel mimowolnie się wyprostował, przygryzając wargę. Żałował, że zaczął ten temat.

– Mam wrażenie, że stoję przed tobą nagi – powiedział nieśmiało.

– To niezbyt trafne porównanie, bo uważam, że gdzieś w środku skrywasz innego Marcela. Wystarczyło, bym spędziła z tobą kilka dni, a już cię przejrzałam. Jesteś jak otwarta książka z wyjątkowo dobrej jakości drukiem.

– Dziękuję.

– Niby za co?

– Za ten druk. Traktuję to jako komplement.

– Chodziło o to, że łatwo cię odczytać.

– Mhm – mruknął nieprzekonany. – Dostrzegam jednak alegorię, którą się posłużyłaś, by powiedzieć mi komplement.

Uśmiechnęła się, ale nie zaprotestowała.

– Lena? – Tymon wetknął głowę do gabinetu, wskazując na stojącą obok Kwiatkowską.

Rudnicka zaprosiła dziewczynę ruchem ręki, a Marcel odsunął krzesło, by zrobić miejsce dla pokojówki.

Jaśmina weszła niepewnym krokiem, zaciskając obie dłonie na komórce. Przypominała złęknioną sarnę, stojącą na odsłoniętym polu. Płochliwie rozglądała się na boki.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Rudnicka.

– Karol zabił szefa i dziewczynę? – Jaśmina usiadła, przenosząc wzrok z Leny na Marcela. Jej głos drżał, dłonie także. – Dlatego się ukrywał?

– Staramy się to ustalić – wyjaśnił Marcel. – Najpierw chcieliśmy porozmawiać z panią.

Jaśmina sprawiała wrażenie przekonanej o winie Warskiego.

– Boże! – zawołała. – On przyszedł zabić i mnie!

– Spokojnie – zaproponował Wolski. – Warski jeszcze nie jest o nic oskarżony.

– Zamordowałyby mnie, gdybym nie uciekła do łazienki!

– Uspokój się – upomniała Rudnicka. – Nie zabił cię, więc masz powody do radości.

Jaśmina spojrzała na nią tępo.

– Opowiedz, jak Warski znalazł się w twoim mieszkaniu.

– Robiłam paznokcie, kiedy ktoś zaczął walić do drzwi – powiedziała. – Miałam rękę pod lampą, więc odczekałam, aż lakier stwardnieje. Pomyślałam, że to przyjaciółka do mnie wpadła i chwilę poczeka. Kiedy poszłam otworzyć, Karol wparował do mieszkania, nie czekając na zaproszenie.

– Wyjaśnił tę nagłą wizytę?

– Nie, zapytał, czy może zostać na noc. Wyobrażacie sobie? Przecież my nigdy się nie kolegowaliśmy. Nie wiem, co mu przyszło do głowy!

– Co odpowiedziałaś?

– Żeby wyjaśnił, po co przyszedł. Ale wtedy się zdenerwował. Wystraszyłam się! W jego oczach zobaczyłam... coś dziwnego. Pomyślałam, że gdybym się sprzeciwiła, toby mnie zabił!

– Dlaczego tak pomyślałaś?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Zachowywał się podejrzanie. Był cały spocony, trząsł się i oddychał tak ciężko, jakby przed kimś uciekał.

Pewnie przed policją, zauważyła w duchu Lena. Pech chciał, że gdy Ernest i Tymon zawitali do wynajętego mieszkania, Warski akurat wyszedł.

– Co było dalej?

– Zgodziłam się, że może zostać, uciekłam do łazienki i zadzwoniłam do pani. Całe szczęście, że miałam przy sobie telefon. Nie rozstaję się z nim – zaznaczyła. – Gdyby się zorientował, pewnie by mi go zabrał. A potem pewnie zabił!

Jaśmina zadygotała.

– Spokojnie, już po wszystkim – uspokajał ją Marcel. Dziewczyna pokiwała głową bez przekonania.

– Co działo się później? – zapytała Lena.

– Karol dobijał się do drzwi łazienki.

– Czego chciał?

– Pytał, czy wszystko w porządku. Komórka upadła na posadzkę i chyba to usłyszał. Potem spytał, czy może poczęstować się piwem. Kiedy wyszłam, siedział na kanapie, a policjanci zjawili się błyskawicznie.

– Okej. Jak sądzisz, dlaczego Warski przyszedł akurat do ciebie?

– Nie! Nigdy u mnie nie był! – zawołała. – Nie wiem, skąd znał mój adres!

To akurat nie stanowiło problemu. Mógł podpytać którąś z pracownic hotelu.

– Utrzymywaliście stosunki poza pracą? – zapytał Wolski.

– Nie. Czasem rozmawialiśmy w hotelu, ale nic poza tym.

– Bracka powiedziała, że Warski się zwolnił z pracy – powiedziała Lena. – Wiedziałaś o tym?

– Naprawdę? Nie miałam pojęcia.

– Spotkałaś go w hotelu w ostatnich dniach?

Twarz Jaśminy zastygła, jakby wszystkie mięśnie odmówiły współpracy.

– Widziałam go – przyznała cicho. – Kończyłam zmianę i szłam na przystanek. Usłyszałam jakieś trzaski w lesie. Myślałam, że to dzikie zwierzęta.

– Widziałaś go w lesie?

– Nie. To znaczy... – Zawiesiła głos. – Nie widziałam go w lesie, ale czułam, że ktoś tam jest. Pobiegłam na przystanek. Pomyślałam, że wśród ludzi nic mi nie grozi. Na przystanku obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam, że ktoś stoi na drodze. Aż mnie ciarki przeszły. – Wzdrygnęła się. – Ciemna postać otoczona drzewami, jak w horrorze.

– Rozpoznałaś Warskiego?

– Na początku nie – odparła. – Chyba byłam w szoku czy coś. Ale potem skojarzyłam tę potężną sylwetkę z Karolem.

Trzecia osoba twierdziła, że Warski krążył w pobliżu hotelu. Nie miało to sensu, bo jeśli się ukrywał, nie wracałby w miejsce, gdzie każdy go znał. Raczej poczekałby, aż Jaśmina wsiądzie do autobusu i odjedzie, a nie stawał na widoku.

– Dobrze. – Komisarz klepnęła dłonią w blat. – Wracaj do domu i odpocznij. Skontaktujemy się z tobą.

– Oczywiście.

– Czas na pogawędkę z naszym uciekinierem – oświadczyła uroczyście, gdy pokojówka wyszła.

Popatrzyła na Marcela z zaciętą miną. Przeczucie kazało im sądzić, że Karol Warski jest trudnym przeciwnikiem.

Kiedy weszli do niewielkiego pomieszczenia oddzielającego pokój przesłuchań, zastali tam prokuratora. Niecierpliwie postukał palcem w tarczę zegarka, dając im

do zrozumienia, że zdecydowanie zbyt długo kazali mu na siebie czekać, i zerknął w fenickie lustro, za którym siedział dozorca.

– Zaczynamy?

– Wchodzisz? – zapytała Lena, która kręciła się nerwowo w klaustrofobicznej przestrzeni.

Nawrocki wyciągnął dyktafon i zamachał Rudnickiej przed oczami. Wzięła go z westchnieniem. Nagrywanie przesłuchania wiązało się z przestrzeganiem policyjnych reguł, z którymi Rudnicka zawsze była na bakier.

– Popatrzę – poinformował.

– Jak sobie życzysz – odparła i zawiesiła dłoń nad klamką.

Pomieszczenie było modelowym przykładem pokoju przesłuchań: białe ściany, które miały wzmacniać w zatrzymanych poczucie osamotnienia; brak okien uniemożliwiający kontrolowanie czasu; i zaledwie cztery meble – stół wraz z trzema krzesłami – oraz ściany tłumiące hałas z zewnątrz. Żadnych map, książek czy kwiatów. Nic, co rozpraszałoby uwagę osoby przesłuchiwanej. Biała pustka wypełniona ciszą.

Dozorca siedział nieruchomo z dłońmi przypiętymi do belki na środku stołu. Oddychał spokojnie i nie patrzył na nikogo. Wzrok utkwiał gdzieś na linii łączącej ścianę z sufitem.

– Cześć, stary podglądaczu – zagadnęła, siadając naprzeciw. Wolski usiadł obok, ale jego niepewność była wyczuwalna na kilometr. Komisarz chętnie wyrzuciłaby go za drzwi albo kopnęła pod stołem, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Ten ruch z pewnością nie umknąłby uwadze dozorca.

Warski przeniósł wzrok na policjantów. Wytatuowany wąż wił się wokół jego szyi, długi ogon ginał pod czarnym swetrem. Poorana bliznami po młodzieńczym trądziku twarz nie wyrażała żadnej emocji. Warski sprawiał wrażenie, jakby znalazł się w tym miejscu przypadkiem, padł ofiarą wielkiej pomyłki.

Komisarz włączyła dyktafon, wygłosiła oklepaną formułkę dotyczącą przysługujących praw i odchyliła się na oparcie, zakładając nogę na nogę.

Warski w milczeniu wpatrywał się w kajdanki na swoich nadgarstkach.

– Wiesz, z jakiego powodu się tutaj znalazłeś? – zapytała.

Cisza.

– Dlaczego się ukrywałeś?

Cisza.

– Masz coś wspólnego ze śmiercią Klemensa Chmielnego i Michaliny Kowalskiej?

Cisza. Na twarzy dozorca nie drgnął żaden mięsień.

– Dlaczego uciekałeś przed policją?

Postawa Karola Warskiego nie zdradzała zdenerwowania ani niepokoju, wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie bezkonfliktowego i wyluzowanego, a pytania policjantki traktował z przymrużeniem oka.

– Jak mawiał Tołstoj, najlepszą odpowiedzią jest milczenie – powiedziała. – Ale nie w twojej sytuacji. Radziłabym zacząć mówić, bo jeśli teraz zamilkiesz, posiedzisz w tej ciszy przez przynajmniej dwadzieścia pięć lat. – Zero reakcji. – Możesz podać sobie rękę z kolegą obok. – Wskazała na Marcela. – On też nie należy do rozmownych. Ale tłumienie wszystkiego w sobie nie wychodzi człowiekowi na dobre. Wiem, co mówię.

Dozorca uniósł wzrok na komisarz.

– Brawo! Mamy postęp! Jednak kontaktujesz. Więc? Pogadamy?

Powoli zamknął i otworzył oczy, jakby sprawdzał, czy to, co widzi, nie jest wytworem własnej wyobraźni.

– Okej. – Westchnęła. – Zobrazuję ci, jak wygląda twoja sytuacja, a rysuje się ona w wyjątkowo ponurych barwach. Po pierwsze – wzięła oddech – na miejscu zbrodni znaleźliśmy odcisk buta. Śmiem twierdzić, że ty go zostawiłeś, patrząc na twoje astronomiczne stopy. Po drugie: pobierzemy twoje odciski palców i porównamy z tymi znalezionymi na ciele denata. Po trzecie: „nie uciekaj w tę stronę, w którą cię gonić będą”, jak napisał Henryk Sienkiewicz w *Ogniem i mieczem*. Jeżeli myślałeś, że twoje tajemnicze wizyty w hotelu pozostaną niezauważone, to się myliłeś, podglądaczu. I na przyszłość lepiej poinstruuuj mamusię, żeby nie rozdawała twojego numeru na prawo i lewo.

Warski przez kilka długich sekund intensywnie wpatrywał się w komisarz. Mierzyli się wzrokiem niczym dwoje równych sobie przeciwników, badających, na ile mogą sobie pozwolić.

– Pierdol się, suko.

Głos miał zgrzytliwy, jak słabej jakości nagranie dźwiękowe, jakby ktoś porysował płytę i włożył do zaawansowanej wieży hi-fi. Zdławione „r” brzmiało matowo, choć dozorca postarał się wypowiedzieć je poprawnie.

– O, umiesz posługiwać się mięśniem w jamie ustnej. – Rudnicka klasnęła w dłoń. – Kolejny krok naprzód.

– Czy może pan odpowiedzieć na kilka pytań? – spytał Wolski.

Służalczy ton wywołał u Warskiego cień uśmiechu, który zniknął tak samo szybko, jak się pojawił.

– Dlaczego ukrywałeś się przed policją? – rzuciła Rudnicka.

– Pierdol się. – Dozorca tym razem nie zadbał o artykulację. „R” zamieniło się w twarde „h”, które wkradło się pomiędzy litery. „Piehdol się”.

– A znasz inne słowa?

Dozorca rozparł się na krześle. Wyprostowane ramiona spoczywały na blacie, a szerokie nadgarstki przesunęły się nieznacznie i kajdanki wydały cichy dźwięk, objając się o okleinę.

Rudnicka obserwowała podejrzanego. Miał prawo milczeć, co doprowadzało ją do szału. Przez chwilę zatęskniła za milicyjnymi metodami przesłuchań. Foliowa torba na głowie skutecznie rozwiązywała języki nawet najbardziej zatwardziałym milczkom.

– Odmawia pan składania wyjaśnień? – spytał Marcel.

Warski spojrzał na niego pobłaźliwie. Rudnickiej zdawało się, że sierżant kurczy się z każdą sekundą, ale to dozorca odwrócił głowę jako pierwszy.

– Nie – odparł.

Jedno słowo. Suche i jednocześnie ostre jak brzytwa.

– Mógłbyś zacząć operować bardziej złożonymi zdaniami – powiedziała komisarz. – Poprzeplatać wypowiedzi, używając podmiotu, orzeczenia, okolicznika czasu czy innej przydawki. Znasz takie pojęcia?

Warski nachylił się, spoglądając na dyktafon. Oddychał spokojnie i głośno jak charczący pies.

Uniósł kąciki ust do góry.

– Przyznaję się do morderstwa Klemensa Chmielnego i Michaliny Kowalskiej – powiedział i odchylił się z powrotem na oparcie.

Lena poczuła, jakby na jej głowę spadł wielki głaz. Spodziewała się po Warskim wszystkiego, ale nie przyznania się do winy.

– Kłamiesz.

Żadnej reakcji. Warski patrzył w lustro za plecami policjantów. Gdyby wiedział, że patrzy prosto na prokuratora, może by się uśmiechnął.

Po plecach Marcela przebiegł dreszcz niepokoju. Zamykanie drobnych złodziejasków było banalnie proste w porównaniu z obcowaniem z mordercą. Próbując ukryć dygotanie dłoni, splótł je na kolanach.

– Zamordowałem Klemensa Chmielnego, zadając mu trzy ciosy nożem – powiedział Warski. „H” znowu wślizgnęło się na miejsce „r”. Zabrzmiał jak Niemiec uczący się języka polskiego. – Michalinę Kowalską zabiłem dwa dni temu.

Lena zmrużyła oczy. To niemożliwe.

– Ile zadałeś ciosów? – zapytała.

Warski zawahał się.

– Jeden wystarczył – odparł.

Rudnicka uderzyła otwartą dłoń w blat. Wolski aż podskoczył, ale dozorca nawet nie drgnął. Komisarz wyłączyła dyktafon.

– Skończ pierdolić – powiedziała ostro.

– Dobrowolnie poddaję się karze.

– Gówno prawda.

– Dlaczego ich zamordowałeś? – odezwał się Wolski.

Dozorca wzruszył ramionami. Tak po prostu, zdawał się mówić.

Rudnicka z powrotem włączyła nagrywanie.

– Po co byłeś w hotelu? – zapytała.

– Skąd wiesz, że byłem?

– Widziała się Kalina Michalska i Agnieszka Mizerna i wcale się nie dziwię, bo raczej trudno ukryć takie wielkie cielsko.

W oczach Warskiego zobaczyła błysk gniewu.

– Zaniósłem wypowiedzenie – odparł.

– A dzisiaj po co poszedłeś?

Milczenie.

– Kogo podglądałeś przez lornetkę?

Warski uśmiechnął się drwiąco.

– Kogo? – naciskała Rudnicka.

Czuła, jak wzbiera w niej złość. Była pewna, że Warski nie zabił Klemensa i Michaliny. Całe ciało przeczyło temu, co mówił. Po co kłamał?

– Pierdol się. Nic ci nie powiem, suko.

Postawa obronna. Sztuczny uśmiech, zimne spojrzenie, częste mruganie powiekami, utrzymywanie kontaktu wzrokowego, ubogi przekaz słowny. Warski zachowywał się, jakby przeczytał podręcznik mowy ciała. Bez zrozumienia.

– Dlaczego bierzesz winę na siebie? – spytała. – Nudzisz się na wolności? Jak chcesz posiedzieć w pierdлу, ukradnij batonik w Tesco.

– Odmawiam składania dalszych wyjaśnień.

Miała ochotę wstać i nim potrząsnąć. Ale zamiast tego podniosła się, głośno wsunęła krzesło i włożyła dłonie do kieszeni spodni.

– Dlaczego bierzesz winę na siebie? – powtórzyła.

Znowu cisza.

– Dlaczego, kurwa?!

– Pani komisarz. – Prokurator otworzył drzwi i przywołał ją gestem.

Lena wyszła, trzaskając drzwiami.

– Warski kogoś kryje – rzuciła do Krzysztofa, który pokręcił głową.

– Przyznał się.

– Chuj mnie to obchodzi! – wybuchła. – Nie widzisz, że kłamie?!

Wskazała palcem na szybę. Dozorca siedział nieruchomo. Tylko powolny, miarowy oddech był dowodem, że jeszcze żyje.

– Liz porównała odciski – oznajmił Nawrocki.

Marcel spojrział na prokuratora. Wiedział, że to, co zaraz usłyszą, nie spodoba się komisarz.

– Odpowiadają tym na ciele Chmielnego – ciągnął. – Podobnie z odciskiem buta. Rozmiar czterdzieści sześć, wszystko się zgadza.

– Na ciele Klemensa były dwa rodzaje odcisków – zaoponowała Lena. – A na ciele Michaliny nie znaleźliśmy żadnych.

– Przyznał się – powtórzył z naciskiem prokurator.

Lena zbyt dobrze знаła Krzysztofa. Dla niego przyznanie się do winy było równoznaczne z zamknięciem sprawy.

Ale nie dla niej.

– Nie – powiedziała. – On ich nie zabił.

– Przygotuję akt oskarżenia.

– Kurwa, nie obchodzi cię, że skażesz nieodpowiedniego człowieka? – warknęła. – Najważniejsze, żeby kwity miały podkładkę, co?

Krzysztof zmrużył oczy i poprawił krawat, jakby słowa żony go zaboląły. Agresywna reakcja Leny nie spodobała mu się, szczególnie że obok stał sierżant Wolski.

Marcel nagle odchrząknął.

– Lena, myślę, że sprawa dobiegła końca – powiedział nieśmiało.

Rudnicka rzuciła mu wrogie spojrzenie. Nie spodziewała się, że Marcel poprze Krzysztofa. Została sama na placu boju.

Odwróciła się i wyszła na korytarz. Z nieobecny wzrokiem potrącała przechodzących ludzi. Zamknęła z hukiem drzwi od gabinetu i oparła się dłońmi o biurko. Warski nie zabił. Była tego pewna.

13

Szpilki nie nadają się do biegania, pomyślała Agnieszka Mizerna, łapiąc się poręczy. Pędem pokonała schody prowadzące na drugie piętro hotelu i rozejrzała się na boki, nasłuchując dźwięków odkurzacza. Uchylone drzwi od ostatniego pokoju kazały sądzić, że to właśnie tam znajdzie Kalinę Michalską. Zachwiała się lekko i ruszyła korytarzem.

– Kalina!

Sprzątaczką odwróciła się gwałtownie, upuszczając rurę od odkurzacza na ziemię. Stopą wyłączyła szumiące urządzenie i oparła rurę o parapet.

– Wystraszyłaś mnie – powiedziała.

Agnieszka przyjrzała się koleżance. Na jej twarzy malował się smutek, a przekrwione oczy szpeciła opuchlizna. Kiedy widziały się rano, pokojówka tryskała humorem, a teraz wyglądała, jakby przepłakała cały dzień.

– Wyglądasz na chorą. Źle się czujesz? – zaniepokoiła się Mizerna.

– Nie, nie. Mam alergię. Chyba coś zaczęło pylić.

Potarła powieki. Makijaż spłynął wcześniej wraz z łzami, które wylewała w samotności.

– Na pewno?

– Oczywiście – zapewniła Michalska, posyłając koleżance uspokajający uśmiech.

Wydał się Agnieszce nieszczerzy, ale postanowiła nie naciskać, aby Kalina nie posądziła ją o wścibstwo.

– Nie uwierzysz, czego się dowiedziałam – oznajmiła Mizerna z dumą. Przebierała nogami z zadowolenia, że to właśnie ona poinformuje Kalinę o tej sprawie jako pierwsza. – Rozmawiałam z Jaśminą. – Zawiesiła głos i zrobiła efektowną pauzę. – Policja zatrzymała Karola.

Michalska spojrzała tępo na koleżankę. Policja zatrzymała Karola?

– Słuchasz mnie? – zniecierpliwiła się Agnieszka.

Była pewna, że Kalina się ucieszy. A ona w ogóle się nie przejęła!

– Zatrzymali?

– Słuchaj, Karol zjawił się w mieszkaniu Jaśminy, która się wystraszyła i zadzwoniła na policję. Przecież go szukali, a on się ukrywał, nie? No i Jaśmina

dała znać tej, jak jej tam, Rudnickiej, no i go zwinęli. Niezła akcja!

– Nasłała na Karola policję? – Kalina uniosła brwi. Nie mieściło się jej w głowie, żeby wzywać gliny na kolegę z pracy. Jej kontakty z dozorcą może nie były ostatnio najlepsze, ale nie znosiła donosicielstwa.

– No! – Agnieszka rozejrzała się na boki. – Ja też bym zadzwoniła. To trochę dziwne, że ktoś zamordował szefa i nagle Karol przepadł jak kamień w wodę, a potem zjawił się u Jaśminy. Ale ja go widziałam, mówiłam ci?

– Nie.

– Dzisiaj! Skradał się przy hotelu jak szpieg. Zamierzałam do niego wyjść, ale uznałam, że skoro tak lawiruje między drzewami, to chyba nie chce być zauważony, jak myślisz?

– Skradał się między drzewami?

– No! – zawołała Mizerna. – Jakby nie chciał, żeby ktoś go zobaczył! Powiedziałam o tym policjantce, żeby nie było, że zatajam informacje czy coś, bo za takie rzeczy można dostać wyrok. Początkowo nie chciałam mówić, bo ona taka nieprzystępna, ale dzisiaj wydawała się nawet miła. Nieważne. – Recepcjonistka machnęła ręką. – Ważniejsze jest to, że Karola przytknęli. Wyobrażasz sobie? Jeśli się okaże, że pracowaliśmy z podwójnym mordercą, to dopiero będzie afera! Ty – szturchnęła pokojówkę w bok – może zaczniemy udzielać wywiadów!

– No nie wiem, czy to dobry powód do udzielania wywiadów – mruknęła Kalina.

– Daj spokój! – Mizerna klasnęła w dłonie. – Jesteśmy w centrum najważniejszych wydarzeń. Całe województwo aż huczy od plotek! Przez chwilę pocujemy się jak gwiazdy! Jeszcze trochę, a przed hotelem stacje telewizyjne kamery rozstawią i będą nas filmować.

– Bracką ucieszy darmowa reklama.

– No! Ale pomyśl sobie, że Karol naprawdę pozabijał tamtych. – Agnieszka nagle spoważniała. – I pracowaliśmy z mordercą. Cholera, zna się człowieka tyle lat, a do końca nie wiadomo, co w nim siedzi.

– Daj spokój, Karol mordercą?

– Policja musiała mieć podstawy, żeby go zaaresztować.

Pokojówka kiwnęła głową. Słusznie, gdyby policja nie dysponowała dowodami, nie zatrzymałaby go. Nagle Kalina poczuła przerażenie, a w jej głowie zapaliła się czerwona lampka.

– Co masz taką minę? – zaśmiała się Agnieszka. – Niezłe jaja, co? Sama nie mogę uwierzyć.

– Przepraszam, muszę do łazienki – powiedziała Kalina i uciekła.

Jedynym źródłem światła w pokoju był tłący się w kominku płomień. Sosnowe drzewo spalało się powoli i wypełniało pomieszczenie zapachem wędzonego igliwia.

Klemens senior wpatrywał się w łunę ognia. Czuł wzbierające pod powiekami łzy. Nie wycierał ich, gdy spływały po policzku. Były jak koło ratunkowe, które już dawno powinien chwycić, a wzbraniał się do ostatniej chwili.

Honor – pięć liter, które doprowadziły do tragedii. Głupie zasady, jakie sam sobie narzucił, przysłoniły rodzicielską miłość. Nie miał prawa mówić o honorze i ingerować w wybory syna. Zrozumiał to dopiero teraz, gdy już nigdy nie będzie mógł z nim porozmawiać. Pragnął tego, jak nigdy wcześniej. Pragnął porozmawiać z Klemensem i wszystko mu wyjaśnić. Chciałby, aby syn zrozumiał, dlaczego senior postępował tak, a nie inaczej.

Przymknął oczy.

– *Nie tak cię wychowywałem! Splamiłeś honor naszej rodziny! Jak teraz spojrzę w oczy sąsiadom?!*

– *Nie będziesz mi rozkazywał! Dawno już nie mam dziesięciu lat, kiedy codziennie okładałeś mnie w imię jakichś pieprzonych zasad!*

Blizna na plecach Klemensa codziennie przypominała o bezduszości i bezwzględności seniora. Cienka linia krzywo zrosniętej skóry w miejscu, gdzie sprzączka paska uderzyła w delikatne ciało dziecka.

– *Od dziecka wpajałem ci reguły, których nie potrafiłeś albo nie chciałeś przestrzegać! Zawsze robiłeś mi na złość, zupełnie jak twoja głupia matka!*

W uszach zadźwięczał mu śmiech syna. Głośny i cyniczny, mówiący, że ma ojca za nic, za zwykłe zero. Tamtego dnia, gdy po raz ostatni rozmawiali, nie rozumiał, ale dzisiaj zdał sobie sprawę, że Klemens miał rację. Mówił prawdę, której senior bał się usłyszeć.

– *Od matki trzymaj się z daleka! Dość krzywdy jej wyrządziłeś! Zdradzałeś ją, pomiatałeś jak śmieciem, myślałeś, że nie wiem? Świat jest mały, ojczy! Wszyscy wiedzieli, nawet matka, ale nie odeszła od ciebie, choć powinna! A teraz śmiesz mówić, co jest dobre, a co złe?! Ty?*

– *Zostaw tę Michalinę. Ona nie jest ciebie warta.*

- *Co ty możesz o niej wiedzieć? Masz klapki na oczach. Nie będę tego słuchać.*
- *Stój! Słyszysz?! Zostaw ją i tego bękarta!*
- *To moje dziecko. Mój syn. Moja odpowiedzialność, którą zamierzam wziąć na swoje barki. Będę najlepszym ojcem dla Michałka. Chcę, aby moje dziecko miało szczęśliwe dzieciństwo. Przynajmniej ono.*
- *To przeklęte dziecko!*
- *Bredzisz jak nawiedzony.*
- *Jego matka to zwykła kusicielka! Uwiodła cię, żeby zrobić mi na złość.*
- *Kusicielka? Jesteś nienormalny.*
- *Uwiodła cię, tak jak mnie uwiodła jej parszywa matka! Głupia suka!*
- *O czym ty mówisz?*
- *Michalina jest twoją siostrą! Ta parchata dziwka uwodzenie cudzych mężów wysłała z mlekiem matki!*
- *Michalina jest moją siostrą? Zwariowałeś?*
- *Spotkałem jej matkę lata temu. Potem przyszła do mnie w ciąży, ale ją pogoniłem. Pieniądze chciała wyciągnąć, ot co!*
- *Niemożliwe. Kłamiesz, tylko po to, żebym zostawił Michalinę.*
- *Wysyłałem jej pieniądze. Jeśli nie wierzysz, spytaj tę swoją ukochaną! Gdyby nie ja, zdechłaby z głodu! Razem ze swoją mamusią!*

Senior potrząsnął głową. Podszedł do barku i wyciągnął kilkuletni koniak. Trzymał butelkę na specjalną okazję, ale zdawało się, że taka już nie nadejdzie. Napełnił szklaneczkę, przechylił jednym haustem i oparł się dłońmi o stół.

– *Chcesz powiedzieć, że spałem z własną siostrą? I w dodatku mam z nią dziecko? Nie. To jakiś absurd.*

– *Przeklęte dziecko. Ten bękart nie powinien przyjść na świat! Los splótł wasze drogi, by pokarać mnie i jego babkę!*

– *Ale dziecko jest zdrowe... Przecież...*

– *Odbierz jej tego dzieciaka. Wychowasz go wspólnie z Dorotą. To jedyne wyjście. Jeśli ktokolwiek dowie się o bachorze, będziemy skończeni!*

– *Ale...*

– *Zaproponujesz Michalinie pieniądze. Musisz zrobić wszystko, by je wzięła.*

– *Michalina wie?*

– *Nie, i nikt nie może się dowiedzieć. Nikt, rozumiesz?!*

Ta idiotka Kowalska nie przyjęła pieniędzy. Odmawiała za każdym razem, gdy Klemens poruszał ten temat. Senior musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

Gdy po raz pierwszy ujrzał nieślubną córkę, w gardle urosła mu dziwna gula. Język zastygł, przylepił się do podniebienia, a dłonie oblały zimnym potem.

Wyglądała zupełnie jak matka. Burza ciemnych loków i niemal czarne oczy patrzyły nieufnie, jakby wiedziały, kim jest Klemens senior.

Wróciły wspomnienia. Janina.

Uśmiechała się, gdy leżeli razem w łóżku, a swoimi długimi palcami gładziła go po plecach. Wciąż pamiętał jej piękny uśmiech i delikatne rysy twarzy, setki papierosów wypalonych na tym samym ganku, na którym teraz stała ich córka. Wspólne noce spędzone na obserwowaniu ciemnej ściany lasu, wsłuchiwanie się w pohukiwanie sowy i poranne stukanie dzięcioła. Czuł się, jakby czarodziejska siła przywróciła cudowne wspomnienia.

Okłamał syna, mówiąc, że spędził z Janiną jedną noc. Nie potrafił zliczyć, ile razy budził się w drewnianej chatce pod lasem, tak jak nie potrafił zliczyć, ile razy marzył, by ta chwila trwała wiecznie. Pragnął mieć Janinę na zawsze.

Ogromna tęsknota zniszczyła mu życie. Ból, jaki pojawił się po rozstaniu, zawładnął nim, niczym kolczaste pnącza wbił się w duszę i nie chciał puścić. Ale rozstanie było jedynym wyjściem. Senior miał już jedną rodzinę – Władysławę i Klemensa.

Wyjechał na wojnę, by zapomnieć. Każda wojskowa misja pozwalała uciec od wspomnień, które rozdzierały mu serce; od żony, której nie kochał, i od syna, którego nie chciał.

Klemens zdradzał żonę jeszcze wielokrotnie i nigdy nie miał wyrzutów sumienia, ale żadna z kochanek nie dorównywała Janinie. Myśl, że miłość jego życia czeka w rozpadającej się chacie, dobijała go z każdym dniem, miesiącem i rokiem. Znienawidziła go. Senior zrobił wszystko, by tak się stało.

Gdy powiedziała mu o ciąży, odesłał ją z kwitkiem, obrzucając przy tym niewybrednymi epitetami. Musiał to zrobić, chociaż czuł, że z każdym słowem jego serce zamienia się w twardy kamień, z którym żona i syn będą się ścierać latami. Musiał tak postąpić. Honor mężczyzny nie ucierpiał.

Usłyszał krzyk dziecka. Krzyk pierwszego wnuka. Bękarta. Poczul, jakby ktoś zerwał plaster z dawno zabliznionej rany. Oderwał wraz ze skórą, rozdrapał blizny.

– Mogę go zobaczyć? – Jego głos brzmiał nienaturalnie, jakby nie należał do niego.

Chłopiec spojrzał na dziadka, a jego pyzata buzia była zaróżowiona od płaczu.

Wnuczek jego i Janiny.

W mig odzyskał rezon. Musiał trzymać się swojego planu. Prawda nic by nie zmieniła. Czasem szczerść nie popłaca, a życie powinno toczyć się dalej utartym torem.

Wiedział, że wystarczy zaproponować odpowiednią sumę. Pieniądze załatwią wszystko, ale ku jego zdumieniu Michalina je odrzuciła. Kazała mu się wynosić. Głupia dziewczucha! Powiedziała, że to sprawa między nią a Klemensem. Myliła się, ale senior nie mógł jej tego zdradzić. Gdyby wiedziała, że nosiła pod sercem dziecko własnego brata, zmieniłaby zdanie.

Podczas drugiej wizyty podwoił stawkę do stu tysięcy. Senior obiecał Klemensowi, że pomoże mu w spłacie kredytu. Był przekonany, że Michalina przyniesie dziecko do parku, a syn wychowa je wspólnie z żoną. Chłopczyk dostanie lepsze życie. W drewnianej chacie nic go nie czekało. Skończyłby jak matka – bez pieniędzy, bez perspektyw na przyszłość. Ale ona nie przyszła. Rozmyśliła się. Tak po prostu.

Senior westchnął. Czy powinien odzyskać wnuka? Zamordowano jego syna. Klemens odszedł, więc czy to on powinien zadbać o los dziecka?

Głucha pustka wypełniała ściany domu. Żony nie było, ale zdawało się, że siedzi tuż obok. Zmarnowałem Władce życie, pomyślał. Wiedziała, że jej nie kocha, ale nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Przez czterdzieści lat nosił w sobie smutek. Nadszedł czas, by powiedzieć całą prawdę. Czterdzieści lat za późno. Czuł się jak dezerner. Żołnierska odwaga wyparowała, teraz był zwykłym tchórzem.

Wpadła w szal, rzucała w niego przedmiotami i wybiła szybę w witrynie. Z godnością zniósł upokorzenie. Do tej pory tylko jednej kobiecie pozwalał się obrażać. Chciałby płakać, ale nie potrafił, a może już nie miał łez?

Jeden błąd, którego konsekwencje wloką się za nim przez całe życie. Gdyby pewnego dnia nie poszedł do restauracji i nie zamówił dokładki, a rachunku nie przyniosła mu Janina, wszystko potoczyłoby się inaczej. Może jego dzieci byłyby szczęśliwe. I żywe.

W dniu śmierci Michaliny wcale nie zamknął się w piwnicy. Próbował znowu porozmawiać z żoną, ale Władysława nie chciała go słuchać. Wyszła z domu tak jak stała i poszła porozmawiać z Michaliną. Wiedział o tym, ale jej nie powstrzymywał.

Tak musiało być.

15

Lena zakręciła się na fotelu, trzymając w rękach zeznanie Klemensa seniora. Niebawem, pomyślała, że przez tyle lat ukrywał istnienie córki. Nie potrafiła zrozumieć, czym kierował się Chmielny i jaka idea mu przyświecała. Nie przemawiały do niej wzniosłe słowa o reputacji żołnierza i honorze mężczyzny, ale uznała, że nie czas się nad tym zastanawiać. Najważniejsze, że przynajmniej jedna sprawa się wyjaśniła.

Z drugą było nieco gorzej.

Krzysztof zamknął śledztwo. Lena próbowała ugrać jeszcze jeden dzień, ale Krzysztof był nieugięty. Dopóki nie znajdą dowodów potwierdzających przeczcucia Leny, prokurator nie zmieni decyzji.

Łyknęła tabletkę oksykodonu, schowała fiolkę do szuflady i uniosła głowę. Marcel zamachał papierową torbą, z której wydobywał się nęcący zapach chińszczyzny.

– Głodna? – spytał.

– Wyjdź stąd, faryzeuszu.

– Zamówiłem chrupiącego kurczaka z frytkami.

– Nie przekupisz mnie jedzeniem – odburknęła.

Zjadłaby nawet suchy ryż, bo z głodu kiszki jej marsza grały, ale duma powstrzymywała ją przed rzuceniem się na parującego kurczaka.

– No, jak chcesz – oznajmił i usiadł naprzeciwko. Pudełko z jedzeniem postawił sobie na kolanach. Uchylił pokrywkę, a zapach curry wypełnił gabinet. Lena przełknęła ślinę i opadła na fotel.

– Palisz – powiedziała, ściągając brwi. – Beze mnie.

– Czekałem na kierowcę – wyjaśnił, nabijając złocistą kostkę kurczaka na widelec. – No, poczęstuj się.

Rudnicka zacisnęła usta i sięgnęła po pudełko, uznawszy, że praca z pełnym żołądkiem będzie znacznie wydajniejsza. Zabrała się do jedzenia, jakby posiłek z chińskiej budki przygotowała sama Magda Gessler.

– Jesteś na mnie zła – stwierdził po chwili Marcel. – Rozumiem.

– Nie rozumiesz.

– Przepraszam. Rozmowa z Warskim wybiła mnie z rytmu.

Żałował, że wystąpił przeciwko Lenie, bo ufał szefowej, choć kierowała się przeczuciem, a wszystkie dowody wskazywały na winę dozorca.

Lena zmrużyła oczy.

– Dobra – mruknęła z pełnymi ustami.

– Dobra? To ja przywdziałem zbroję, zaopatrzyłem się w tarczę, by odeprzeć kawalkadę wyzwisk, którymi, jak sądziłem, mnie obrzucisz; przyniosłem pojednawczy posiłek, by ugasić lawę nienawiści, a ty mówisz „dobra”?

Wzruszyła ramionami.

– Jeśli chodzi o wczoraj... – zaczął z wahaniem.

– Nie – ucięła i przesunęła po blacie zeznania Chmielnego. – Nie ma żadnego wczoraj.

Marcel postanowił, że wróci do tematu później. Sięgnął po dokument i przebiegł wzrokiem treść. Z każdą sekundą jego brwi unosiły się coraz wyżej.

– O cholera – powiedział. – Klemens sypiał z własną siostrą?

– Niezła komedia, co?

– Raczej tragiczny melodramat, w którym dwoje kochanków nie może być razem, a na końcu umierają z miłości.

Rozchyliła usta, zastanawiając się, czy Marcel naprawdę to powiedział, po czym wsadziła do ust frytkę i popiła pepsi z puszki.

– Dlaczego sądzisz, że Warski kłamie? – spytał.

– Bo widzę.

– Aha, no to wszystko jasne. – Zaśmiał się.

– W przeciwieństwie do ciebie nie wykorzystuję tylko pięciu podstawowych zmysłów. Mów, co chcesz, ale wierzę w szósty. Jest jak kompas, który mówi, w którym kierunku podążać.

– To się raczej nazywa zmysł orientacji.

– Zmysł orientacji to propriocepcja, która dotyczy ciała i błędniaka. To dzięki niej wiesz, że twoja noga nie leży obok, tylko jest przyczepiona do ciała. Nie musisz patrzeć na kończyny, żeby wiedzieć, że są na swoim miejscu. Bez propriocepcji spadłbyś z pierwszego schodka, na jakim postawiłbyś stopę, bo mózg nie wysłałby informacji, że postawiłeś nogę i możesz oprzeć na niej swój ciężar. A ja mówię o intuicji. Ty też ją masz. – Wymierzyła w niego widelec. – Na przykład kiedy powiem, że jesteś bardzo przystojnym młodym mężczyzną, intuicja podpowie ci, że to kłamstwo.

– To akurat prawda.

– Akurat to nazywa się oszukiwaniem samego siebie.

Wolski uśmiechnął się pod nosem.

– Zastanawia mnie, dlaczego Warski kogoś kryje – mruknęła.
– Mnie bardziej interesuje, kogo kryje.
– I kogo obserwował z okna mieszkania.
– Mamy listę mieszkańców sąsiedniego bloku?
– Nie – odparła. – I nie sądzę, byśmy szybko ją dostali. Połowa mieszkań jest wynajętych, więc dotarcie do ewentualnych lokatorów łatwe nie będzie.

Wstała, wsunęła dłonie do kieszeni i przeszła się po pokoju.

– Sądzisz, że Warski kłamie – odezwał się Marcel. – Okej, ale jak wytłumaczysz odciski palców i ślady na ciele Klemensa?

Spojrzała na niego z dezaprobatą. Miała nadzieję, że Wolski sam wyciągnie właściwe wnioski, ale najwyraźniej go przeceniła.

– Pamiętasz, co zastaliśmy w parku? – spytała. – I co powiedział Bania?

Marcel namyślał się nad odpowiedzią zdecydowanie dłużej, niż wymagało tego pytanie.

– Że zwłoki zostały przeniesione? – zapytał z wahaniem.

– Nie zwłoki – zaproponowała. – Chmielny jeszcze żył.

Wolski nadział na widelec kawałek kurczaka i zawiesił dłoń.

– Okej, ale skoro Chmielny żył, dlaczego Warski mu nie pomógł? – spytał.

– Zapewne z tego samego powodu, dla którego kryje prawdziwego sprawcę.

– Nie wierzę w to, że Warski przypadkiem znalazł się na miejscu zbrodni, zobaczył, jak ktoś dźga Chmielnego nożem, i postanowił przenieść go w zarośla.

– Kto powiedział, że przypadkiem?

Celna uwaga, pomyślał Wolski, przeżuając mięso.

– Jest jeden motyw, dla którego dozorca kogoś kryje – odezwała się Lena, siadając z powrotem przy biurku.

– Jaki?

– Miłość.

Marcel aż się zakrztusił. Odkaszlnął, zakrywając usta, i wbił wzrok w komisarz.

– Nie wiedziałem, że operujesz takimi pojęciami.

– Jeśli ktoś jest gotów pójść za kogoś do więzienia, to widzę tylko jeden powód: robi to z miłości.

Albo dla kasy, dodała w myślach. Ale wtedy zwykle chodzi o krótką odsiadkę. No bo na co komu fura pieniędzy, jeśli do końca życia będzie siedział za kratkami?

Marcel odłożył pudełko z jedzeniem i oparł łokcie na kolanach.

– Są jeszcze odciski drugiej osoby – powiedział.

– No właśnie.

– Których nie ma w bazie.

– No? Jaki z tego wniosek, sierżancie?

Wolski z namysłem przygryzł wargę. Hipoteza komisarz miała sens. Warski kogoś krył. Kogoś, kto uciekł z miejsca zbrodni.

– Po cholere zakradał się do hotelu, skoro odzyskać swoje rzeczy mógł przy okazji składania wypowiedzenia? – zastanawiał się na głos.

Komisarz spojrzała na niego zaintrygowana.

– Właśnie – mruknęła.

– O, proszę. Wreszcie się w czymś zgadzamy.

– Zgadza się w wielu kwestiach, Marcel.

– Tylko twoja natura każe ci rzucać mi kłody pod nogi i obierać prowokacyjne ścieżki?

– Coś w tym stylu – odparła półgębkiem.

– Kiedy z tobą rozmawiam, mam wrażenie, że rozwiązuję jakiś test, jakbyś codziennie robiła mi kartkówkę.

Zakręciła się na fotelu.

– Matka Warskiego powiedziała, że syn miał dziewczynę – przypomniała, mierzwiąc dłonią włosy.

– Dziewczyna może nie mieć związku ze sprawą.

– Jestem odmiennego zdania.

Marcel uśmiechnął się zaczepnie, a Rudnickiej przyszło do głowy, że sierżant wygląda z tym uśmiechem całkiem pociągająco.

– Może to psychol – mruknęła.

– Uważasz, że zobaczył jakąś dziewczynę na przystanku, śledził ją w drodze do domu, a potem wynajął mieszkanie naprzeciwko i ją podglądał?

– Nie. Po prostu zakładam, że potencjalna dziewczyna może mieć związek ze sprawą. – Westchnęła przeciągle, pocierając bark. – Warski nie ma motywu i żadnych powiązań z Michaliną.

– Albo jeszcze ich nie znaleźliśmy.

– Niemożliwe – ucięła.

Wykluczyła opcję, że przeoczyli tak istotny fakt, jak znajomość Kowalskiej i Warskiego.

– Ale do morderstwa Klemensa znalazłbym jakiś motyw – oznajmił Wolski. – Panowie nie darzyli się sympatią.

– Na razie nie znamy powodu, bo Warski, oprócz tego, że powtarzał w kółko, że bym się pierdoliła, nie powiedział nic konkretnego.

– Coś nam umknęło – zawyrokował.

– Możliwe. Problem w tym, że nie wiem co.

Marcel był zdumiony, że Lena przyznała się do niewiedzy. Uznał to za swój mały sukces, bo jeszcze parę dni temu próbowałyby mu wmówić, że ma rację we wszystkim.

Rudnicka klepnęła dłonią w blat.

– Dobra – powiedziała. – Idź do domu.

– A ty?

– Ja zostanę i przez najbliższe godziny będę się głowić, jak skłonić mojego zdradzieckiego męża do zmiany decyzji.

– No nie wiem.

– Czego nie wiesz?

– Kto w waszym duecie jest bardziej zdradziecki.

Prychnęła.

– Zostaw mi papierosy – poleciła.

– Zostanę.

– Miło z twojej strony, ale nie potrzebuję towarzystwa.

– Zostanę – powtórzył. – Może wymyślimy coś razem.

Spojrzała na niego w sposób, który kazał przypuszczać, że naprawdę woli zostać sama.

Wstał z ociąganiem i przeszedł do drzwi, po czym obrócił się w jej stronę.

– To chodź – powiedział.

– Dokąd?

Pomachał paczką lodowych westów.

– Zostaw je – odparła. – Później pójdę.

– Chodź – naciskał. – Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

– Świeże powietrze z domieszką substancji smolistych z pewnością podziała kojąco na moje płuca.

Przeciągnęła się w fotelu, po czym wstała i ruszyła za Marcelem.

Gdy wróciła, pogрузzyła się w myślach. Wnikliwie przejrzała notatki i nabrała przekonania, że w tej układance brakuje kluczowego elementu, który wskazałby kierunek działania. Krążąc po pokoju, układała w głowie fakty i teorie, jakie stworzyli z Marcelem. Próbowała się złapać czegokolwiek, co zbliżyłoby ją do prawdy.

Uporanie się z faktami stanowiło najtrudniejsze zadanie. Faktów nie można naginać do teorii. Fakt jest faktem, a przerabianie rzeczywistości do własnych celów nie wchodziło w grę.

Niezaprzeczalnym faktem była ułomność jej myślenia. Połknięte tabletki przyćmiły umysł i odebrały możliwość sprawnego funkcjonowania. Choć fizycznie nie czuła żadnych dolegliwości, wiedziała, że jej mózg nie pracuje tak, jak powinien. Wydawało się, że głowę ma wypchaną watą, a wszystkie informacje utknęły w jej gęstwinie.

Wlała w siebie hektolitry kawy w nadziei, że kofeina pobudzi ją i otworzy na nowe sugestie. Tę rzemieślniczą pracę można przyrównać do komponowania utworu, pomyślała. Zaczynała od zera i powoli dodawała nuty, by na koniec wykonać pieśń zwycięstwa. Szukała tonacji, nagrywała całość i słuchała utworu ponownie. Jej umysł był instrumentem. Wystarczyło nacisnąć odpowiednią strunę, by wydobyć prawidłowy dźwięk.

I tak się stało kilka godzin po tym, jak zaparzyła ostatnią kawę. Czarny napój wystygł nietknięty, ale Lena nawet tego nie zauważyła. Siedziała na krześle i wpatrywała się w tablicę z rozpisanymi nazwiskami, kiedy nagle w mózgu coś przeskoczyło.

Zrozumiała wszystko. Jeden element, który połączył całą układankę.

Widziałam Warskiego. Czapka. Klemens. Tempo utworu nabrało przyspieszenia, jakby umysł włączył dodatkowe turbiny.

Klik, klik.

Zdrada. Kłamstwo. Hotel.

Podderwała się na nogi, chwyciła telefon i wybiegła z gabinetu. W drodze na parking uparcie wydzwaniała do Marcela, ale sierżant nie odbierał. Cholerny gówniarz, mruknęła, siadając za sterami jaguara, i szybko napisała wiadomość.

Potem pojechała prosto do hotelu Retro.

16

Kalina Michalska zebrała puste puszki i butelki, po czym wrzuciła je do plastikowego worka. Zawiązała oba końce, wystawiła na korytarz i spojrzała kontrolnie na pokój – łóżka zasłane, podłogi odkurzone, pościel zmieniona. Odetchnęła z ulgą. Wreszcie skończyła i miała chwilę, by odetchnąć.

Pchając przed sobą wózek, wyjechała na tyły hotelu i wrzuciła wory do kontenera. Zawróciła do przedsiionka po kurtkę, wyjęła z rękawa czapkę, nałożyła na głowę i przysiadła na ławeczce. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się mocno, ale nagle owładnęło ją poczucie obrzydzenia. Wyrzuciła niedopałek na ziemię i przydepnęła butem. Zgniotła paczkę po cienkich papierosach i cisnęła do kosza.

Rzucam palenie, postanowiła, bo właśnie papierosy są winne tragedii, jaka mnie spotkała. Chciała płakać, ale oczy pozostały suche. Odgarnęła z twarzy kosmyk i z odrazą zlustrowała hotelowy ogród. Paskudne suche badyle przyprawiły ją o dreszcze.

Zmrużyła oczy. Ktoś szedł w jej kierunku, kołysząc się na boki i próbując utrzymać równowagę. Dopiero po chwili rozpoznała Dorotę Bracką. To niemożliwe, pomyślała. Szefowa była kompletnie pijana. Po przejściu kilku metrów zatrzymała się, by upić łyk wina, i chwiejnie podeszła do Kaliny.

– Co tam? – zagadnęła pracownicę.

Zachrypnięty od alkoholu głos nie pasował do niej. Podobnie jak dres, który miała na sobie. Ubrudzony ziemią i liśćmi sprawiał wrażenie, jakby Bracka sturlała się z górki. Najwyraźniej utrzymywanie się w pionie obecnie było dla niej zbyt dużym wyzwaniem.

– Dobrze się pani czuje? – spytała z troską Kalina.

Pokojówka nigdy nie widziała szefowej w takim stanie. Może coś się stało?

– Chuj cię to obchodzi – wymamrotała Bracka.

– Przepraszam, ale...

– Przepraszam?! – Bracka parsknęła śmiechem. – Ty powinnaś klękać przede mną, że nie wywaliłam cię z roboty! Klemens mówił, że jesteś stuknięta, ale ja, głupia, mu nie wierzyłam! A teraz wyszło szydło z worka! Ty głupia latawico!

– Nie rozumiem.

Pokojówka wydeła usta. Przywykła do obelg, jakimi obsypywała ją szefowa, ale dzisiaj żona Klemensa wyglądała inaczej, jakby coś w niej pękło. Zobaczyła w jej oczach gniew, który w każdej chwili mógł przerodzić się w furję. Kalina zerknęła na drzwi do hotelu, ale Bracka kopnęła je nogą i odcięła drogę ucieczki.

– Nigdzie nie pójdziesz, głupia suko! – krzyknęła. – Porozmawiamy sobie!

– Przepraszam, pani Doroto, ja...

– Między mną a mężem się nie układało, ale jakim prawem puszczałaś się z nim tutaj?! Myślałaś, że się nie dowiem?!

Cisnęła butelką o płytę chodnikową. Szkło się posypało, a resztki wina ochlapały Kalinie rajstopy. Pokojówka poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Wystraszyła się, bo szefowa nigdy nie była tak agresywna.

– To mój, kurwa, dom, rozumiesz?! – ciągnęła Bracka. – Mieszkam tu od dziecka, a ty śmiałaś sypiać pod moim dachem z moim, kurwa, mężem!

– Proszę się uspokoić. Wszystko wyjaśnię...

– I jeszcze zrobił ci bachora! – Bracka zaśmiała się gorzko. – Co za ironia...

Kalina wbiła wzrok w czubki butów. Szefowa miała rację. Teraz to zrozumiała. Romans z Klemensem nie powinien się wydarzyć, ale teraz było już za późno.

– Już nie jestem w ciąży – powiedziała cicho.

– Co? Co tam mamrociesz?

– Straciłam dziecko – odparła Kalina, pociągając nosem. Poczuła, że łyzy cisną się jej do oczu.

– No i bardzo dobrze! – zawołała Bracka. – Jednak istnieje sprawiedliwość na tym świecie. Ząb za ząb!

– Słucham? Nie wstyd pani tak mówić?

– Mam gdzieś twoje dziecko! – wrzasnęła Bracka, zataczając się. Wymierzyła palec w Kalinę. – Mam gdzieś, rozumiesz? Bardzo dobrze, że umarło.

Kalina poczuła wzbierającą złość. Jakim prawem Bracka obrażała jej nienarodzone dziecko? Czemu ono było winne? Łzy w końcu znalazły ujście. Nie miała już siły.

Marcel przetarł dłonią zaparowane lustro, dotknął szorstkich policzków i pomyślał, że najwyższa pora się ogolić. Sięgnął po maszynkę i zaklął pod nosem. Gdyby ktoś wymyślił samoczynnie ładujące się baterie, byłby uratowany. Tymczasem lampka bezlitośnie zamrugwała na czerwono. Otworzył szafkę pod umywalką i przekopał podręczną kosmetyczkę. Ta cholerna ładowarka gdzieś tu musi być. Wysypał wszystko na ziemię, ale ładowarki nie znalazł.

Obwiązał się ręcznikiem i wyszedł z łazienki. Owiął go wieczorny chłód, wdzierający się przez uchylone okno. Wciągnął spodnie, wyszperał z walizki najmniej zmiętą bluzę, zarzucił na grzbiet i padł na łóżko. Postawił sobie laptopa na brzuchu, uruchomił Netflix z nadzieją, że zanim zdąży zasnąć, obejrzy choć jeden odcinek *House of Cards*.

Włączył serial i podniósł się jeszcze, by zaparzyć herbatę, gdy spostrzegł, że telefon wciąż podłączony jest do ładowarki. Zadowolony, że przynajmniej tej ładowarki nie zgubił, odpiął go i odblokował ekran. Wyświetliło się kilka nieodebranych połączeń i wiadomość od Rudnickiej.

Przeczytał treść i zaklął pod nosem.

Błyskawicznie wskoczył w buty i wybiegł na zewnątrz.

Światła samochodu wjeżdżającego na hotelowy parking oślepiły ją. Przymknęła oczy i osłoniła je ręką. Po chwili rozpoznała markę auta. Czarny jaguar zatrzymał się pod głównym wejściem do hotelu. Uderzyło ją przecucie, że nadszedł moment, którego tak bardzo się bała. A potem poczuła nagły przypływ adrenaliny. Ciśnienie uderzyło jej do głowy, a w żyłach zawrzała krew. Przebiegła wzrokiem po okalających hotel zaroślach, szukając drogi ucieczki. Las byłby najodpowiedniejszy, ale tamten kierunek wiązał się ze zbyt dużym ryzykiem. Zanim dotrze do drzew, ta wariatka zdąży wyciągnąć broń i strzelić jej prosto w plecy. Gdy szukała w głowie kolejnego rozwiązania, usłyszała trzaśnięcie drzwiami. To ostatni moment, by uciec, pomyślała. Jedyna możliwość to pobiec przed siebie ile sił w nogach. Ale ona nie była strachliwa. Radziła sobie w różnych sytuacjach, poradzi sobie i z tym problemem.

Kroki.

Szybkie kroki.

Oceeniła odległość na sto metrów. Schowała się za ścianą, ale ta suka musiała ją zobaczyć, bo zmierzała w jej stronę.

Pozostało najwyżej piętnaście sekund.

Nagle kroki zwolniły, a potem ucichły. Rozmyśliła się? Niemożliwe. Przystanęła, ale po co? Usłyszała pojedynczy chrobot. Po chwili skojarzyła. Policjantka przeładowała broń. To koniec! Odepchnęła się od zimnego muru i pędem ruszyła do drzwi, próbując ominąć Dorotę Bracką. Szefowa, która wygłaszała pijackie kazanie na temat złego prowadzenia się pokojówki, spojrzała zaskoczona i zachwiała się. Mimowolnie zagroziła Kalinie drogę. Pokojówka bez namysłu schyliła się po kawałek szkła i silnym, szybkim chwytem otoczyła ramieniem szyję Doroty Brackiej.

– Stój.

– Puść mnie, suko! – wrzasnęła wściekle Dorota, choć przy jej tętnicy tkwiło ostre szkło. Zakaszłała, próbując się wyswobodzić, ale Kalina mocniej zacisnęła ramię. Dopiero po chwili Bracka uświadomiła sobie powagę sytuacji i w jej oczach pojawił się strach.

– Rzuć to.

Kalina obróciła się do policjantki.

– Rzuć to, kurwa!

Komisarz celowała w nią z zaciętą miną, gotowa strzelić. Pewnie miała już kilku ludzi na sumieniu, tak jak ona. Ale Kalina również była zdeterminowana. Nie podda się bez walki. Nie ma nic do stracenia.

– Puść ją! – rozkazała Rudnicka.

– Rzuć broń! – warknęła Michalska. – Bo inaczej ją zabiję.

Bracka stęknęła. Przypominała bezwolną kukłę. Kręciło jej się w głowie, a znieczulone alkoholem ciało zdrętwiało. Wpatrywała się ufnie w policjantkę.

– Rzuć to, bo cię odstrzelę.

Głos komisarz brzmiał spokojnie. Pomimo że w środku cała dygotała, dłonie zaciśnięte na rękojeści glocka nie poruszały się nawet na milimetr.

– Nie odważysz się.

Odważyłaby się, gdyby nie Bracka, która zasłaniała jej Kalinę Michalską. Istniało ryzyko, że kula trafi we właścicielkę hotelu. Wtedy, w hangarze, nacisnęła spust, a skutek tej brawury był najgorszy z możliwych.

– Odrzuć soplę i kopnij w moją stronę – rozkazała Kalina, mocniej przyciskając ostrze do szyi Doroty, która jęknęła, jakby miała zemdleć. Świat wirował jej w oczach, z emocji i nadmiaru wina.

Komisarz w oczach pokojówki zobaczyła szaleństwo. Na decyzję miała kilka sekund. Drugi raz nie popełni tego samego błędu.

Glock upadł na kamienny chodnik. Lena kopnęła pistolet, który potoczył się w przyschnięte kwiaty. Gdyby Michalska puściła Bracką, by schylić się po pistolet, Rudnicka miałaby raptem kilka sekund, aby ją dopaść. Prawdopodobnie by zdążyła. Ewentualnie dostałaby kulę w brzuch, ale uznała, że warto zaryzykować.

Kalina jednak okazała się sprytniejsza. Kucnęła po broń, wciąż trzymając szefową, z ostrzem przy jej szyi. Gdyby Bracka oglądała filmy kryminalne, wiedziałaby, że to najlepszy moment, by spróbować się oswobodzić. Ale pijana i wystraszona nie odważyła się. Może to i lepiej, pomyślała Lena.

Kalina chwyciła broń, zważyła w dłoni, rozkoszując się władzą. Potem przeniosła wzrok na Rudnicką, a jej oczy zapłonęły dziką wściekłością.

– Po cholere tu przyjechałaś!? – wrzasnęła. Jej głos przypominał skrzeczenie nadmorskich mew. – Przecież macie Warskiego!

– Warski jest niewinny – odparła Rudnicka. – Przyznał się tylko dlatego, że obdarzył cię jakimś absurdalnym uczuciem.

– Przyznał się!

– Kazałaś mu wziąć winę na siebie?

Gniew Kaliny był niepokojący. Negatywne emocje mogą przyćmić zdolność racjonalnej oceny sytuacji, o ile kiedykolwiek była do niej zdolna. Lena uniosła otwarte dłonie. Uspokajający gest przyniósł rezultat. Pokojówka zaczęła oddychać nieco spokojniej.

– Warski to idiota – powiedziała. – Mówił, że mnie kocha. Co za głupek! Spędziłam z nim parę nocy, a on ubzdurał sobie, że będziemy razem. – Zaśmiała się szyderczo. – Ale ja pragnęłam tylko Klemensa. Nosiłam pod sercem jego dziecko!

– Nosiłaś?

– Straciłam je.

Dłoń Kaliny powędrowała na brzuch. Wzięła głęboki wdech i wymierzyła glocka w policjantkę.

– Po coś tu przylazła? – spytała. – Mogłaś zakończyć śledztwo i byłoby po sprawie. Co ja mam teraz zrobić? No co? Muszę was zabić. Tyle zła narobiłam, że Bóg mnie pokarał i odebrał dziecko.

– Nie musisz nikogo zabijać.

– Muszę. Nie chcę iść do więzienia.

Bracka coś mruknęła, ale Kalina chyba zapomniała, że wciąż trzyma swoją szefową. Wpatrywała się w Rudnicką, jakby oczekiwała szczerzej rozmowy.

– Dlaczego zabiłaś Klemensa? – zapytała komisarz.

– Odtrącił mnie.

– Śledziłaś go w drodze do parku?

– Tak.

– Ty pieprzona dziwko! – wrzasnęła Bracka i zacharczała, gdy Kalina szarpnęła ją do tyłu.

Z każdym słowem komisarz robiła jeden krok w ich stronę. Teraz znów dzieliło ich kilka metrów.

– Klemens mnie kochał – syknęła Kalina. – Mnie, nie ciebie.

– Zmyśliłaś to wszystko!

– Czyżby? – spytała Lena.

– Klemens mówił, że to wariatka! – krzyknęła Bracka. – Raz się ze sobą przespali, a cała reszta to wysane z palca bzdury!

Michalska przystawiła jej lufę do skroni.

– Zamknij się – warknęła. – Rozumiesz?! I ty też! Mam was dosyć! – Ponownie wymierzyła broń w komisarz. – To nie tak miało być! – zaszlochała. – Nie chciałam ich zabić! Po prostu się wściekłam, że on ma kochankę!

Kalina uniosła pistolet, a potem wszystko rozegrało się jak w puszczonej w zwolnionym tempie filmie. *Slow motion*. Klatka po klatce do nieuchronnego finału.

Kalina odpycha Bracką, która uderza głową o kamienny chodnik. Czerwona strużka krwi znika w gęstwinie włosów.

Dłonie pokojówki zaciskają się na rękojeści. Dwie sekundy, myśli Lena. Jeżeli Kalina strzeli z tego miejsca, zabije mnie.

Mierzy prosto w czoło, ale siła wystrzału odrzuci jej rękę i pocisk trafi w klatkę piersiową. Istnieje również szansa, że kula przeleci obok głowy, ale na to Lena nie liczy.

Szybko szacuje możliwości – czy zdoła odebrać jej broń?

Wtedy rozlega się huk. Jeden głośny strzał. Z glocka tuż za jej plecami.

Kalina upada na ziemię. Krew leje się na rajstopy i miesza z plamami po winie.

Potem świat odzyskał normalne tempo.

Lena zgarnęła z ziemi swojego glocka. Słyszała stękanie Kaliny, ale nie zdążyła się do niej odwrócić, bo Marcel ujął jej twarz w dłonie. Przesunął ręce na ramiona, jakby sprawdzał, czy wszystkie części ciała ma na swoim miejscu.

– Wszystko okej – zapewniła szybko. – Wezwij karetkę.

Szarpnęła się, ale jej nie puścił. Patrzyli na siebie, a Lena miała wrażenie, że Marcel chciał ją zrugać za niebezpieczeństwo, na jakie się wystawiła. Powstrzymał się jednak i wyciągnął telefon.

Rudnicka sprawdziła puls na szyi Brackiej. Straciła przytomność, ale na szczęście żyła.

Poziom adrenaliny we krwi stopniowo opadał, Lena oddychała ciężko, ale miała jasny ogląd sytuacji. Syreny pogotowia zawyły w oddali. Spojrzała kontrolnie na parking i przeniosła wzrok na Marcela.

– Daj broń – powiedziała.

Wolski zmarszczył brwi. Serce waliło mu jak szalone, a dłonie drżały. Powoli do niego docierało, że strzelił do człowieka. Zrobiłby wszystko, by ratować Lenę. Działał instynktownie. Był nawet gotów stanąć między kobietami i wziąć na siebie kulę.

– Daj – ponagliła, widząc jego niepewną minę.

Podał pistolet. Komisarz przeładowała broń.

– Stój, bo strzelam – mruknęła pod nosem. Padł strzał, a kula poszybowała w powietrze. – Nigdy nie zapominaj o nabojach – poinstruowała. – Muszą się zgadzać. Zgodnie z procedurą powinieneś oddać strzał ostrzegawczy.

Marcel skinął głową. Zupełnie zapomniał o tym drobnym szczególe.

– Zaraz będziemy mieli na głowie Biuro Spraw Wewnętrznych – ciągnęła. – Pieprzone urzędasy tygodniami będą badać prawidłowość użycia broni, więc lepiej się zabezpieczyć.

Karetka z przeciągłym wyciem wjechała na parking. Rudnicka wyszła naprzeciw, by wskazać ratownikom drogę.

Marcel widział wszystko jak przez mgłę. Bracka majaczyła coś w pijackim bełkocie. Poczuł zapach krwi i zakręciło mu się w głowie.

Pobiegł w zarośla i zwymiotował.

Rozdział V

1

W gabinecie Leny Rudnickiej panowała napięta atmosfera. Kilka minut wcześniej na komendzie zjawili się funkcjonariusze Biura Spraw Wewnętrznych, których zadaniem było zbadanie zasadności użycia broni służbowej przez sierżanta sztabowego Marcela Wolskiego.

Rudnicka dostała burę od komendanta i naczelnika, ale wyglądała na wyluzowaną. Uśmiechała się pod nosem, jakby reprimenda przełożonych spłynęła po niej jak woda po gęsi i osiadła gdzieś w zakurzonej kącie umysłu. Siedziała za biurkiem niczym królowa na tronie i całą swoją postawą komunikowała: Znowu miałam rację.

I miała, choć przyznanie tego przychodziło z trudem naczelnikowi i komendantowi, ale przede wszystkim prokuratorowi Nawrockiemu. To on popełnił błąd i to on krążył po gabinecie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

Kiedy pojawił się na miejscu zdarzenia, było już po wszystkim. Kalina i Bracka zostały przewiezione do szpitala, w hotelowym ogrodzie pozostali jedynie technicy i garstka gości wraz z wystraszoną recepcjonistką.

Policjanci pojechali na komendę, gdzie do drugiej w nocy omawiali najważniejsze aspekty sprawy i przygotowywali się do wizyty kolegów z Biura Spraw Wewnętrznych. Ruszyła biurokratyczna machina, w której, chcąc nie chcąc, musieli uczestniczyć.

Marcel do rana nie zmrużył oka. O szóstej uznał, że dalsze przewracanie się z boku na bok nie ma sensu. Wstał więc, wlał w siebie pięć dużych kaw i wypalił przy tym pół paczki westów. Nie zdążył porozmawiać z Leną i mimo pobieżnego sprawozdania wciąż miał w głowie mnóstwo znaków zapytania.

Słowa komendanta docierały do niego połowicznie. Miał wrażenie, jakby cofnął się do czasów szkoły podstawowej, kiedy ojciec wracał z wywiadówki i wygłaszał kazanie na temat uwag w dzienniczku syna. Teraz, mimo obiekcji ojca, Marcel uważał, że postąpił słusznie. Wolał nie myśleć, co by było, gdyby choć o sekundę spóźnił się z interwencją.

Wściekłość Andrzeja Wolskiego swoim zasięgiem objęła komisarz. Troska o syna kazała chronić go przed dociekliwym urzędnikami, przed którymi Marcel będzie zmuszony się tłumaczyć przez następne tygodnie. Lena wiedziała, że

powinna była zawiadomić posiłki, ale nie zrobiła tego. Działała na własną rękę, co szczególnie nie spodobało się Grzegorzowi Ostrowskiemu, który zapewne odegra się teraz za tę samowolkę.

Gdy cała trójca opuściła gabinet, Lena podeszła do ekspresu i zaparzyła dwie kawy. Podała kubek Wolskiemu i usiadła naprzeciwko, odchylając się na oparcie.

– Wyglądasz, jakbyś zaraz miał zdawać maturę – powiedziała.

– I tak się czuję.

Upiła łyk i z troską popatrzyła na Marcela. Twarz sierżanta przybrała zielonkawy odcień.

– Uratowałem ci życie, a czuję się jak oskarżony o podwójne zabójstwo, który czeka na proces.

– Uratowałeś mi życie?

– A nie? Wiem, że trudno ci to przyznać, ale...

– Dobra – przerwała. – Niech ci będzie, bohaterze.

– Wolę nie myśleć, jak to by się skończyło, gdybym...

– Prawdopodobnie wylądowałabym z kulką między oczami.

– Bez takich żartów. Mnie to nie bawi. Całą noc nie spałem.

– To widać.

Pokręcił głową. Po zdarzeniu Lena wydawała się być w swoim żywiole, on natomiast zachowywał się jak dzielnicowy na pierwszym okazaniu zwłok. Było mu wstyd i w duchu dziękował Rudnickiej, że oszczędziła mu salwy drwin z nieprofesjonalnego podejścia.

– Mówiłam, że widziałam twój samochód na parkingu – dodała. – Na szczęście zaaferowana pokojówka straciła czujność. Więc sądzisz, że gdybym nie była pewna, że wjedziesz na białym koniu i uratujesz mi tyłek, rzuciłabym broń? Rycerzu, jeszcze nie znudziło mi się chodzenie po tym świecie, żebym podstawiała się stukniętej sprzątacze.

Marcel poczuł miłe ciepło w sercu. Lena obdarzyła go zaufaniem i, jakkolwiek by było, powierzyła mu swoje życie.

– Co przeraziło cię bardziej? – spytała. – To, że wreszcie zrobiłeś użytek z służbowej broni, czy to, że zamiast przyjść dzisiaj do pracy, szykowałbyś wiązanekę na mój grób?

Wzdrygnął się.

– Zapamiętaj, że preferuję lastryko, nie chcę żadnego pomnika – ciągnęła. – Skromna płyta z imieniem i nazwiskiem. Jak wysadzisz mi trzymetrowy grobowiec, to zacznę nachodzić cię w snach. A wierz mi, potrafię uprzykrzyć życie.

– Przestań – obruszył się, upijając łyk kawy. – Nie chcę tego słuchać.

Rozległo się ciche pukanie i do gabinetu wszedł mężczyzna o pociągłej twarzy i świdrujących oczach.

– Aspirant sztabowy Sylwester Zięba – przedstawił się. – A to starsza aspirant Alma Szczepaniak, Biuro Spraw...

– Tak, wiem – przerwała Rudnicka. – Witam szanownych państwa aspirantów. Proszę siadać. Zaproponowałabym kawę, ale nie jesteśmy w kawiarni, więc możecie sami się obsłużyć.

– Dziękujemy – bąknęła kobieta i zrobiła krok do przodu. Miała mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu, a okrągła sylwetka upodabniała ją do nadmuchanego balonika.

– Komisarz Magdalena Rudnicka, jak mniemam? – Zięba badawczo zlustrował wnętrze. Przyglądał koszulę, jakby chciał rozpiąć kilka guzików. Najwyraźniej półmrok panujący w pokoju nie przypadł mu do gustu.

– Lena – poprawiła go natychmiast, wstała i okrążyła biurko.

Marcel przyglądał się kurtuazyjnej wymianie uścisków, przywodzącej na myśl przeciąganie liny. Wewnętrzni przegrali starcie, ale rozgrywki dopiero nabierały tempa.

– Chcielibyśmy porozmawiać z wami osobno – odezwała się Szczepaniak, chowając pulchne dłonie do kieszeni marynarki.

– Nie ma czasu – ucięła Rudnicka.

– Więc pani komisarz powinna go znaleźć, bo to nie są żarty.

– To, co teraz robicie, przypomina żarty.

– Nie rozumiem.

Szczepaniak wydeła pociągnięte matową szminką usta. Nie była wprawna makijażystką, bo w kilku miejscach wyjechała poza linię warg.

Rudnicka wskazała miejsca przy stole.

– Zezwolenie na użycie broni palnej – podjęła, gdy cała czwórka zajęła miejsca: Marcel i Lena po jednej, a Zięba i Szczepaniak po drugiej stronie stołu, jakby przystępowali do biznesowych pertraktacji. – Punkt pierwszy: kiedy środki przymusu bezpośredniego są niewystarczające lub niemożliwe do użycia; dwa: w przypadku zagrożenia życia funkcjonariusza lub innych osób postronnych; trzy: w celu ujęcia osoby podejrzewanej o popełnienie przestępstwa. Jest jeszcze kilka podpunktów, ale uznałam, że te wystarczą jako potwierdzenie, że użycie broni przez sierżanta Wolskiego było w pełni uzasadnione.

Odchyliła się, zakładając rękę na oparcie krzesła.

– Doceniamy, że nauczyła się pani kodeksu na pamięć – odparła Szczepaniak.

Marcel pomyślał, że z tej dwójki to właśnie starsza aspirant robi za złego glinę, ale ta rola nie pasowała do miłego wyrazu twarzy kobiety. Przypominała sympatyczną panią z sąsiedztwa, która wita nowych sąsiadów blachą świeżo upieczonego ciasta.

– Czy w czasie zatrzymania Kaliny Michalskiej próbowała pani użyć środków przymusu bezpośredniego? – zapytał Zięba.

– Nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ było to niemożliwe.

– Proszę o wyjaśnienie.

– Oskarżona przystawiła właścicielce hotelu, Dorocie Brackiej, ostry odłamek szkła do gardła – odparła Lena. – Miałam pogrozić jej pałką?

– Czyli nie podjęła pani takich środków?

– Nie.

– A czy wezwwała pani oskarżoną do pozbycia się ostrego przedmiotu?

– Tak.

– Użycie broni palnej było według pani jedynym wyjściem? – zapytała Szczepaniak.

– Tak.

– Jak doszło do tego, że oskarżona znalazła się w posiadaniu służbowej broni należącej do pani?

– Zagroziła, że jeżeli nie rzucę broni, zabije Bracką.

Szczepaniak przekartkowała jakieś dokumenty. Lena się skrzywiła. Aspirant ostentacyjnie demonstrowała, że ma wgląd w sprawę i może przyłapać Lenę na każdej nieprawidłowości.

– Podjęła pani negocjacje? – spytała.

– Bezskuteczne.

– Pozbywając się broni, naraziła pani na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale również Dorotę Bracką – zauważył Zięba.

– Gdybym postąpiła inaczej, Bracka leżałaby teraz w prosektorium.

– Tego nie możemy przewidzieć.

– Możemy – ucięła ostro Rudnicka.

– Nie miała pani stuprocentowej pewności, że sierżant Wolski pojawi się na miejscu zdarzenia i zapobiegnie tragedii.

– Miałam.

Wolski zerknął na komisarz.

– Widziałam, że jego samochód wjeżdża na parking – wyjaśniła.

- Czyli podjęła pani ryzyko w przekonaniu, że sierżant Wolski...
- Mnie uratuje – weszła jej w słowo. – Można tak to nazwać, ale proszę wybaczyć, co państwo mogą wiedzieć o takich sytuacjach?
- Jakich sytuacjach? – Grube brwi aspirant Szczepaniak podjechały do góry.
- Gdy liczy się każda sekunda i wystarczy jedna zła decyzja, by pojawiły się nieprzyjemne konsekwencje? Z całym szacunkiem, ale głównie wiecie na temat prawdziwej roboty w policji.

Marcel poruszył się nerwowo, wyczuwając nadciągającą kłótnię. Żaden z funkcjonariuszy nie przepadał za kolegami z Biura Spraw Wewnętrznych, uchodzących w środowisku za kretów kalających własne gniazda, ale niechęć Rudnickiej była wręcz namacalna.

- Słucham? – warknął Zięba, krzyżując ramiona.
- Pewnie znacie statystyki, ale chętnie je przypomnę – oświadczyła Lena. – W dwa tysiące dziesiątym roku było ponad dwieście incydentów z użyciem broni przez policjantów. Dwa lata później zaledwie sto trzydzieści. W całym kraju. Na ponad sto tysięcy funkcjonariuszy to jednak niewielka liczba. Czy wniosek, że wasza praca ma sens, jest słuszny? Nie, ponieważ policjanci boją się strzelać w obawie przed wyjaśnieniami, które muszą składać miesiącami, i przed toczącymi się postępowaniami w sprawie zasadności użycia służbowej broni. To jest normalne? Siedzicie za biurkiem i analizujecie dokumenty, z których głównie wynika. Działaliście kiedyś pod presją inną niż naczelnika wydziału, który żąda większej wykrywalności? Glocka używacie pewnie tylko na strzelnicy, i to z marnym skutkiem.

- Proszę...
- Powinniście zająć się korupcją czy innymi przekrętami, które niby wykrywacie.

Szczepaniak odchrząknęła, przerzucając kartki.

- Zaczniemy od początku – podjął Zięba. – Co skłoniło panią do wniosku, że zatrzymany Karol Warski nie jest winien zabójstwa dwóch osób?

- Czapka.
- Czapka?
- Tak – przyznała. – Podczas przesłuchiwania byłego chłopaka Michaliny Kowalskiej dowiedzieliśmy się, że kobieta, która szukała Michaliny, miała na głowie czapkę z pomponem. Ten jeden szczegół doprowadził mnie do Kaliny Michalskiej. Potem wszystko połączyło się w całość. Warski zareagował emocjonalnie, słysząc nazwisko pokojówki, co sugerowało, że ich relacja wykracza poza ramy zawodowe.

Marcel zmarszczył brwi. Gdy rozmawiali z Warskim, nic takiego nie zauważył. Rudnicka kolejny raz okazała się lepszą obserwatorką.

– Ponadto, kiedy Michalska na parkingu opowiadała nam o wizycie Warskiego, dokładnie opisała sposób, w jaki się poruszał, precyzyjnie podała godzinę. Twierdziła, że była bardzo wystraszona, a mimo to zdążyła zapamiętać aż tyle szczegółów. Recepcjonistka również widziała dozorcę, ale nie potrafiła przypomnieć sobie nawet koloru jego kurtki. – Lena zaczerpnęła powietrza, napiła się kawy i kontynuowała: – Dopiero potem skojarzyłam kobietę w czapce z Kaliną. Kiedy mówiła o niespodziewanej wizycie Warskiego, włosy miała ukryte pod czapką, spod której nie wystawał ani jeden kosmyk. Dlatego ochroniarz nie potrafił powiedzieć, czy kobieta była brunetką, czy blondynką. Ponadto Kalina zamordowała z zimną krwią Michalinę Kowalską, ale oszczędziła małego chłopca. Zapewne dlatego, że sądziła wówczas, że sama spodziewa się dziecka. Na podstawie tych wniosków uznałam, że Kalina Michalska nie była z nami szczerą, więc postanowiłam złożyć jej wizytę.

Szczepaniak patrzyła na nią zaskoczona tym długim wywodem.

– Pokojówka tylko myślała, że jest w ciąży... – zaczęła.

– Tak – komisarz weszła jej w słowo. – Lekarze orzekli, że Kalina nie tylko nigdy nie rodziła, ale także nigdy nie była w ciąży.

– Uroiła ją sobie?

– Najwyraźniej – odparła Rudnicka. – Potwierdził to ginekolog. Przyszła do niego, kiedy upadła i przestraszyła się o dziecko, a gdy poinformował ją, że nie jest w ciąży, zwymyślała go i oburzona wybiegła z gabinetu.

– Jaką rolę odegrał w tym wszystkim Karol Warski?

– Tego chciałabym się dowiedzieć, ale nie mogę, gdyż gładzę z wami i tracę czas.

– Dlaczego nie podzieliła się pani z nikim swoimi wnioskami? – zapytał Zięba.

– Powinna pani...

– Wezwać posiłki. Tak, wiem.

– Dlaczego pani tego nie zrobiła?

Lena wzruszyła ramionami. Nie miała innego wytłumaczenia niż niechęć do działania w grupie. Woląca załatwić sprawę sama, ale to nie stanowiło wystarczającego argumentu dla państwa aspirantów.

Szczepaniak przeniosła wzrok na Marcela.

– Jak pan dowiedział się o planach komisarz Rudnickiej? – spytała.

– Byłem w domu, kiedy odczytałem wiadomość – odparł. – Od razu pojechałem do hotelu, a kiedy zjawiłem się na miejscu, ujrzałem Kalinę Michalską, która

celuje w komisarz Rudnicką, a jednocześnie trzyma odłamek szkła na gardle Doroty Brackiej.

– Zdecydował się pan na strzał?

Kiwnął głową.

– To było jedyne rozwiązanie – odparł.

– Czy oddał pan strzał ostrzegawczy?

– Tak – skłamał Marcel.

– Dlaczego przed przyjazdem na miejsce zdarzenia nie powiadomił pan odpowiednich organów?

Wolski oblał się rumieńcem. Nawet o tym nie pomyślał.

– Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy – stwierdził.

– A czego pan się spodziewał?

Marcel milczał, namyślając się nad odpowiedzią. Lena pospieszyła z pomocą.

– Służby wezwaliśmy zaraz po zdarzeniu – powiedziała. – Nikomu nic się nie stało, więc nie róbmy wielkiego halo.

– Kalina Michalska jest w szpitalu – zauważyła Szczepaniak.

– Nic jej nie będzie – mruknęła komisarz. – A swoją drogą, ja najchętniej widziałabym ją w innym miejscu, najlepiej kilka metrów pod ziemią, więc szpital to przy tym wczasy pod gruszą. – Klepnęła dłonią w blat. – Skończyliśmy? Mam masę roboty.

– To drugi incydent z użyciem broni, w którym brała pani udział w ciągu sześciu miesięcy – przypomniał Zięba.

– I pewnie nie ostatni – skwitowała komisarz i wstała. – Na emeryturę się jeszcze nie wybieram.

– Czy przeszła pani testy psychologiczne uprawniające do kontynuowania służby w policji?

Rudnicka przewróciła oczami.

– Dwanaście lat temu.

– Mam na myśli incydent sprzed pół roku.

– Tak.

– Sprawdźmy to – mruknął.

– To wszystko?

Aspiranci podnieśli się niezadowoleni. Najchętniej załatwiliby sprawę od razu, ale będzie jeszcze niejedna okazja, aby porozmawiać z komisarz i wyjaśnić wszystkie szczegóły.

2

Kajdanki wżynały mu się w nadgarstki, ale twarz Karola Warskiego pozostała nieruchoma. Siedział wyprostowany jak struna, wodząc wzrokiem po suficie. Był pewny siebie, jak podczas ostatniej rozmowy. Przypuszczał, że policjanci podejmą kolejną próbę, by wyciągnąć z niego informacje, ale on postanowił milczeć do końca procesu.

– Sprawa trochę się skomplikowała – oznajmiła Rudnicka, siadając naprzeciwko.

Niewzruszony Warski wciąż toczył wzrokiem po suficie.

– Nie żebyś od razu wyszedł na wolność – ciągnęła. – Podejrzewam, że dostaniesz nagrodę pocieszenia za mataczenie w śledztwie i nieudzielenie pomocy poszkodowanemu.

Mięsień na jego twarzy drgnął.

– Odłóż już tę łopatę i daj sobie spokój z kopaniem własnego grobu, Warski – warknęła, zakładając nogę na nogę. – To koniec. Wybranka twojego serca siedzi w areszcie.

Wreszcie na nią spojrział.

Co prawda, Kalina jest w szpitalu, nie w areszcie, ale małe kłamstwo nie zaszkodzi, skwitowała komisarz w myślach.

– Dobrze słyszałeś – ciągnęła. – Twoja luba siedzi na dołku i wyśpiewała nam wszystko z detalami, ty nasz bohaterze. No i co? – Nachyliła się do niego. – Ładnie tak kłamać?

Marcel głośno przełknął ślinę. Ustalili z Leną, że zagrają w ciemno. To było jedyne wyjście, by Warski zaczął mówić. Nie mógł wiedzieć, że Michalska nie odzyskała przytomności, więc musieli tylko uważać, aby nie przyłapał ich na jakimś potknięciu.

– Chciałeś uchronić ją od odsiadki. Spoko, rozumiem, ale sęk w tym, że Kalina ma cię gdzieś. Warto było się tak podkładać?

– Co ty możesz o tym wiedzieć, suko? – wychrypiał.

– No sporo – skwitowała. – Na przykład wiem, że biegałeś za nią jak usłużny piesek, a ona najzwyczajniej w świecie cię ignorowała.

To było śmiałe zagranie, ale Rudnicka przypuszczała, że trafiła w dziesiątkę. Wystarczyło przypomnieć sobie pogardliwe słowa Kaliny, które wygłaszała pod adresem dozorca.

– Z twoimi wyjaśnieniami czy bez Kalina i tak pójdzie siedzieć – dodała.

Warski odchrząknął, a potem wbił spojrzenie w kajdanki, jakby rozważał sens ciągnięcia obranej strategii.

– Kalina zafiksowała się na Chmielnym – powiedział ostro. – Latała za nim jak głupia, ale ja wiedziałem, że kiedyś się jej znudzi.

Lena nie przerywała, czekając na więcej, dozorca jednak zamilkł.

– A w międzyczasie, czekając, aż zmądrzeje, podglądałeś ją przez okno? – zapytała.

Warski spojrzał, jakby nie widział w tym nic złego.

– Byliśmy razem kilka tygodni – odparł. – A potem ze mną zerwała.

Lena domyślała się, dlaczego dozorca nie pomógł Chmielnemu w parku. Zapewne uznał, że gdy zabraknie rywala, droga do serca pokojówki będzie wolna.

– Zobaczyłem ich razem i wiedziałem, że to przez niego mnie zostawiła. Pieprzony księgowy.

– Rozmawiałeś z nim o tym?

Warski zacisnął usta, jakby zdał sobie sprawę, że i tak zdradził za dużo, po czym wziął długi oddech.

– Chciałem go zabić, zakopać w lesie i mieć święty spokój, ale wtedy Chmielny mi coś uświadomił – wyznał, starannie artykułując każdą sylabę.

– Niby co?

– Powiedział, żebym sobie zabierał Kalinę jak najdalej od niego. Zresztą, i tak dał jej do podpisu wypowiedzenie, więc za jakiś czas zniknęłaby z hotelu.

Rudnicka gwizdnęła, spoglądając na Marcela. Czyli Kalina wcale nie złożyła wymówienia, jak twierdziła na początku śledztwa.

– Kalina wykrzyczała kiedyś, że Chmielny zostawi dla niej żonę. – Zaśmiał się chrapliwie. – Fakt, chciał zostawić żonę, ale nie dla Kaliny.

– Dla Michaliny? – zapytał Marcel.

Warski zmrużył oczy i skinął głową.

– Opowiedz o związku Kaliny z Klemensem – zażądała Rudnicka.

Zniszczoną twarz dozorca wykrzywił brzydki grymas. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie miał ochoty z nimi rozmawiać.

– Przespali się. Raz. To był cały ich związek.

– Kalina najwyraźniej liczyła na więcej.

– Może i tak – odparł. – Ale Chmielny nie wiązał z nią przyszłości. Pewnego wieczora popili wina i wylądowali w łóżku.

– Wkurzyło cię to?

– Owszem.

– Co wydarzyło się w parku?

– Kalina wiedziała, gdzie jest Klemens – odparł. – Nie wiem skąd. Tamtego wieczora po pracy odwoziłem ją do domu, ale ona wysiadła przy Kopcińskiego. Zdziwiłem się, bo mieszka na Dołach, więc zatrzymałem samochód nieopodal i postanowiłem to sprawdzić. Dotarła pod jakiś blok, zobaczyłem Chmielnego, ale Kalina do niego nie podeszła – zaznaczył. – Szła za nim, jakby go śledziła. No i potem, sami wiecie, co się stało.

Skąd Kalina wiedziała, że Klemens planuje spotkanie z Michaliną? Może chciała pozbyć się tej dwójki za jednym zamachem?

– Chciałabym usłyszeć twoją wersję – powiedziała Rudnicka.

Warski głośno wypuścił powietrze.

– Szedł z jakąś teczką, którą potem oddał swojemu koledze – wyjaśnił. – Znam gościa, często bywał w hotelu. Potem Chmielny czekał na kogoś, tak mi się wydaje, ale zaraz podeszła do niego Kalina i zaczęli się kłócić.

– O co?

– Chmielny odtrącał ją i krzyczał, żeby dała mu spokój, a Kalina mówiła, że poznała prawdę, że Klemens ją zdradził i takie tam, po czym... No, wiecie.

– Dlaczego nie pomogłeś Chmielnemu?

Wzruszył ramionami.

– Przeciągnąłeś go w zarośla?

– Tak – odparł. – Nie chciałem, by ktoś go zobaczył i powiązał z Kaliną.

– Dlaczego przyznałeś się do obu morderstw?

– Chciałem ją chronić.

– Dlaczego w ostatnich dniach kręciłeś się przy hotelu?

– Żeby porozmawiać z Kaliną – powiedział. – Ale nie starczyło mi odwagi. Wciąż miałem w głowie tamten park i... – Westchnął cicho. – Zwolniłem się z pracy i chciałem, żebyśmy oboje wyjechali razem z Polski, zaczęli nowe życie.

Rudnicka ze świstem wypuściła powietrze, wstała i przeszła się po pomieszczeniu.

– Twoja ukochana jest stuknięta – stwierdziła. – Lepiej poszukaj sobie innej dziewczyny.

– Kalina jest specyficzna.

Zaśmiała się.

– O tak, bardzo specyficzna. Szczególnie kiedy z zimną krwią morduje ludzi.

Kalina zabiła Klemensa z zazdrości i żalu, natomiast Michalinę ze zwykłej zawiści. Typowy motyw targanych emocjami kobiet, pomyślała Lena, odwracając się do Marcela.

Sierżant skinął głową.
Przesłuchanie skończone.

DWA DNI PÓŹNIEJ

Lena Rudnicka poszła prosto do swojego gabinetu, przymknęła drzwi i spojrzała w okno. Promienie zachodzącego słońca bezskutecznie próbowały przebić się przez ciasno zaciągnięte żaluzje. Zrobiła kilka kroków w kierunku biurka i przystanąła, by wyciągnąć z kieszeni fiolkę oksykodonu. Wysypała na dłoń dwie tabletki i się zawahała.

Przez ostatnie godziny miała tyle na głowie, że zapomniała o bólu. A może wcale go nie czuła? Może nieodłączny towarzysz postanowił wreszcie ją opuścić?

Czyżby dzisiaj nadszedł ten wielki dzień, który przeżyje bez odurzania się lekami? Patrzyła na pigułki i pomyślała, że powinna chociaż spróbować. Wcisnęła fiolkę głęboko do szuflady, podeszła do okna i zrobiła coś, co w ostatnich miesiącach się nie zdarzało – podciągnęła żaluzje.

Promienie słońca zajrzały nieśmiało do gabinetu, niepewne, czy na pewno są mile widziane. Pociągnęła za sznurek i odsłoniła szybę do połowy, a wtedy przyjęły zaproszenie i wpadły do środka.

Złota kula powoli chowała się za chmurami, za niespełna godzinę miasto spowije przyjemna szarówka. Lena obserwowała przez okno kręcących się po parkingu ludzi, gdy poczuła na ramieniu czyjś oddech. Obróciła się gwałtownie i wpadła na Marcela, który z łobuzerskim uśmiechem podał jej komórkę.

– Weź telefon i chodź – powiedział.

– Dokąd?

– Na lody – odparł. – Albo na ciastko. Na co masz ochotę?

– Zwariowałeś?

– To nie randka – zaznaczył. – Nie zapraszam zameężnych kobiet na randki.

Uniosła brwi.

– O czym ty mówisz?

– Obiecałem, że po zakończonej sprawie zaproszę cię na deser.

Faktycznie. Kompletnie o tym zapomniała.

– Ubieraj się i idziemy. Nie przyjmuję odmowy.

Chciała zaprotestować, ale Wolski wyszedł i zostawił ją samą. Nie miała zamiaru za nim iść, ale uświadomiła sobie, że zabrał ze sobą nie tylko swoje durne pomysły, ale także jej komórkę.

Pognała schodami na dół.

– Ej! – zawołała, ale Marcel się nie odwrócił. Powolnym krokiem zmierzał w stronę wyjazdu na ulicę Sienkiewicza.

Szarpnęła go za ramię.

– Przyhamuj – warknęła.

– Przejdziemy się?

– Zdurniałeś?

– Obietnica to obietnica – odparł. – Nigdy nie łamię danego słowa.

Prychnęła lekceważąco.

– Świetnie, opraw w ramki tę sentencję, ale ja nie mam zamiaru...

– Chodź – przerwał, ciągnąc ją za marynarkę.

Poszła, choć nie znalazła w głowie wytłumaczenia dlaczego.

Skreśli w wąską uliczkę Stanisława Moniuszki. Od Irish Pubu dzieliło ich siedem minut drogi.

– Chmielna wróciła do domu – zagadnęła Lena.

– Słyszałem – odparł, zapalając papierosa. Podał paczkę Rudnickiej, ale pokręciła głową. Na razie trwała w postanowieniu, że po zakończonej sprawie nie wróci do nikotyny.

– Władysława załamała się po rozmowie z mężem – ciągnęła. – Senior po czterdziestu latach wyjawiał jej prawdę o nieślubnej córce i skrywanej miłości.

– To musiał być dla niej szok.

– Ale faktem jest, że to on podtykał jej valium. Diazepam ma właściwości uspokajające i ułatwia zasypianie, więc sądził, że lek pomoże Władysławie przetrwać po śmierci syna.

– Znowu miałaś rację.

– No – mruknęła. – Chociaż nie chciał jej otruć, tylko ulżyć.

Marcel roześmiał się i przystanął, by oddać Lenie dzwoniący telefon. Bezwiednie spojrzął na ekran i zacisnął usta, odwracając głowę.

Rudnicka wcisnęła czerwoną słuchawkę i schowała komórkę do kieszeni.

– Nie odbierzesz od męża? – zapytał, strząsając popiół.

Wyjęła mu papierosa z ręki i zaciągnęła się z szelmowskim uśmiechem. Związek z nikotyną okazał się silniejszy, niż przypuszczała.

– Nie.

Łodzianie tłumnie wylegli na Piotrkowską. Deptak rozbrzmiewał gwarem rozmów. Studenci masowo okupowali ogródki, a spacerowicze rozkoszowali się dwudziestostopniową temperaturą. Przy fortepianie Rubinsteina zasiadł wysoki mężczyzna z wąsem na Freddiego Mercury'ego i wystylizowanymi lokami. Jego

rockandrollowa kurtka z naszywkami metalowych zespołów nie pasowała do akustycznej gitary przewieszanej przez ramię.

Marcel uśmiechnął się, gdy usłyszał pierwsze takty.

Damien Rice, *The blower's daughter*.

FRAGMENT ZEZNAŃ OSKARŻONEJ

Nie chciałam ich zabić (płacz). Nie wiem, co mnie napadło. Gdy dowiedziałam się, że Klemens planuje odejść od żony i związać się z Michaliną, wpadłam w szal.

– Kiedy się pani o tym dowiedziała?

– W środę.

– W dzień morderstwa?

– Tak. Ale już wcześniej czułam, że coś jest na rzeczy. Poszłam do kasyna, by dowiedzieć się, gdzie mieszka Michalina Kowalska. Chciałam z nią porozmawiać. Chciałam, żeby zostawiła Klemensa, ale ona nie słuchała. Wyśmiała mnie. Ale nie planowałam ich zabić! (płacz) Po prostu... Coś mnie opętało. Chciałam, żeby Klemens był mój, tylko mój.

Kochałam go.

META

Oskarżona odsiada wyrok w Zakładzie Karnym nr 1 w Łodzi przy ulicy Beskidzkiej. Sąd przychylił się do wniosku prokuratora Nawrockiego i zasądził karę dożywotniego pozbawienia wolności.

Dorota Bracka po tygodniowym pobycie w szpitalu wróciła do domu. Dwa miesiące po pogrzebie Klemensa Chmielnego sprzedała hotel Retro, spłaciła długi i zamieszkała w Konstantynowie Łódzkim. Wciąż czeka na decyzję w sprawie adopcji Michałka.

Klemens Chmielny senior wyprowadził się od żony i zostawił jej cały majątek. Po czterdziestu latach małżeństwa Władysława złożyła pozew o rozwód.

Karol Warski czeka na proces za nieudzielenie pomocy Klemensowi Chmielnemu juniorowi, a także zatajenie informacji o popełnionym przestępstwie.

KONIEC

Spis treści

Rozdział I

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17

Rozdział II

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16

17

18

19

20

Rozdział III

1

2

3

4

5

6

7

8

9

11

12

13

14

15

Rozdział IV

1

2

3

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

Rozdział V

1

2

DWA DNI PÓŹNIEJ
FRAGMENT ZEZNAŃ OSKARŻONEJ
META